

Katie Maquire

Masterton Graham

Książka I z Katie Maquire



calibre 0.9.43

Graham Masterton

Katie Maguire

Ar scáth a chéile a mhaireas na daoine.

“Każdy żyje w czyimś cieniu”.

irlandzkie przysłowie

NOTA AUTORA

Pierwszego maja 1915 roku, drugiego roku pierwszej wojny światowej, z Nowego Jorku wypłynął luksusowy liniowiec Cunarda, „Lusitania”, kierujący się do Liverpoolu w Anglii. W tym okresie wojny na dnie morza spoczywała już znaczna liczba brytyjskich statków handlowych zatopionych przez niemieckie okręty podwodne. Tego samego poranka, kiedy „Lusitania” wypływała w rejs, władze niemieckie opublikowały w amerykańskich gazetach ostrzeżenie dla podróżujących. Sądzone jednak, że nadzwyczajna prędkość liniowca pozwoli mu uniknąć wszelkich ataków U-Bootów.

Sześć dni później, gdy statek zbliżał się do wybrzeża południowo-zachodniej Irlandii, kapitan William Turner został ostrzeżony, że w okolicy stwierdzono obecność U-Bootów, a na wodach, przez które zamierza płynąć, zostały już zatopione trzy brytyjskie statki. Jednak kapitan utrzymał dotychczasowy kurs, a nawet - co zupełnie niezrozumiałe - zmniejszył prędkość.

Kiedy „Lusitania” dopływała do portu w Queenstown (obecnie Cobh) namierzył ją okręt podwodny U-20 dowodzony przez kapitana Walthera Schwiegera. Wystrzelił tylko jedną torpedę, która przebiła burtę „Lusitanii” tuż pod linią wody. Pierwsza eksplozja spowodowała kolejny wybuch

i potężny liniowiec zatonął w ciągu osiemnastu minut wraz z 1195 pasażerami - mężczyznami, kobietami i dziećmi, w tym 123 Amerykanami.

Prezydent Wilson i amerykańska opinia publiczna wyrazili oburzenie, jednak w nocy z 10 maja do własnej ambasady w Waszyngtonie Niemcy nie podali zadowalającego wyjaśnienia przyczyn zatopienia liniowca i w końcu wybili nawet medal dla upamiętnienia pomyślnej akcji U-20.

Storpedowanie „Lusitanii” wpłynęło na postawę opinii publicznej i doprowadziło do przystąpienia Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej.

W sprawie tej katastrofy wiele wymaga jeszcze wyjaśnienia, wciąż istnieją pytania, na które nie

udzielono odpowiedzi. Swego czasu twierdzono, że po uderzeniu torpedy drugi wybuch spowodowała

amerykańska amunicja przemycana w ładowniach liniowca. Jednak podczas ostatnich badań podwodnych natrafiono na bryły węgla porozrzucane szeroko po dnie morskim, co sugerowałoby, że najbardziej prawdopodobną przyczyną tragedii był wybuch pyłu węglowego i tlenu w niemal pustych ładowniach.

Kapitan William Turner został zmyty z mostka, kiedy statek tonął, i przeżył. Nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego płynął tak blisko brzegu i dlaczego nie podjął żadnych działań, które pozwoliłyby uniknąć ataku. Twierdził, że zmniejszył prędkość statku ze względu na gęstą mgłę, chociaż niebezpieczeństwo ze strony U-Bootów bez wątpienia było znacznie większe niż ryzyko kolizji.

W centrum Cobh stoi dzisiaj posąg przedstawiający zasmuconego anioła — pomnik poświęcony tym wszystkim, którzy zginęli w katastrofie „Lusitani”.

John jeszcze nigdy nie widział tylu wron krążących nad farmą, ile zobaczył tego mokrego listopadowego poranka. Jego ojciec mawiał, że jeśli ktoś zobaczy ich więcej niż siedem naraz, może być pewien, że przyleciały napawać się ludzką tragedią.

Tragiczna była także pogoda. Przed świtem na Nagle Mountains spadł ulewny deszcz i północno-zachodnie pole było tak grzaskie, że na jego zaoranie John stracił ponad trzy godziny.

Właśnie zawracał traktorem na najwyższym położonym rogu pola, tuż przy zagajniku zwanym Iollan's Wood, kiedy zobaczył Gabriela. Stał w bramie i gorączkowo wymachiwał rękami.

John także mu pomachał. Jezu, czego ten idiota znowu chce? Prace, które zleciło się Gabrielowi, lepiej było od razu wykonać samemu, bo wciąż się dopytywał, co ma robić dalej, jakich użyć śrub i gwoździ, jakie drewno będzie najlepsze. John nie przerywał orania. Spod kół traktora wy-

skakiwały wielkie pacyny kleistego błota, Gabriel, grzęznąc w nim, ruszył ku Johnowi w górę pola, wciąż wymachując rękami. Wrony natarczywie latały nad nim i wokół niego. Bez wątpienia krzyczał, chociaż John nie słyszał ani słowa.

Kiedy zadyszany Gabriel, w starym, postrzępionym tweedowym ubraniu i w gumowcach, wreszcie do niego dotarł, John wyłączył silnik i zdjął z uszu ochraniacze.

- Co się znów stało, Gabe? Czyżbyś zapomniał, który koniec szpadla należy wbijać w ziemię?

- Tam są kości, John. K o ś c i! Tyle pieprzonych kości, że nie sposób ich wszystkich policzyć!

Wierzchem dłoni John otarł z twarzy krople deszczu.

- Kości? Gdzie? Jakie kości?

- Pod ziemią, John! L u d z k i e kości! Chodź i zobacz sam! Całe to miejsce wygląda jak pieprzone cmentarzysko!

John zszedł z traktora i od razu pogrążył się po kostki w błocie. Z bliska Gabriel śmierdział

zwietrzałym piwem. John dobrze wiedział, że Gabriel pije podczas pracy, mimo że ten bardzo się starał jak najlepiej ukrywać puszkę murphy'ego pod stertą worków w głębi stodoły.

- Kopaliśmy fundamenty niedaleko domu, kiedy chłopak powiedział, że coś jest w ziemi.

Zaczął grzebać palcami i zaraz potem wyciągnął ludzką czaszkę z oczodołami wypełnionymi piachem. Pogrzebaliśmy jeszcze trochę i trafiliśmy na następne cztery czaszki i kości, jakich nigdy nie widziałeś — nóg, rąk, palców, a nawet żebra.

John poczłapał w kierunku bramy. Był wysoki i ciemny, miał gęste czarne włosy i niemal klasyczną hiszpańską urodę. Wrócił do Irlandii zaledwie przed rokiem i prowadzenie farmy wciąż sprawiało mu trudność. Pewnego majowego poranka zamykał właśnie drzwi mieszkania przy Jones Street w San Francisco, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał głos matki. Poinformowała go, że ojciec miał ciężki zawał. Po dwóch dniach zmarł.

Nie zamierzał wracać do Irlandii, a tym bardziej przejmować farmy. Jednak matka a priori uznała, że tak właśnie musi postąpić jako najstarszy syn swojego ojca, a liczni wujowie, ciotki i kuzyni powitali go tak, jakby właśnie został głową rodziny Meagherów. Poleciał jeszcze raz do San Francisco tylko po to, żeby sprzedać swój „dot.com”, firmę zajmującą się medycyną alternatywną, oraz pożegnać przyjaciół. Tak oto się tu znalazł i właśnie przekraczał, w gęstym kapuśniaku padającym z nieba, bramę Meagher's Farm. Po piętach deptał mu cuchnący piwem Gabriel.

- Powiedziałbym, że to było masowe morderstwo - wysapał Gabriel.

- Cóż, zobaczymy.

Główny budynek posiadłości był szeroki, przestronny, miał zielone ściany i szary, spadzisty dach. Po jego południowo-wschodniej stronie rosło sześć czy siedem bezlistnych wiązów, przypominających grupkę zakłopotanych osobników mających właśnie wejść do kąpieli. Opadający stromo podjazd wiódł do drogi prowadzącej do Ballyhooly na północy i Cork City, jedenaście mil na południe. John przeszedł przez zabłocony, choć wyasfaltowany dziedziniec i zbliżył się do północnej

ściany budynku, gdzie Gabriel i chłopak o imieniu Finbar rozebrali już starą przegniłą spiżarnię i rozpoczęli wykopy pod fundamenty nowoczesnej wylęgarni kurcząt.

Oczyścili kawałek gruntu mniej więcej dwanaście na dwadzieścia stóp. Ziemia była czarna, surowa, unosił się nad nią wyraźny kwaśny odór torfu. Finbar stał w pewnej odległości od wykopu i z

ponurą miną żałobnika ścisnął szpadel. Był chudym chłopakiem o bladej twarzy, krótko ściętych włosach i odstających uszach. Miał na sobie przemoczony szary fartuch roboczy.

Przed nim na ziemi leżały cztery ludzkie czaszki. Widok przywodził na myśl najbardziej koszmarne fotografie wykonane w Kambodży w okresie rządów Pol Pota. Bliżej mokrej, otynkowanej

ściany budynku widniała dziura, a w niej mnóstwo zabłoconych ludzkich kości.

John pochylił się i popatrzył na czaszki, jakby spodziewał się z ich strony jakichś wyjaśnień.

— Boże wszechmogący! Muszą tu leżeć już bardzo długo. Na żadnej nie ma nawet skrawka ciała.

— Powiedziałbym, że to nie oznaczony grób — zauważył Gabriel. - Grupa ludzi, którzy w przekonaniu IRA stanęli po złej stronie.

— Wystraszyłem się jak jasna cholera - powiedział Finbar. Ocierał rękawem nos. - Kopałem, kopałem i nagle ta czaszka... Uśmiechnęła się do mnie jak mój stary wujaszek Billy.

John złapał długi żelazny pręt i zaczął dźgać nim ziemię pomiędzy kośćmi. Ujrzał zuchwę,

część klatki piersiowej i kolejną czaszkę. Zatem pogrzebano tutaj przynajmniej pięć osób. Mógł zrobić

tylko jedno: zatelefonować po Gardę.

- Chyba nie sądzisz, że twój ojciec o tym wiedział? -zapytał Gabriel, kiedy John ruszył w kierunku domu.

- Co ty sobie myślisz? Oczywiście, że nie wiedział.

- Hmm, twój ojciec był znanym zagorzałym republikaninem.

John zatrzymał się i popatrzył mu w oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Niczego nie chcę powiedzieć. Jeśli jednak pewni ludzie szukali miejsca, aby ukryć jakieś zwłoki, tak żeby nikt ich nigdy nie znalazł, a twój ojciec miał wobec nich jakieś zobowiązania...

Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

- Och, daj spokój, Gabriel. Mój ojciec nie pozwoliłby na zakopywanie zwłok w jego posiadłości!

- Nie byłbym tego taki pewien, John. Kiedyś coś już tu zakopano na pewien czas, pod oborą.

- Mówisz o broni?

- Mówię o tym, że będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli zapomnimy o tym, co dzisiaj znaleźliśmy. W końcu ci ludzie są już martwi i pogrzebani, po co więc im przeszkadzać?

Twój ojciec także nie żyje, także go pochowano. Chyba nie chcesz, żeby teraz ktoś próbował zbezczcić jego dobre imię, prawda?

- Gabe, to są ludzie, na miłość boską - odparł John. - Jeśli wszystko przemilczymy, kilka rodzin nigdy się nie dowie, gdzie się podziali ich synowie i mężowie. Czy potrafisz wyobrazić sobie coś gorszego?

- Pewnie masz rację. Wciąż jednak jestem przekonany, że pakujesz się w kłopoty, a przecież nie ma ku temu żadnego szczególnego powodu.

John wszedł do domu. Panował tu ponury półmrok. W powietrzu, jak zwykle o tej porze roku, czuło się wilgoć. Ściągnął buty i w małej łazience przy holu umył ręce. Następnie skierował się do wielkiej kuchni z kamienną posadzką, gdzie jego matka przygotowywała wypieki. Ostatnio wydawała mu się bardzo drobna. Miała białe włosy, pochylone plecy i jakby wypłowiałe, blade oczy.

Przesiewała mąkę, żeby upiec ciastka do herbaty.

- Czy skończyłeś orkę, John? - zapytała go.

- Niezupełnie. Muszę zadzwonić.

Zawahał się. Wyczuła to i popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście, mamó. Muszę zatelefonować, nic więcej.

- Chciałeś mnie o coś zapytać. - Matka wciąż była bardzo bystra.

- Zapytać? Nie, o nic się nie martw.

Jeśli ojciec rzeczywiście się zgodził, żeby IRA zakopała zwłoki na terenie jego posiadłości, wątpliwe, by konsultował to z matką. Coś, o czym nie wiesz, nigdy nie nawiedzi cię przecież w sennym koszmarze w środku nocy.

Wszedł do salonu, w którym meble pokryte były gobelinami, a na jednej ze ścian stał wielki kominek z czerwonej cegły. Płomienie z cichym trzaskiem trawiły trzy wielkie kłody drewna, a Lucyfer, potężny labrador, leżał na dywanie z nieprzyzwoicie rozłożonymi łapami. John podniósł słuchawkę staromodnego czarnego aparatu i wykręcił numer 112.

- Halo? Proszę mnie połączyć z Gardą. Chciałbym rozmawiać z kimś ważnym. Tak. Mówi

John Meagher z Meagher's Farm w Knocknadeenly. Właśnie wykopaliśmy ludzkie szczątki.

Kiedy Katie Maguire zajęła srebrnym mondeo na Meagher's Farm, deszcz padał jeszcze mocniej. Z zadowoleniem odnotowała, że detektyw inspektor Liam Fennessy jest już na miejscu. Byli także dwaj inni detektywi i trzej czy czterej gwardziści, zmagający się z podmuchami wiatru przy ustawianiu osłony z niebieskiego plastiku.

Wysiadła z samochodu i podniósłszy kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego, przeszła przez podwórze. Liam stał nad otwartym grobem. Ręce trzymał w kieszeniach długiego, brązowego płaszcza w jodełkę i nie zwracając uwagi na deszcz, palił papierosa. Detektyw Patrick O'Sullivan drżał

z zimna w lekkiej wiatrówce, wpatrując się w kości z udawanym zainteresowaniem, a detektyw sierżant Jim-my O'Rourke stał przy ścianie pod daszkiem i rozmawiał z Johnem Meagherem.

- Dzień dobry, pani nadinspektor - powiedział Liam. Był chudy, miał zapadnięte policzki i jasne włosy, które zaczesywał do tyłu i nacierał brylantyną. Szkła jego okrągłych okularów w drucianej oprawie naznaczone były kroplami deszczu. - Zdaje się, że mamy tutaj trochę kości do wygrzebania.

- Ile czasu minie, zanim przyjadą technicy?

- Myślę, że jakieś pół godziny. A czcigodny doktor Owen Reidy pojawi się jutro z samego rana. Reidy Rozpruwacz. Facet zrobiłby człowiekowi z dwunastnicy wytworny naszyjnik, zanim ten zdążyłby wydać ostatnie tchnienie.

Katie nie uśmiechnęła się.

- Rozmawiałeś z nadinspektorem O'Conellem z Nass? Jerry O'Connell dowodził operacją „Ślad”. Trwała ona już dziewięć lat, podczas których bezskutecznie poszukiwano ośmiu młodych kobiet. Wszystkie zniknęły bez śladu we wschodnich hrabstwach Irlandii.

- Tak, przekazałem mu wiadomość - odparł Liam. Katie powoli okrążyła wykop, próbując

odgadnąć jakiś porządek w ułożeniu kości. Miała wrażenie, jakby ktoś wystrzelił je w powietrze i pozwolił opaść bezładnie na ziemię. Zobaczyła przynajmniej trzy miednice, dwie klatki piersiowe i niezliczone fragmenty kręgosłupa.

Podszedł do niej sierżant O'Rourke, niski mężczyzna o włosach koloru piasku i niemal kanciastej głowie.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem, proszę pani, tylko na obrazie u ojca Francisa w kościele świętego Michaela. Tam niebo jest na górze, a piekło na dole. Tak właśnie wygląda piekło: mnóstwo szkieletów bezładnie rzuconych na kupę.

- Czy to jest John Meagher? - Katie wskazała głową.

- Tak, to on. John, poznaj panią detektyw nadinspektor Kathleen Maguire. Poprowadzi dochodzenie.

John wyciągnął do niej rękę.

- Aha, rozumiem. Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że...

- Gwardia Obywatelska jest pracodawcą, który nie dyskryminuje kobiet, John - powiedziała Katie bez uśmiechu.

- Wygląda na to, że natrafiliśmy na sześć szkieletów, a może nawet siedem - odezwał się sierżant O'Rourke. - Kevin doliczył się dotąd trzynastu pięt.

- Czy ma pan jakieś podejrzenia, a może potrafiłby pan odgadnąć, jak to się stało, że pogrzebano tutaj te szczątki? — Katie zapytała Johna.

John potrząsnął przecząco głową.

- Nie mam żadnych podejrzeń. Żadnych. Prowadzę tę farmę od czternastu miesięcy. W tym czasie nikt nie mógł ich tutaj zakopać.

- A zanim przejął pan farmę?

- Meagher's Farm należy do mojej rodziny od 1935 roku. Nie wyobrażam sobie, żeby mój

ojciec zakopał tu jakieś zwłoki. Także mój dziadek.

Katie pokiwała głową.

- Czy ktoś z zewnątrz ma tutaj swobodny dostęp? Na przykład jacyś najemni robotnicy, dzierżawcy? Może urlopowicze? Albo podróżni?

- Nie bywa tutaj nikt poza mną i Gabrielem oraz braćmi Ryan, Denisem i Bryanem. Wykonują wszystkie prace, jakie są akurat do zrobienia. Jeszcze tylko Maureen O'Donovan pomaga mi przy mleku.

- Będę chciała z nimi wszystkimi porozmawiać.

- Jasne, oczywiście. Ale to wszystko jest bardzo tajemnicze, jeśli chce pani znać moje zdanie. Nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że ci ludzie nie żyją już od strasznie długiego czasu.

- Ma pan rację, John - zgodziła się Katie. - Nie jest pan ekspertem.

John odczekał, aż Katie przejdzie na drugą stronę wykopu, po czym odezwał się do sierżanta O'Rourke:

- Czy ona zawsze jest taka?

- Nadinspektor Maguire? O, tak. Nie ma w ogóle poczucia humoru, jeśli chodzi o zabójstwa.

Nie widzi w nich nic zabawnego, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

John obserwował ją, jak chodzi, oglądając kości. Bardzo ładna kobieta, pomyślał. Nie wyższa niż 5 stóp i 5 cali, mniej więcej czterdziestoletnia, przycięte włosy koloru miedzi, głęboko osadzone, zielone oczy i ostro zarysowane kości policzkowe. Aż chciało się porównać ją do irlandzkiej nimfy z którejś z baśni przekazywanych od wielu pokoleń. Ładna, lecz trochę zadziorna. Typ kobiety, za którą każdy mężczyzna się obejrzy, a potem jeszcze raz. Nagle uniosła głowę i złapała Johna na tym, że się jej przygląda. Szybko odwrócił wzrok, jakby przed chwilą zrobił coś zakazanego. Bóg jeden wie, do jakiego stanu psychicznego by go doprowadziła, gdyby John rzeczywiście wiedział, w jaki sposób szkielety znalazły się właśnie tutaj, na jego farmie.

Po chwili ponownie do niego podeszła. W jej włosach lśniły krople deszczu.

- Może słyszał pan jakieś miejscowe opowieści o zaginionych osobach? Niekoniecznie odnoszące się do ostatniego okresu. Chodzi mi o coś, co pozwoliłoby nam chociaż mgliście przypuszczać, kiedy ci ludzie zginęli.

- Niestety, nie mam czasu, żeby przysłuchiwać się miejscowym plotkom. Raz na jakiś czas wpadam do Ballyvolane i wypijam kilka drinków w „Fox and Hounds”. Dla miejscowych wciąż jednak jestem obcokrajowcem. Nic dziwnego, naprawdę. Nadal nie rozumiem akcentu z Cork, a do przyjazdu tutaj sądziłem, że chodzenie na czworakach to coś, co zwykle się robi po wypiciu zbyt wielu kufli gui-nessa.

- W porządku, John - powiedziała Katie. - Mam nadzieję, że nigdzie nie będzie pan wyjeżdżał?

Kiedy starannie obejrzymy znalezisko, a patolog zbada szczątki, będziemy mieli do pana jeszcze kilka ważnych pytań.

- Jestem do usług.

Katie podeszła do samochodu i sięgnęła po telefon komórkowy.

- Paul? To ja. Jestem w Knockadeenly. Tak, znaleźli tu ludzkie szczątki. Tak, wiem. Posłuchaj, wszystko wskazuje na to, że wrócę do domu późno. W lodówce leży pieczony kurczak od Marksa i Spencera. Włóż go do piekarnika, gaz nastaw na ósemkę. Tak. Potrafisz obierać ziemniaki, prawda? Dobrze, idź do pubu, jeśli chcesz, to twoja sprawa, tylko zjedz coś porządnego. Zadzwoń później.

Na farmę zajechała biała furgonetka techników Gardy. Katie wróciła do wykopu i czekała, aż nowo przybyli włożą ochronne stroje i gumowe buty. Patrzyła na stertę kości i zastanawiała się, do kogo mogły należeć. Zazwyczaj, kiedy przybywała na miejsce zbrodni, od razu było wiadomo, kto kogo skrzywdził i dlaczego. Widziała w życiu zakrwawione noże w kuchennych zlewach, szare twarzyczki uduszonych dzieci, także zwłoki dziewczyn uduszonych własnymi szalikami, leżące twarzami do ziemi w mulistych kanałach.

Tutaj miała jednak do czynienia z czymś zupełnie innym. Zdawała sobie sprawę, że dopóki nie dowie się, od jak dawna ci ludzie spoczywają w ziemi, nadaremne będą wszelkie próby odgadnięcia, kto ich zamordował i dlaczego. Było widać, że żadna z czaszek nie została przedziurawiona kulą z pistoletu czy rewolweru. Gdyby tak było, miałyby mocny dowód, że natrafiono na ofiary politycznej egzekucji albo zemsty jakiegoś lokalnego gangu.

Chociaż zamierzała poinformować o szkieletach zespół prowadzący operację „Ślad”, robiła to tylko ze względów protokolarnych. Wątpiła, by zwłoki miały cokolwiek wspólnego ze śledztwem nadinspektora O'Connella. Dziewczyny, których szukał, zniknęły jedna po drugiej niemal w ciągu dekady - ostatnia w lipcu 1998 roku. Tymczasem Katie od samego początku była przekonana, że ludzie, których szczątki właśnie odkryto, pochowani zostali w tym samym czasie.

Podszedł do niej Liam i zaproponował supermocny miętowy cukierek.

- Co o tym sądzisz? - zapytał. - Czy mógł to zrobić ojciec Meaghery?

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie dojdziemy, kim byli ludzie, którzy zginęli, no i dlaczego.

- Chyba nie szukasz motywu, co? Rozejrzyj się tylko, jesteśmy w miejscu przeklętym przez Boga. Tutaj, żeby związać koniec z końcem, haruje się od świtu do zmierzchu. Nie ma nikogo, poza inwentarzem, na kim można by wyładować własne frustracje ekonomiczne i seksualne. Ale czasami trafia się jakiś zabłąkany rowerzysta szukający noclegu. Pamiętasz ten pensjonat w Crosshaven, po-koje ze śniadaniem? I trzy trupy upchnięte w kredensie? Katie uniosła dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed deszczem.

- Sama nie wiem. Ale nie sądzę, żeby tutaj stało się coś podobnego. Nie wykluczam tego całkowicie, wietrzę jednak jakąś zupełnie inną, bardzo mroczną historię. Weź pod uwagę sposób, w jaki te wszystkie szkielety są wymieszane. Można odnieść wrażenie, że ciała zostały porozrywane, zanim je zakopano.

Oslony z niebieskiego plastiku otaczające wykop zostały rozświetlone jaskrawymi błyskami.

Do pracy przystąpił fotograf, a po chwili szczałkami zajął się zespół techników i lekarzy sądowych.

Najpierw przystąpiono do oznaczenia pozycji poszczególnych czaszek i klatek piersiowych.

Jeden z członków zespołu podniósł kość udową. Okazało się, że coś z niej zwisa. Po chwili nachylił się i podniósł kolejną, potem jeszcze jedną i następną... Przez chwilę przypatrywał się im, po

czym podszedł do Katie i powiedział:

- Pani nadinspektor? Proszę tylko na to zerknąć.

Katie włożyła gumową rękawiczkę i wzięła do ręki jedną z kości. Na górnym końcu, w części mieszczącej się w stawie, znajdowała się mała dziurka, a przez otwór przeciągnięto krótki, zatłuszczony szpagat. Na końcu szpagatu przywiązana była figurka, jakby lalka, zrobiona ze szmat, z powtykanymi sześcioma lub siedmioma zardzewiałymi gwoździami i haczykami. Wszystkie kości udowe ktoś przewiercił w taki sam sposób. Do każdej doczepiona była identyczna mała, szmaciana laleczka.

- No i co o tym sądzisz, Liam? - zapytała Katie. - Czy kiedyś widziałeś coś takiego?

Liam uważnie przyjrzał się małej figurce i potrząsnął głową.

- Nigdy. Wygląda jak jakaś kukielka voodoo, prawda? Taka, co to wbija się w nią szpilki, żeby się na kimś zemścić.

- Yoodoo? W Knocknadeenly?

Funkcjonariusz wziął kość od Katie i wrócił do pracy.

- Nie wiem, co tu się stało, Liam - powiedziała Katie. - Ale z pewnością było to coś bardzo dziwnego.

W tym momencie podszedł do niej John i zapytał:

- Czy napije się pani czegoś, pani nadinspektor? Wiele dałaby w tej chwili za podwójną wódkę, odparła jednak:

- Dziękuję, chętnie wypiję herbatę. Bez mleka i bez cukru.

- A pan, inspektorze?

- Poproszę herbatę z potrójnym cukrem. I będę wdzięczny, jeśli pan nie zamiesza. Bardzo lubię tę słodką resztkę na dnie szklanki.

Stopniowo od zachodu zaczęło się przejaśniać i wkrótce farmę oświetliły jakby rozwodnione, szarawe promienie słońca. Katie weszła do domu, żeby porozmawiać z matką Johna. Siedziała w salonie, w zielonym rozpinanym swetrze narzuconym na ramiona. Oglądała Fair City w telewizji i głaskała psa. Na stole obok niej znajdowała się duża, oprawiona w ramkę fotografia siwowłosego mężczyzny, wyglądającego tak, jak zapewne będzie wyglądał John za dwadzieścia lat. Obok stała pusta filiżanka po herbacie i popielniczka pełna niedopałków.

- Muszę pani zadać kilka pytań, pani Meagher.

- Och, naprawdę? - zdziwiła się matka Johna. Nie oderwała wzroku od ekranu telewizora.

- Czy ma pani coś przeciwko temu, że usiądę?

- Proszę usiąść, ale najpierw niech pani zdejmie ten mokry płaszcz.

- Oczywiście. - Katie zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i przewiesiła go przez oparcie drewnianego krzesła stojącego za drzwiami. Pod płaszczem miała ładny szary kostium i bluzeczkę w kolorze miedzi, niemal identycznym jak kolor jej włosów. Usiadła naprzeciwko pani Meagher, która nie przerwała oglądania opery mydlanej. Salon pachniał wilgocią, jedzeniem i lawendowym płynem do polerowania mebli.

- Do tej pory odkryliśmy szczątki ośmiu ludzi, a wygląda na to, że może być ich więcej.

- Panie, świeć nad ich duszami.

- Czy podejrzewa pani, kto ich tutaj pochował?

- Cóż, ktoś musiał ich pochować. Sami się nie pozakopywali.

- Nie, pani Meagher. Byłabym zdziwiona, gdyby tak było. Bardzo chciałabym wiedzieć, czy pani zmarły mąż wykonywał jakieś prace przy starej spiżarni.

- Ciągle coś robił, to tu, to tam. Tutaj się pracuje bez chwili wytchnienia.
 - Oczywiście. Chodzi mi jednak o to, czy kiedykolwiek odniosła pani wrażenie, że robił tu coś niezwykłego? Jakieś prace budowlane? Może gdzieś kopał?
 - Najświętsze serce Pana Jezusa, chyba nie wmawia mi pani, że to mój Michael zakopał tych nieszczęśników?
 - Próbuję dociec, w jaki sposób i kiedy zwłoki znalazły się na terenie farmy.
 - Jestem pewna, że ja tego pani nie wyjaśnię. Pochowanie tak wielu ludzi wymagałoby mnóstwa pracy, prawda? Michael nigdy nie miałby czasu na coś takiego. Zawsze powtarzał, że pracuje ciężiej niż dwa konie i osioł razem wzięte.
 - Czy interesował się polityką?
 - Wiem, co pani ma na myśli. Czytał „An Phoblacht”, ale nie miał czasu politykę. Ani na żadne spotkania. Byłam w stanie wyciągać go z farmy jedynie na msze w niedziele.
 - Czy miał jakichś przyjaciół, o których pani wiedziała?
 - Spotykał jednego lub dwóch facetów w „The Roundy House” w Ballyholly. Czasami, w czwartkowe wieczory, grywał z nimi na akordeonie. To były jedyne dni, kiedy zostawiał farmę. Ale to byli słabi, starzy ludzie, nie zabiliby muchy. A już na pewno nie mieliby sił, żeby pochować tych nieszczęśników.
 - Czy kiedykolwiek odwiedzał go tutaj ktoś dziwny? Ktoś, kogo pani dobrze nie znała?
- Pani Meagher potrząsnęła przecząco głową.
- Michael lubił, kiedy otaczała go rodzina, nie był jednak towarzyskim człowiekiem. Czasami bywał u nas ten gruby i nic nie wartu ksiądz, ojciec Morrissey, częstowałam go ciastem albo kanapką z szynką. Michael mawiał potem, że najchętniej rozciąłby mu brzuch, żeby odzyskać mój poczęstunek. Niełatwo było mu pogodzić się z myślą, ile ciężkiej pracy kosztował go każdy kęs zjedzony przez księdza.

- Rozumiem. Wydaje mi się, że pani mąż był raczej surowym, trudnym, człowiekiem. Nie chcę oczywiście źle o nim mówić.

Pani Meagher głośno wciągnęła powietrze nosem.

- Miał swoje poglądy i nie dbał o to, czy są popularne. Ale nie, moja droga, wcale nie był trudniejszy od innych mężczyzn. - Powiedziała to takim tonem, jakby wszyscy mężczyźni na świecie byli absolutnie nieznośni.

- Czy kiedykolwiek uwikłał się z kimś w jakiś długotrwały spór, kłótnię?

- Co? Rzadko zamieniał z kimkolwiek pojedyncze słowo, a co tu dopiero mówić o kłótniach!

- Jeszcze jedno. Czy słyszała pani kiedyś o ludziach, którzy zaginęli w okolicy? Niekoniecznie ostatnio, ale w ogóle.

- O zaginionych ludziach? - Pani Meagher po raz pierwszy oderwała wzrok od telewizora. -

Nie, nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zaginął. Oczywiście, kiedy byłam dziewczynką, matka często opowiadała nam historie o ludziach, których wróżki zabrały do Niewidzialnego Królestwa, ale mówiła

to tylko dlatego, żeby nas postraszyć i zmusić do zjedzenia kartofli.

Katie uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedziała po chwili. - Czy widziała pani już kiedyś coś takiego? -

Sięgnęła do kieszeni i wydobyla plastikowy woreczek przeznaczony do przechowywania dowodów rzeczowych. W środku znajdowała się mała, szara, szmaciana lalka.

- Co to jest?

- Nigdy pani czegoś takiego nie widziała?

- To chyba nie najlepsza zabawka dla dziecka, prawda? Te wszystkie haczyki i tak dalej...

- Myślę, że to w ogóle nie jest zabawka, pani Meagher. Będę z panią szczerą, nie wiem, co to takiego. Byłabym wdzięczna, gdyby pani nikomu nie opowiadała, że widziała pani ten przedmiot.

- A dlaczego miałabym opowiadać?

- Po prostu uprzedzam panią na wypadek, gdyby ktoś pytał. Nikomu ani słowa, szczególnie dziennikarzom.

Pani Meagher wzięła prawie pustą paczkę papierosów carroll i zaproponowała jednego Katie.

- Nie? Cóż, ja także nie powinnam palić, z moimi piersiami... Doktor powiedział, że mam cię na jednym płucu.

- Dlaczego pani nie rzuci palenia?

Zapaliła papierosa i po chwili wydmuchnęła duży kłęb dymu.

- Rzucić? Na Boga, dlaczego miałabym próbować zrobić coś, o czym wiem, że mi się nigdy nie uda?

Przed zapadnięciem zmierzchu ekipa techników odkryła jedenaście czaszek i większość należących do nich szkieletów. Wyodrębniono także dziewiętnaście kości udowych z wywierconymi otworami i zawieszonymi małymi, szarymi lalkami. Na każdym etapie prac wykop wielokrotnie fotografowano. Pozycję każdej kości starannie oznaczono małą, białą chorągiewką i wszystko zapisano w komputerze. Jutro rano zacznie się żmudny proces opisywania i usuwania szczątków, po czym wszystkie zostaną przewiezione na oddział medycyny sądowej w Cork University Hospital. Tam

zbada je państwowy patolog, doktor Owen Reidy, który już jutro miał przylecieć z Dublina z nieodłączną czarną torbą i swoim słynnym nieznośnym usposobieniem.

Kiedy Katie wyszła z domu, podszedł do niej Liam.

— No i co? - zapytał, rozcierając zziębnięte ręce.

— Nic. Trudno przypuszczać, żeby ojciec Johna Meaghery miał z tym coś wspólnego. Ktoś jednak zdołał wykopać dziurę w jego spiżarni i pogrzebać jedenaście szkieletów. Nie wspomnę o przewiercaniu kości udowych i ozdabianiu ich małymi laleczkami. Nie mam pojęcia, jak ten ktoś dokonał tego w tajemnicy przed Michaeliem Meagherem. Według pani Meagher jej mąż wchodził do spiżarni praktycznie codziennie, wnosząc albo wynosząc żywność.

- Rozsądek podpowiada nam więc, że musiał wiedzieć, co się działo.

- I co z tego wynika? Że współpracował z plutonem egzekucyjnym?

- Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z egzekucjami - powiedział Liam. - Egzekucja to przeważnie puf!!! w tył głowy i koniec. Jak się do tego mają te wszystkie laleczki? Jaki pluton egzekucyjny zajmowałby się ćwiartowaniem ofiar i drażnieniem dziurek w kościach udowych?

Oprawcy raczej wykopaliby groby, wrzucili do nich ciała i szybko się ulotnili. Jednak nawet jeżeli rzeczywiście była to egzekucja i ojciec Johna zakopał zwłoki, nie możemy z góry założyć, że zrobił to

dobrowolnie. Może ktoś kazał mu trzymać język za zębami, grożąc, że coś podobnego przytrafi się i jemu?

Katie wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos.

- Nie wiem. Chyba będziemy musieli gdzie indziej szukać odpowiedzi na to pytanie.

- Cóż, nie przesądzajmy jeszcze niczego, jeśli chodzi o naszego Michaela Meaghera. Już ci powiedziałem, w tych zapomnianych przez Boga farmach jest coś, co przypomina mi The Texas Chain Saw Massacre. Deszcz, błoto i nikt, poza świniami i krowami, komu można by się wyzalić. Człowiekowi musi odbijać palma, jeśli może sobie porozmawiać jedynie w języku świń lub bydła.

Katie popatrzyła na zegarek.

- Dziś wieczorem nie mamy tu już nic do roboty. Spotkamy się jutro punktualnie o dziesiątej i przedyskutujemy sprawę. Tymczasem każ Patrickowi, żeby dokładnie sprawdził wszystkie zaginięcia w dystrykcie North Cork w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Powiedz mu, żeby szczególną uwagę poświęcił osobom, które zagięły wraz z większą grupą oraz wszystkim rowerzystom, autostopowiczom i pieszym wędrowcom z plecakami. Oni są najbardziej narażeni na różnego rodzaju akty agresji. Każ Jimmy'emu porozmawiać z jego przyjaciółmi, Wędrowcami... Mogą coś wiedzieć.

- A ja?

- Wiesz, o co cię poproszę. Wypij drinka z Eugene'em Ó Bearą.

- Chyba nie wierzysz, że mi coś powie?

- Jeżeli Provos maczali w tym palce, to nie. Możesz jednak przynajmniej namówić go, żeby potwierdził, że to nie oni. To zaoszczędzi mi mnóstwo czasu, nerwów, a przy okazji kilkaset funtów z policyjnego budżetu.

Kiedy Katie Maguire dotarła wreszcie do domu, była prawie dziesiąta wieczorem. Powoli przejechała przez bramę przed bungalowem w Cobh i zaparkowała mondeo obok pajero 4x4, którym jeździł Paul. Deszcz, drobny niczym szpileczki, wciąż padał z chmur sunących od zachodu. Paul nie zaciągnął zasłon, przechodząc przez podjazd, widziała go krążącego po salonie i rozmawiającego przez telefon. Kluczem zapukała w szybę, a on, pozdrawiając ją, uniósł w górę szklaneczkę z whisky. Weszła do środka i natychmiast zaatakował ją Sierżant, czarny labrador. Wesoło merdał ogonem, uderzając nim w kaloryfer niczym w bęben.

— Cześć, jak się masz? Czy tatuś wyprowadził cię już na spacer?

— Nie zdążyłem! — zawołał Paul. - Przez cały wieczór rozmawiam z Dave'em MacSweenym.

Uzgodniliśmy już szczegóły kontraktu z Youghalem.

— Biedne stworzenie. Jeszcze trochę i eksploduje mu pęcherz.

Katie zrzuciła buty, powiesiła płaszcz na wieszaku i przeszła do salonu. Z kryształowego żyrandola spływało delikatne światło. Łagodnie oświetlało meble imitujące styl regencji oraz różowe i białe poduszki wyszywane złotą nicią. Na ścianach wisiały reprodukcje w złoconych ramach, przedstawiające głównie morskie krajobrazy z jachtami zmagającymi się z wiatrem. W jednym z rogów stał telewizor sony z wielkim ekranem. Na nim ustawiony był barometr w kształcie okrętowego steru. W przeciwległym kącie znajdowała się duża miedziana waza, a w niej długie łądygi trawy preriowej o różowych kwiatach.

- W porządku, Dave - mówił Paul. - Wspaniale. Porozmawiam z tobą jutro z samego rana. W porządku. Masz na to moje słowo.

Katie otworzyła biały kredens i wyciągnęła butelkę smirnoffa z czarną nalepką. Nalała szczerze do kryształowej szklanki i zaczęła zaciągać zasłony. Podążał za nią Sierżant, z nosem

niemal przyklepionym do jej stóp.

Paul otoczył ją od tyłu rękami i pocałował w szyję.

- No, wreszcie. Jak się czujesz? Widziałem cię w wiadomościach telewizyjnych o ósmej.

Wyglądałaś cudownie. Gdybym nie był twoim mężem, zadzwoniłbym do stacji i poprosił o twój numer telefonu.

- A ja kazałabym cię aresztować za molestowanie seksualne.

Paul Maguire był krępy męczyzną zaledwie o dwa lub trzy cale wyższym od Katie. Miał puciołowatą twarz i ciemnobrązowe, kręcone włosy opadające na kołnierzyk jasnozielonej koszuli w stylu lat osiemdziesiątych, nazywany „rybką”. Jego jasnoniebieskie oczy były lekko wytrzeszczone, przez co sprawiał wrażenie, jakby wciąż chciał o coś prosić. Nie zawsze miał widoczną teraz nadwagę. Kiedy Katie wyszła za niego siedem i pół roku temu, nosił piętnastocalowy kołnierzyk, w pasie miał trzydzieści cali i regularnie grał w piłkę nożną w Glanmire Gaelic Athletic Association.

Jednak przed pięciu laty jego firma doświadczyła serii strat. Odbiło się to na psychice Paula, przede wszystkim na jego pewności siebie. Do tej pory jeszcze się nie pozbierał. Obecnie większość czasu marnował, próbując kręcić szybkie i intratne interesy - od sprzedaży używanych toyot po handel

przecenionymi materiałami budowlanymi. Stanowczo zbyt wiele długich wieczorów spędzał w pubach i jadał zbyt wiele lunchów w barach, wysłuchując namolnych męczyzn o szerokich barach, w marynarkach z Gentlemani Quarter's, którzy twierdzili, że są w stanie zaoferować mu wszystko, czego zapragnie, niemal za bezcen.

- Jadłeś coś? - zapytała Katie.

- Tosty z szynką i serem u O'Lear'ego. I paczkę orzeszków.

- Na miłość boską, to prawie tyle co nic!

- Och, nie martw się. Nie mam wielkiego apetytu.

- Wiesz dlaczego? Bo whisky zabija apetyt.

- Daj spokój, Katie. Wiesz, pod jaką presją pracuję, chcę wreszcie sfinalizować ten interes z Dave'em MacSweenym.

- Nie wymieniłabym jednym tchem nazwiska Dave'a MacSweeny'ego i kogoś przyzwoitego.

Nie rozumiem, dlaczego w ogóle się z nim zadajesz?

- Zdaje się, że facet podpadł tylko raz, i to za co? Za to, że kupił jakiś skradziony z kościoła fortepian. Do Ala Capone chyba mu jeszcze daleko, prawda?

- Mimo wszystko to krętacz.

Katie przeszła do kuchni, Sierżant wciąż pętał się u jej nóg. Paul podążył za nimi. Otworzył pojemnik na chleb i wyjął odkrojoną kromkę.

- Wciąż to samo, prawda? Ożeniłem się z jedyną kobietą detektywem nadinspektorem w całej Irlandii. A to znaczy, że zawsze i wszędzie muszę postępować jak święty.

- Nie jak święty, Paul. Ale jak przestrzegający prawa obywatel, który nie prowadzi interesów z ludźmi kradnącymi materiały z miejsc, gdzie prowadzone są roboty drogowe, albo szmuglującymi papierosy, albo też odkręcającymi koła z ciężarówek hi-q motors.

Paul patrzył na nią sfrustrowany, a Katie tymczasem ukroiła sobie gruby kawałek czerwonego cheddara. Zaczęła ćwiartować pomidory.

- Robię co w mojej mocy, Katie. Wiesz o tym. Nie jestem jednak w stanie sprawdzać referencji każdego, z kim prowadzę interesy, prawda? Pogoniliby mnie, gdybym próbował. Już i tak mam przechlapane z tego powodu, że jesteś gliną.

Katie posoliła kanapkę i podzieliła ją na cztery części.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że niektórzy robią z tobą interesy właśnie z tego powodu, że ja jestem gliną? Kto cię tknie, gwardzista czy przestępca, skoro jesteś mężem pani detektyw nadinspektor Kathleen Maguire?

Paul chciał coś odpowiedzieć, powstrzymał się jednak. Wrócił za Katie do salonu, potykając się

o Sierżanta.

- Złaż mi z drogi, głupolu.

Katie usiadła na kanapie, ugryzła kęs kanapki i sięgnąwszy po pilota, włączyła telewizor. Paul usiadł obok niej i powiedział:

- No, ale zapomnij już o Davie MacSweenym. Jak ci minął dzień? Co to za szkielety? W telewizji mówili, że jest ich blisko tuzin.

Katie miała pełne usta jedzenia, nie musiała mu jednak odpowiadać. Jak na zawołanie jej twarz na tle Meagher's Farm, źle widoczna w półmroku późnego popołudnia, pojawiła się na ekranie telewizora. „Nie możemy jeszcze powiedzieć, jak dawno temu ci ludzie zostali pogrzebani ani też w jaki sposób zginęli. Nie wykluczamy żadnej ewentualności. Możliwe, że mamy do czynienia z masową egzekucją, ale nie odrzucamy też serii zbrodni czy wreszcie naturalnych przyczyn zgonów. Przede wszystkim szczątki zostaną zbadane przez państwowego patologa. Kiedy tylko otrzymamy wskazówki co do czasu i przyczyn śmierci tych ludzi, mogą państwo być pewni, że podejmiemy szczegółowe, intensywne śledztwo”.

- No proszę - powiedziała Katie. - Teraz już wiesz tyle co ja.

- To wszystko? Nie masz żadnych dodatkowych informacji?

- Nic. Może tu chodzić o niewinną rodzinę, którą zabił tyfus i którą zakopano na farmie, ponieważ kogoś nie było stać na pogrzeb. Może też chodzić o jedenastu osobników, którzy nadepnęli na odcisk komuś z przestępczych kręgów Cork.

- Mam nadzieję, że żartujesz.

- Nie, Paul, nie mam nastroju do żartów. Jestem bardzo zmęczona. Może wyprowadzisz Sierżanta, żeby zrobił swoje? A potem pójdziemy do łóżka i wreszcie się trochę wyśpimy.

Kiedy Paul włożył płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł z Sierżantem na spacer, Katie udała się do małego pokoiku na tyłach domu, gdzie stało jej biurko i komputer. Wciąż nazywali to

pomieszczenie pokojem dziecięcym, chociaż zerwali już błękitną tapetę, a jedynym wspomnieniem po

małym Seamusie było małe kolorowe zdjęcie zrobione w dniu jego pierwszych i ostatnich urodzin.

Wyjęła z kabury niklowany rewolwer smith & wesson kaliber .38 i zamknęła go na klucz w

najwyższej szufladzie biurka. Następnie przez dłuższy czas siedziała bez ruchu, wpatrując się w swoje

szare odbicie widoczne w monitorze komputera. Kiedy była młoda, siadywała w nocy przed oknem i patrząc w szybę, wyobrażała sobie, że stoi za nią dziewczyna z baśni i przypatruje się jej w ciemności.

Czasami nawet przemawiała do swojego odbicia: „Kim jesteś, co robisz za moim oknem w środku nocy i czemu jesteś taka smutna?”

Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale dzisiejsze odkrycie w Meagher's Farm bardzo nią

wstrząsnęło... Odniosła wrażenie, że wkrótce nastąpi coś okropnego. Ostatni raz poczuła się tak, kiedy

straż przybrzeżna znalazła na plaży Carrigadda Bay zwłoki rumuńskiej kobiety w kolorowej sukni. W

ciągu następnych kilku tygodni natrafiono wzdłuż brzegu, nawet aż w Kinsale, na kolejnych

trzydzieści siedem kobiecych zwłok. Każda z kobiet zapłaciła dwa tysiące funtów za nielegalne

przetransportowanie do Irlandii, wszystkie wyrzucono z całym dobytkiem do wody kilkaset jardów od

brzegu. Żadna nie potrafiła pływać.

W nocy Paul przewrócił się na plecy i zaczął chrapać. Katie trąciła go łokciem i syknęła:

„Zamknij się, dobrze?” Poskutkowało, ale po chwili znów zachrapał, jeszcze głośniejsze. Schowała

głowę pod poduszkę i próbowała zasnąć, jednak przez cały czas słyszała wysoki, rytmiczny charkot.

Chodziła po ponurej, ciemnej rzeźni, słysząc, jak ciężkie krople krwi kapią na posadzkę. Nie

zdawała sobie sprawy, że śpi. Bardzo blisko niej piskliwym chórem zawodziły piły elektryczne.

Słyszała, jak posługujący się nimi mężczyźni pogwizdują przy pracy.

Skręciła za rogiem i znalazła się w samym centrum koszmaru. Dookoła stołów o stalowych

blatach stało pięciu lub sześciu rzeźników w długich, skórzanych fartuchach i dziwnie powyginanych płóciennych kapeluszach. Nonszalancko rozcinali świeże tusze i rozrzucali je na odrębne sterty.

Przednie kończyny na jedną, tylne na inną, głowy jeszcze gdzie indziej.

Katie ruszyła w ich kierunku, mimo że posadzka była śliska z powodu zalegających ochłapów.

Czuła, jak krew klei się do jej bosych stóp. Gdy znalazła się bardzo blisko, nagle zrozumiała, że rzeźnicy dzielą korpusy ludzkie - męskie, kobiece i dziecięce.

Przystanęła za jednym z rzeźników i uniosła dłoń, by dotknąć jego ramienia. „Przestań”, poprosiła, jednak z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Rzeźnik układał właśnie odciętą głowę, gotów do przecięcia jej na połowę.

„Przestań”, powtórzyła bardzo cicho. W tym momencie głowa otworzyła oczy i popatrzyła na nią. Zaczęła rzeźić i bełkotać, a Katie zdała sobie sprawę, że głowa chce jej wyjaśnić, co się stało w Meagher's Farm.

„Szukaj Lalkarza! Musisz szukać Lalkarza!”

„Stój! Jestem oficerem policji!” - Katie krzyknęła do rzeźnika. On jednak bez wahania wsunął odciętą głowę pod ostrze piły. Rozległ się trzask pękającej kości i twarz Katie zalała tryskająca krew.

Gwałtownie się przebudziła. Paul wciąż chrapał, a w okna sypialni uderzały krople deszczu.

Odczekała kilka minut, po czym poszła do kuchni, żeby napić się wody gazowanej ballygowan.

Popatrzyła na swoje odbicie w ciemnej okiennej szybie i napiła się prosto z butelki. Znów wpatrywała

się w nią dziewczyna z mrocznej baśni.

Musisz zrobić sobie przerwę, pomyślała. Nie mieli z Paulem chwili wytchnienia od lutego,

kiedy to wykupili tani, dziesięciodniowy pobyt w Lanzarote, przez dziewięć dni padał deszcz. A może

potrzebowała przerwy zupełnie innego rodzaju? Całkowitego oderwania się od dotychczasowego życia? Przerwy od bólu i przemocy, od wyłamywania drzwi i wdzierania się do wilgotnych

mieszkań?

Czyż nie potrzebowała spokoju, żeby wreszcie pozbyć się poczucia winy z powodu małego Seamusa?

Na razie nie potrafiła jednak odsunąć od siebie nawet obrazu jedenastu czaszek ułożonych jedna obok drugiej, rzędem, wzdłuż wykopu, w którym znajdowała się reszta kości. I nie potrafiła zapomnieć małych, szmacianych lalek dyndających na sznurku i przywiązanych do kości udowych. Jedenaścioro ludzi zasługujących na sprawiedliwość. Katie przez moment pomyślała o Bogu i poprosiła Go, aby ci ludzie, którzy przecież zmarli już dawno temu, mieli łagodną śmierć.

Środa była chłodniejsza, ale o wiele bardziej pogodna. Jadąc do miasta, Katie musiała włożyć okulary przeciwsłoneczne. Mokra droga srebrzyła się w słońcu wczesnego poranka, a Lee lśniła, jakby

jej korytem nie płynęła woda, lecz rzeka potłuczonego szkła.

Wybrała trasę wzdłuż wybrzeża i obserwowała przycumowane czerwono-białe tankowce, barki do przewożenia bydła, zauważyła nawet trzymasztowy niemiecki kliper szkoleniowy. Przed wielkim wiktoriańskim budynkiem Urzędu Celnego rzeka dzieliła się na dwie części, dlatego centrum miasta położone było na wyspie szerokiej na niecałą milę i długiej na niecałe dwie. Ze stałym lądem łączył je

ponad tuzin mostów i mostków przechodzących w wąskie, kręte uliczki i ukryte dróżki.

Budynki wzdłuż rzeki pomalowane były na zielono, pomarańczowo i niebiesko, co nadawało Cork wygląd raczej duńskiego miasteczka niż późnowiktoriańskiego miasta zbudowanego przez Anglików, jakim było w rzeczywistości.

Katie minęła ratusz i skręciła na południe, w Anglesea Street. Stał tam nowoczesny betonowy blok, w którym mieściła się centrala Gardy. Wsiadając z samochodu, zobaczyła siedem wron usadowionych na szczycie płotu z drutu kolczastego, który okalał parking na tyłach budynku. Nie poruszyły się nawet wtedy, gdy przeszła blisko nich. Ich pióra mierzwił przenikliwy poranny wiatr.

Przypomniała sobie opowieść jednej z sióstr w klasztorze Matki Boskiej w Lourdes. Kiedyś wrony były białe, jednak kiedy Noe wypuścił jedną z nich z arki, żeby poszukała lądu, ta nigdy już nie

wróciła. Dlatego Bóg usmolił jej pióra, żeby odtąd była tak czarna jak szatan.

Z automatu na końcu korytarza wzięła kubek cappuccino i dopiero wtedy ruszyła do swojego gabinetu. Przed drzwiami czekał już na nią, stojąc w kłębach papierosowego dymu, sierżant Jimmy O'Rourke.

- Dostaliśmy z samego rana e-maila z biura doktora Reidy"ego. Pojadę na lotnisko, żeby go odebrać. Przylatuje o jedenastej trzydzieści.

- Nie musisz. Sama po niego pojadę.

- Patrick położył na twoim biurku listę zaginionych. Kazałem Dockery'emu i O'Donovanowi obdzwonić wszystkie farmy dookoła posiadłości Meaghera. Ale dotarła do mnie wiadomość, która może się okazać interesująca. Wieczorem zatelefonowałem do obozowiska w Hollyhill. Jeden z Wędrowców wspomniał, że niedaleko Cork widziano Tó-masa Ó Conailla i kogoś z jego rodziny.

- Ó Conailla? Tego diabła? Myślałam, że przebywa w Donegal.

- Tak, był tam z rodziną, przynajmniej do połowy sierpnia. Nieważne, gdziekolwiek teraz jest, znajdę go.

- Dzięki, Jimmy.

Katie usiadła za biurkiem, zapisała w notesie „Tómas Ó Conaill” i trzykrotnie podkreśliła to nazwisko. Dwa lata temu aresztowała Tómasa Ó Conailla za brutalny napad na ciężarną dziewczynę w

Mallow. Uderzał dłutem i ciężko ją poranił, jednak nikt nie chciał wtedy przeciwko niemu zeznawać, nawet sama dziewczyna. Był inteligentny i miał w sobie coś charyzmatycznego, był jednak zarazem socjopatą. Wyrabiał Wędrowcom opinię, na jaką z pewnością nie zasługiwali. Posługiwał się ich żargonem i korzystał z otaczającej ich aury tajemniczości dla ukrywania swych występków i przestępstw przed wymiarem sprawiedliwości.

Tómas Ó Conaill. Jeśli w ogóle żył na świecie ktokolwiek zdolny do zamordowania i poćwiartowania jedenastu ludzi, to z pewnością on był kimś takim.

Sącząc cappuccino, Katie popatrzyła przez okno w kierunku nowego wielopiętrowego parkingu zbudowanego tuż za płotem ogradzającym tereny Gardy. Na samej górze ujrzała tuzin wron, skupionych jedna przy drugiej.

Wstała i podeszła do okna. Nigdy nie brała na serio przesądów, chociaż też nigdy nie

przechodziła pod drabiną. Jednak wrony siedzące na dachu parkingu utwierdzały ją w przekonaniu, że

wkrótce wydarzy się coś strasznego.

Znów usiadła. Na biurku obok komputera stała oprawiona w ramkę fotografia przedstawiająca ją i Paula w dniu ślubu, siedem lat temu. Nigdy dotąd nie zauważyła, że jego prawe oko zdaje się spoglądać w innym kierunku niż lewe.

O siódmej trzydzieści pięć usłyszała stukanie do otwartych drzwi gabinetu i do środka wszedł szef, nadinspektor Dermot O'Driscoll, w najlepsze zajadający tosta. Był potężnie zbudowanym, wysokim mężczyzną. Na czoło opadała mu grzywka siwych włosów, a jego różowoszara twarz przypominała barwę peklowaną wołowinę. Spomiędzy guzików koszuli wymykał się biały, owłosiony brzuch. Nadinspektor usiadł na krześle naprzeciwko Katie i odezwał się:

- No, Kathleen, jak idzie robota? Chyba zdajesz sobie sprawę, że oczy świata zwrócone są na nas.

- Tak, oglądałam pierwsze wiadomości Sky News. Jednak przed wynikami analiz doktora Reidy'ego...

- Dobra, dobra. Wiadomo, że media zawsze polują na świeże informacje. Miałem już dzisiaj dwa telefony z Dublina z żądaniem, żeby na bieżąco przekazywać raporty o postępach w śledztwie.

- Damy sobie radę bez pomocy waśniaków z Dublina -powiedziała Katie trochę ostrzejszym tonem. - Mamy odpowiednich ludzi i dysponujemy wystarczającymi środkami technicznymi. Uważam jednak, że sprawa jest skomplikowana, i nie mam zamiaru pochopnie wygłaszać jakichś teorii tylko na użytek mediów.

- Na czym stoimy?

Katie wyciągnęła teczkę, którą przekazał jej detektyw O'Sullivan.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat - zaczęła mówić - na obszarze North Cork zaginęło bez śladu

ponad sto pięćdziesiąt osób, nigdy jednak nie więcej niż trzy naraz. Trzy osoby jednocześnie zniknęły w 1997 roku w okolicach Fermoy. Nawet gdy zaginęło jedenaście osób w krótkich odstępach czasu, nie stwierdzono pomiędzy nimi żadnych powiązań ani podobieństwa pomiędzy poszczególnymi zdarzeniami. Latem 1995 roku czterdziestopięcioletni mężczyzna z Waterford zniknął nagle z mostu nad rzeką Bride, niedaleko Bridebridge. Następnego dnia z przyczepy kempingowej rodziców w Shanballymore zniknęła trzynastoletnia dziewczynka, Angielka. Tego samego dnia wieczorem do rodzinnego domu w Castletownroche nie powrócił trzydziestotrzyletni elektryk. W ciągu następnych trzech dni zaginęło jeszcze osiem osób. Razem daje to jedenaście. Osoby te nie miały jednak ze sobą nic wspólnego. Były różnej płci, różniły się wyglądem, wiekiem, stopniem zamożności, zniknęły z różnych miejsc. W ostatnich godzinach, kiedy je widziano, żadna z nich nie sprawiała wrażenia, że jest czymś zdenerwowana lub zrozpaczona.

- A może w grę wchodzi zemsta albo egzekucja?

- Za wcześnie, by o tym mówić. Może mamy do czynienia ze sprawą polityczną, a może z kryminalną. Naprawdę nie wiemy. Liam ma rozmawiać z Eugenem Ó Bearą, jednak nie liczę na jakieś rewelacje.

- A Eamonn Collins?

- Sama z nim porozmawiam jeszcze dzisiaj.

- Mówiłaś, że może też chodzić o naturalne przyczyny śmierci. Jakaś epidemia?

- Ten aspekt sprawy bada Patrick O'Sullivan. Przegląda stare kartoteki szpitalne i lekarskie dla obszarów Mallow, Fermoy i Michelstown. Jednak jedenaście osób... To zbyt dużo, aby tylu ludzi zmarło w tym samym czasie i nikt tego nie zauważył. Poza tym mamy te tajemnicze małe lalki.

- Czy masz już jakieś przypuszczenia, z czym należałoby je powiązać?

- Absolutnie żadnych. W zasadzie sugerowałyby, że mamy do czynienia z jakimś rytuałem, prawda? Jednak nikt spośród nas nie miał nigdy dotąd do czynienia z czymś podobnym.

- Jakież inne tropy?
- Jimmy rozmawia ze swoimi ludźmi wśród Wędrowców. Wszystko wskazuje na to, że w okolicy widziano Tómasa Ó Conailla.
- Ó Conailla? Tego łotra? Myślałem, że ostatnio włóczył się gdzieś na północy. Charles Manson w irlandzkim wydaniu!
- Cóż, może nie mieć z tym nic wspólnego, chcę się jednak upewnić. Ponadto potrzebuję przynajmniej dwudziestu gwardzistów, żeby przeprowadzić rozmowy ze wszystkimi ludźmi zamieszkującymi obszar Knocknadeenly. Chcę też dokładnie przeszukać całą Meagher's Farm.
- A co mam powiedzieć dziennikarzom?
- Powiedz im, że badamy sprawę.
- Wiesz co, Katie? Oni chyba czekają na coś bardziej ekscytującego.
- To nie jest rozrywka, szefie. Tu chodzi o masowe morderstwo.
- Daj spokój, Katie. Nie musisz być taka zgryźliwa. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli chcesz mieć w dziennikarzach sprzymierzeńców, musisz bezustannie podtrzymywać ich zainteresowanie naszą robotą. I ty sama przez cały czas musisz być dla nich gorącym tematem, nie zapominaj.
- Na pewno nie powiem nic o laleczkach, jeszcze nie teraz. Przynajmniej tak długo, jak długo nie będę wiedziała, jakie mają znaczenie w tej sprawie.
- Jasne. Co jednak zechcesz im ujawnić?
- Powiem, że wypróbujemy pewne nowe, tajne techniki w celu ustalenia tożsamości ofiar.
- Proszę, proszę. Dobrze, to mi się podoba. A co to za nowe, tajne techniki?
- Skąd mam wiedzieć? Przecież są tajne. Szef nadinspektor O'Driscoll potrząsnął głową.
- Jesteś wielkim detektywem, Katie. Jednym z najlepszych, jakich tutaj miałem. Musisz jednak zrozumieć, że ten zawód oprócz doskonałych umiejętności wymaga także pewnego taktu.
- Kiedy się dowiem, kto poćwiartował tych ludzi i zakopał na Meagher's Farm, szefie, wtedy

będę słodziutka nawet dla dziennikarzy.

Narada była krótka, nie wniosła nic nowego i odbyła się w kłębach papierosowego dymu.

Technicy pokazali fotografie porzucanych szkieletów, nie znaleźli jednak w ich ułożeniu żadnego klucza do rozwiązania zagadki. Jedynym pożytecznym wnioskiem, do którego doszli, było stwierdzenie, że ciała zostały rozczłonkowane po śmierci ludzi. Wniosek wynikał z faktu, że dziewięć kości udowych, przykrytych trzema klatkami piersiowymi, spoczywało na najniższym poziomie wykopu, a na nich leżały dziesiątki wymieszanych piszczeli, kości strzałkowych, łopatek oraz kości palców rąk, nóg i wreszcie czaszki.

Ktoś poodcinał nieszczęśnikom nogi chociażby po to, żeby przewiercić w nich dziurki i przywiązać do nich małe laleczki.

Detektyw sierżant Edmond O'Leary ponuro wskazał na fotografie wyświetlane rzutnikiem na ścianie.

- Nie było sposobu, żeby bez wątpliwości dopasować kości udowe do miednicy albo rzepki do kości udowych. Ale czy cokolwiek tutaj pasuje do czegokolwiek innego.

W kącie sali Liam cicho podśpiewywał: „Ktoś oderwał biodro od... uda... Ktoś oderwał udo od... kolana”.

Katie popatrzyła na niego ostro i Liam uśmiechnął się jakby z poczuciem winy, pokiwał ręką w przeproszającym geście i umilkł.

- Dopóki nie otrzymamy kompletnego raportu z medycyny sądowej, z całkowitą pewnością możemy powiedzieć tylko tyle, że wszystkie te szkielety zostały zakopane pod podłogą spiżarni w Meagher's Farm w tym samym czasie. Szczątki mogły zostać przetransportowane tam z innego miejsca. Do tej pory nie mamy żadnego dowodu na to, że ci ludzie zmarli lub zostali zabici tego samego dnia.

- Zabezpieczyliśmy jakieś odciski stóp? — zapytał Liam.

- Tylko Johna Meaghery, jego matki i robotników z farmy.

- Ślady opon?

- Land-rovera discovery Johna Meaghery, to wszystko. Aha, mamy jeszcze ślady ciężarówki, która przyjeżdża po mleko z Dawn Dairies. I ślady dziecięcego rowerka.

- Jakies ubrania, buty? - pytała Katie.

- Nie, nic.

- Nie znaleziono żadnych guzików, spinek, zamków błyskawicznych ani innych tego typu przedmiotów?

- Nie, i to jest niezwykle. Torfowa ziemia powinna je zakonserwować.

- Możemy więc szukać ubrań jako przypuszczalnej wskazówki?

- Tak, oczywiście. Także biżuterii. Sądząc po wzroście, natrafiliśmy na dorosłe osoby. Byłby to rzadki przypadek, gdyby wśród szczątków jedenastu dorosłych osób nie trafił się krzyżyk, zegarek czy ślubna obrączka.

- Musimy pójść tym tropem - powiedziała Katie do Edmonda O'Leary'ego. - Trzeba rozejrzeć się po sklepach jubilerskich w Cork. Pytaj, czy oferowano im większą liczbę ślubnych obrączek i innych osobistych drobiazgów. Lenihan przy French Church Street będzie na początek doskonałym adresem. W zeszłym roku dwukrotnie nakryliśmy Gerry'ego Lenihana na sprzedaży kradzionych pierścionków.

- W tej chwili mogę powiedzieć państwu jeszcze tylko tyle, że kości najprawdopodobniej należą do dorosłych kobiet, chociaż oczywiście uznam wnioski doktora Reidy'ego, jeśli jego zdanie w tej sprawie będzie inne.

W tej chwili do pokoju weszła gwardzistka Maureen Dennehy i podała Katie karteczkę. Katie szybko przeczytała: Eamonn Collins. Spotkanie w „Dan Lower's” o 14:30.

- Dziękuję, Maureen - powiedziała.
- Telefonował także pani mąż. Powiedział, że być może pojedzie na noc do Limerick, dlatego nie musi pani na niego czekać.
- W porządku. - Katie pokiwała głową, zastanawiając się, w co znowu Paul się pakuje.

Kiedy doktor Owen Reidy stanął w drzwiach, odpychając niecierpliwie na bok dwoje dzieci, rozmawiała z jednym z policjantów z ochrony lotniska. Doktor ubrany był w brzydki brązowy trencz, zbyt mocno przewiązany w pasie, a na głowie miał filcowy kapelusz o szerokim rondzie.

- Przez prawie dwadzieścia minut kazali nam czekać na pasie startowym w Dublinie - zaczął narzekać, po czym wcisnął torbę lekarską i wypchaną torbę podróżną młodemu gwardziście. - Co oni sobie myślą? Czy ludzie pracy muszą tracić czas tylko dlatego, że nadlatują jacyś spóźnieni wczasowicze z Florydy? A niechby krążyli nad lotniskiem, aż by im zabrakło paliwa. Potem mogliby się rozbić. I spłonąć.

Doktor Reidy miał dużą, usianą piegami twarz i gęste, rude rzęsy. Zawsze paradował w szerokim, cętkowanym krawacie. Był blisko związany z Charliem Haugheyem, kiedy ten pełnił funkcję taoiseacha, a „Irish Examiner” twierdził nawet, że to on był „piątym mężczyzną” podczas słynnej orgii panów w średnim wieku, która odbyła się w hotelu „Grafton” w Dublinie. Doktor jednak

stanowczo temu zaprzeczał. Czy jednak tego chciał, czy nie, był wielkim bossem połowy lat osiemdziesiątych, kiedy to irlandzka gospodarka szybko się rozwijała, a pewni ludzie dzięki protekcjom, ulgom podatkowym i rozmaitym przywilejom zarabiali niewyobrażalne pieniądze. Wciąż uważał, że wszędzie tam, gdzie się pojawia, powinien być darzony specjalnymi względami.

- Cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu, doktorze Reidy — powiedziała Katie, kiedy opuścili budynek terminalu.

- Ha! Miałem nadzieję, że wyjadę na dwa dni do Killarney pograć w golfa. Tymczasem wylądowałem w Cork, żeby babrać się w kościotrupach.

- Do tej pory wykopaliśmy jedenaście czaszek. Zakładamy więc, że natrafiliśmy na szczątki jedenastu osób. Ich kości są kompletnie wymieszane.

- Jednak dzięki czaszkom doliczyliście się trupów. Dobre i to.

- Na razie nikogo o nic nie podejrzewamy. Wiele się dowiemy, kiedy poznamy okoliczności śmierci tych ludzi. I czas zgonów.

- A więc jak zwykle. Czekacie, aż ja rozwiążę za was zagadkę.

- Jest pan wspaniałym patologiem, doktorze Reidy.

- A pani, moja droga, powinna być wspaniałą matką i niańczyć teraz dzieci w domu.

Kiedy zjeżdżali ze wzgórza w kierunku Kinsale Roundabout i Cork, Katie patrzyła przez okno samochodu. Na ostatnią uwagę doktora mogła zareagować bardzo różnie. Mogła zbyć go uśmiechem, skrzywić się z niechęcią albo opowiedzieć mu o pewnym chłodnym styczniowym poranku, kiedy przyszła nakarmić małego Seamusa i znalazła go martwego. Powiedziała jednak coś zupełnie innego:

- Zarezerwowaliśmy dla pana ten sam pokój co zazwyczaj, w „Arbutus Lodge”. Muszę pana jednak ostrzec... Od pańskiej ostatniej wizyty trochę się tam zmieniło. Jest nowy właściciel. I jedzenie

nie takie jak dawniej.

- Zaryzykuję, pani nadinspektor.

Wjechali do centrum i Katie wysiadła przy Anglesea Street.

- Dam pani znać o rezultatach badań natychmiast, kiedy do czegoś dojdę - powiedział doktor Reidy. - Mimo wszystko mam zamiar chociaż dwa dni pograć w golfa.

Katie bez słowa zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu i przez chwilę patrzyła jeszcze, jak auto odjeżdża, kołysząc się i podskakując na dziurawym asfalcie. Przeszła przez jezdnię i po chwili była z powrotem w budynku centrali Gardy. Szła z pochyloną głową i nie uniosła jej nawet wtedy, gdy gwardzistka Maureen Dennehy powiedziała: „Szuka pani nadinspektor O'Driscoll”.

Kiedy weszła do pubu Dana Lowery'ego na MacCurtain Street, Eamonn „Lisek” Collins już na nią czekał. Pub był mały, na ścianach wisiały lustra i butelki, reklamujące murphy's stout, a na półkach poustawiano pamiątki i wazony z zaszuszonymi kwiatami. Eamonn Collins lubił to miejsce

częściowo z powodu jego związku z teatrem (znajdowało się w pobliżu teatru „Everyman Palace”), ale

głównie dla kolorowych witraży w oknach. Witraże pochodziły z kościoła w Killarney, a ich zaletą, docenioną przez Eamonna, było to, że nikt, kto przechodził obok ulicą, nie był w stanie zobaczyć przez szyby, co się dzieje w środku.

Eamonn siedział w niewielkiej sali w takim miejscu, że mógł jednocześnie obserwować drzwi wejściowe i schody prowadzące do toalet. Miejsce naprzeciwko niego zajmował potężny, milczący mężczyzna o ogolonej głowie, odstających uszach i z wytatuowanym pytonem wystającym spod kołnierza swetra. Sam Eamonn był szczupły i elegancki. Jego włosy, starannie zaczesane do tyłu, zaczynały siwieć na czubku głowy, to wyjaśniało jego ksywę. Ubrany był w doskonale skrojony dwuczęściowy garnitur w szare cętki, czarną kamizelkę, a na nogach miał lśniące czarne oksfordki.

Katie usiadła naprzeciwko niego, celowo zasłaniając mu widok na drzwi frontowe.

- Życzysz sobie drinka? - zapytał.

Nie musieli wymieniać wstępnych uprzejmości. Jego oczy wyglądały jak dwa szare kamienie leżące na zimowej plaży.

- Wystarczy szklanka wody.

- Jerry - powiedział Eamonn, a milczący olbrzym wstał i podszedł do baru.

- Ostatnio nie przepracowujesz się - zauważyła Katie. - Pięć dni wędkowania w Sligo... Dwa tygodnie na polach golfowych Południowej Karoliny...

- Miło wiedzieć, że ktoś za mną tęskni.

- Tęsknię za tobą tak bardzo jak za złotaczką typu A.

- Jest pani bezkompromisową młodą kobietą, pani nad-inspektor. Trochę więcej tolerancji i życie byłoby piękniejsze.

- Narkotyki nie mają nic wspólnego z tolerancją i pięknym życiem.

Eamonn wzruszył ramionami.

- Zawsze twierdzę, że nieczne uczynki powinni popełniać tylko wybrańcy. Wtedy zbrodnie nie byłyby takie wstrętne. Świat przestępczy musi być czysty.

- Czy to właśnie odbyło się na Meagher's Farm? Ktoś oczyszczał świat przestępczy?

- Nie wiem, co się stało na Meagher's Farm, mówię to z przykrością. W ostatnich miesiącach w Cork było bardzo spokojnie. Właśnie dlatego pozwoliłem sobie na dwutygodniowe wakacje. Jedno mogę pani powiedzieć z całą pewnością. Ja nie mam z tym nic wspólnego, podobnie jak żadna spośród znanych mi osób.

Eamonn był jedynym znanym jej człowiekiem, który podczas rozmowy akcentował przecinki.

Wysuwał przy tym język do przodu i cicho mlaskał. Katie zawsze uważała drobiazgowość za jego najbardziej niepokojącą cechę. Prowadził jeden z najbardziej dochodowych interesów narkotykowych

w mieście i osobiście odpowiadał za brutalne zamordowanie przynajmniej pięciu ludzi. Tymczasem cała jego garderoba była szyta na miarę w Dublinie, a on sam potrafił rzucać cytatami od Yeatsa po Moore'a.

- Czy jadła już pani dzisiaj? - zapytał Katie. - Wiem, że wy, detektywi, często jesteście zbyt zajęci, żeby pamiętać o jedzeniu. A kanapki z wołowiną są tutaj wyjątkowo smaczne. Albo zupa rybna

według przepisu z Kinsale.

- Jadłam już dzisiaj lunch, dziękuję - skłamała Katie. — Chciałabym się dowiedzieć od ciebie, kto zagiął w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Chodzi mi o tych jedenaście zamordowanych osób, to mnóstwo zwłok. Jeśli to zwłoki twoich ludzi, jestem pewna, że pałasz żądzą zemsty. Jeśli nie, nie mam wątpliwości, że równie gorąco pragniesz, aby jeden z twoich konkurentów po prostu otrzymał to, co mu się należy.

- A jeśli to ja ich pozabijałem? - zapytał Eamonn. - Przecież nie powiem pani tego, prawda?

- Nie sądzę, żeby to była twoja sprawka. Ty poczynasz sobie bardziej ekstrawagancko. Kiedy

już się z kimś rozprawisz, lubisz, żeby cały świat się o tym dowiedział. Pamiętasz, jak podпалиłeś Jackyego O'Malleya na samym środku Patrick Street?

Eamonn prawie się uśmiechnął. Popił odrobinę whisky power i przez chwilę zimno patrzył na Katie sponad szklanki.

- Czy wie pani, jak ja odbieram tę masakrę? Wygląda mi to na robotę jakiejś sekty. Mogło też dojść do jakichś krwawych zatargów między kilkoma rodzinami. Na pani miejscu skoncentrowałbym poszukiwania wśród Wędrowców.

- Tomás Ó Conaill?

- Nie zdziwiłbym się. Zawsze był gwałtownym draniem, z głową nabitą różnymi nonsensami rodem z fantastycznych opowieści.

Zapadła długa cisza. W innej części pubu jakiś biznesmen wydzierał się do telefonu komórkowego. W końcu Eamonn pochylił się i końcem doskonale utrzymanego paznokcia zaczął kreślić na stole jakieś figury.

- Widzi pani, chodzi o sposób, w jaki to zrobiono. Wszystkie kości były wymieszane. W przypadku zbrodni o podłożu religijnym chodzi o to, żeby uniemożliwić umrzykowi pójście do nieba. Jeśli nie potrafisz odnaleźć swoich stóp, przejdiesz przez bramę świętego Piotra?

- Nie wiedziałam, że jesteś ekspertem w dziedzinie irlandzkich przesądów.

- Interesuję się wszystkim, co kiedyś może mi przynieść szczęście.

- Mam nadzieję, że dasz mi znać. jeśli usłyszysz o kimkolwiek, kogo szczęście opuściło na Meagher's Farm.

- Tak, oczywiście. Przecież nie od dziś uważam, że należy współpracować z Gardą.

- Obiecuję ci, Eamonn, że pewnego dnia cię dopadnę. Posłał jej radosny uśmiech.

- „Możesz zniszczyć, możesz wazon rozbić, jeśli tylko chcesz, ale zapach róż przyłgnie do twych rąk, dobrze o tym wiesz” - zacytował.

Opuściła pub, nie tknąwszy nawet szklanki wody i nie mówiąc ani słowa na pożegnanie.

Ogromny, milczący mężczyzna o ogolonej głowie towarzyszył jej aż do drzwi i otworzył je przed nią.

Doktor Reidy zatelefonował do niej z University Hospital w piątek przed południem, dokładnie o jedenastej dwadzieścia pięć.

- Dokończę raport podczas weekendu, pani nadinspektor. Sądzę jednak, że powinna pani zjawić się w laboratorium medycyny sądowej już teraz. Przekazałbym pani wstępne ustalenia, które, jak mi się wydaje, zaskoczą panią.

- Zaskoczą mnie? Dlaczego? - zapytała Katie, ale doktor zdążył już odłożyć słuchawkę.

Do szpitala zawiózł ją Liam. Dzień był szary, suchy i raczej ciepły, jednak od zachodu nadciągały nad miasto ciężkie, wiszące nisko chmury. Był to jeden z tych dni, kiedy człowiek odnosi wrażenie, że już nigdy, do końca życia, nie zobaczy słońca.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam wątpliwości - mówił Liam. - Z której strony by na to spojrzeć, Michael Meagher musiał wiedzieć, że pod jego spiżarnią pochowano ludzi. Wiem, że pani Meagher zaprzecza jego związkom z republikanami, ale całkiem możliwe, że przez większość życia nie opowiadał jej o tym, co robi.

- Eugene Ó Beara powiedział jednak, że o niczym nie ma pojęcia, prawda?

- Tak powiedział, ale to chyba żadna niespodzianka. Zaparkowali samochód przed szpitalem.

Katie przeszła przez podwójne wahadłowe drzwi i długim korytarzem zmierzała wprost do laboratorium medycyny sądowej. Na końcu korytarza w wózku inwalidzkim siedział starszy mężczyzna w płóciennej nocnej koszuli. Zmarszczył czoło na widok Katie. Szkła jego okularów, pomazane od ciągłego dotykania, były niemal nieprzezroczyste. Był podobny jak dwie krople wody do Samuela Becketta, ale gdyby powiedzieć mu: „Nic się nie dzieje, nikt nie przychodzi, nikt nie wychodzi, to okropne”, zgodziłby się, nie mając pojęcia, że to cytat z Czekając na Godota.

Doktor Reidy ubrany w zielony, plastikowy fartuch, stał w odległym kącie laboratorium.

Perłowszare światło przedzierające się przez małe szybki w oknie otaczało go aureolą. Jedenaście

stołów na kozłach ustawiono w dwóch rzędach. Każdy stół przykryty był ciemnoszarą płachtą i na każdym leżało mnóstwo kości. Każdą kość oznaczono papierową naklejką. Kiedy Katie je zobaczyła, pomyślała, że wyglądają jeszcze bardziej bezbronne, jeszcze żałośniej niż wtedy, gdy ujrzała je po raz

pierwszy na Meagher's Farm. Rodzina sierot pozbawionych ciał.

W laboratorium pracowało trzech laborantów starających się jak najdokładniej poskładać szkielety. Mieli wielką tablicę, na której wyrysowali jedenaście diagramów i notowali swoje postępy.

Doktor Reidy wydmuchał nos w dużą białą chusteczkę.

- Zidentyfikowaliśmy większość elementów składających się na te jedenaście nieszczęsnych kobiet i... Tak, wszystkie są kobietami, w różnym wieku. Dam pani listę kości, których wciąż brakuje. Proszę posłać swoich ludzi z powrotem na Meagher's Farm, żeby ich poszukali, trochę uważniej, niż to zrobili poprzednio. Dołączę na wzór rysunki każdej kości. Nie mam złudzeń, że któryś z pani ludzi potrafi odróżnić coccyx od humerus.

- Ma pan na myśli dupę i łokieć? - zapytała Katie bez uśmiechu.

- Właśnie, pani nadinspektor. Widzę, że jest pani doskonałym anatomem.

Katie podeszła do najbliższego stołu i zatrzymała się przy czaszce leżącej u szczytu starannie złożonego szkieletu.

- Chciał mnie pan czymś zaskoczyć — powiedziała.

- Właśnie. To nie będzie nieprzyjemna niespodzianka, z pewnością panią ucieszy. Wykonałem kilka wstępnych testów i mogę z absolutną pewnością stwierdzić, że żadna z tych pań nie zmarła za pani życia, ba, nawet za mojego życia. Możemy więc zapomnieć o operacji „Ślad”. Cały szpik kostny jest zgniły, uzyskam jednak dość materiału DNA do identyfikacji. Poza tym posłałem trochę próbek do Dublina. Zostanie tam przeprowadzona pełna racemizacja ami-nokwasowa i kiedy otrzymam jej wyniki, przekażę pani dokładniejsze dane o tych kobietach. Z pewnością jednak przyniesie pani ulgę

informacja, że mamy do czynienia z mordercą, który od dawna także już nie żyje.

- Jest pan pewien, że te kobiety zostały zamordowane?

- Prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent, całkowitej pewności jednak

nie mam. Oprócz otworów, wywierconych w górnych częściach kości udowych, i tych małych

laleczek, każda miała wetknięty do oczodołu niewielki przedmiot przypominający dłuto. Każda bez

wątpienia została poćwiartowana, jednak nie będę w stanie ustalić, czy ćwiartowanie rozpoczynano po

czy jeszcze przed śmiercią. Jest jeszcze coś bardzo interesującego...

- Słucham.

Doktor Reidy wziął ze stołu kość puszczelową i podał ją Katie, żeby mogła się jej dokładnie przypatrzeć.

- Co pani o tym sądzi?

- To jest kość puszczelowa.

- Oczywiście, że to kość puszczelowa, pani nadinspektor. Proszę jednak, żeby przyjrzała się jej pani okiem detektywa i powiedziała mi, co w niej jest godnego uwagi.

Katie niepewnie obracała kość w rękach.

- Nie wiem. A czego mam szukać?

Grubym, drżącym, brunatnym od nikotyny palcem doktor Reidy wskazał rzędy ukośnych nacięć na kości.

- Te uszkodzenia - mruknął. - Moim zdaniem zrobiono je bardzo ostrym nożem, takim, jakiego używają rzeź-nicy do oprawiania żeber.

- Co to znaczy?

- Znaczy to, że mięso nie odpadło od kości w wyniku naturalnego procesu. Przed zakopaniem kości dokładnie oczyszczono z wszelkiego mięsa.

Katie podniosła dłoń do ust i w milczeniu patrzyła na ludzkie szczątki porozkładane w

laboratorium. Liam włożył okulary, chcąc lepiej zobaczyć kość.

- O czym my tutaj mówimy, proszę pana? Dlaczego ktoś miałby obierać mięso z kości?

Doktor Reidy wzruszył ramionami pod plastikowym fartuchem, wyciągnął chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

- Kanibalizm? - zasugerował.

- Kanibalizm? Chryste, nie jesteśmy na Fidżi!

- Prezentuję panu wyniki badań, które uzyskałem jako patolog, inspektorze Fennessy. A wyniki są następujące: oprócz tego, że do kości udowych przymocowano szmaciane laleczki, ze wszystkich szkieletów zdjęto mięso, bez wątplenia starannie i z wysiłkiem, co sugeruje, że czynności te miały szczególny, ważny cel, prawdopodobnie związany z jakimś rytuałem, obrzędem. Kanibalizm mógł być jego częścią.

- Czy może pan powiedzieć, chociaż orientacyjnie, ile lat mają te szkielety? - zapytała Katie.

- Testy, jakie przeprowadziłem do tej pory, wskazują, chociaż zastrzegam, że nie jest to moje ostatnie słowo, iż kości mogły leżeć zakopane pod spiżarnią Meagher's Farm przez około osiemdziesiąt lat, być może trochę dłużej. Czyli zakopano je, zanim posiadłość kupił dziadek Johna Meaghery, i o wiele wcześniej, nim przejął ją Michael Meagher.

- Co z tymi laleczkami?

- Wszystkie zrobione są z płótna, związane i przywiązane jak ozdoby pogrzebowe mumii. Wkręty, gwoździe i haczyki wykonano ręcznie, przynajmniej większość z nich, pewnie z dużą dokładnością określimy ich wiek. Są skorodowane w takim stopniu, w jakim powinny być po spędzeniu w ziemi trzech czwartych wieku, a może jeszcze dłuższego czasu.

- Miał pan kiedyś do czynienia z podobnymi zabójstwami? — zapytała Katie.

Doktor Reidy potrząsnął przecząco głową.

- Nigdy. W tym, co zrobiono tym kobietom, dopatruję się elementów jakiegoś rytuału, nie mam

jednak pojęcia jakiego. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby tak dokładnie ściągnięto mięso z ludzkich kości. I nigdy nie widziałem takich laleczek. Mimo moich dwudziestu dziewięciu lat pracy w zawodzie.

- Co więc robimy?

- Moja droga, ja tego pani nie powiem. Jeśli o mnie chodzi, udaję się do Killarney pograć w golfa. A pani, jak sądzę, będzie próbowała odgadnąć, kto mógł popełnić tak specyficzną zbrodnię. I dlaczego.

Katie stała jeszcze przez chwilę obok doktora Reidy'ego, wpatrując się w jedenaście krzywo, przeraźliwie uśmiechniętych czaszek.

- Dziękuję panu - powiedziała wreszcie.

- Polecam się na przyszłość - odparł doktor Reidy, po ojcowsku kładąc dłoń na jej ramieniu. -

Życie jest bardziej interesujące, kiedy można zobaczyć coś nowego, nawet jeśli to coś sprawia, że żołądek podchodzi nam do gardła.

Tego popołudnia Katie miała jeszcze konferencję prasową na Anglesea Street. Salę konferencyjną zalewało światło reflektorów i mogące przyprawić o atak epilepsji rozbłyśki lamp aparatów fotograficznych. Uniosła dłoń do czoła, by trochę osłonić oczy przed jaskrawym blaskiem.

- Wstępne badania patologiczne wskazują, że szkielety zakopano w ziemi ponad osiemdziesiąt lat temu. Dopóki nie otrzymamy dokładniejszych informacji z Dublina, nie będziemy znali dokładnej daty śmierci tych osób. Wiemy jednak, że były to kobiety, i wszystko wskazuje na to, że padły ofiarami jakiejś rytualnej masakry.

- Czy to był rytuał celtycki? - zapytał Dermot Murphy z „Irish Examiner”, unosząc do góry długopis.

- Tego jeszcze nie wiemy. Zamierzamy jednak skonsultować się z kilkoma ekspertami w dziedzinie irlandzkiego folkloru, aby stwierdzić, czyta zbrodnia może mieć jakiś precedens związany z

religijnymi albo społecznymi zwyczajami.

- Powiedziała pani, że kości pozbawiono mięsa przy użyciu noży rzeźnickich. Czy w grę nie wchodzi kanibalizm? A może mamy do czynienia z farmerem karmiącym inwentarz ludzkim mięsem?

Czytałem o tym w jakimś horrorze.

- Dermot, w tym wypadku nie mamy do czynienia z powieścią. To wszystko wydarzyło się naprawdę.

- Co zatem wiadomo na pewno, jeśli zechce nam pani powiedzieć?

- Mogę powiedzieć, że szukamy pomocy w śledztwie, gdzie tylko się da. Apelujemy do wszystkich osób, które wiedzą coś na temat podobnych morderstw, o podzielenie się tą wiedzą z Gardą, niezależnie od tego, jak nieistotne na pierwszy rzut oka wydawałyby się ich informacje. To bardzo trudna i niecodzienna zagadka, mogę jednak państwa zapewnić, że robimy wszystko co w naszej mocy, aby ją rozwiązać.

- Czy prowadzenie wielkiego śledztwa ma jakikolwiek sens? - zapytał Gerry O'Ryan z „Irish Times”. - Jest przecież więcej niż prawdopodobne, że morderca już nie żyje, prawda?

- Jak dotąd śledztwo wciąż jest otwarte - odparła Katie. - Jutro rano spotkam się z komisarzem O'Driscollem i zadecydujemy, co robić dalej. Oczywiście, nie zamierzamy tracić pieniędzy podatników na działania, które nie mogłyby przynieść żadnych istotnych efektów.

Konferencja prasowa dobiegła końca i reflektory stacji telewizyjnych zgasły, niespodziewanie pozostawiając pomieszczenie w półmroku. Katie jeszcze przez chwilę rozmawiała z Jimem McReadym z RTE News, po czym ruszyła do swojego gabinetu.

W połowie drogi usłyszała brzęczenie drobnych monet w kieszeniach kogoś, kto najwyraźniej usiłował ją dogonić.

- Pani nadinspektor! - usłyszała. Wołał ją Hugh McGarvey, dziennikarz z Limerick, pracujący jako wolny strzelec. Miał zakrzywiony nos, był chudy i w zbyt obszernej marynarce przypominał

stracha na wróble. - A więc robi pani wszystko, żeby rozwiązać tę sprawę?

- Tak, wszystko co w mojej mocy.

- Czy będę bezczelny, jeśli zapytam, jakimi sprawami zajmuje się obecnie pani mąż?

- Co takiego? - zapytała Katie lodowatym tonem.

- Pani mąż, Paul. W czwartek wieczorem popijałem z przyjaciółmi w „Sarsfield Hotel” w

Limerick i nagle zobaczyłem pani męża. Wchodził akurat do windy w towarzystwie ciemnowłosej dziewczyny w krótkiej, niebieskiej sukience. Muszę powiedzieć, że zrobiła na mnie duże wrażenie.

Wyglądało na to, że jest z pani mężem bardzo zaprzyjaźniona.

Katie patrzyła na dziennikarza szeroko otwartymi oczyma. Przez chwilę brakowało jej tchu, a tymczasem Hugh McGarvey ciągnął:

- Od razu dodam, że Paul Maguire nie zameldował się w hotelu. Jednak biorąc pod uwagę okoliczności, to chyba nic dziwnego, prawda?

- Pomyliłeś go z kimś - powiedziała Katie. - Na przyszłość bądź bardziej uważny, Hugh. Wielu ludzi wpada w poważne kłopoty, wskazując palcem niewłaściwe osoby.

- Och, nie mam wątpliwości, że to był on.

- To nie mógł być mój mąż. Z pewnością nie nocował w „Sarsfield Hotel”.

- Chciałem się tylko upewnić, pani nadinspektor. Gdyby to była prawda, miałbym na tapecie niebywałą historyjkę.

- Posłuchaj - syknęła Katie. - Zaproszono cię tutaj na konferencję prasową w związku z poważnym przestępstwem. Nieważne, że popełniono je ponad osiemdziesiąt lat temu. To jest twoja historyjka. Ode mnie możesz się odczepić.

- Pani zawsze będzie dla mnie historyjką samą w sobie. Przynajmniej tak długo, jak długo kolejna kobieta nie dosłuży się stopnia detektywa nadinspektora.

- Wiesz co? Śmierdzi ci z ust.

- W Limerick nic się nie wydarzyło - mówił Paul. - Próbowałem kupić od Jerry'ego O'Connella materiały budowlane, to wszystko. Potem zjedliśmy razem kolację, wypiliśmy kilka drinków i poszedłem spać. Zupełnie sam.

- Jednak spędziłeś noc w „Sarsfield”? Mówiłeś mi, że nocowałeś w „Dwyer's Hotel”.

- Chciałem się tam przespać, ale nie mieli wolnych pokoi.

- W „Dwyer's” nie mieli wolnych pokoi? W „Dwyer's”? W środku tygodnia?

- Na miłość boską, Katie! Detektywem nadinspektorem jesteś poza tym domem, tutaj jesteś moją żoną! Chyba nie będziesz mnie przesłuchiwać tylko dlatego, że jakiemuś wszawemu dziennikarzowi przyszło do głowy, że widział mnie w towarzystwie nie istniejącej kobiety?

- W porządku - powiedziała Katie. - Przepraszam cię. Masz rację.

- Zawsze jest tak samo. Wpędzasz mnie w poczucie winy, mimo że nic złego nie zrobiłem.

- Powiedziałam „przepraszam”.

- Chryste - jęknął Paul. - Kocham cię i oto, co otrzymuję w zamian.

Katie nie wiedziała, czy wziąć jego protesty za dobrą monetę. Gdyby był podejrzanym w jakiejś sprawie, nie wierzyłaby w jego historyjkę ani przez chwilę. Oczywiście mogłaby zatelefonować do „Dwyer's” i sprawdzić, czy Paul mówi prawdę, mogłaby też zadzwonić do recepcjonisty „Sarsfield”, ale co by to dało? Paul był jej mężem i powinna mu ufać wcale nie dlatego, że obowiązywała ich wzajemna lojalność, ale chociażby z tego powodu, że nie była teraz w stanie stawić czoła innemu układowi. Nie chciała decydować, które płyty kompaktowe należą do niej, a które do niego. Nie chciała sprzedawać domu, ponieważ to tutaj znajdował się pokój dziecięcy Seamusa i nie potrafiła go porzucić.

Chociaż nie była w stanie wchodzić do tego pokoju, zamykać oczu i wyobrażać sobie, że wciąż czuje zapach dziecięcego pudru i spokojny oddech niemowlęcia, nie mogła też znieść myśli, że tego pokoju już w jej życiu nie będzie.

Paul łyknął whisky i powiedział:

- Hugh McGarvey namieszał ci w głowie, to wszystko.

Jest zwykłym draniem. Pewnie wciąż jest na ciebie zły za to, jak zareagowałaś na jego wycieczki o nadgodzinach w policji.

- Zapomnij o tym, Paul. Popęłnił błąd, to wszystko.

- Razem z Jerrym wypiliśmy całą butelkę whisky. Nie mógłbym tego wieczoru uwodzić żadnej babki, nawet gdybym bardzo chciał.

- Już dość, Paul.

Usiadł na różowej sofie obok Katie i delikatnie pogładził ją po policzku.

- Kocham tylko jedną kobietę, Katie. Tylko ciebie.

- Co się z tobą dzieje, Paul. Mógłbyś mi powiedzieć?

- Nic się ze mną nie dzieje, Katie. Po prostu staram się znów stanąć na nogi. Czy możesz mi dać szansę, na miłość boską?

- Przez cały czas daję ci szansę. Ale co się stało z naszym szczęściem, Paul?

Miał jej coś odpowiedzieć, ale akurat zadzwonił telefon. Katie podniosła słuchawkę i usłyszała głos Liama. Odniosła wrażenie, że rozmawia z nią, stojąc przy bardzo ruchliwym skrzyżowaniu.

- Miałem telefon od Eugene'a Ó Beary. Twierdzi, że ktoś chce z nami porozmawiać. W niedzielę o trzeciej po południu w Blackpool.

- W porządku. Nie zasugerował ci, o co chodzi?

- Nie. Był bardzo tajemniczy.

Katie odłożyła słuchawkę. Popatrzyła na Paula, a on wytrzymał jej spojrzenie. Jego wzrok nie wyrażał niczego poza buntowniczym pytaniem: no i co? A tak bardzo pragnęła, żeby tchnął w nią trochę nadziei. Chciała, żeby powiedział, że wciąż mogą się kochać, jeśli tylko spróbują. Paul jednak sięgnął jedynie po whisky, wytarzał za uszy Sierżanta i milczał.

Kiedy dwaj murarze wysadzili ją z samochodu na moście przy „Angler's Rest”, po drodze do Blarney, szare niebo jeszcze pociemniało, a na drogę zaczęły padać wielkie krople deszczu. Murarze pomachali do niej, kierowca kilkakrotnie nacisnął klakson i auto odjechało na zachód, w kierunku Dripsey. Przeszła przez jezdnię i stanęła na poboczu, unosząc kciuk.

Wiatr rozwiewał jej długie, jasne włosy wymykające się spod wełnianej czapki zrobionej na drutach. Była wysoka, miała wysportowaną sylwetkę i kalifornijską opaleniznę w kolorze miodu. Tego dnia ubrała się w granatową wiatrówkę, niebieskie dzinsy i buty Timberlanda, ulubione obuwie autostopowiczów. Miała też ze sobą wypakowany plecak.

Zwiedzanie Irlandii autostopem miało dla niej coś z magii. Planowała tę podróż przez osiemnaście miesięcy. Siadywała na werandzie domu rodziców w Santa Barbara i ślęczała nad fotografiami ginących we mgle zielonych gór, surowych plaż i malowniczych pubów o frontowych ścianach w kolorze malin, zawsze zastawionych rowerami. Większość tych obrazków ujrzała już na żywo. Stanęła na skałach na Ring of Kerry i patrzyła na pastelowo turkusowe morze, tańczyła przy celtyckiej muzyce w małych barach mających zaledwie jedną salkę, chodziła wzdłuż brzegów Shannon i Lee, brodząc po kolana w mokrej trawie.

Teraz była w drodze do zamku w Blarney, kilka mil na północny zachód od miasta Cork.

Zamierzała zrobić to, co powinien uczynić w Irlandii każdy szanujący się turysta: pocałować Kamień z Blarney.

Stała z wyciągniętą ręką dopiero od pięciu minut, gdy na poboczu zatrzymał się czarny mercedes. Kierowca nie wyłączył silnika, czekając, aż dziewczyna się zbliży. Samochód miał błyszczącą, wypolerowaną maskę, jednak jego boki i bagażnik pokryte były grubą warstwą ciemnego błota. Podbiegła do niego i otworzyła drzwi po stronie pasażera.

- Przepraszam, czy jedzie pan przez Blarney?

- Blarney? - powtórzył. - Zabiorę cię wszędzie, dokądkolwiek twoje serce sobie zażyczy.

- Muszę dostać się tylko do Blarney.

- A więc właśnie tam cię zawiozę.

Wskoczyła na miejsce obok kierowcy. W samochodzie było nieskazitelnie czysto i pachniało skórą z tapicerki.

- Mam nadzieję, że nie zboczy pan przeze mnie z drogi - powiedziała, rzucając plecak na tylne siedzenie.

- Oczywiście, że nie. To ja jestem drogą. Niespiesznie ruszyli w kierunku Blarney. Mimo że była dopiero trzecia po południu, dzień niespodziewanie stał się tak ciemny i ponury, że kierowca musiał włączyć światła. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego samochodu, a po obu stronach szosy rosły rozłożyste zielone drzewa.

- Jesteś Amerykanką? - zapytał.

- Tak, ale o irlandzkich korzeniach. Nazywam się Fiona Kelly, mieszkam w Santa Barbara w Kalifornii. Mój prapradziadek pochodził z Cork i w 1886 roku wyemigrował do Nowego Jorku.

- A zatem na nowo odkrywasz swoje pochodzenie?

- Zawsze tego pragnęłam, choć właściwie nie wiem dlaczego. Moi rodzice nigdy tutaj nie byli, a ja dwa lub trzy lata temu obejrzałam program o Irlandii w „Discovery” i, chyba pan zrozumie, w tej samej chwili, w której ujrzałam te góry i bajecznie zielone łąki...

- Tak, wiem. Mówi się, że każdy, kto pochodzi z Irlandii, powinien tu powrócić, żeby wypowiedzieć swe ostatnie słowa. In articulo vel periculo mortis. Widzisz, kiedy będziesz tutaj umierać, twojej ostatniej prośby o rozgrzeszenie będzie mógł wysłuchać w Irlandii każdy ksiądz, nawet wyrzucony z Kościoła lub odszczepieniec, nawet jeśli będziesz miała na sumieniu grzechy śmiertelne, które mogą odpuszczać tylko niektórzy duchowni ważniacy.

- Proszę, proszę. Dużo pan o tym wie. A może jest pan księdzem?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Nie jestem księdzem. Ale dużo o tym wiem, jak to ujęłaś.

Nagle rozpadał się ulewny deszcz. Kierowca zwolnił, ale chociaż wycieraczki szybko zbierały wodę z przedniej szyby, Fiona nie widziała drogi przed maską samochodu.

- Może powinniśmy przeczekać na poboczu? - zasugerowała niepewnie.

- Och, nie, nie ma takiej potrzeby. Wszystko jest w porządku. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Wyteżyła wzrok, nie była jednak w stanie wypatrzeć znaku z napisem „Blarney”.

- Muszę pocałować Kamień z Blarney. Obiecałam to tacie.

- Oczywiście. Każdy, kto przyjeżdża do Cork, musi pocałować Kamień z Blarney. Dzięki temu otrzymuje się dar wymowy.

Ulewa zaczęła w końcu słabnąć i kierowca wyłączył wycieraczki. Niespodziewanie zza chmur wyłoniło się blado-żółte słońce.

- Mówi się, że nie mamy w Irlandii klimatu, a tylko pogodę — odezwał się kierowca.

Ostro skręcił w lewo, w stromą, błotnistą drogę. Znak na poboczu wskazywał, że kieruje się ku przedszkolu w Sheehan.

- To chyba nie jest droga do Blarney? — zdziwiła się Fiona.

- Nie, to tylko skrót. Szybciej będziemy na miejscu.

- Nie, wcale nie. Nie wierzę panu. Niech pan natychmiast stanie, chcę wysiąść.

- Nie bądź śmieszna. Stąd do Blarney jest tylko pół mili.

- W takim razie przejdę te pół mili pieszo, dobrze? Chcę wysiąść.

- Chyba się nie przestraszyłaś, co?

- Nie, wcale nie. Ale chcę wysiąść. Przestało padać i resztę drogi mogę sobie przespacerować.

- Hmm... - mruknął kierowca i mocniej nacisnął pedał gazu. Mercedes skoczył do przodu, a jego tylne koła przez chwilę ślizgały się na błotnistej drodze.

- Zatrzymaj się! Natychmiast! - krzyknęła Fiona. - Chcę wysiąść!

- Przykro mi, Fiono Kelly. Nie ma takiej możliwości.

Fiona sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyciągnęła telefon komórkowy.

- Zatrzymasz się i wypuścisz mnie czy mam zatelefonować na policję?

Kierowca wyrwał jej telefon z dłoni, po czym z całej siły uderzył ją pięścią w policzek. Cios był tak silny, że dziewczyna uderzyła głową w boczną szybę.

- Mój Boże! - krzyknęła. - Przestań! Wypuść mnie! Przestań!

Tym razem kierowca gwałtownie nacisnął hamulec. Samochód przez chwilę ślizgał się, po czym stanął na poboczu. Fiona złapała za klamkę, jednak centralny zamek uniemożliwił jej otwarcie drzwi.

- Wypuść mnie! Zwariowałeś? Wypuść mnie! Kierowca uderzył ją po raz drugi, tym razem w nos, łamiąc jego chrząstkę. Fiona zaczęła krwawić. Kierowca złapał ją za ramiona i kilkakrotnie, mimo jej szaleńczych wysiłków, by się wyrwać, uderzył jej głową w boczną szybę.

- Mogłaś... mogłaś mi tego oszczędzić - mruczał, uderzając głową dziewczyny w szybę, a potem we framugę. - Mogłaś tu spokojnie siedzieć i zachowywać się jak dobra... mała... dziewczynka.

Ujął w garść jasne włosy dziewczyny, przyciągnął jej głowę do siebie, po czym ostatni raz trzasnął nią w szybę z taką siłą, że Fiona natychmiast straciła przytomność, a krew zaczęła równym strumieniem płynąć z jej nosa i ust.

Przez kilka minut siedział bez ruchu, ciężko oddychając.

- Cholera - westchnął.

Wreszcie znów uruchomił samochód, ostrożnie powrócił na drogę i kontynuował jazdę. Fiona siedziała obok niego, podskakując bezwładnie, kiedy samochód napotykał nierówności i dziury. Od czasu do czasu spoglądał na nią i ze złością potrząsał głową. Nie był przyzwyczajony do dziewcząt, które tak szybko dochodziły do wniosku, że zamierza je zabrać ze sobą. Zazwyczaj uśmiechały się aż do chwili, kiedy ich oczom ukazywały się sznury. Czasami zaś uśmiech nie znikał z ich twarzy nawet

wtedy, kiedy już były związane.

Skręcił w lewo, na strome wzgórze, po którym hulał wiatr. Rosły na nim gęste pokrzywy i naparstnice o brązowych nasionach. Na szczycie znajdowała się brama sklecona z pięciu poprzecznych desek, na których szklily się grube krople deszczu. Za bramą stała ponura chata. Jedna z jej ścian była całkowicie pokryta bluszczem. Objechał chatę, aż znalazł się w ogrodzie na tyłach i zatrzymał auto obok zapuszczonego zagonu warzyw. Tego miejsca nie można było wypatrzeć z drogi. Wysiadł z samochodu i zobaczył jakiś tuzin wron usadowionych na drutach telefonicznych nad jego głową. Klasnął w dłonie, krzyknął „precz!”, ale żadna nawet się nie poruszyła. Wszystkie siedziały zwrócone na południowy zachód, w kierunku, z którego wiał wiatr.

Otworzywszy drzwi po stronie pasażera, pociągnął Fionę w kierunku chaty. Jej buty głośno szurały na popękany beton. Wciąż była nieprzytomna, jednak już nie krwawiła. Zakrzepła krew utworzyła nad jej ustami czarne wąsy. Ułożył ją na ziemi i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

- Cholera. Cholera jasna! - powtórzył kilkakrotnie jak litanię.

Wreszcie wsunął klucz do zamka w zielonych drzwiach chaty i otworzył je, naparłszy ramieniem. Ciągnąc Fionę, wszedł z nią do środka. Przeszedł przez hol i znalazł się w ponurym, cuchnącym wilgocią saloniku. Rzucił dziewczynę na wysłużoną kanapę w kolorze przywodzącym na myśl musztardę, po czym wrócił, żeby zatrzasać frontowe drzwi i zamknąć je na klucz.

- W porządku - powiedział do siebie. Zaciągnął w salonie żółte, bawełniane zasłony. Następnie zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie jednego z foteli, po czym podciągnął rękawy koszuli. - Czy to nie mogło być miłe, co? Nie mogłaś być posłuszna? Musiałaś wszczynać bójkę?

Zegar stojący na gzymsie kominka wybił godzinę czwartą. Fiona zaczęła charczeć i niespokojnie poruszać się na kanapie. Szybko rozwiązał jej buty i zsunął je z jej stóp. Pozbawił ją także czerwonych, grubych skarpetek autostopowicza.

Znów zacharczała i spróbowała unieść rękę. Pochylił się nad nią i powiedział:

- Bądź cicho, wszystko jest w porządku. Za chwilę poczujesz się doskonale. - Rozpiął jej pasek, džinsy, i zsunął je do połowy ud. Zaskoczył go i lekko podniecił widok jej łona, nie nosiła majtek. Ściągnął jej jeszcze džinsową kurtkę i czerwony, prążkowany sweter.

- Mamo, co się dzieje? Mamo? Ja nie chcę iść do łóżka.

- Wszystko w porządku, nie martw się.

- Mamo, boli mnie głowa.

- Dobrze, już dobrze... Przyniosę ci aspirynę. Tylko leż spokojnie.

Ściągnął z niej džinsy i rzucił je w kąt pokoju. Uniósł ją do pozycji siedzącej, następnie przyklęknął przed nią i zarzucił sobie na ramię. Wstał, sapiąc z wysiłku, i ruszył z nią przez hol do sypialni. Jej bezwładne ręce uderzały go w plecy. Dziewczyna była wysoka, dobrze zbudowana i kiedy wreszcie ulokował ją na łóżku, drżał z wysiłku.

- Cholera jasna - powiedział.

Łóżko składało się tylko z metalowej ramy, nie miało materaca ani prześcieradeł. Na podłodze pod gołymi sprężynami leżały grube warstwy gazet. Kiedy przywiązywał do ramy łóżka przeguby i kostki Fiony, sprężyny trzeszczały. Na moment otworzyła oczy i wyszeptała:

- Co... co się dzieje?

Zaraz jednak dziewczyna znów przymknęła powieki i zaczęła głośno oddychać przez otwarte usta.

Wyprostował się i popatrzył na nią. Jego twarz pozbawiona była wyrazu, chociaż przez sztruksowe spodnie ścisnął sobie i masował genitalia. Po chwili poszedł do kuchni i wrócił z nożyczkami o pomarańczowym uchwycie. Przeciął jej stanik pomiędzy piersiami, następnie ramiączka, i odrzucił go.

- Mamo... - powtórzyła.

Wyciągnął rękę i pogłaskał jej czoło, dotykając też krwi, która zaschła na jej górnej wardze. Nie wiedział, dlaczego cierpienie powoduje, że dziewczęta stają się tak kuszące. Sprawiało, że stawały się bardziej kobiece i takie uległe... Niezależnie od tego, jak silna i pewna siebie wydawała się każda z nich, kiedy ją widział po raz pierwszy. „Zatrzymaj samochód i natychmiast mnie wypuść!” Było to tak beznadziejne i aroganckie żądanie, że samo wspomnienie wywoływało uśmiech na jego twarzy.

Znów poszedł do kuchni i powrócił ze zwojem cienkiego nylonowego sznura. Owinął nim udo Fiony, najwyżej jak mógł, po czym zacisnął pętlę, nogą odpychając się od ramy łóżka, by zacisk był jak najmocniejszy. Sznur wbił się w opalone ciało tak mocno, że prawie w nim zniknął. Dziewczyna zamrugła oczyma i niespodziewanie podjęła próbę oswobodzenia się.

- Och, Boże, to boli! Co ty mi robisz? Co robisz? Pochylił się i dotknął palcem jej ust.

- Nie krzycz, nikt cię nie usłyszy. Znajdujesz się wiele mil od najbliższego zamieszkanego miejsca.

- Boże, kaleczysz moją nogę, ranisz mnie!

- Obawiam się, że to konieczne. Chyba nie chciałaś wykrwawić się na śmierć, prawda?

Wodziła dookoła błędnym wzrokiem.

- O co ci chodzi? O czym mówisz? Gdzie ja jestem?

- Jesteś sama ze mną, tylko tyle musisz wiedzieć. Sama ze mną i z Morrigan.

- Posłuchaj, ty parszywcu, lepiej mnie puść. Mój ojciec jest prezesem CalForce Electronic!

- Och, CalForce Electronic? Przykro mi, ale nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Naprawdę, naprawdę, boli mnie noga!

- Wiem, moja słodka. Bardzo mi przykro. Ale, jak powiedziałem, to jest niezbędne, żebyś przetrwała.

- Czego chcesz? Co chcesz ze mną zrobić? Mój ojciec może ci zapłacić.

- Spodziewam się, że może. Jednak nie interesują mnie pieniądze. Ani trochę.
- O co ci więc chodzi? Czego chcesz? Zgwałcić mnie czy co?
- Zgwałcić cię? Oczywiście, że nie. Uważasz, że wyglądam na gwałciciela?
- Nie wiem. Ale proszę cię, zdejmij ten sznur z mojej nogi. Jest tak ciasno zawiązany...
- Wiem. Tak musi być.
- Z jakiego powodu? Co chcesz zrobić? Patrz na moją nogę, robi się niebieska!
- To bardzo dobry znak. Dowodzi, że zatrzymałem w niej krążenie krwi.
- Proszę cię - jęknęła błagalnie. - Jeśli cokolwiek mi się stanie, moi rodzice pomszczą mnie, nie szczędząc środków.
- Ale z ciebie egoistka. Obawiam się, że twoje przeznaczenie daleko odbiega od życzeń kochających rodziców. Ale nie są w stanie w nie ingerować.
- O co ci chodzi? Proszę, jeśli mnie wypuścisz, nikomu nie powiem, co tu się stało. Pojadę prosto do domu i o niczym nikomu nie wspomnę.

Pokiwał głową, niemal ze smutkiem.

- Oczywiście, że nie powiesz. Ponieważ będziesz martwa.
- Chcesz mnie zabić?
- To godny ubolewania, lecz niezbędny element rytuału.
- Proszę cię... Mam dwadzieścia dwa lata.
- Tak?

Niespodziewanie po jej policzkach potoczyły się łzy.

- Mam dwadzieścia dwa lata i właściwie niczego jeszcze nie przeżyłam. Widziałam Irlandię, i to już prawie wszystko. A mam tyle planów. Chcę być nauczycielką i uczyć małe dzieci.
- Masz chłopaka?

Fiona skinęła głową. Cicho popłakiwała.

- Ma na imię Richard. Poznałam go, kiedy miałam czternaście lat.

- Będzie za tobą tęsknił, co?

- Proszę, nie zabijaj mnie. Proszę, nie zabijaj. Zrobię dla ciebie wszystko.

- Nie zarzekaj się. Jutro nad ranem będziesz błagała, żebym cię zabił.

- Proszę.

Popatrzył na zegarek i nieznacznie pokręcił głową.

- Zostawię cię teraz na pewien czas. Na jakieś pół godziny... Widzisz, zaskoczyłaś mnie. Nie spodziewałem się, że tak szybko natrafię na kogoś odpowiedniego. Muszę zrobić trochę zakupów na kilka najbliższych dni.

- Zrobię wszystko, czego zapragniesz. Mogę zadzwonić do ojca i powiedzieć mu, żeby ci przysłał pieniądze.

- Pieniądze?

- Nie wiem... Cokolwiek zechcesz. Wszystko.

- Do zobaczenia - powiedział. - I oszczędź sobie jakichkolwiek hałasów.

Popołudnie minęło jak dziwny, nierealny sen. Fiona słyszała, jak samochód wyjeżdża przez bramę, a później do jej uszu docierało już tylko skrzeczenie wron i szept bluszczu na okiennej szybie. Przez pierwszych pięć albo dziesięć minut z furią walczyła, żeby się uwolnić, związał ją jednak tak skomplikowanymi węzłami, że spowodowała tylko jeszcze mocniejsze ich zaciśnięcie. Mimo że jej to odradzał, próbowała wołać o pomoc, wkrótce jednak stało się jasne, że mówił prawdę. Chata stała na takim odludziu, że nikt nie mógł usłyszeć jej krzyków.

Drżała z zimna i płakała nad swoim losem. Jej prawa noga przybrała kolor bladoturkusowy, niemal zupełnie straciła w niej czucie. Próbowała mówić do matki. Miała nadzieję, że matka w cudowny sposób odbierze sygnał, iż córka jest w niebezpieczeństwie, tak jak to się działo w powieściach Stephena Kinga.

Słyszała jednak tylko wrony, szum bluszczu i bicie swojego serca.

Wrócił po niecałej godzinie. Nie podszedł od razu do niej, najpierw udał się do kuchni, gdzie rzucił na stół torby z zakupami.

- Jak się czujesz? - zawołał, nie usłyszał jednak odpowiedzi. Napełnił wodą czajnik i postawił go na starym piecyku gazowym. Następnie poustawiał w kredensie puszki z pieczoną fasolą, paczki z ciastkami i zatrzasnął drzwi. Nie mógł kupować mrożonej żywności. W kącie co prawda stała lodówka, trzęsła się jednak i „kaszłała” jak zastęp chorych na odmę i panował w niej co najwyżej chłód.

Przygotował sobie kubek kawy rozpuszczalnej. Pomieszał ją łyżeczką, objając ją niemiłosiernie o ścianki naczynia. Z sypialni dobiegał cichy płacz Fiony. Na ścianie obok kuchenki wisiał pożółkły kalendarz z 1991 roku z wizerunkiem Jezusa triumfalnie wkraczającego do Jerozolimy. Siorbiąc kawę, zaczął przeglądać karty z poszczególnymi miesiącami. Jedenastego czerwca zmarł ktoś o imieniu Pat. Czternastego czerwca Pata pochowano. Requiescat in pace, Pat, pomyślał.

W końcu opróżnił kubek i ustawił go dnem do góry na suszarce. Poszedł do sypialni i włączył stojącą w kącie lampę bez klosza z bardzo mocną żarówką. Fiona drgnęła i odwróciła od niej wzrok.

- To do roboty. Przepraszam, że jest tak jasno, ale muszę widzieć, co robię.

- Proszę - załkała Fiona. - Prawie już nie czuję nogi.

- To bardzo dobrze. Naprawdę bardzo dobrze. Przynajmniej z twojego punktu widzenia.

- Chyba nie zamierzasz zrobić mi krzywdy? Popatrzył na nią, jakby w zamyśleniu.

- Zamierzam - powiedział. - Prawdopodobnie zamierzam.

- To daj mi chociaż coś, co złagodzi ból! Aspirynę, cokolwiek!

- Oczywiście. Nie jestem sadystą.

- Dlaczego więc to robisz?! — zawołała histerycznie. -Dlaczego? Jeśli nie jesteś sadystą, to dlaczego?

- Muszę dowiedzieć się pewnych rzeczy, dlatego.

- Jakich rzeczy? Nie rozumiem.

- Oprócz tego świata, istnieją jeszcze inne. Inne byty. Mroczne miejsca zamieszkałe przez ponure monstra. Muszę się dowiedzieć, czy można je tutaj wezwać. Muszę się dowiedzieć, czy któryś z rytuałów naprawdę działa.

- Dobry Boże. ale dlaczego musisz to robić ze mną? Dlaczego ja?

- Z żadnego szczególnego powodu, Fiono. Po prostu to ty stałaś na skraju drogi. Przeznaczenie. Kismet. Albo po prostu zwykły cholerny pech.

- Ale przecież mnie nie znasz. Nic o mnie nie wiesz. Jak możesz mnie zabijać?

- Gdyby nie ty, musiałyby to być ktoś inny. Ktokolwiek.

- Niech to więc będzie ktokolwiek, ale nie ja. Proszę. Nie ja! Nie chcę umierać!

Tym razem już jej nie odpowiedział. Wyszedł z pokoju i wrócił po minucie z kubkiem wody i brązową buteleczką z tabletkami aspiryny. Wysypał tabletki na dłoń i podsunął ją pod usta Fiony,

jakby karmił zwierzę, a ona wysunęła do przodu głowę i zbierała je językiem, po kilka naraz, niektóre

rozgryzając, inne łykając w całości. Przez cały czas łąkała, a po jej policzkach ciekły łzy.

- Wyobraź sobie, że wybierasz się w podróż - zaczął mówić monotonnym głosem, jakby chciał ją zahipnotyzować. - Wyobraź sobie, że będziesz podróżować nie przez nie odkryte kraje, lecz przez bezkresne połacie własnego cierpienia. Zamiast puszczy przemierzać będziesz cierniste ścieżki rozrywanych nerwów, a zamiast pokrytych śniegiem górskich szczytów ujrzysz białe iglice agonii.

Przytrzymał kubek przy jej ustach, a ona piła łapczywie, mimo że większa część wody spływała jej po podbródku.

- Zrobię wszystko - powtórzyła. - Tylko mnie puść, proszę. Zrobię wszystko, co zechcesz.

- Nie rozumiem cię, Fiono. Pragnę jedynie, żebyś spokojnie leżała i doświadczała tego, co jest ci pisane.

Może sprawiła to aspiryna, a może szok, w każdym razie Fiona nagle przestała łąkać i opuściła głowę. Wzrok, którego nie była już w stanie skupić na niczym, skierowała ku końcowi łóżka. Być może zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie go prosić, i tak ją zabije.

Na podłodze obok szafy, oklejonej tanim fornirem imitującym orzech, stał brązowy, skórzany neseser. Podniósł go, usiadł na ramie łóżka i otworzył walizeczkę. Fiona nie oderwała wzroku od skrajów łóżka nawet wtedy, gdy wyciągnął z neseseru płaską skrzyneczkę z zestawem narzędzi chirurgicznych, długi, włochaty szpagat i małą, białą laleczkę z płótna. Powbijanych w nią było mnóstwo haczyków wędkarskich, gwoździ i pinezek.

- To pradawny rytuał - powiedział. - Tak naprawdę nikt nie wie, jak daleko sięga on wstecz.

Jednak przez wieki zawsze służył temu samemu celowi. Używano go do otwierania drzwi do innego świata i wzywania zamieszkujących go potworów. Interesujące, prawda? Ludzie zawsze mieli tendencje do igrania z ogniem, do ryzykowania życia i zdrowia psychicznego, byleby tylko wskrzeszać swoje najgorsze koszmary. Przecież mogą pozwalać, żeby demony spały w spokoju. Oni

jednak przywołują je, budzą, niczym niegrzeczne dzieci drażniące złego psa.

Fiona pozostała w stanie przypominającym trans, także wtedy, gdy otworzył prostokątną skrzyneczkę z instrumentami chirurgicznymi. Zawierała dwie piły do cięcia kości, zestaw skalpeli oraz kilka noży z nierdzewnej stali. Wziął do ręki skalpel o długim ostrzu, zamknął skrzyneczkę i wstał.

- Może chciałabyś się pomodlić? - zaproponował.

Na wyznaczone na trzecią spotkanie z Eugene'em Ó Bearą Katie i Liam przybyli trochę wcześniej. Wejście do „The Crow Bar” w Blackpool stanowiły zniszczone, czerwone drzwi. Bar znajdował się po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko Murphy's Brewery. Był zatłoczony, a w sali unosiły się gęste kłęby papierosowego dymu. Cork i Kilkenny rozgrywały akurat mecz hurlinga, transmitowany przez telewizję, zatem telewizor nastawiony był na pełną głośność, podobnie zresztą jak radio nadające muzykę rozrywkową.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej drzwi pubu byłyby zamknięte pomiędzy drugą i czwartą po południu, w tak zwanych Świętych Godzinach, jednak tego lata zmieniły się przepisy, na podstawie których wydawano licencje na prowadzenie podobnych przybytków. Katie i Liam przeszli wzdłuż ciemnej lady do zakątka na tyłach sali, oddzielonego od reszty pomieszczenia drewnianą kratą. Kilka osób posłało Katie nieprzyjazne spojrzenia. Każdy mężczyzna w tym pubie wiedział, kim jest Katie. Ona z kolei rozpoznała Eoina O'Aodhira i obu braci Twohigów, których w pierwszym roku pracy jako detektyw sierżant osobiście aresztowała za kradzież samochodu. Był tu też Micky Cremen. Siedział pod ścianą, zadumany nad dużym kuflem piwa. Micky kiedyś założył własną grupę wymuszającą haracze, gdy jednak dowiedział się o tym Eamonn Collins, Micky miał szczęście, że wylądował jedynie w więzieniu, a nie w Mercy Hospital.

- Co podać? - zapytał barman Jimmy.

- Na razie nic nam nie trzeba - odparła Katie. - Czekamy na kilku przyjaciół.

- Przyjaciół, mówi pani? - powtórzył Jimmy, jakby nie mógł uwierzyć, że gwardzistka może mieć jakichkolwiek przyjaciół. A jeśli nawet tacy istnieli, to z pewnością nie należeli do grona ludzi mile widzianych w „The Crow Bar”. W pewnej chwili drzwi wejściowe się otworzyły i do środka wszedł Eugene Ó Beara w towarzystwie starszego mężczyzny. Przed nimi kroczył wielki owczarek

irlandzki. W pubie momentalnie umilkły głośne rozmowy. Wszyscy skupili się na hurlingu albo na przyciszonej konwersacji z kompanami, albo na czymkolwiek, byleby tylko nie zwracać na siebie uwagi Eugene'a Ó Beary, jego siwowłosego kompana, a także wielkiego psa.

Eugene przeszedł wzdłuż barowej lady i nie zatrzymując się, dotarł do Katie. Usiadł obok niej, a staruszek zajął miejsce u boku Liama, naprzeciwko niej. Eugene miał około trzydziestu ośmiu lat, kręcone włosy w kolorze orzechowym, powoli już siwiejące, oraz rysy twarzy przywodzące na myśl pulchne, zaczepne i kłótlive dziecko. Ubrany był w kurtkę przeciwdeszczową z kapturem w kolorze khaki. Na stole położył drogi telefon komórkowy firmy Ericsson.

Towarzyszający mu mężczyzna miał jastrzębią twarz i siwe włosy ścięte tak krótko, że Katie mogła zauważyć każdą nierówność i szramę na jego czaszce. Odniosła wrażenie, że go rozpoznaje, jednak mężczyzna nie przedstawił się, nie przedstawił go także Eugene. Miał długie, kredowobiałe paznokcie, a na palcach nosił trzy srebrne pierścionki z wygrawerowanymi celtyckimi inskrypcjami. Jego pies dał nura pod stół i położył się, wygodnie oparłszy grzbiet o nogi Katie.

- Eugene powiedział mi, że szukacie jakichś zaginionych ludzi - odezwał się starszy mężczyzna. Jego głos brzmiał tak, jakby ktoś przesuwał papierem ściernym po metalowej poręczy.

- Właśnie. Było to jednak aktualne do momentu, kiedy dowiedzieliśmy się, od jak dawna ci ludzie są martwi. Sądzę, że dotarła już do pana ta informacja. Patolodzy oceniają, że zabito ich około siedemdziesiąt pięć lat temu.

- Tak, widziałem coś na ten temat w telewizji. Ale właśnie dlatego zatelefonowałem do Eugene'a i dlatego tutaj jestem.

Katie pochyliła się ku niemu wyczekująco, jednak w tym momencie mężczyzna odchylił się, prostując się na krześle. Głośno oddychał i sprawiał wrażenie, że uważa swoją rolę w tej rozmowie za zakończoną. Katie popatrzyła na Eugene'a, potem na Liama, który gestem dał jej do zrozumienia, że facetowi trzeba po prostu zamówić coś do picia.

- Poproszę szklaneczkę beamish i podwójnego paddyego - powiedział mężczyzna. Kątem oka uchwycił gest Liama.

- Eugene? Dla ciebie guinness, prawda? - zapytała Katie.

W odpowiedzi Eugene prawie niezauważalnie zamrugał oczyma, jakby chciał powiekami odgonić nadlatującą muchę.

Nagle w pubie zapanował gwar i harmider, ponieważ gracze z Cork zdobyli gola. Starszy mężczyzna cierpliwie odczekał, aż gwar się uspokoi. Wreszcie odezwał się:

- Powiedziałem już Eugene'owi, że w ostatnich czasach nie było takich morderstw, nie zabito jedenastu kobiet, i przynajmniej nic o tym nie wiem. Jednak kiedy usłyszałem w telewizji, że zginęły prawie osiemdziesiąt lat temu, coś mi zaświtało w głowie.

Barman Jimmy postawił przed nim szklanę. Mężczyzna pociągnął mały łyk, po czym dokładnie wytarł usta.

- Za swego życia, Panie, świeć nad jego duszą, Robert, dziadek mojego wuja, opowiadał mi najdziwniejsze historie z okresu, kiedy dorastał. Powiedział mi kiedyś, że latem 1915 roku w barakach

Brytyjczyków na Military Hill ktoś podłożył bombę. Niestety, wybuchła za wcześnie, zabijając jedynie dwie kobiety, żony brytyjskich oficerów, i kolejną ciężko raniąc. Wyrwała jej obie ręce, tak mówił wuj Robert. Tydzień później z domu w Carrignava zniknęła młoda kobieta. Jeszcze później zaginęły dwie dziewczyny z Whitechurch. Do końca sierpnia było już pięć zaginionych. Oczywiście chłopcy podejrzewali, że maczali w tym palce Anglicy, mszcząc się za żony oficerów. Szósta kobieta zaginęła w Boże Narodzenie, a przed końcem stycznia przepadły trzy następne.

W lutym chłopcy przystąpili do akcji odwetowej. Na Dillon's Cross urządzili zasadzkę na ciężarówkę armii brytyjskiej i zastrzelili dwóch żołnierzy. Można o tym przeczytać w książkach.

Irlandczycy i Anglicy prowadzili wtedy zacięte, krwawe walki, a historia z kobietami jeszcze zaogniła

konflikt. Znikały jednak nadal, aż do wiosny 1916 roku, mniej więcej do wybuchu Powstania Wielkanocnego. Potem nie odnotowano już żadnego zaginięcia, jednak nie odnaleziono też żadnej zaginionej, nigdy.

- Ile ich zniknęło?

- Dokładnie jedenaście. Tyle, o ilu mówili w wiadomościach. Właśnie dlatego stwierdziłem, że powinna pani o tym wiedzieć.

- Sugeruje pan, że te dziewczyny zostały zamordowane przez Anglików?

- Daty mówią chyba same za siebie, prawda? Motyw też jest wystarczający.

- Możliwe, że ma pan rację, trudno będzie jednak cokolwiek udowodnić. Armia brytyjska raczej mi w tym nie pomoże, prawda?

- Ktoś musi wiedzieć, co się stało - wtrącił Eugene. - Jeżeli wydano oficjalny rozkaz porwania dziewcząt, musi on być odnotowany w jakichś dokumentach, nawet po tylu latach. A jeśli nawet nie było takiego rozkazu, nikt mi nie wmówi, że nie prowadzono na ten temat rozmów, nie pisano o tym.

- To są tylko domysły - stwierdził Liam. - Bardzo luźne domysły. Możemy jednak przynajmniej się dowiedzieć, kiedy naprawdę zabito te kobiety.

Katie zastanawiała się przez chwilę, czy nie wspomnieć o szmacianych laleczkach. Być może sprawiłyby, że mężczyźni coś by zaświtało w głowie. Postanowiła jednak przemilczeć tę sprawę.

Laleczki były jedynym elementem, który mógłby potwierdzić autentyczność podsuwanych jej hipotez lub dowodów.

- Raczej nie ma co liczyć, że pański wuj spisywał swoje doświadczenia i wspomnienia w jakimś pamiętniku? - rzuciła.

Staruszek pociągnął nosem.

- Nie potrafił pisać. Mój ojciec jako pierwszy w rodzinie zdobył jakieś wykształcenie, Panie, świeć nad jego duszą. Był z tego bardzo dumny. Właśnie dlatego dopilnował, żebym posiadał dar

władania językiem.

- Już wiem, kim pan jest - powiedziała Katie. - Jack Devitt, autor Krwi moich ojców.

Starzec, milcząc, uniósł szklankę w toaście.

Zostawili Eugene'a O Bearę i Jacka Devitta z ich drinkami i pomagając sobie łokciami, wydostali się z „The Crow Bar” na szarą, ale jasną ulicę. Z kominów Murphy's Brewery unosił się dym, a w powietrzu dawał się wyczuć cierpki zapach chmielu i słodu, niczym wyziewy z krematorium.

- I co o tym myślisz? - zapytał Liam, kiedy przechodzili przez jezdnię, zmierzając w kierunku mondeo Katie. - Prawdziwa historia czy też stare feniańskie brednie?

- Nie wiem. Chcę jednak, żebyś spróbował odszukać wszystko, co powie nam więcej o tych jedenastu zaginięciach. Niech Patrick przeszuka stare policyjne archiwa i sprawdzi nekrologi w gazetach. Może uda się nam poznać nazwiska tych kobiet, może dotrzemy do ich rodzin, przynajmniej niektórych. Jeśli Devitt ma rację, będziemy w stanie zidentyfikować ofiary dzięki testom DNA.

- Rozkaz, szefie.

- Chcę poznać także wszystkie akty i zapisy notarialne dotyczące Meagher's Farm, tak daleko wstecz, jak tylko się da. Chciałabym się dowiedzieć, kto był jej właścicielem w 1915 roku.

- Założę się o sporą sumkę, że był to Anglik.

Wysadziwszy Liama w centrum miasta, Katie pojechała do Monkstown, żeby spotkać się z ojcem. Monkstown leżało na zachodnim brzegu Zatoki Cork i kiedy Katie spoglądała ponad szerokimi na pół mili wodami Cobh, mogła dostrzec ciemne wiązy otaczające jej rodzinny dom po wschodniej stronie. Mżył jednak deszcz i w tej chwili trudno było dojrzeć nawet prom kursujący pomiędzy Monkstown i Cobh.

Jej ojciec miał szarozielony, wiktoriański dom stojący na wzniesieniu, z którego rozpościerał się ładny widok na port. W sypialni zawsze trzymał lornetkę, przez którą obserwował oceaniczne liniowce i statki wycieczkowe wpływające do portu i wypływające w morze. Od dnia śmierci matki Katie, czyli od lipca dwa lata wstecz, z każdą kolejną wizytą dom wydawał się jej coraz zimniejszy i bardziej zawilgocony. Dobry duch matki opuścił go chyba już na zawsze.

Ponieważ Paul pojechał wzdłuż wybrzeża do Youghal, „uporządkować pewne interesy”, Katie zatelefonowała do ojca i zaproponowała, że przyrządzi mu duszoną jagnięcinę, jedno z jego ulubionych dań i specjalność kuchni matki. Zawsze lubiła gotować, szczególnie tradycyjne irlandzkie potrawy, i gdyby nie wstąpiła do Gardy, zapewne skończyłaby w Ballymaole kurs gotowania i otworzyłaby własną restaurację. Jednak żaden spośród jej sześciu braci nie zechciał zostać gwardzistą,

a Katie czuła, że przynajmniej jedno dziecko McCarthych musi kontynuować rodzinną tradycję.

Zaparkowała samochód na drodze przed bramą i po stromych stopniach wspięła się do frontowych drzwi. Mżawka przechodziła w drobny deszcz i w ogrodzie przed domem, na wyschniętych glicyniach i dawno obumarłych daliach, lśniła woda. Na kamienistych ścieżkach pojawiła się trawa. Kiedy żyła matka, ogród zawsze utrzymany był w nienagannym stanie. Minęło sporo czasu, zanim ojciec otworzył drzwi, a kiedy to zrobił, przez moment sprawiał wrażenie, jakby nie rozpoznawał własnej córki. Był niskim mężczyzną, teraz jeszcze trochę

przygarbionym, i strasznie chudym. Pod skórą na jego czole, a także na czasami obnażanych ramionach wyraźnie widać było żyły. Tego dnia miał na sobie wyświechtany, rozpinany, beżowy sweter i znoszone laczki ze sztruksu.

- Proszę bardzo, kto przyszedł - powiedział, jakby był zdziwiony.

- Mówiłam, że cię odwiedzę, nie pamiętasz?

- Tak, mówiłaś. Czasami jednak myślę sobie, że nie przyjdiesz, nawet jeżeli mi to obiecasz.

- Tato, dlaczego dzisiaj tak pomyślałaś? Przecież zadzwoniłam do ciebie.

- Dlaczego stoisz w progu?

- Otrząsam się z deszczu i czekam, aż mnie zaprosisz do środka.

- Nie potrzebujesz zaproszenia, Katie. To jest także twój dom.

Weszła do dużego, ciemnego holu. Zapach wilgoci był silniejszy, niż kiedy odwiedziła ojca ostatnim razem, we wrześniu. Po dwóch stronach holu stały stare otomany mające podłokietniki tylko z jednej strony, a w rogu sennie tykał zegar umieszczony w posępnej, długiej skrzyni. Na wyższe piętra wiodły szerokie, kręte schody. Nigdzie nie było widać kwiatów.

Katie pocałowała ojca. Jego policzek kłuł, jakby starszy pan niestarannie się ogolił.

- Jak się masz? - zapytała. - Dobrze się odżywasz?

- Och, znasz przecież i mnie, i moje niezrównane omlety.

- Tato - westchnęła. Nie musiała mówić nic więcej. Stał w drzwiach salonu, niewyraźna sylwetka w szarym, jakby zamglonym świetle, smutny, zmęczony i wciąż nie pogodzony z utratą żony. Nic nie mogło oddać mu jej z powrotem, nawet jagnięce kotlety i ziemniaki, które Katie kupiła specjalnie dla niego w Tesco.

Postawiła torbę z zakupami na podłodze i zdjęła płaszcz. Ojciec wszedł do salonu i nalał dwa kieliszki sherry.

- Slainte - powiedział, kiedy znalazła się obok niego. - Jesteś najlepszą córką, jaką mogłem

sobie wymarzyć.

- Slainte.

Usiedli obok siebie na zielonej, obitej aksamitem wiktoriańskiej sofie. Nad kominkiem wisiał ponury obraz olejny przedstawiający ludzi wędrujących przez las. W rogach pokoju stały stoliki z różnymi drobiazgami: od szklanych przycisków do papieru po figurki z miśnieńskiej porcelany i dziwną brązową statuetkę mężczyzny z plecakiem, grającego na flecie. Kiedy Katie była małą dziewczynką, wyobrażała sobie, że statuetka przedstawia zaklętego muzykanta nawołującego dzieci, by przyszły do niego, do zaklętej krainy za górami.

- Widziałem cię w wiadomościach telewizyjnych - powiedział ojciec.

Katie zawsze uważała, że ma niebieskie oczy, teraz jednak nie było w nich widać żadnego wyraźnego koloru. Czy kiedy człowiek się starzeje, wszystko w nim blaknie, nawet kolor oczu?

- Chodzi o te szkielety w Knocknadeenly, prawda? Rzeczywiście, mówiłam o tym na konferencji prasowej.

- Chyba nie będziesz dalej prowadzić tego śledztwa, co? Nawet jeśli te kobiety naprawdę zostały zamordowane, nie ma szans, że ich oprawca wciąż znajduje się wśród żywych. A nawet jeśli żyje, to przecież nie postawisz go przed sądem.

- Jutro rano będę o tym rozmawiała z Dermotem O'Driscollem. Pewnie każe mi zamknąć sprawę.

- Ale...?

- Nie powiedziałam „ale”.

- Wiem, że nie powiedziałaś, nie zapominaj jednak, że ja także jestem detektywem. Co prawda nigdy nie dochrapałem się stopnia nadinspektora, niemniej ukończyłem Templemore z wysokimi ocenami, tak jak ty. I wciąż jeszcze potrafię się zorientować, kiedy ktoś ma „ale” na końcu języka.

- W porządku. Rzeczywiście mam pewne wątpliwości. Jedenaście kobiet stało się ofiarami

jakiegoś rytualnego mordu i chcę się dowiedzieć, o jaki chodziło rytuał. Naprawdę bardzo chcę to wiedzieć. Jeżeli się nie dowiem, cóż... będę się czuła, jakbym je wszystkie opuściła, jakby umarły i nikt się o nie nie upomniał.

Ojciec dokończył sherry i odstawił kieliszek.

- Ludzie zabijają innych z najbardziej niepojętych powodów. Kiedyś aresztowałem w

Watergrasshill farmera za to, że komuś odciął głowę kosą. Pach! Zrobił to jednym ruchem. Twierdził potem, że zamordowany próbował rzucić na niego urok.

- Tutaj chodzi o jedenaście kobiet, tato.

- Cóż, sam nie wiem, co o tym sądzić. Musisz pamiętać, że Irlandia z 1915 roku ma niewiele

wspólnego z Irlandią, jaką znasz teraz. Czasy były wówczas zupełnie inne. Panowała straszliwa bieda,

ucisk. Ludzie nie byli wykształceni, zabobony były więc na porządku dziennym. Kto wie, dlaczego ktoś zamordował jedenaście kobiet?

- Ja chciałabym wiedzieć. Ojciec potrząsnął głową.

- Na twoim miejscu zostawiłbym to dochodzenie archiwistom i archeologom.

- Tam było coś jeszcze, tato. Coś. o czym ani słowem nie wspomniałam dziennikarzom. Musisz mi obiecać, że zachowasz to w sekrecie.

- Skądże znowu! Zaraz zadzwonię do ludzi z „Echa”.

- Każda kość udowa, którą wykopaliśmy, była przewiercona w tej grubszej części, którą łączy się z miednicą. Przez każdą dziurkę przeciągnięty był sznurek, na którym ktoś zawiesił małą, szmacianą laleczkę.

- Szmacianą laleczkę? Coś niezwykłego! Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co to za laleczki?

- Wykonane z pasków starego płótna, wysokie na cztery do pięciu cali, podziurawione haczykami, śrubkami i pordzewiałymi pinezkami. Bardziej przywodzą na myśl afrykańskie fetysze niż

cokolwiek, co można by zobaczyć w Irlandii.

Ojciec Katie zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

- Nigdy dotąd z czymś takim się nie spotkałem. W Irlandii można było natknąć się na różne rytuały, szczególnie kiedy drogi były kiepskie, zwłaszcza wśród Wędrowców. Teraz jednak jedynym rytuałem jest telewizja i totolotek. Cóż, zapewne masz do czynienia z czymś, co „umarło śmiercią naturalną” wiele lat temu i czego nikt już nie pamięta. Radzę ci, zostaw to w spokoju. Albo przekaz komuś, kto lubi się grzebać w przeszłości. Na przykład jakiemuś emerytowanemu inspektorowi, sam mogę podać ci kilka nazwisk. Uwierz mi, nie wpłynie to dobrze na twoją karierę, jeśli zaczniesz robić

wrażenie owładniętej obsesją jakiejś mrocznej historii sprzed osiemdziesięciu lat.

- Może zacznę już gotować - powiedziała Katie. Wstała i poszła do dużej, staroświeckiej kuchni z sosnowymi szafami i posadzką wyłożoną zielonymi i kremowymi kafelkami. Ojciec ruszył za nią i usiadł na drewnianym krześle przy oknie.

- A co u ciebie w domu? - zapytał.

- Chodzi ci o mnie i Paula? - przepłukała kotlety jagnięce i zaczęła je osuszać. — Właściwie sama nie wiem. Odnoszę wrażenie, że ostatnio nie jesteśmy sobie zbyt bliscy. Czasami wydaje mi się, że mówimy różnymi językami.

Ojciec popatrzył na nią przymrużonymi oczyma. Katie tymczasem zaczęła drobno kroić cebulę na grubej, sosnowej desce kuchennej.

- Cierpisz - powiedział.

- Cierpię?

- Nie oszukasz mnie, Katie. Z całej siódemki moich dzieci zawsze byłaś najbardziej skryta, nigdy jednak nie byłaś w stanie ukryć przede mną, że coś cię gnębi.

- Nie cierpię, tato. Chciałabym po prostu wiedzieć, na czym stoję.

- A nie pomyślałaś o kolejnym dziecku?

- Nie, tato, ani przez chwilę. Nie zastąpię Seamusa. Poza tym, nawet jeśli jeszcze kiedykolwiek będę miała dziecko, cóż... będę szczerą... Nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby jego ojcem był Paul.

Ojciec Katie zrobił zdziwioną minę.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, kochanie. Zawsze sądziłem, że będziesz najlepszą z matek.

- A tymczasem praktycznie zamordowałam własnego syna! Pocałowałam go w usta, zanim położyłam go spać. Lekarz powiedział, że można zabić dziecko, całując je w usta.

Ojciec wstał, podszedł do niej, po czym bez słowa otoczył córkę ramieniem i przycisnął do siebie.

- Katie - wyszeptał. - Katie, córeczko.

Tulił ją tak długo, dopóki nie zaczął się przypalać tłuszcz na patelni.

Niespodziewanie zbudził Fionę najbardziej przeszywający ból, jakiego w życiu doświadczyła.

Odnosiła wrażenie, jakby jej prawe udo ktoś położył na rozgrzanym do czerwoności piecu.

Otworzyła

usta i spróbowała krzyknąć, ból był jednak tak straszliwy, że nie potrafiła nawet złapać oddechu i

zamiast krzyku z jej gardła wydobyło się jedynie zdławione gulgotanie.

Och, Boże, nie zniosę tego! Nie zniosę, pomyślała.

Próbowała poruszyć nogą, ale nie dała rady. Zaczęła szarpać dłońmi za sznurki, którymi jej

nadgarstki przywiązane były do ramy łóżka, rzucać głową z boku na bok, nie była jednak w stanie się

uwolnić. I nic nie wskazywało na to, że zbliża się zbawcza pomoc, że nadchodzi cokolwiek, co szybko

ukołoby przeraźliwy ból, który ogarniał jej udo.

Znów spróbowała krzyknąć i ponownie zdołała wydobyć z gardła piskliwy charkot. Powtórzyła go kilkakrotnie.

Drzwi do sypialni otworzyły się z głośnym trzaskiem. Mężczyzna stał przez chwilę w progu,

uśmiechając się do niej, po czym zrobił kilka kroków i stanął przy łóżku.

- Mówiłem, że to będzie bolało. Teraz mi wierzysz?

Wpatrywała się w niego, jej klatka piersiowa gwałtownie się unosiła i opadała w konwulsyjnym oddechu. Otwierała i zamykała usta, jednak ból nie pozwalał jej wypowiedzieć ani słowa.

- To zaskakujące, prawda? Ile fizycznego bólu potrafi znieść ludzka istota... Ktoś by pomyślał,

że mózg po prostu zamknie się, kiedy ból osiągnie pewien poziom, aby chronić człowieka przed

większym cierpieniem. Tymczasem wcale tak się nie dzieje, co osobiście możesz poświadczyć.

Mózg

człowieka pozwala mu na doświadczanie niemal niewyobraźalnego bólu przedłużającej się agonii.

Umilkł i oblizał wargi, jakby chciał posmakować swoje uczucia.

- Mój ojciec umarł na raka żołądka, wiesz? Mówił mi, że czasami cierpi tak bardzo, iż ból zdaje mu się niemal piękny. Jakby otwierał się w samym środku jego duszy wielki, szkarłatny kwiat, płatek po płatku.

Fiona kilkakrotnie przełknęła ślinę.

- Proszę - wystękała.

- O co prosisz? Żeby cię wypuścić? Dał więcej aspiryny? A może chcesz, żebym cię zabił?

- Proszę...

- Przykro mi, ale nic nie mogę dla ciebie zrobić. Jak by ci to powiedzieć? Mam związane ręce, podobnie jak ty. Muszę przeprowadzić rytuał, ściśle według tradycji. Gdybym tego nie zrobił, jeden Bóg wie, co by się stało. Widzisz, czasami to wszystko jest bardzo wyzywające, kiedy jednak się rozpocznie, należy zrobić wszystko, aby utrzymać wydarzenia pod kontrolą.

Fiona wpatrywała się w niego bez przerwy, jakby tym sposobem mogła go zmusić, by ją wypuścić albo żeby przynajmniej podał jej coś na uśmierzenie bólu. On jednak tylko odgarnął ze spoconego czoła kosmyk włosów i uśmiechnął się.

- Byłaś wspaniała - powiedział. - To świetnie, że jesteś tak dobrze zbudowana. Dobrze zbudowana i piękna. Nie mógłbym marzyć o kimś lepszym.

Obszedł łóżko i uważnie obejrzał jej prawą nogę.

- Oglądałaś już ją? Jest niesamowita. Jak na lekcji anatomii.

- Co? - powiedziała głuchym głosem. Czowała, że w każdej chwili może ponownie zapaść w stan nieświadomości. Ból był teraz tak straszliwy, że wprost nie wierzyła, iż to właśnie ona go doświadcza.

To musi być jakaś inna okropnie cierpiąca Fiona.

- Popatrz - szepnął. Pochylił się nad nią i uniósł jej głowę tak, żeby mogła zobaczyć własną nogę. Mimo bólu poczuła zapach lawendowego dezodorantu, którym spryskał się pod pachami. - Popatrz. Co o tym sądzisz? To nadzwyczajne, prawda?

W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, na co patrzy. Jej lewa noga była zupełnie normalna, opalona i doskonale ukształtowana przez regularny jogging i pływanie. Jednak tam, gdzie powinna się znajdować jej prawa noga, leżała tylko długa, biała kość udowa, goła rzepka, dwie wąskie kości piszczelowe, kostka i szkielet stopy. Wszystkie kości były całkowicie obrane z mięsa, pozostało tylko kilka czerwonych pasemek i cienkie, białe ścięgna, które oprawca musiał pozostawić, żeby kości nadal

pozostawały złączone. Gazety pod łóżkiem przesiąknięte były krwią.

Fiona popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Co ty mi zrobiłeś? - jęknęła. - Co ty mi zrobiłeś?

— Zacząłem przygotowywać cię na wprowadzenie - odparł, z powrotem układając jej głowę na sprężynach.

— Draniu, co ty mi zrobiłeś?

— Cii... bądź cicho - powiedział, unosząc rękę. - Nie trać sił, podczas tej próby będziesz ich jeszcze wiele potrzebowała.

— Co? Chyba nie chcesz...?

- To wymaga czasu, uwagi, wszystko musi zostać wykonane dokładnie według rytuału.

- Powiedz, co chcesz ze mną zrobić? Powiedz mi!

- Zamierzam przygotować cię jako ofiarę dla największej tajemnej siły, jaka kiedykolwiek istniała. Kiedykolwiek.

- To ci nie ujdzie na sucho. Mój ojciec cię znajdzie, a kiedy to się stanie, przysięgam na Boga, zabije cię gołymi rękami.

Roześmiał się.

- Twój ojciec nigdy się nie dowie, kto ci to zrobił, przenigdy. Nawet na łożu śmierci będzie się zastanawiał, kto to był. I będzie żałował, że kiedykolwiek zgodził się na twoją samotną podróż do Irlandii. Jego tortury będą o wiele gorsze niż twoje.

- Och, Boże - jęknęła Fiona. Niespodziewanie ogarnęła ją kolejna fala bólu. Zaczęła tracić kontakt z rzeczywistością. Jej głowa opadła bezwładnie na sprężyny, a twarz stała się biała jak wosk. Obserwował ją przez chwilę, po czym przeszedł do salonu. Ściągnął z kanapy narzutę w mustardowym kolorze, po czym powrócił do sypialni i okrył nią Fionę, aby było jej ciepło. W końcu nie mógł pozwolić, żeby mu umarła.

Komisarz O'Driscoll popatrzył znad biurka i powiedział: - Ach, Katie. - Wziął z biurka zieloną tekturową teczkę i podał ją gwardzistce. - Chciałbym, żebyś się zajęła śledztwem w sprawie Flyna. Sierżant Ahern kręci się dookoła własnego dupska i w końcu wpadnie w nie głową, znikając na zawsze, tym samym powtórzy wyczyn Charliego Flyna.

Charlie Flynn był znanym biznesmenem z Cork. Zaginął w pierwszym tygodniu października.

Jego samochód znaleziono przy drodze w okolicach Midleton, mniej więcej dziesięć mil na wschód od

miasta, jednak po samym Charliem wszelki ślad zginął. Na miejscu nie było śladów stóp, krwi, dosłownie niczego. Był szwagrem lorda burmistrza, dlatego ratusz naciskał komisarza O'Driscolla, żeby wyjaśnił, co się stało.

- A co z naszymi jedenastoma szkieletami? - zapytała Katie, otwierając teczkę i szybko przerzucając czarno-białe fotografie. W różnych ujęciach przedstawiały pustego, czarnego mercedesa z otwartymi drzwiami.

Chodzi ci o sprawę Meagher's Farm? Chyba ją zamkniemy, oczywiście nie definitywnie, ale pozostawimy ją na boku. Pomyślałem sobie, że wszystkie informacje możemy przekazać profesorowi Gerardowi O'Brienowi z uniwersytetu. To nasz człowiek, poza tym zna się na folklorze.

- Ale to, co się stało w Meagher's Farm, to raczej nie jest folklor, sir. Zamordowano jednaście kobiet.

- Tak, tak, oczywiście. Jednak jaki jest sens ścigać mordercę, który prawie na pewno nie żyje?

Nie martw się, Katie, nawet jeśli morderca nie odpowiedział za zbrodnię przed ziemskim sądem, i tak

stanie przed Bogiem. Nic więcej w tej sprawie nie możemy zrobić.

- Poproszę tylko o dwa, trzy dni, sir. Sposób, w jaki zabito te kobiety... był tak niezwykły, że uważam, iż musimy się dowiedzieć, co się naprawdę stało.

Dermot O'Driscoll potrząsnął głową tak energicznie, że aż zatrzęsała się skóra na jego policzkach.

- Przykro mi, Katie, ale to niemożliwe. Poza sprawą Flynna chciałbym, żebyś pojechała do Południowego Szpitala i jeszcze raz porozmawiała z Mary Leahy. Detektyw Dockery był u niej wczoraj wieczorem i odniósł wrażenie, że gotowa jest powiedzieć nam, kto zastrzelił jej Kennyego. Katie wyduła wargi, wiedziała jednak, że sprzeciw nie ma sensu.

- Dobrze - powiedziała. - Niech mi pan jednak pozwoli osobiście zawieźć teczkę z materiałami z Meagher do profesora O'Briena.

- Oczywiście, nic nie stoi temu na przeszkodzie. Postaraj się jednak jak najszybciej ruszyć w sprawie Flynna, bo jeśli nie zrobimy w niej postępów, to ktoś nam z ochotą za to przyłoży. Wychodząc, Katie natknęła się na sierżanta O'Rourke.

- Myślę, że mam coś dla pani, pani nadinspektor. Fotokopie „Cork Examiner” od lata 1915 do wiosny 1916 roku.

- Chodźmy do mojego gabinetu - powiedziała Katie. Rozłożyła fotokopie na biurku i włożyła wąskie okulary do czytania w metalowej oprawce. Jimmy zakreślił już markerem dziesięć tekstów: „Tajemnicze zniknięcie kobiety z Rathcormac”, „Po trzech tygodniach nie ma śladu dziewczyny z Whitechurch”, „Przed dziewięcioma dniami zniknęła pani Mary O'Donovan” i tym podobne. Był także komentarz redakcyjny, w którym wydawca pisał o „wielkim zaniepokojeniu lokalnej społeczności tajemniczym zniknięciem siedmiu młodych kobiet o nieposzlakowanej opinii i nieskazitelnym charakterze. Wahamy się przed wskazywaniem kogokolwiek palcem, nie mając żadnych dowodów, w końcu nie znaleziono zwłok ani jednej z nich, pragniemy jednak przypomnieć naszym czytelnikom słowa Byrona, który napisał, że »Człowiek pałający żądzą zemsty rany swe trzyma otwarte«.

- Co ten dziennikarz chciał zasugerować? - zapytała Katie. - Że kobiety zostały porwane w

odwecie?

- Na to wygląda. Nie napisał jednak, kogo o to podejrzewa.

- Tak też zachowywał się Jack Devitt. Może ten dziennikarz doskonale wiedział, kto porwał kobiety, nie mógł jednak mówić o tym otwarcie, obawiając się oskarżenia o zniesławienie albo czegoś

jeszcze gorszego?

- Nie widzę możliwości, żebyśmy teraz doszli, o kogo chodziło. Nie po osiemdziesięciu latach.

- No cóż, może profesor O'Brien znajdzie coś użytecznego dla nas? Szef nadinspektor zamknął sprawę i wszystkie materiały przekazujemy właśnie profesorowi.

- Naprawdę? A więc nie będziesz chciała rozmawiać z Tómasem Ó Conaillem?

- Znalazłeś Ó Conailla? Gdzie?

- Wczoraj wieczorem dostałem cynk, że razem z rodziną zaparkował winnebago i trzy wozy kempingowe na opuszczonej farmie przed Tower, przy drodze do Blarney.

- Cóż... Nie, w tej sytuacji chyba nie muszę z nim rozmawiać. Wyświadczyć mi jednak przysługę, Jimmy, i uważnie go obserwuj, dobrze?

- Och, tak. Uprzedziłem o nim facetów z posterunku w Blarney, żeby wiedzieli, gdzie szukać narzędzi drogowych, które dostaną nóg, znikających walców do asfaltu i innych rzeczy, którym nagle przyjdzie ochota pospacerować.

Ranek był tak słoneczny, że profesor O'Brien zasugerował spacer przez Lee Fields, wzdłuż rzeki. Po zachodniej stronie miasta Lee była o wiele czystsza, płynęła tam szeroko, tocząc szkliste wody. Na przeciwnym brzegu, na wysokim wzgórzu wyrastały szare wiktoriańskie iglice Szpitala Matki Boskiej, był to budynek o najdłuższym w Europie frontonie, stanowiłby wspaniały „wybieg” dla lunatyka.

W ogrodach biegały i krzyczały dzieci, a lekki wiaterek poruszał gałęziami lśniących w słońcu wierzb.

- Krótki spacer dobrze mi zrobi - powiedział profesor O'Brien. - Ostatnio całe dni spędzam przed ekranem komputera.

Był dość młody, miał 34 albo 35 lat. Łysiał na czubku głowy, a włosy starannie zaczesywał w taki sposób, by to ukryć. Był niski, a z rękawów jego zielonej marynarki wystawały różowe dłonie, niczym świńskie nóżki.

Po chwili milczenia Katie odezwała się:

- Gerardzie, chciałabym, żebyś potraktował to bardziej jako energiczne śledztwo policyjne niż jako typowo akademickie rozważania. Mogło sobie minąć osiemdziesiąt lat od dnia, kiedy te kobiety zostały zabite, jednak to były realne, prawdziwe osoby, zamordowane dla jakiejś konkretnej przyczyny.

- Naprawdę uważasz, że miało to coś wspólnego z brytyjską armią, z jej zemstą?

- To jedna z możliwości. W końcu Brytyjczycy spalili z zemsty prawie całe centrum Cork. Nie podobają mi się jednak te laleczki, odbierają sens całej sprawie.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że kiedyś się z czymś takim zetknąłem. Jakoś nie potrafię ich skojarzyć z żadną konkretną kulturą lub z określonym okresem historycznym. Zanim nawrócono nas na chrześcijaństwo, mieliśmy dziesiątki różnych bogów i najdziwniejsze obrządku ku ich czci. Jednak nigdy nie spotkałem się ze wzmiankami na temat ofiar z ludzi, ćwiartowania ich, a przede wszystkim nigdy nie słyszałem o tych dziwacznych laleczkach.

Podniósł do oczu plastikową torebkę i jeszcze raz uważnie przyjrzał się szmacianej lalce.

Koncentrując się, śmiesznie marszczył nos.

- Można tu chyba zauważyć pewne podobieństwo do małych postaci z bawełnianych skrawków, które ludzie wieszali nad drzwiami wejściowymi, kiedy w domu chorowały dzieci. Robili tak, żeby Królowa Śmierci Badb zabrała ze sobą właśnie tę figurkę, a nie chorego. Jednak takie kukielki sztyto z resztek ubrań chorego dziecka i wypychano je obciętymi paznokciami i końcówkami jego włosów.

Kiedy Królowa Badd, znęcona zapachem chorego, przybywała w ciemności, przez pomyłkę zabierała właśnie figurkę.

- Nie było w nich haczyków, pinezek ani śrubek? Doktor O'Brien potrząsnął głową.

- To wygląda bardziej na rytuał voodoo, prawda? W siedemnastowiecznej Danii były czarownice, które wbijały magiczne gwoździe w podobizny głów swoich ofiar, wywołując u nich ostre bóle. Istnieją dowody na to, że duńscy żeglarze mogli przenieść tę praktykę do Cork.

Katie zatrzymała się i popatrzyła na rzekę. Na wodzie unosiły się trzy płynące pod prąd

łabędzie, niemal niewidoczne w oślepiającym blasku słońca odbijającego się od tafli wody. Trzy białe

litery „S”.

- Będę wdzięczna, jeśli na bieżąco zechcesz informować mnie o swoich ewentualnych odkryciach - odezwała się. - Jeśli potrzebujesz jakiegokolwiek pomocy... na przykład samochodu, by wybrać się na rekonesans do Meagher's Farm, czegokolwiek, po prostu mi powiedz.

- Oczywiście. To jedna z najbardziej interesujących spraw, z jakimi ostatnio się zetknąłem. Nawet ekscytująca.

- A zatem - powiedziała Katie i wyciągnęła rękę do pożegnalnego uścisku.

Wiatr rozwiał długi kosmyk włosów starannie ułożony na czubku głowy profesora O'Briena.

- Jeszcze jedno...

- Tak? - zdziwiła się Katie.

- Kiedy przebrnę przez tę teczkę i sprawdzę kilka rzeczy. .. Czy moglibyśmy omówić to przy kolacji?

- Przy kolacji?

Posłał jej nieśmiały, chłopięcy uśmiech.

- To chyba przyjemnie łączyć interesy z przyjemnościami, prawda? Byłaś kiedyś w tej hiszpańskiej restauracji przy Oliver Plunkett Street?

Uścisnęła jego małą rączkę.

- Zobaczymy, jak się sprawy potoczą, dobrze?

- Oczywiście.

Poszła w kierunku parkingu, a profesor został nad rzeką i patrzył za nią. Odwróciła się tylko raz i pomachała mu usztywnioną ręką, niczym semaforem. Kiedy otwierała samochód, czuła, że brakuje jej tchu, choć zupełnie nie wiedziała dlaczego.

- Święta Matko Boska - powiedziała do swojego odbicia we wstecznym lusterku. - Chyba mu się podobaś, co?

Kiedy otworzył drzwi sypialni i zapalił lampę, Fiona spała niespokojnym snem.

Zbliżając się do łóżka, nie powiedział ani słowa, tylko patrzył na jej twarz. Wciąż odczuwała zbyt wielki ból, chociaż w ciągu dnia zdołała się do niego przyzwyczaić, podobnie jak każdy człowiek

potrafi się przyzwyczaić do wszystkiego: hałasu ulicznego, głośnej muzyki rockowej czy bezustannego warkotu klimatyzacji.

- Jesteś gotowa do następnej przygody?

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Po prostu rób swoje i niech to się jak najszybciej skończy.

- Wcale tak nie myślisz.

- Chyba nie mam wyboru, prawda? I tak zrobisz, co zechcesz.

- W tym wypadku masz rację.

Otworzył walizeczkę z instrumentami chirurgicznymi.

- Mieliśmy dzisiaj ładny dzień, prawda? Kiedy jechałem do Blarney, świeciło słońce i było tak przyjemnie ciepło...

- Nie zauważyłam.

- To twoje ostatnie dni, Fiono. Powinnaś się nimi nacieszyć.

Zaczęła płakać, chociaż już wcale się nad sobą nie litowała. Dotarło do niej, że porwana została przypadkowo i że gdyby to nie ona zносиła te cierpienia, spotkałoby to inną dziewczynę. A przecież bólu, który przeżywała, nie życzyłaby nikomu. Skrajne cierpienie potrafi skłonić umysł i ciało do najwyższych poświęceń.

Nylonową żyłką obwiązał jej lewą nogę, tuż nad udem, po czym zacisnął ją z taką siłą, że aż stęknął z wysiłku.

- Nie niszc mi drugiej nogi - powiedziała bez przekonania.

Pokiwał głową.

- Przykro mi, ale tak musi być. Prawa noga, lewa noga.

- Ale dlaczego? Dlaczego to robisz? Czy nie możesz mnie po prostu zabić?

- Mógłbym. Skalpel, tętnica szyjna, poszłoby to bardzo szybko. Rytuał jest jednak rytuałem.

Jeśli nie przestrzegałbym wszystkich jego zasad, cała praca poszłaby na marne, a przecież zmartwiłabyś się, gdyby się okazało, że przeszłaś przez to wszystko niepotrzebnie, prawda? Umrzeć w

taki sposób jak ty, to straszne, ale umrzeć tak zupełnie bez celu? Oby tak się nie stało.

- Która godzina? - zapytała.

- Druga trzydzieści nad ranem.

- Muszę się napić wody.

- W porządku. Zaraz ci przyniosę.

Poszedł do kuchni i wrócił po chwili z kubkiem ciepłej, cuchnącej torfem wody. Wypiła ją, trochę rozlewając na brodę.

- Czy mnie nienawidzisz? - zapytała. To niewiarygodne, ale się zaczerwienił.

- Wcale cię nie nienawidzę. Uważam, że jesteś bardzo... bardzo... nadzwyczajna.

- Popatrz więc, co ze mną zrobiłeś.

- Wiem. Wiem o tym. I to dlatego jesteś taka nadzwyczajna. Nie dowiesz się tego z książek historycznych, to znaczy tego, że każda ludzka ofiara była czującą i myślącą osobą, że miała ojca i matkę i różne pomysły. To właśnie czyni ofiarę z człowieka tak cenną. Dlatego ma ona tak wielkie znaczenie. Możesz położyć na ołtarzu martwego kozła, ale co taki kozioł wie? Za to ofiara z człowieka... szczególnie taka ofiara... to jest właśnie to, co wywołuje demony. Właśnie to powoduje zamieszanie w piekle.

Wyciągnął z walizeczki z instrumentami jeden ze skalpeli.

- Czy wiesz, Fiono Kelly, że właśnie teraz mamy jedną z najlepszych chwil na wywoływanie

demonów? To trzecia godzina dnia, kiedy anioły śmierci lecą z trzepotem skrzydeł przez ciemność, żeby zaciskać szpony na słabych sercach starszych ludzi albo na twarzach śpiących dzieci...

Fiona próbowała go nie słuchać i nie patrzeć na to, co robi. Postanowiła myśleć o matce siedzącej na werandzie w białym, bujanym fotelu, szyjącej coś, uśmiechniętej. Zapragnęła wyobrazić sobie swój pokój, łóżko z różową narzutą i bluszcz za oknem.

Spróbowała przypomnieć sobie piosenkę, której mama nauczyła ją, kiedy była mała. Nigdy tak naprawdę nie zrozumiała, o co w niej chodzi, teraz zaś zaczęła nucić ją bezgłośnie w myślach, wciąż od nowa, jak mantrę. Byleby tylko oderwać uwagę od przeraźliwego bólu.

One girl asked for rosemary

One girl asked for thyme

Another girl asked for locks and keys

And clocks that neuer chimed

But all I want is a door that leads

To the road that leads to the sea

And to know when I turn that my shadow

Will still be following me.

Często pytała matkę, co to znaczy i kto ją tego nauczył, la jednak nigdy jej tego nie powiedziała. Kiedy trochę 'podrosła, zaczęła szukać tego tekstu w książkach z poezją 'dla dzieci i kołysankami, ale go nie znalazła. Z jakiegoś powodu zawsze ją niepokoił, szczególnie linijka o tym, że chciałyby wiedzieć, czy będzie podążał za nią jej cień. A jeśli nie? Co wtedy?

Powtarzała wiersz po raz trzeci, kiedy naciął jej udo. Cięcie było głębokie, skalpel przebił skórę, warstwę tłuszczu, mięśnie, aż wreszcie ostrze dotknęło kości. Z rany natychmiast pociekła krew

i zaczęła kapać na gazety umieszczone pod łóżkiem.

Skalpel był tak cienki, że prawie go nie poczuła. Kiedyś zraniła sobie język brzegiem koperty,

którą właśnie zamierzała zakleić, i zorientowała się dopiero, kiedy poczuła smak krwi. Nacięcie skalpelem bolało nawet mniej niż tamto skaleczenie, mimo to wydała z siebie długi, pełen desperacji skowyt.

- Nie płacz - powiedział do niej. - To dopiero początek. Poczekaj do jutra. Wtedy poznasz, czym naprawdę jest ból. Nie tylko go poczujesz, ale zrozumiesz. Przekroił dookoła mięsień czwórgłowy, przebijając się aż do kości udowej. Przez cały czas oddychał głośno przez nos, jak to się zwykle zdarza dentystom. Kiedy uporał się z górną częścią uda, przesunął się trochę i zrobił kolejne okrężne nacięcie, mniej więcej cal nad kolanem. Jego ręce były już uwalane krwią, zostawiał na ciele

Fiony krwawe odciski palców. Pozwoliła, aby jej głowa opadła, żeby przynajmniej nie patrzeć na swoją torturę, jednak po chwili uniosła ją. Broda trzęsa się jej z bólu i z wysiłku. Obserwowanie, jak rozrywane jest jej własne ciało, niespodziewanie zaczęło ją fascynować. Mężczyzna miał rację: to przypominało podróż przez nie odkrytą krainę, w której wszystko było możliwe, w której nie istniał ani ból zbyt potężny, ani zbyt wielka groza.

Wykonawszy dwa okrężne nacięcia, jedno na udzie, a drugie nad kolanem, wy dobył z walizeczki kolejny skalpel i wykonał nim podłużne cięcie, łącząc oba okręgi. Tym razem wyraźnie poczuła cały ruch, czuła ostrze skalpela przesuwające się w dół po jej kości i wrzasnęła tak długim i przenikliwym krzykiem, że zatrzymał się na chwilę. Cierpliwie patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, dopóki nie umilkła.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - To nie potrwa długo, obiecuję ci.

- Nie mogę... nie możesz... nie zniosę tego, nie zniosę.

- Mogę przerwać, jeśli chcesz. Ale tylko na chwilę. Muszę obnażyć kości przed pierwszym brzaskiem.

- Proszę cię, proszę, nie dam rady, proszę.

- Przykro mi. Spróbuj myśleć o czymś innym.

- Nie zniosę tego dłużej! Nie zniosę!

Uniosła głowę nad sprężyny, a potem zaczęła uderzać nią z całej siły, krzycząc i łkając, jakby chciała pozbawić się przytomności. A on stał obok niej z zakrwawionym skalpelem w ręce, marszcząc

czoło, jakby Fiona była jedynie nieznośnym dzieckiem, które dostało ataku złości.

W końcu przestała krzyczeć, przestała bić głową w sprężyny i pozostała spokojna z rozbieganymi oczyma, beładnie, ciężko, szybko oddychając.

Znów pochylił się nad nią i kontynuował nacinanie mięśni prostych uda aż do kolana. Następnie odłożył skalpel i kciukami rozszerzał nacięcie, dopóki nie pojawiła się kość. Odkryte mięso błyszczało

szkarłatem w jasnym świetle lampy pozbawionej klosza, tak jak błyszczy świeża, mokra wołowina.

- Nareszcie - powiedział. - Oto ukazuje się twoje wnętrze.

Tym razem wziął mały nóż i zaczął starannie odcinać mięso od kości. Fiona leżała teraz spokojnie, z szarą twarzą i dłońmi zaciśniętymi na metalowej ramie. Jej ciało było sztywne i błyszczało od potu. Oprócz skrzypienia sprężyn słyszała dźwięk krojenia świeżego mięsa, jakby ktoś po cichu, bezustannie się oblizywał.

W swoim cierpieniu dojrzała wreszcie do miejsca, z którego nie widziała już nic poza oślepiającą bielą i nie czuła niczego poza przejmującym zimnem. Biegun Północny bó-| lu. A on wciąż

odrywał mięso od kości, starając się nie pozostawić ani skrawka.

Po kwadransie był gotów i zebrał mięso z lewego uda Fiony w jedno miejsce. Rękawem wytarł czoło, po czym przeniósł mięso do kuchni i wrzucił do zlewu. Opłukał ręce i wytarł je w niewielki, zniszczony ręcznik. Następnie podstawił głowę pod kran i długo, hałaśliwie pił.

Kiedy wrócił do sypialni, Fiona leżała nieprzytomna. Pomyślał, że to dla niej nawet lepiej.

Teraz musiał ściągnąć mięso z jej kolana, a to było zabiegiem szczególnie bolesnym dla ofiary.

Wyciągnął przed siebie obie dłonie z rozpostartymi palcami, po czym obrócił je kilkakrotnie. Z zadowoleniem stwierdził, że w ogóle nie drżą. Podniósł z podłogi nóż i wrócił do pracy.

Katie obudziło trzaśnięcie frontowych drzwi. Po chwili usłyszała, jak ktoś przewraca wieszak na płaszcze stojący w holu. Następnie dotarło do niej warczenie Sierżanta i uspokajający głos:

- Cicho, uspokój się, ty głupolu.

- Paul? - zawołała, siadając na łóżku.

- W porządeczku - wymamrotał Paul. - Wszystko w porządeczku.

Zsunęła nogi z łóżka i sięgnęła po szlafrok, przewieszony przez oparcie krzesła.

- Paul, do diabła, co tam się dzieje? Jesteś pijany?

- Nie schodź tutaj — powiedział schrypniętym głosem. - Spędzę noc na dole. Nie schodź do mnie.

Zapaliła lampę na półpiętrze i zaczęła schodzić po schodach. Sierżant biegał po całym salonie i sapał, podekscytowany. Katie weszła do salonu i zapaliła światło. Paul leżał na sofie, wyciągnięty na brzuchu, jedna ręka zwisała mu na podłogę. Granatowy płaszcz miał rozcięty na plecach, a przez rozdarcie widoczna była biała podszewka. Brakowało mu jednego buta, a w kędzierzawych włosach widoczna była krew.

- Matko Boska! - zawołała Katie i uklękła przy nim. Otworzył jedno oko i zamrugł do niej.

Nad brwią miał

głęboką ranę w kształcie półokręgu, na której zdążyła już zakrzepnąć krew. Jego policzki były purpurowe.

- Co ci się stało, Paul? Muszę cię obejrzeć!

- W porządeczku. Wszystko jest w porządeczku.

- Paul, na miłość boską, czy ty wiesz, w jakim jesteś stanie? Co ci się przytrafiło?

Uniósł głowę i dopiero w tej chwili zorientowała się, jak bardzo jest pokiereszowany. Obie dziurki od nosa miał zapchane krwią i wszystko wskazywało na to, że nos jest złamany. Jego wargi

były spuchnięte, popękane, najwyraźniej brakowało mu też kilku zębów. Z ust ciekł mu gęsty strumień krwawej śliny, zatrzymujący się na kanapie.

- Kto ci to zrobił? Dave McSweeny?

- To nie ma znaczenia, maleńka. Potrzeba mi trochę snu, to wszystko. Trochę snu.

- Paul, chcę wiedzieć, kto cię pobił!

- Daj spokój. Tylko narobisz dodatkowych kłopotów. Jedyna kobieta, detektyw nadinspektor, w całej Irlandii... nie może pozwolić, żeby ktoś bił jej męża, prawda?

- Usiądź, Paul. Niech ci się przyjrzę. Potrzebujesz lekarza. To rozcięcie jest fatalne. Bez szycia się nie obejdzie.

- Przestań pieprzyć, na miłość boską. Dostałem parę kopniaków, to wszystko. Kiedy byłem dzieckiem, ojciec spuszczał mi gorsze manto.

Katie wstała. Paul zamrugał. Jego twarz była tak opuchnięta, że zdawało się, iż jest dwukrotnie większa.

- Paul, ja nie żartuję. Nieważne, kto cię pobił, zaaresztuję go i oskarżę.

Paul z trudem przyjął pozycję siedzącą. Jego lewe oko było tak przekrwione, że niemal zupełnie czerwone, niczym oko wampira.

- Cholera jasna - jęknął, przyciskając rękę do boku. Chyba mam pęknięte pieprzone żebra.

- Paul...

- Katie, daj spokój. Narobiłem trochę głupot, to wszystko. Można powiedzieć, że w pewnej sprawie poważnie się myliłem. Jeśli się w to wmieszasz... może być dziesięć razy gorzej. Następnym razem mnie zabiją, mówię ci. W gruncie rzeczy i tak mnie zabiją.

Katie delikatnie dotknęła jego czoła i włosów lepkich od krwi.

- Boże, Paul, czasami jesteś takim głupcem. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię Kocham?

Czy nie byliśmy kiedyś szczęśliwi? Czy nie układało się nam wspaniale?

Paul wykrzywił w uśmiechu spuchnięte usta.

- To było kiedyś, Katie. Teraz jest teraz.

- Nie możesz pozwolić, żeby im się upiekło, Paul. Muszę wiedzieć, kto to zrobił. Moim obowiązkiem jest pilnowanie, aby w tym kraju przestrzegano prawa.

- Nic ci nie powiem, Katie. Nie mogę. Zabiją mnie. Jeśli ty nie zabijesz mnie pierwsza.

Katie usiadła na kanapie i zdjęła dłoń z kolana Paula.

- Dlaczego niby miałabym cię zabić?

- Bo chyba nie jestem najlepszym mężem, co?

- Chodzi o tę dziewczynę? - zapytała Katie. - Tę z hotelu „Sarsfield”?

- Boże wszechmogący! Dlaczego ożeniłem się z detektywem?

- Powiedz mi, Paul. Czy to o nią chodzi?

- Częściowo. Ale to nie wszystko.

- Paul, wezwę pogotowie. Złapał ją za rękaw.

- Daj spokój, Katie. Wiesz, co mi powiedzieli na koniec? „Na pewno twoja stara będzie chciała nas znaleźć”. Jak będę wyglądał, jeśli się do tego weźmiesz? W końcu jestem mężczyzną, do diabła!

Katie przez długą chwilę milczała. Potrzebowała czasu, żeby ogarnąć sytuację i odzyskać równowagę. Wreszcie odezwała się:

- Może się napijesz? Naprawdę powinieneś pojechać do szpitala, ale skoro nie chcesz...

- Nie jest ze mną tak źle, jak ci się zdaje. Kilka razy dostałem z pięści, no i trochę mnie pokopali. Jednak kto nie ryzykuje, ten niczego w życiu nie osiągnie.

Katie podeszła do barku i naląła Paulowi sporo whisky. Sierżant podążył za nią i stanął przy niej, ciężko dysząc, kiedy wreszcie usiadła.

- Co więc ma wspólnego z tym wszystkim dziewczyna z hotelu „Sarsfield”?

Paul potrząsnął głową.

- Popęlniłem błąd, Katie, to wszystko.

- Tak, ale kim ona jest? I co takiego zrobiłeś?

- Przypuszczam, że szukałem czegoś innego, nowego. Może ucieczki? Nie wiem, jak to nazwać. Prawda jest taka, że kiedy na ciebie patrzę, wciąż nie potrafię odegnąć od siebie myśli o biednym Seamusie.

- A czy nie przyszło ci do głowy, że ja codziennie, w każdej minucie, winię siebie za to, co się stało?

- Ja cię o nic nie obwiniam, malutka. Bóg zapragnął, by Seamus powrócił do niego, do nieba, i tak się stało. Ale... sam nie wiem, chyba wydawało mi się, że jesteś taką magiczną osobą, która nigdy nie pozwoli, by komukolwiek z nas przytrafiło się coś złego. Kiedy Bóg powołał do siebie Seamusa, zdałem sobie sprawę, że ta magia to tylko mój wymysł.

- Paul, byłem matką Seamusa, ale nie jestem twoją matką!

Opuszkami palców ostrożnie dotknął nosa.

- To wszystko stało się przeze mnie. Gdyby dobrze szło mi w interesach, nie musiałabyś nawet pracować.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że Seamus zmarł dlatego, że pracowałam?

- Sam nie wiem. Gdybyś nie pracowała, może poświęcałabyś mu więcej uwagi?

- Paul, jestem wysokim oficerem Gwardii. Nie zrezygnowałabym z kariery ze względu na dziecko! A twoje sugestie, że Seamus umarł, ponieważ go zaniedbywałam... Matko Boska, co się z tobą dzieje?

Paul w milczeniu opuścił głowę i głośno wciągnął nosem powietrze.

— Powiedz mi o tej dziewczynie — ponowiła prośbę Katie. Centralne ogrzewanie w domu wyłączone było już od trzech godzin i lekko drżała z zimna, zmęczenia i irytacji.

- A co tu opowiadać? Pojechaliśmy do „Sarsfield”, wypiliśmy kilka drinków, ot, zwykła,

banalna historia.

— Kim ona jest?

— W tym właśnie tkwi całe nieszczęście. To przyjaciółka Dave'a MacSweeny'ego.

- Geraldine Daley? Ta kurewka?

- Przykro mi, Katie. Straciłaś jedynego syna... To chyba nie jest najlepszy afrodyzjak, prawda?

Uderzyła go mocno, z całej siły, otwartą dłonią w policzek. Nie zamierzała tego robić, ale ręka była szybsza od myśli.

- Jezu! - wrzasnął Paul i podniósł rękę, aby się osłonić przed dalszymi ciosami. - Jezu, Katie, to boli, do cholery!

- Nie sądzisz, że na to zasłużyłeś?

- Dlaczego? Dlatego, że pozwoliłem sobie na kilka chwil przyjemności? Że chociaż na chwilę chciałem zapomnieć o chodzeniu na paluszkach dookoła ciebie i twojego nieutulonego żalu? Nie masz

monopolu na zgryzotę, Katie, uwierz mi. I nie masz prawa ciągle i wszędzie obnosić się ze swoją niedolą. Cieszę się, że nie jestem jednym z podejrzanych, który dostał się w twoje ręce. Wystarczy, że

jestem twoim mężem.

Katie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Być może Paul miał rację, być może naprawdę nie powinna wszystkim okazywać, jak ciężki krzyż dźwiga. A może, z drugiej strony, to Paul powinien okazać jej więcej czułości, wskazać jej w mroku drogę, którą zmierzając, będą w stanie odzyskać szczęście?

- Nie martw się - powiedział Paul. - Będę spał na kanapie. Może chociaż Sierżant okaże mi trochę współczucia.

Nastąpiło bardzo długie, nieprzyjemne milczenie. Paul wydłubał z nosa grudkę zakrzepłej krwi i wpatrywał się w nią bezmyślnie.

- Czy to długo trwa? - zapytała Katie.

- Co?

- Ty i Geraldine Daley. Czy to była tylko jedna noc, czy robisz ze mnie idiotkę od dłuższego czasu?

- Jakie to ma znaczenie?

- Ma znaczenie, ponieważ charakter mojej pracy wymaga, żeby moje życie było wolne od skandali. A przede wszystkim ma znaczenie dlatego, że jesteśmy małżeństwem.

- Cóż, jeśli ma to być dla ciebie jakąś pociechą, to owszem, spędziliśmy razem tylko jedną noc.

Geraldine miała już dość Dave'a, ponieważ nigdy donikąd jej nie zabiera, no i poza tym nie wolno jej nawet spoglądać na innych mężczyzn. Bije ją. Moim zdaniem chciała się na swój sposób na nim zemścić.

- A ty? Ty chciałeś się zemścić na mnie? Za co? Za zabicie Seamusa?

Paul machnął ręką. Katie miała już powiedzieć coś jeszcze, coś bardzo dla niego bolesnego, postanowiła jednak milczeć. Bez słowa wstała, odwróciła się i odeszła, zostawiając Paula siedzącego

na kanapie. Sierżant został przy nim, zlizując krew z jego dłoni.

Następnego ranka znów padało. Z nieba sączył się drobny kapuśniaczek, zdolny do błyskawicznego i niespodziewanego przemoczenia każdego płaszcza. Katie weszła do swego gabinetu

i ogromnie się zdziwiła, ujrawszy profesora O'Briena czekającego na nią z szerokim uśmiechem i pękiem żółtych chryzantem. Siedział niepewnie na podwiniętym płaszczu.

- Gerard, co za niespodzianka!

Wstał i wyciągnął przed siebie kwiaty, jakby przed chwilą wyjął je z kapelusza w efekcie kuglarskiej sztuczki.

- Mam nadzieję, że lubisz żółty kolor. Mnie przypomina on blask słońca. Czyli to, czego nam wszystkim potrzeba w dni takie jak ten.

- Dziękuję ci - powiedziała. Kwiaty nie wyglądały najlepiej, a jeden z nich był nawet złamany.

- Zaraz... zaraz je wstawię do wody.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że przyszedłem tutaj, aby osobiście przedstawić ci sprawozdanie?

Po ostatniej nocy czuła się zmęczona i rozbita. Flirtowanie z profesorem O'Brienem było w tej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Mimo to uśmiechnęła się i usiadła za biurkiem. Przez okno widziała wrony, tkwiące w rzędzie na skraju dachu parkingu Gardy. Od czasu do czasu jedna lub dwie

podrywały się do lotu i zataczały koło, jednak zawsze powracały, jak końskie muchy, które nigdy I nie

pozostawiają rozkładających się zwłok.

- Napijesz się kawy? - zapytała O'Briena.

- Nie, dziękuję. Po kawie bywam nerwowy. Nie śpiam ostatnio za dobrze. Poza tym przez większość nocy przeglądałem dokumenty na temat twojej sprawy z Meagher's Farm.

- Naprawdę? - Katie zdjęła plastikowe przykrycie z kubka cappuccino. - Czy natrafiłeś na coś interesującego?

Wydobył spod płaszcza dużą, brązową kopertę i wyciągnął z niej złożoną kserokopię jakiejś wojskowej mapy. Wstał, rozłożył ją na biurku Katie i delikatnie wygładził dłonią.

- Kiedy analizuję jakieś dawne wydarzenia, pierwszą moją czynnością jest, o ile to tylko możliwe, dokładne obejrzenie współczesnych im map. Przez lata wiele rzeczy się zmienia, kierunki dróg, nazwy miejsc, dosłownie wszystko. Ta mapa przedstawia obszary na północ od Cork takie, jakimi były w roku 1911. To jest droga z Cork City do Ballyhooly, a ten czerwony znaczek to Meagher's Farm. Sama zauważysz, że w tamtych dniach wcale nie była to farma, ale niewielki zespół trzech czy czterech budynków mieszkalnych, wówczas znanych jako Knocknadeenly. W języku celtyckim brzmi to Cnoc na Daoine Liath.

- „Wzgórze Szarych Ludzi?”

- Właśnie. Jednak raczej nie „ludzi”, lecz „istot”. Miało to być coś w rodzaju bramy dzielącej świat baśni od świata realnego, a także siedziba Morrigan, kiedy przybywała do Irlandii. Sądzę, że jeśli w hrabstwie Cork istniało jakieś miejsce, w którym dokonywano rytualnych obrządków, odbywały się one właśnie tutaj.

- Przepraszam cię, Gerardzie, ale kim była Morrigan?

- Morrigan? Była złą, złośliwą czarownicą. Jej imię pojawia się w dziesiątkach różnych legend w całej Europie i Skandynawii. W Anglii zwano ją Morgan Le Fay, mówiono, że była przyrodnią siostrą króla Artura bezustannie czyhającą na jego życie. Tutaj, w Irlandii, była kuzynką Królowej Śmierci Badb albo jej innym wcieleniem i jakoby opuszczała jej magiczne wzgórze, sidhe, pod postacią wilczycy. Jeśli ktoś karmił ją mięsem niewinnych kobiet, była gotowa spełnić każde jego życzenie.

- Zatem uważasz, że te zabójstwa są częścią czego? Jakiegoś ludowego ceremoniału?

- Na pewno nie ceremoniału, z którym bym się kiedyś zetknął, już ci to mówiłem. Ale, owszem, widzę taką możliwość.

- I tego właśnie się dowiedziałeś?

- Tak. - Profesor zamrugał i z powrotem usiadł na krześle. - To chyba ważny krok naprzód, nie sądzisz?

- Sądzę, że to dopiero początek. Czy istnieje sposób, żeby się dowiedzieć, czy w tamtych czasach kręciły się wokół Knocknadeenly jakieś pogańskie sekty? Czyciele zła czy ktoś podobny?

- Ten, kto chciałby wezwać Morrigain, nie musiał być czcicielem zła. Tu żyli zwyczajni ludzie, pragnący dobrobytu, sławy i władzy... Czyli tego wszystkiego, co mogą ofiarować czarownicy.

- I niby w imię tego zamordowali jedenaście kobiet?

- Wciąż nie wiem, dlaczego to się stało ani z jakim obrządkiem mają związek szmaciane laleczki. Ale obiecuję ci, że się dowiem. Nie wsadzimy już mordercy za kratki, ale przynajmniej się dowiemy, dlaczego mordował kobiety. To powinno cię usatysfakcjonować, prawda?

Katie zmarszczyła czoło.

- Usatysfakcjonować? Być może.

- Wiesz co? Może będziemy kontynuowali rozmowę przy lunchu?

- Przykro mi, ale nie dzisiaj. Zajmuję się równocześnie dwiema innymi ważnymi sprawami. A oprócz tego próbuję odnaleźć zaginionego Charliego Flynna.

- W „Morrison' Island Hotel” przyrządzają wspaniałe kanapki. Z tuńczykiem albo kurczakiem po chińsku. Bywam tam przynajmniej dwa razy w tygodniu.

- Gerard, przepraszam cię, ale naprawdę jestem bardzo zajęta. Dziękuję, że tu przyszedłeś. I dziękuję za wszystkie informacje.

Profesor O'Brien posłał jej wstydlawy uśmiech i powiedział:

- Jesteś uderzająco piękną kobietą, pani nadinspektor. Myślę, że nie masz nic przeciwko temu,

że to mówię.

Katie uśmiechnęła się.

- Nie, oczywiście, że nie. To bardzo miłe, jednak... - Niemal powiedziała: „Jestem zamężna, Gerardzie”, ale nie zrobiła tego. Dodała zaś: — Przepraszam cię, ale mam dzisiaj zbyt dużo pracy.

Profesor O'Brien zaczął niezdarnie zbierać mapę z biurka.

- Rozumiem. Będę badał tę sprawę. Nigdy nic nie wiadomo, może to żołnierze Korony okrutnie zamordowali te kobiety i zawiesili laleczki na ich kościach udowych tylko po to, żeby rzecz wyglądała na rytualny mord?

- Rzeczywiście, to też jest możliwe.

Profesor uściśnął jej dłoń, pochylił głowę, jakby chciał pocałować ją w policzek, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Kiedyś byłem zaręczony - powiedział niespodziewanie. - Miała na imię Mairie. Była bardzo podobna do ciebie. A raczej to ty jesteś bardzo podobna do niej.

- Przykro mi - powiedziała Katie i zaraz tego pożałowała, ponieważ zdała sobie sprawę, że jej słowa zabrzmiały zbyt protekcjonalnie.

- Bardzo się wtedy zdziwiłem. Jednego dnia powiedziała mi, że mnie kocha, a następnego, że już nie. Kobiety! Chyba nigdy ich nie zrozumieć.

Katie popatrzyła na jego zaczesane na łysinę włosy, pognieciony płaszcz i pulchne dłonie i ze smutkiem pomyślała, że w takiej sytuacji nigdy nie można powiedzieć drugiemu człowiekowi prawdy.

Godzinę później zatelefonował do niej doktor Reidy. Był w złym humorze.

- Posłałem pani lalki do analizy i wcale mi się nie podoba, że zamknęła pani sprawę, nie wysilając się na poinformowanie mnie o tym.

- Przepraszam pana, doktorze. Odniosłam wrażenie, że nadinspektor O'Driscoll miał zamiar przekazać panu tę wiadomość osobiście.

- O'Driscoll? Ten dureń? Nie liczyłbym na niego w żadnej sytuacji. Wygląda na to, że bezsensownie straciliśmy mnóstwo czasu i pieniędzy.

- Czy doszedł pan do jakichś wniosków, obejrzawszy te lalki?

- Tak, chociaż teraz to i tak nie jest już warte funta kłaków, prawda? Mamy tutaj, w Phoenix Park, utalentowaną młodą kobietę, która jest ekspertem w dziedzinie tekstyliów. Rozebrała kilka spośród pani laleczek i stwierdziła, że wykonano je z pasków płótna. Niektóre z nich mają brzegi ozdobione koronkami. Krótko mówiąc, nasza panienka uważa, że lalki zostały zrobione z porozrywanych na strzępy damskich halek. Koronki nie pochodzą jednak z Irlandii. Z takim wzorem nasz ekspert jeszcze nigdy się nie spotkał.

- A co ze śrubkami i z haczykami?

- Dokonaliśmy wstępnej identyfikacji. Wykonano je prawdopodobnie ręcznie w 1914 roku w warsztacie niedaleko Francuskiego Nabrzeża w Cork, albo w jego okolicach. Powszechnie używano ich w Cork City i zapewne w niektórych starszych domach można by je znaleźć nawet teraz.

- Jakie są więc pańskie wnioski, doktorze Reidy?

- Żadnych wniosków, moja droga, dopóki ktoś mi za myślenie nie zapłaci albo dopóki nie będę miał innych istotnych powodów, żeby je wysnuwać.

- Proszę przedstawić mi kompletny raport tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Pani nadinspektor, te kobiety czekają już od osiemdziesięciu lat. Chyba nie sądzi pani, że kilka dodatkowych dni zrobi im jakąś różnicę.

- Nie wiem. Ale może zrobić.

Doktor Reidy przez kilka chwil milczał, sapiąc głośno do słuchawki. Wreszcie powiedział:

- Chyba ma pani w związku z tą sprawą jakieś przeczucia, co, pani nadinspektor?

- To zależy co pan ma na myśli, mówiąc „przechucia”.

- Ma pani przeczucie, że cała ta sprawa jest bardzo ponura i tajemnicza.

- Skąd pan wie?

- Jestem państwowym patologiem od dwudziestu dwóch lat. Widziałem to w pani oczach.

Słyszałem to w tonie pani głosu.

Katie nie wiedziała, co powiedzieć. Odnosiła wrażenie, że ktoś właśnie przypomina jej o jakimś sennym koszmarze z odległej przeszłości, o którym przecież nigdy nikomu nie opowiadała.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Spróbuję oddać tutaj do analizy próbki koronek.

- Nie jestem przesądny, pani nadinspektor. Nie wierzę w żadne znaki ani sygnały z niebios. Ale kiedy zanoszą się na deszcz, mówią mi o tym moje stare kolana. Kiedy zaś gdzieś w pobliżu czai się zło, cierpię mi skóra na głowie. Tak właśnie jest teraz.

Po południu Katie wyjęła z woreczka na dowody rzeczowe jedną z lalek, powyjmowała z niej wszystkie śrubki i haczyki i ostrożnie ją rozwinęła. Wykonano ją z długich pasemek niedbale porozrywanego płótna, o koronkowym brzegu. Wrzuciła wszystkie elementy do koperty i zaniosiła ją do Eileen O'Mara, która prowadziła na Patrick Street sklep koronkarski w wiktoriańskim stylu.

Wcześniej w tym miejscu znajdowało się stare kino „Savoy”. Kiedy Katie otworzyła drzwi, rozległ się

dźwięk dzwoneczka.

Eileen wyszła z zaplecza, niosąc na rękach kilka haftowanych peniuarów. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, jednak kursy koronkarstwa i wyszywania kończyła aż w Brukseli i już teraz była ekspertem w dziedzinie szycia i haftu. Miała pofalowane brązowe włosy i płomiennie czerwone policzki. Zawsze przypominała Katie lalkę, którą daje się dzieciom w prezencie. Była zbyt irlandzka, aby mogła być prawdziwa.

- Katie! Nie widziałam cię od miesiący!

- Cóż, byłam bardzo zajęta. Jak idzie interes?

- Na razie niewiele się dzieje, ale czego można oczekiwać zimą? Widziałam cię w telewizji, opowiadałaś o tych szkieletach z Knocknadeenly. Straszna sprawa!

- Przyszłam do ciebie częściowo w związku z tym.

- Nikogo nie zabiłam, naprawdę.

- Oczywiście - powiedziała Katie i wyciągnęła z torebki kopertę. — Znalezione tam pewne tkaniny, kilkadziesiąt skrawków, wyglądających jakby powyrywano je z halek. Popatrz, mają koronkowe brzegi, koronki nie pochodzą jednak z Irlandii. Przynajmniej tak mi powiedziano w Dublinie. Pomyślałam sobie, że może ty mogłabyś je rozpoznać. Weź pod uwagę, że ten materiał ma najprawdopodobniej około osiemdziesięciu lat.

Eileen wzięła kawałek tkaniny i popatrzyła na nią pod światło.

- Nie wiem. Powiedziałabym, że to jest bardzo stare. Nigdy nie widziałam takiego wzoru.

Musiałabyś dać mi trochę czasu. W tej chwili mogę ci powiedzieć jedynie, że jest to ręczna robota i że

twój mężczyzna w Dublinie miał rację, to na pewno nie jest koronka irlandzka.

- Właściwie moja kobieta w Dublinie.

- Powinnam zgadnąć. Tego wzoru nie wykonano maszynowo, a pewnie słyszałaś o takich słynnych wzorach z Alencon, Chantilly czy z Walencji. Na pewno też nie przypomina on niczego, co widziałam w Irlandii. Tak na pierwszy rzut oka, te koronki mogą pochodzić z Belgii albo z Niemiec.

- Nie wiem, czy mi to w czymś pomoże - powiedziała Katie.

- Możesz już teraz przyjąć, że osoba, do której należała izież zrobiona z tego materiału, była dość bogata. To bar-zo piękna robota. I kosztowna. Osiemdziesiąt lat temu |to było bardzo drogie.

- Rozumiem. - Katie wzięła tkaninę do ręki i także sopatrzyła na nią pod światło. Jeśli naprawdę była droga,

bardzo wątpliwe, że zabrano ją którejś spośród kobiet ogrzebanych w Meagher's Farm. Nie miała jeszcze pełnej listy kobiet, które zaginęły w północnym Cork pomiędzy atem 1915 i wiosną 1916 roku, jednak nazwiska z „Exa-|minera" były nazwiskami żon farmerów, sprzedawczyń ji (w

przypadku pani Mary O'Donovan) urzędniczki pocztowej. One z pewnością nie mogły sobie pozwolić

na noszenie halek ozdobionych ręcznie robioną koronką, i to w dodatku sprowadzoną z kontynentu.

Do kogo więc należały te halki? Skąd tutaj przyjechały? Poza tym, skoro koronka była tak piękna i droga, dlaczego je zniszczono?

Katie opuściła Savoy Center i przeszedłszy przez Patrick Bridge, powróciła do samochodu. Na zgniłych drewnianych balach na środku rzeki siedziały beztrosko dwie wrony. Zaczynała odnosić nieprzyjemne wrażenie, że ją obserwują, śledzą, niby służki złej czarownicy.

Kiedy Katie zajechała na farmę, John Meagher stał na progu budynku mieszkalnego. Aż trudno było oprzeć się wrażeniu, że na nią czeka. Deszcz w końcu przestał padać, poranek jednak wciąż był szary, a chmury niemal dotykały wierzchołków wiązów.

- Dzień dobry — powiedział John, otwierając drzwi samochodu. Ubrany był w granatowy płaszcz przeciwdeszczowy i jasnobrązowe spodnie ze sztruksu. Wyglądał bardziej jak model prezentujący męską odzież niż jak farmer z Cork.

Katie wysiadła z auta.

- Przyjechałam, żeby pana poinformować, że sprawa została oficjalnie zamknięta i może pan kontynuować budowę.

- Naprawdę? A więc nigdy się nie dowiemy, kto to zrobił?

- Mam nadzieję, że się dowiemy. To, że nie będziemy się teraz zajmować farmą na co dzień, wcale nie oznacza, że całkowicie o niej zapomnimy. Na sprawiedliwość zasługują wszyscy, nawet po osiemdziesięciu latach.

- Jasne. Też tak uważam. Katie rozejrzała się po dziedzińcu.

- Jeśli się zdarzy, że natrafi pan na coś jeszcze, niekoniecznie na kości, ale na coś, co uzna pan za dziwne, nieprawdopodobne...

- Jasne. Nie będę się wahał ani chwili. Mam pani numer telefonu. Chciałbym... to znaczy, nie chciałbym być niegrzeczny. Czy wypije pani filiżankę kawy albo herbaty?

Katie zawahała się, ale po chwili odparła z uśmiechem:

- Jasne. Z wielką przyjemnością.

W osobie Johna Meaghery było coś, co ją ujmowało. Niekoniecznie był to jego wygląd, chociaż zawsze podobali się jej mężczyźni o ciemnych, kręconych włosach i czeko-ladowobrązowych oczach.

Przemawiał do niej raczej jego spokój, pogodny sposób bycia i wykwinny akcent rodem z zachodniego wybrzeża Stanów. Czowała, że ma do czynienia z mężczyzną, który nigdy nie przestanie być atrakcyjny dla swej kobiety i zawsze będzie wobec niej czuły i opiekuńczy.

Poprowadził ją do domu. Jego matka siedziała przy stole kuchennym. Szyła coś, a z kącika jej ust zwisał papieros.

- Pamiętasz, mamó, panią detektyw nadinspektor Katie Maguire?

Pani Meagher uniosła głowę i popatrzyła przed siebie przez grube szkła okularów.

- Oczywiście. Chyba to czas usidlił pani przestępcę, zanim zdołała go pani dopaść, prawda?

- Niestety. Obawiam się, że ma pani rację.

- Powinnaś zapalić światło, mamó - powiedział John. - Przecież nie widzisz, co szyjesz.

- Potrafię przyszywać guziki z zamkniętymi oczyma.

- A ja potrafię jeść hamburgery z zamkniętymi oczami, tylko po co?

- Nie mądruj się. Od czasu, jak zobaczyłaś trochę Ameryki, ciągle zgrywasz mądrałę.

- Czego się pani napije? - John zwrócił się do Katie. - Herbaty? Kawy?

- Doskonale mi robi filiżanka herbaty. Bez mleka. John włączył elektryczny czajnik. Jego matka zakaszłała, zgasła papierosa w popielniczce i poszła do spiżarni po herbatniki i ciasto.

- Nie wiedziałem, że jest pani taką znakomitością - powiedział John, wysuwając krzesło dla Katie.

- Niestety, jestem. Udzielam wywiadów za każdym razem, kiedy ktoś przygotowuje program o wyzwolonej irlandzkiej kobiecie.

- Z pewnością nie było łatwo zejść tak wysoko.

- Nie było. Większość kobiet w Gardzie wciąż kieruje ruchem drogowym, pociesza wdowy po tragicznie zmarłych funkcjonariuszach i biega po kanapki. Jeśli nie są zbyt brzydkie, nadstawiają też tyłki przy byle okazjach.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić pani w żadnej z tych ról.

- Nie grałam ich i nie gram. Poza tym miałam szczęście. W czasach, kiedy się starałam o

posadę detektywa, biuro komisarza naciskało, żeby awansować więcej kobiet na wysokie stanowiska.

Ponadto pewien komisarz przypadkiem był bliskim przyjacielem mojego ojca. No i ledwie w dwa miesiące po mianowaniu na detektywa rozwiązałam zagadkę podwójnego morderstwa w Knockhra.

Chodziło o dwie kobiety, matkę i córkę, utopione w studni. Całą moją zasługą było to, że podsłuchałam w pubie rozmowę kilku pijaków, ale od tego czasu wciąż mam dobrą prasę.

- Jest pani bardzo skromna.

- Och, John, jestem równie skuteczna jak skromna. John roześmiał się.

- Smakuje pani herbata? Na pewno nie jest za mocna?

- Jest doskonała. Ale wciąż gorąca.

Pani Meagher, szurając nogami, udała się do kuchni i zostali sami. Przez chwilę siedzieli w milczeniu i patrzyli na siebie, uśmiechając się. Wreszcie John zapytał:

- Co się teraz stanie?

- Ma pan na myśli szkielety? Zleciliśmy komuś z uniwersytetu, żeby określił, w jaki sposób ofiary straciły życie. Niewiele więcej możemy zrobić.

- Ale to była rytualna zbrodnia, prawda?

- Tak.

- Mój dziadek zawsze mówił, że ta farma jest nawiedzona.

- Nawiedzona? Co niby ją nawiedziło?

- Nigdy tego dokładnie nie wyjaśnił. Wciąż jednak powtarzał, że ktoś, kto wiedziałby, gdzie tego szukać, wiedziałby, jak to zdobyć, i byłby gotów za to zapłacić, otrzymałby od życia wszystko, czego by tylko zapragnął.

- To interesujące. Profesor O'Brien powiedział, że farmę tę nazywano Wzgórzem Szarych Istot.

W przeszłości służyła czarownicy Morrigan jako brama do innego świata. Morrigan gotowa była ofiarować ci wszystko, czego tylko chciałeś, tak długo, jak długo karmiłeś ją ciałami młodych kobiet.

- To makabryczna historia. Katie upiła łyk herbaty.
- Nie biorę jej na poważnie ani przez chwilę.
- Oczywiście. Jednak nigdy nic nie wiadomo... Osiemdziesiąt lat temu ktoś mógł w to wierzyć.
- To jedna z tez wysuniętych przez profesora O'Briena. John podsunął Katie ciasteczko.
- Bardzo proszę, niech się pani nimi objada. To domowy wypiek. Moja mama wciąż piecze tyle, że mogłaby wykarmić pół Irlandii.

Katie wzięła ciasteczko i przełamała je na pół.

- Niech pan opowie mi coś o sobie - poprosiła. - Jak pan sobie radzi z tą farmą?
- Nie tak dobrze, jak się spodziewałem. Wszyscy w Kalifornii mówili, że mi zazdroszczą, bo wracam do prawdziwej natury. A ja sam nie wiem... Taka natura istnieje przecież także w Kalifornii, uprawy pomarańczy i winogron, no i słońce. A natura w Knocknadeenly? Kojarzy się tylko z błotem.
- Jednak daje pan sobie radę, prawda? John potrząsnął głową.
- Nie najlepiej, jeśli chce pani znać prawdę. Ta robota f zupełnie mi się nie opłaca. Pasza dla bydła kosztuje prali wie tyle co kawior, a cena mleka jest tak niska, że taniej byłoby wylewać je do ścieków, niż butelkować. Plastikowe tacki, na które pakuję moje kurczaki, kosztują więcej niż one. Poza tym potrzebuję nowy dyferencjał do traktora, nowy generator dieslowski, a dwie trzecie ozimin zgniło w deszczu. Sprzedałem interes w Stanach z dużym zyskiem, jeśli jednak moje interesy tutaj nadal będą szły tak jak teraz, mniej więcej na początku lipca zostanę bankrutem.
- Dlaczego więc nie sprzeda pan farmy?
- Presja rodziny. Teraz jestem głową rodziny Meagherów. Co by o mnie pomyśleli, gdybym sprzedał Meagher Farm?
- I to pana tu trzyma? Presja rodziny?

- Hmm... Chyba też дума. Nie jestem facetem, który łatwo się poddaje.

Katie się uśmiechnęła.

- A zatem mamy ze sobą coś wspólnego. Łączy nas niezłomny upór w obliczu nieubłaganych przeciwności losu.

John, opierając policzek na dłoni, przez długą chwilę przypatrywał się Katie. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Milczeli i jakoś żadne z nich nie miało ochoty ponownie nawiązywać rozmowy.

Wreszcie do pokoju weszła pani Meagher. Nieustannie kaszłała i szukała swoich papierosów.

- Muszę już jechać - powiedziała Katie, patrząc na zegarek.

- Jasne. A ja muszę wykopać czerwone ziemniaki z trzech hektarów.

Razem wyszli na dziedziniec. Deszcz wciąż padał.

- Dziękuję za herbatę - powiedziała Katie. - Mam nadzieję, że dotrzyma pan obietnicy i skontaktuje się ze mną, jeśli znajdzie pan coś niezwykłego.

John skinął głową. Otworzył drzwi samochodu i patrzył na Katie, kiedy zapinała pas

bezpieczeństwa. Jadąc w kierunku bramy Meagher's Farm, Katie popatrzyła we wsteczne lusterko.

John wciąż stał w miejscu z rękami w kieszeniach. Pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak samotnego, opuszczonego mężczyzny.

Jeszcze tego samego popołudnia, mniej więcej o piętnastej trzydzieści, zatelefonował do niej mężczyzna mówiący z wyraźnym północnym akcentem.

- Czy to pani zajmuje się zaginięciem Charliego Flynna?

- Tak? Dlaczego? Wie pan, gdzie on jest?

- Być może.

- Albo tak, albo nie. Niech pan wybiera.

- A może spotkamy się i porozmawiamy na ten temat? Proponuję katedrę świętego Finbarra, za pół godziny. Tylko niech pani będzie sama.

- Czy ja pana znam?

- Mam nadzieję, że tak. Zobaczymy się o czwartej.

Postanowiła pojechać na to spotkanie. Dochodziła dopiero czwarta, jednak popołudnie było już ponure i ciemne. Zaparkowała samochód na podwójnej żółtej linii przed bramą i przez cmentarz weszła na teren katedry. Pod ociekającymi wodą drzewami, pod krzyżami i obeliskami, a także płaczącymi cherubinami złożono tutaj na ostatni spoczynek członków najbardziej znamienitych rodzin z Cork.

Cmentarną ścieżką przebiegł młody ksiądz, wołając: „Zapomniałem parasola!” - jakby odczuwał potrzebę wyjaśnienia przyczyn swojego pośpiechu.

Katie weszła do katedry głównym wejściem. Echo jej kroków stawianych na kamiennej posadzce rozlegało się wysoko ponad rzeźbami przedstawiającymi mądre i głupie dziewice, zgromadzone po obu stronach Chrystusa Oblubieńca.

Wnętrze katedry było bardzo akustyczne. Mimo półmroku wysokie kolumny z kamienia z Bath odcinały się tle ścian z czerwonego marmuru z Cork. Światło prawie nie przedostawało się do środka

przez witraże i Katie musiała zatrzymać się na dłuższą chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do półmroku.

Powoli ruszyła w kierunku ołtarza. Przyklękła, przeżegnała się, po czym usiadła w jednej z ławek po prawej tronie i pochyliła głowę. Kilka rzędów przed nią jakaś kobieta w średnim wieku modliła się pełnym żarliwości Szeptem.

Po kilku minutach Katie usłyszała, jak ktoś zbliża się do niej od tyłu, prawdopodobnie miał buty na gumowych podeszwach. Usiadł w ławce bezpośrednio za nią. Poczła zapach tytoniu i wody po goleniu. Gucci, rozpoznała.

- Jak miło znów cię widzieć, Katie - powiedział mężczyzna z tym samym północnym akcentem, który wcześniej słyszała przez telefon. - Na pewien czas zniknęłaś mi z oczu.

- Dave MacSweeny - odparła, nie odwracając się. - Rozpoznałam cię już przez telefon, ale nie byłam pewna. Czego chcesz?

- Mówiłem ci. Wiem, gdzie się ukrywa Charlie Flynn. Wiem także, dlaczego się ukrywa.

- Wykazujesz spory tupet, spotykając się ze mną. Po tym, co zrobiłeś Paulowi...

- Paul wykorzystał mnie. Podobnie jak Charlie Flynn.

- Paul zachwyił się Geraldine, to wszystko. I nie mów mi, że Geraldine jest w tym układzie bez winy.

- Nie o to chodzi. Ona jest moją kobietą, a przynajmniej była, i Paul nie miał prawa się z nią zadawać. Powinien mieć dla mnie więcej szacunku. Przynajmniej od czasu, kiedy oszukał mnie na pół

miliona funtów na materiałach budowlanych, on i ten cały Charlie Flynn.

- Co?

- Charlie Flynn obiecał Winthrop Developments, że dostarczy im pustaki, cegłę, ramy okienne z PCV i Bóg wie co jeszcze za nadzwyczaj korzystną cenę. Problem w tym, że nie był w stanie

wywiązać się z tego zamówienia. Udał się więc do twojego mężulka, pokornie prosząc go o pomoc, a

ten sprzedał mu materiały budowlane za sześćset pięćdziesiąt tysięcy funtów i schował sobie do kieszeni dwadzieścia tysięcy za pośrednictwo. I wszyscy byliby zadowoleni, gdyby nie to, że materiały w rzeczywistości warte były ponad milion i nie należały do twojego męża, lecz do mnie, a ja

zostałem umurzany po szyję w gównie, próbując wytłumaczyć Erin Estates, dlaczego nie jestem w sta-

nie dotrzymać kontraktu.

- Razem z przyjaciółmi zatelefonowaliśmy do Charlie-go, chcąc się dowiedzieć, co się właściwie dzieje, ale wówczas już nigdzie go nie było. Znalazł się na Florydzie... Popatrz, mam tu trochę zdjęć z polaroidu. - Podał Katie cztery lub pięć fotografii rudego grubasa w czerwonych kąpielówkach w kwiatki. - Charlie przy basenie w Kissimmee. Charlie na plaży w St Petersburgu. Wygląda na zadowolonego z siebie, prawda? Przybrał na wadze, co? Oto, co stało się z Charliem. Oszukał mnie i teraz boi się tutaj wracać.

- A Paul?

- Właśnie z jego powodu chciałem się dzisiaj z tobą spotkać, Katie. Właśnie dlatego wybrałem to święte miejsce. No i dlatego, że tutaj nie ma kamer. Poczuję się zdradzony, kiedy Paul przygruchał sobie Geraldine. A jak ty się czujesz? Oboje zostaliśmy zdradzeni, prawda? Niemniej pieprzenie to tylko pieprzenie i zawsze można się po tym dobrze umyć. Ale widzisz, Paul przywłaszczył sobie coś, co należało do mnie, prawie milion funtów, a tego już nie załatwi się wodą i mydłem.

- O co ci chodzi? - zapytała Katie. Była rozzłoszczona i gotowa do działania, ale z drugiej strony czujna. Widziała już wielu funkcjonariuszy Gardy, którzy wpadali w sidła ludzi takich jak Dave

MacSweeny. Rujnowali sobie kariery w zamian za pożyczkę mieszkaniową, nowe bmw albo wakacje na Grań Canaria. Katie nie chciała skończyć w taki sposób. Ojciec nigdy by jej nie wybaczył, a

przecież wstąpiła do An Gardia Sichana przede wszystkim dla niego.

Dave MacSweeny przez chwilę milczał, po czym powiedział:

- Jestem bardzo ugodową osobą, Katie. Nie chcę kłopotów i wiem, że ty też ich sobie nie życzysz. Chcę tylko, żeby Paul przywiózł moje materiały z powrotem do składnicy w Blackpool, wszystkie, żeby nie brakowało ani jednej cegły. Wtedy zapomnę o całym incydencie. Daję mu na to trzy dni. To całkiem rozsądny termin, biorąc pod uwagę ilość materiału, jaką mi zabrał.

- A jeśli tego nie zrobi? Albo nie będzie mógł?

- Z pewnością do twarzy ci będzie w czarnym.

Katie odwróciła się, ale Dave szedł już w kierunku wyjścia. Jego buty na gumowych podszwach skrzypiały na posadzce. Potężny, o szerokich ramionach, w długim, czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, sprawiał wrażenie ducha. Srebrny kolczyk w jego uchu odbijał skąpe światło. Jeszcze przez chwilę siedziała w ławce, odmawiając nowennę do świętej Marty. Obiecała jej, że tak jak matka, będzie w każdy czwartek zapalała dla niej świeczkę. Wreszcie wstała, znów się przeżegnała i wyszła z katedry świętego Finbarra z opuszczoną głową, niczym ktoś odchodzący od grobu po skończonej uroczystości pogrzebowej.

Wrócił jeszcze tej samej nocy, znowu z walizeczką z instrumentami. Była już w przedśmiertnym delirium i nie wiedziała, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Na obu jej nogach nie

było już niemal ani skrawka mięsa, a jej kości lśniły niczym dziwne instrumenty muzyczne wystrugane z kości słoniowej. Jej twarz była niczym pośmiertna maska, lśniąca i szara, z dwoma ciemnymi wydrążeniami na oczy.

- Mamusiu - wyszeptała.

Pochylił się i pogłaskał ją po czole.

- Nie martw się, Fiona. Wkrótce nastąpi koniec.

- Mamusiu, bolą mnie nogi. Bardzo mnie bolą.

- Cicho, nie powinnaś narzekać. Powinna być zadowolona, że poświęcasz swoje ciało w tak doniosłej sprawie.

Niespodziewanie otworzyła szeroko oczy i popatrzyła na niego.

- Kim jesteś - zapytała suchym, chrapliwym głosem.

- Nie mów, że mnie nie rozpoznajesz. Jestem twoim przyjacielem. Twoim najlepszym przyjacielem.

- Wcale nie. Co robisz w mojej sypialni? Przyłożył palec do ust i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Cii... Chyba nie chcemy obudzić reszty domu, prawda?

- Nie wiem, kim jesteś. Co tutaj robisz?

Usiadł na żelaznej ramie łóżka i otworzył walizeczkę z instrumentami.

- Przyszedłem tutaj, żeby zabrać cię w następny etap twojej podróży.

- Bolą mnie nogi. Naprawdę, naprawdę mnie bolą.

- Oczywiście, że cię bolą. Ale niezależnie od tego, jak bardzo cierpisz, pamiętaj, że każdy ból

można zagłuszyć jeszcze większym bólem.

- Najpierw muszę wstać. Muszę się spotkać z mamą.

- Zaczniemy jednak od tego, co najważniejsze. Ciasno zawiązał kawałek nylonowej linki na jej lewym przedramieniu.

- Co robisz? Po co to zawiązujesz? Muszę się spotkać z mamą.

- Pewnego dnia ją spotkasz, obiecuję ci.

Jeszcze mocniej zacisnął linkę, stękając przy tym z wysiłku. Fiona wydała głośnie, żalosne westchnienie, nie można było nazwać tego krzykiem, chociaż pewnie o to jej chodziło. Oprawca zaciskał linkę tak długo, aż niemal całkowicie zniknęła w jej ciele. Wtedy dziewczyna wywróciła oczy

i widoczne były już tylko ich białka, niczym oczy zepsutej lalki.

Przyłożył skalpel i zaczął nacinać okrąg wokół jej przedramienia. W nacięciach natychmiast pojawiła się krew i grubymi strugami popłynęła pod pachy Fiony. Zaczął nucić Bom Dia, Amigo, ale w miarę jak praca stawała się trudniejsza, cichł, aż wreszcie w ogóle zamilkł i tylko marszczył czoło, skoncentrowany na zadaniu. Jedyнным dźwiękiem, jaki rozlegał się w pokoju, był odgłos kropeł krwi spadających na gazety pod łóżkiem.

Paul wrócił dopiero o drugiej trzydziści pięć nad ranem, Katie czekała jednak na niego.

Siedziała w salonie, w zielono-białym, jedwabnym poranniku, z Sierżantem u stóp, i oglądała Vincenta Price'a w The Abominable Dr Phibes.

Paul stanął w drzwiach, lekko się chwiejąc. Rany na jego twarzy zaczynały przybierać kolor czerwony i żółty, nadając mu wygląd małego chłopca, który postanowił zabawić się w klauna, wykorzystując należące do matki przybory do makijażu.

- Co? - zapytał.

Katie wyłączyła dźwięk w telewizorze.

- I ty mnie pytasz „co”? Powiem ci. Miałam dzisiaj bardzo nieprzyjemne spotkanie z twoim

przyjacielem.

Paul wydał z siebie chrapliwy, sardoniczny rechot.

- Niemożliwe. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mam żadnych przyjaciół. Już nie mam.

- Przyjaciel, którego mam na myśli, to Dave MacSweeny. Wcale nie martwi go twoja przygoda z Geraldine Daley. Natomiast bardzo pragnie się dowiedzieć, co się stało z należącymi do niego materiałami budowlanymi wartymi milion funtów.

- Materiałami budowlanymi? A skąd mam wiedzieć?

- Masz wiedzieć, ponieważ sprzedałeś je Charliemu Flynnowi za sześćset pięćdziesiąt tysięcy, a dwadzieścia tysięcy wzięłeś dla siebie.

- Posłuchaj, maleńka. Nic z tego nigdy nie należało do Dave'a. Ukradł to z osiedla w Kilmallock.

- I dlatego miałeś prawo sprzedać to Charliemu Flynnowi?

- Te materiały były już ukradzione, maleńka. Niczego nie można ukraść dwa razy.

- Chryste, Paul, jesteś niemożliwy, naprawdę! Paul wszedł do salonu i ciężko opadł na kanapę.

- Charlie Flynn potrzebował materiałów na budowę, a ja potrzebowałem pieniędzy. Jak myślisz, jakim cudem zapłaciłem w tym roku zaliczkę na podatek?

- Paul, przywłaszczyłeś sobie rzeczy, o których wiedziałeś, że są kradzione, i nielegalnie je sprzedałeś! W jakiej sytuacji mnie stawiasz? Zgodnie z prawem powinnam cię teraz aresztować!

Wiesz, jaki wpływ to będzie miało na moją karierę?

- Nie musisz nikomu o niczym mówić. Katie potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- I pomyśleć, że był czas, kiedy chwaliłam się przed matką, że jesteś najwspanialszym facetem,

jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jak mogę nikomu o niczym nie mówić? To ja prowadzę

poszukiwania Charliego Flynnna! Teraz wiem, gdzie on przebywa, dlaczego tam jest, a ty jesteś w całą

sprawę bezpośrednio zamieszany. Co gorsza, Dave MacSweeny życzy sobie, żeby wszystkie

materiały

natychmiast do niego wróciły, a jeśli nie wrócą, to cię zabije!

- A więc go aresztuj. W końcu to on wszystko ukradł.

- Na miłość boską, Paul, jeśli go aresztuję, to z jakiegoś powodu, a powód ten, dzięki tobie leży teraz na budowie Charliego Flynna. Nie ma mowy, żebyś się z tego wykaraskał, i nie ma też mowy, żebym przeszła przez to, nie podając się do dymisji.

Paul popatrzył na nią zaczerwienionymi oczyma.

- Dymisja? Nie musisz podawać się do dymisji. Dlaczego miałabyś to robić?

- Nie potrafisz wyobrazić sobie nagłówek w gazetach? „Detektyw Maguire żoną mężczyzny, który ukradł cegły za milion funtów”. Kto uwierzy, że ty zajmowałaś się przewalami na miliony, a ja

niczym nie wiedziałam?

Paul nic nie odpowiedział, podszedł natomiast do barku i nalał sobie sporo whisky.

- Uważasz, że to coś pomoże? - zapytała Katie.

- Nie, nie pomoże, ale przynajmniej nie będę tego świadomy.

Pracował już niemal trzy i pół godziny bez przerwy i jego ręce trzęsły się z wysiłku. Usunął ciało z przedramienia dziewczyny i teraz przygotowywał się do oczyszczania kolejnego fragmentu ręki. Wiedział, że najtrudniej będzie z dłonią i palcami, z odcinaniem ostatnich czerwonych skrawków

mięsa ze śródreńca i wszystkich palców.

Wciąż żyła, chociaż jej oddech był bardzo płytki. Wątpił, czy dotrwa do rana. Kiedy tylko umrze, przetnie jej brzuch i zacznie jak najszybciej oczyszczać szkielet, żeby mięso było świeże.

Pomyślał, że najwięcej przyjemności sprawi mu obnażanie jej twarzy, otwieranie nosa, odcinanie tłustej tkanki pod policzkami, systematyczne docieranie do czaszki.

Katie wiedziała, co ryzykuje, jednak podczas bezsennej nocy nie wymyśliła innego wyjścia z sytuacji poza udaniem się prosto do komisarza O'Driscolla, oddaniem mu broni, odznaki i natychmiastową rezygnacją ze służby w Gardzie.

Z Eamonnem Collinsem spotkała się następnego dnia przed południem w pubie Dana Lowery'ego, o jedenastej, jeszcze przed godziną szczytu przypadającą na porę lunchu. „Foxy” ubrany był jak zawsze sztywnie w ciemnozielony blezer, kamizelkę z wielbłądziej wełny i krawat od Hermesa we wzory imitujące strzemiona. Jego goryl, Jerry, siedział w przeciwległym kącie sali, pozerając wielką porcją frytek z taką ilością ketchupu, że można było odnieść wrażenie, iż jego palce uwalane są świeżą krwią.

- Chciałabym, żebyś mi wyświadczył przysługę - powiedziała Katie.

- Przysługę? - powtórzył Eamonn. - A jakąż to przysługę może wyświadczyć facet taki jak ja damie takiej jak ty?

- Mam pewien mały problem, którego nie mogę rozwiązać w zwykły sposób. Widzisz, nie ma dowodów ani szans na to, żeby takowe się znalazły.

- Rozumiem. Chyba nie ma to związku ze szkieletami, co?

Katie potrząsnęła przecząco głową.

- Chodzi o kogoś, kto zabrał coś, co nie należało do niego.

- Rozumiem. Transgresja, co do której nie masz wątpliwości, ale której nie udowodnisz w sądzie, tak?

- Coś w tym rodzaju.

Eamonn wyprostował się i zaczął wyłamywać sobie palce u rąk.

- Co mam z tym zrobić? Ośmielam się też zapytać, co otrzymam w zamian?

- Chciałabym, żebyś złożył wizytę zaangażowanemu w to człowiekowi i powiedział mu, żeby

trochę przystopował, to wszystko.

- Nie wygląda to na uciążliwą robotę. O kogo chodzi?

- O Dave'a MacSweeny'ego. Przywłaszczył sobie jakieś materiały budowlane w Mallow, potem z kolei przywłaszczył je sobie ktoś inny i sprzedał je, a Dave MacSweeny jest z tego powodu trochę niezadowolony.

- Nie dziwię się. Dave nie jest facetem, który łatwo wybacza. Kim jest osobnik, którego mam uchronić przed zemstą Dave'a?

- Nie musisz się tym martwić.

Eamonn popatrzył na Katie szarymi oczyma.

- Ale zdaje się, że bardzo martwi to ciebie, prawda?

- To nie ma żadnego znaczenia. - Katie pragnęła, aby jej serce nie biło teraz tak głośno i szybko.

Eamonn zamyślił się. Przy sąsiednim stoliku Jerry głośno oblizywał palce. Wreszcie Eamonn pochylił się ku Kate i powiedział:

- W porządku, zrobię to dla ciebie. Osobiście wyszeptam kilka słów na ucho Dave'owi MacSwenny'emu. Czy zależy ci, żebym powiedział coś konkretnego?

- Powiedz mu po prostu, żeby zapomniał o materiałach budowlanych i o facecie, który mu je zabrał, ktokolwiek to jest. Jeśli chcesz, możesz mu powiedzieć, że przysłał cię Charlie Flynn.

- Charlie Flynn? Zaskakujesz mnie. Myślałem, że Charlie Flynn pływa już gdzieś w oceanie albo spoczywa w bagnach na Little Island.

- Nie. Charlie wciąż jest wśród żywych.

- A więc w porządku. Do jakiego stopnia mam być natarczywy?

- Po prostu stanowczy.

- Nie ma problemu. Potrafię być stanowczy.

- Będziesz chciał czegoś w zamian. Mogę zamienić oskarżenie Billy'ego Phelana z rozprowadzania narkotyków na ich posiadanie.

- Kiepski to dla mnie interes - stwierdził Eamonn.

- W porządku. Postaram się, żeby oskarżenie upadło.

- To już lepiej. I może twoi ludzie daliby spokój moim na jakiś czas. Na razie zatrzymują ich i przeszukują przy byle okazji. Zatrzymali nawet Jimmy'ego Twomeya, kiedy wychodził z kościoła po mszy za matkę.

- Mogę wam ulżyć na miesiąc lub dwa, ale nie dłużej. W przeciwnym wypadku mój szef zacznie zadawać wścibskie pytania.

- Wścibskie pytania... Nie możemy sobie na nie pozwolić, prawda?

Katie opuściła pub Dana Lowery'ego i wyszła na ulicę, gdzie świeciło bezbarwne, oślepiające słońce. Była zdenerwowana i mdliło ją. Kusilo ją, by wrócić do pubu i powiedzieć Eamonnowi Collinsowi, żeby zapomniał, iż w ogóle z nią rozmawiał. Było już jednak za późno. Wpadła w to po uszy.

Jadąc z powrotem do Gardy, odnosiła wrażenie, że miasto wygląda jakoś inaczej - jakby w ciągu nocy ktoś po-zmieniał w nim wszystkie dekoracje, zamieniając mosty, przenosząc ulice i wymieniając nabrzeża. I rzeczywiście. miasto było inne, a to dlatego, że Katie raz na zawsze zmieniła swoje życie i nie miała już możliwości odwrotu.

Telefon zadzwonił w niedzielę rano o siódmej pięć. Ka-tie sięgnęła do nocnego stolika i wsunęła słuchawkę telefonu aż pod kołdrę.

- Tutaj Dermot O'Driscoll, Katie. Widziałaś już niedzielne gazety?

- Właśnie się obudziłam.

- Wstań więc z łóżka i kup sobie egzemplarz „Sunday Times”. Trzecia strona, nie sposób tego nie zauważyć. Później zadzwoń do mnie do domu.

- Tak, proszę pana.

Wychodząc do kiosku z gazetami, zabrała ze sobą Sierżanta. Był jasny i słoneczny poranek, mimo że przez całą noc padało. Zobaczyła wielki, biały statek wycieczkowy przycumowany do portowego nabrzeża.

Kupiła „Sunday Times” i „Irish News of the World”. Rozłożyła „Timesa” w drodze do domu.

Natychmiast zwolniła i zatrzymała się. Tymczasem Sierżant skakał wokół niej, machając ogonem i ponagłając, aby kontynuowała spacer.

Nagłówek na trzeciej stronie krzychał: „Brytyjscy żołnierze zamordowali jedenaście irlandzkich kobiet!” Poniżej umieszczono fotografię Katie stojącej nad wykopem w Meagher's Farm i kolejną, przedstawiającą siwowłosego mężczyznę, którego Katie spotkała w towarzystwie Eugene'a Ó Beary w

„The Crow Bar”.

Tekst pod zdjęciami opisywał:

„Zagadka sprzed osiemdziesięciu lat dotyczyła zniknięcia jedenastu młodych kobiet z Cork, które zaginęły bez śladu pomiędzy 1915 a 1916 rokiem, została być może rozwiązana przez znanego republikańskiego autora Jacka Devitta. Twierdzi on, że dysponuje dowodami potwierdzającymi, iż kobiety zostały zamordowane przez brytyjskich żołnierzy, w odwecie za zamach

bombowy Fenian.

Jedenaście kobiecych szkieletów odkryto w ubiegłym tygodniu podczas prac budowlanych w Knocknadeenly.

Badania państwowego patologa, doktora Owena Reidy'ego, dowiodły, że ciała ofiar zostały oskrobane do kości przed zakopaniem w ziemi, najprawdopodobniej w celu utrudnienia ich identyfikacji".

Katie czytała dalej, a gazeta furkotała w jej dłoniach na porannym wietrze. Sierżant niecierpliwił się coraz bardziej i zaczynał na nią warczeć. Doczytała jednak artykuł do końca, a nawet kiedy skończyła, nie poruszyła się, zatopiona we własnych myślach.

Według „Timesa” Jack Devitt dotarł do prywatnych listów i raportów policyjnych, z których wynikało, że przed zaginięciem trzy spośród jedenastu kobiet widziane były przez wiarygodnych świadków podczas rozmowy z młodym, wąsatym brytyjskim oficerem, a dwie z nich nawet wsiadły z nim do samochodu. „Nigdy nie udało się stwierdzić, czy oficer działał na podstawie oficjalnych rozkazów, czy też dokonywał osobistej wendety. Śledztwo nie posunęło się jednak daleko i żaden brytyjski żołnierz nie został przesłuchany ani przez policję, ani przez żandarmerię wojskową. Trzy miesiące po ostatnim zniknięciu (Mary Ahern, nad ranem w Wielki Piątek 1916 roku) sprawę oficjalnie uznano za zamkniętą”.

Katie była w stanie zrozumieć, że Eugene Ó Beara i Jack Devitt chcą wycisnąć ze sprawy możliwie jak największe polityczne korzyści, było jednak jasne, że ani oni, ani dziennikarze „Timesa” nie mieli pojęcia o „ozdobach”, które znajdowały się przy szkieletach. Jeśli chodziło o te same kobiety, było zupełnie możliwe, że zamordował je brytyjski oficer, dlaczego jednak brytyjski żołnierz miałby wiercić dziury w kościach udowych ofiar i przywieszać do nich szmaciane lalki? Może miało to jakieś religijne albo polityczne znaczenie? Podczas Buntu Indyjskiego angielscy żołnierze

naszywali na skazanych na śmierć muzułmanów świńskie skóry i dopiero potem ich wieszali, ponieważ według muzułmanów świnie były zwierzętami nieczystymi. Gdyby jednak to, co się stało na

farmie, miało podobny cel, czyli poniżenie Irlandczyków, dlaczego wszystkie te kobiety zostały zamordowane w tak dziwny sposób i pochowane w sekrecie?

Wróciła do domu. Paul wciąż leżał na kanapie w salonie, z głową odchyloną do tyłu, głośno chrapiąc. Patrzyła na niego przez chwilę i uświadomiła sobie, że już go nie kocha. Myśl ta, choć trochę bolesna, w gruncie rzeczy przyniosła jej ulgę.

Zatelefonowała do Dermota O'Driscolla.

- Przepraszam - powiedział, przeżuwając. - Mam usta pełne ciasta.

- Przeczytałam „Timesa”.

- Tak. I co o tym myślisz?

- Wciąż uważam, że dziesiątki pytań pozostały bez odpowiedzi. Nawet jeśli dowody Jack'a Devitta okażą się autentyczne i wiarygodne.

- Być może, ale dziś rano dzwonił do mnie szef i powiedział, że minister sprawiedliwości życzy sobie, abyśmy przerwali śledztwo.

- A co z badaniami profesora O'Briena?

- On także ma z tym skończyć. Minister nie życzy sobie żadnych dalszych działań i komentarzy dla mediów. Sprawy pomiędzy Dublinem i Londynem już i tak wymagają wiele delikatności. Nie należy więc dodatkowo wyciągać z szafy osiemdziesięcioletnich szkieletów.

- Ale, proszę pana...

- Daj sobie z tym spokój, Katie. Ta sprawa nie ma przyszłości. Jak ci idzie z Charliem Flynnem?

- Ja... Aha, chyba do czegoś dotarłam.

- Dobrze. Im szybciej się dowiesz, co się z nim stało, tym lepiej. Może wreszcie ratusz da mi

trochę spokoju.

We wtorkowe popołudnie John Meagher jechał z powrotem na farmę. W pewnej chwili ujrzał mnóstwo wron krążących nad polem w pobliżu Iollan's Wood. Zatrzymał land-rovera i wyszedł, żeby zbadać, co je tak zainteresowało. Przeskoczył przez niski, kamienny murek i poszedł skrótem przez czarne bruzdy.

Wrony bez wątpienia znalazły coś do jedzenia, może martwego lisa albo królika, ponieważ bezustannie krążyły nad jednym miejscem, pikowały w jego kierunku i walczyły pomiędzy sobą. Były tak zajęte, że nawet nie zauważyły nadejścia Johna, i wciąż krążyły i kłóciły się nad ucztą. Tylko kilka niechętnie odleciało, jednak niezbyt daleko.

Wron było tak dużo, że w pierwszej chwili John nie zdawał sobie sprawy, co ma przed oczyma.

W miarę jak podchodził bliżej, stopniowo docierało do niego, że wrony krążą nad poćwiartowanymi ludzkimi zwłokami.

Miał wrażenie, że całe pole usuwa mu się spod stóp. Potknął się i stanął w miejscu. Wreszcie przemógł się, podszedł na tyle blisko, na ile tylko się ośmielił, i wlepił przerażone spojrzenie w „znalezisko”.

Ludzkie kości były całkowicie obrane z mięsa, jeśli nie liczyć kilku szkarłatnych pasemek wokół stawów. Każda kość została pionowo wbita w ziemię, wszystkie tworzyły swego rodzaju ogrodzenie. Na zewnątrz tego ogrodzenia, na kilku mniejszych kościach palców ktoś ustawił ludzką czaszkę. Po obu jej stronach sterczały z ziemi kości udowe.

Obie były u góry przewiercone i z obu zwisały, zawieszzone na cienkich sznurkach, szmaciane laleczki.

Wewnątrz ogrodzenia z kości leżały ludzkie wnętrzności. John rozpoznał podobne do worków płuca, sflaczały żołądek i wciąż rozpoznawalne, świeże mięśnie łydek i przedramion. Kędy stał nad

tym wszystkim, z trudem powstrzymując wymioty, jedna z wron opadła na ziemię, złapała za odcięte ucho i odleciała z nim, ścigana przez kolejne trzy albo cztery przeraźliwie skrzeczące ptaszyska.

Wycofał się na sztywnych nogach. Kiedy dotarł na farmę, Gabriel i młody Finbar wciąż kopali fundamenty pod nową wylęgarnię kurczaków. Widząc zbliżającego się Johna, Gabriel uniósł głowę i wierzchem dłoni otarł nos.

- Co się stało, John?

- Miał miejsce... pewien wypadek.

- Wypadek? Gdzie?

- Wysoko, przy Iollan's Wood. Tam, gdzie latają te wrony. Zostań tutaj, nie chodź tam i w żadnym wypadku nie pozwól tam iść chłopakowi. Ani nikomu innemu.

Wyraz twarzy Johna mówił Gabrielowi, że stało się coś bardzo złego.

- O co chodzi? Czy ktoś nie żyje?

John pokiwał głową, po czym gwałtownie się odwrócił, oparł o ścianę i zwymiotował cały lunch: zupę z ziemniaków i porów i chleb. Gabriel i Finbar patrzyli na niego, nie ruszając się i milcząc, dopóki nie skończył i nie wytarł ust. Jeszcze przez chwilę pluł.

- Mam zawołać gwardzistów? - zapytał Gabriel.

- Poczekaj. Zapisałem gdzieś numer telefonu tej kobiety detektywa. Na razie po prostu miej oko na wszystko.

Zadzwoił do Katie z telefonu komórkowego. Długo nie podnosiła słuchawki, a kiedy wreszcie to zrobiła, okazało się, że bardzo słabo się słyszą.

- Pani nadinspektor? - krzyknął, zatykając palcem drugie ucho. - Mówi John Meagher z Meagher's Farm.

- Przepraszam, nie... Będę za...

- Tu John Meagher. Znalazłem kolejne zwłoki. Następny szkielet.

- Jeszcze jeden szkielet? W tym samym miejscu? Pod spizarnią?

- Nie... na górnym polu. Wygląda na świeży.

- Przepraszam, co pan powiedział? Gdzie? Jestem właśnie... w tunelu Jacka Lyncha. - Rozległo się kilka trzasków, przerwa, po czym głos Katie stał się wyraźniejszy. -Przepraszam, jadę właśnie do Południowego Szpitala. Gdzie pan znalazł ten szkielet?

- Na górnym polu, przy lesie. Ale nie jest taki sam jak poprzednie. Reszta ciała, całe mięso, wciąż tam leży. Wygląda, jakby nie znajdował się tam dłużej niż kilka godzin.

- W porządku. Już tam jadę. Proszę nie podchodzić do tego miejsca, dobrze? Mógłby pan zniszczyć odciski stóp i inne ślady.

- Nie zbliżę się do tego nawet, gdyby chciała mi pani za to zapłacić.

Liam Fennessy odsunął zasłonę z niebieskiego plastiku i wszedł do środka. Przez długą chwilę patrzył na czaszkę, kości i lśniące wnętrzości, po czym potrząsnął głową i powiedział:

- Jezu Chryste.

- Doktor Reidy przyleci jeszcze dziś wieczorem - odezwała się Katie. Wsunęła do ust kolejny miętowy cukierek. - Chce zobaczyć szczątki in situ.

- To kobieta, prawda? Katie pokiwała głową.

- Znaleźliśmy część jej genitaliów i jedną z piersi. Natrafiliśmy też na jej skalp. Miała długie włosy i była naturalną blondynką. Poza tym znaleźliśmy też nietknięte długie płyty ciała z jej pleców.

Mocna skóra wskazuje, że była młodą osobą. Nie potrzeba doktora Reidy'ego, żeby stwierdzić, że była

to mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna. Była ładnie opalona. To albo miejscowy podłotek, świeżo po wakacjach, albo turystka, która przyjechała do Irlandii z jakiegoś ciepłego miejsca.

- Sprawdzam już listę zaginionych - wtrącił Jimmy O'Rourke. Z ust sterczał mu nie zapalony

papieros. - Jeśli jednak była turystką albo autostopowiczką, trudno będzie ustalić jej tożsamość. Wiele

takich panienek znika na całe miesiące, a rodziny wcale się tym nie przejmują.

- Są jakieś znaki szczególne, coś, co ułatwiłoby identyfikację? - zapytał Liam. - Tatuże, ćwieki, kolczyki, wisiorki?

- Żadnych tatuży, ćwieków i, niestety, wrony odleciały z jej uszami. Mamy jednak czaszkę, część nosa i większość mięśni twarzy. Raczej nie będzie trudno odtworzyć jej wygląd.

Liam ukląkł przed jedną z kości udowych i zakłósał szmacianą lalką.

- A to jest, oczywiście, rzecz najbardziej zdumiewająca - powiedziała Katie. - ile się orientuję, nikt oprócz nas nie wiedział o tych laleczkach.

- A ci dwaj faceci, którzy znaleźli szkielety? - zapytał Liam. - A farmer John Meagher? Jego matka?

- Chyba nie myślisz poważnie, że John Meagher powtórzył na swojej farmie morderstwo sprzed osiemdziesięciu lat?

- W tej chwili nie myślę poważnie o niczym. Ale do tej pory nie spotkaliśmy się z żadnymi podaniami ludowymi, które wspominałyby o szmacianych lalkach przyczepionych do kobiecych kości udowych, prawda? Dlatego powinniśmy chyba zakładać, że ktokolwiek popełnił zbrodnię, wiedział o laleczkach, ponieważ był na miejscu, gdzie po raz pierwszy natrafiliśmy na szkielety.

Zdjął okulary w stylu Jamesa Joyce'a i uważniej przyjrzał się kości.

- Na pierwszy rzut oka odnoszę wrażenie, że te otwory zostały wykonane wiertarką elektryczną. Wszystkie poprzednie z pewnością zrobiono innym narzędziem.

- Skonfiskowałam już trzy wiertarki elektryczne z farmy - powiedziała Katie. - Zabrałam także wszystkie wiertła. Dwa komplety wiertel specjalnych plus metalowe pudełko na tabakę z jedenastoma

wiertłami, dwóch brakuje. Aha, i dwie rolki szpagatu.

- Mimo że uważasz, iż John Meagher nie ma z tym nic wspólnego?

- Jestem po prostu dokładna, Liam, to wszystko.

- Co z odciskami stóp? Świeżo zaorane pole jest idealnym miejscem dla ich zabezpieczenia.

- Sporządzamy odlewy. Biorąc jednak pod uwagę sposób, w jaki ułożono zwłoki, jest ich zdumiewająco mało.

- Co chcesz, żebym teraz robił?

- Cóż, zacznij chodzić od domu do domu, od pubu do pubu, zapukaj do każdych drzwi, do każdego pensjonatu w promieniu dziesięciu mil. Pytaj o opaloną dziewczynę o długich blond włosach.

- A ty?

- Muszę porozmawiać z Dermotem. Później złożę oświadczenie dla prasy.

Liam wyprostował się.

- Kluczem do zagadki są szmaciane lalki. Jeśli uda się nam zorientować, co oznaczają, to moim zdaniem dowiemy się, co się tu wydarzyło, dlaczego i kto to zrobił.

Podszedł do nich Jimmy O'Rourke.

- Proszę popatrzeć na to, pani nadinspektor - powiedział. Poprowadził Katie dookoła, na prawą stronę układanki z kości, i wskazał na duży kawał mięsa wycięty z biodra ofiary, pośladka i górnej części uda. Wyglądał niemal jak wieprzowina na pieczeń w lodówce w supermarkecie.

- Niech pani tu spojrzy. Tutaj jest wyraźne wgłębienie wokół uda. Naprawdę głębokie. Ostatni raz widziałem coś takiego, kiedy pewien facet w Douglas wsadził rękę do maszyny drukarskiej. Jego koledzy z całej siły obwiązali mu przedramię, żeby nie wykrwawił się na śmierć.

- Co na tej podstawie wnioskujesz? - zapytała Katie.

- Nie jestem pewien. Dlaczego jednak ktoś miałby zakładać opaskę uciskającą nieboszczykowi?

- Sądzisz, że tej kobiecie odcięto nogę za życia?

- Może nie odcięto. Niech pani popatrzy na kości, są w doskonałym stanie. Żadnej z nich nie przecięto w poprzek.

Katie uważnie popatrzyła na to, co zostało z poćwiartowanego ciała dziewczyny.

- Strasznie to wygląda, prawda? — powiedziała. — Wszystkie mięśnie zostały ponacinane bardzo starannie, powiedziałabym, że ostrożnie. Ktokolwiek to robił, bardzo sprawnie posługiwał się nożem.

- Popytam trochę po szpitalach - wtrącił się Liam. - Nigdy nic nie wiadomo. Może szukamy szalonego chirurga? Przeciwiężstwa doktora Frankenstein.

- Porozmawiaj także z okolicznymi rzeźnikami - zaproponowała Katie.

- Dobry pomysł. Jeden z moich siostrzeńców pracuje dla O'Reillych w English Market. To dzięki niemu kupuję taniej kaszanke.

- W porządku - mruknęła Katie.

Do pracy przystąpili fotografowie i w półmroku zaczęły migać lampy błyskowe. Odwróciła wzrok. Ledwie mogła znieść myśl o tym, jakie cierpienia zadano dziewczynie, zanim umarła. Jej tragiczny los tak ją poruszył, że drżała, wstrząśnięta.

- Proszę - powiedział do niej Liam. Z kieszeni tweedowego płaszcza wyciągnął czystą białą chusteczkę.

- Co? - Katie zmarszczyła czoło.

Liam podał jej chusteczkę, nie zrozumiała jednak, o co mu chodzi, zanim nie wskazał palcami na swoje oczy, uświadamiając jej w ten sposób, że w jej oczach lśnią łzy.

Tego wieczoru Katie poprowadziła na Anglesea Street kolejną konferencją prasową. Salę wypełniało ponad sześćdziesięciu dziennikarzy i operatorów kamer. Przedstawiła im suche fakty: na Meagher's Farm znaleziono ciało nie zidentyfikowanej młodej kobiety. Jej szkielet został dokładnie oczyszczony z mięsa, po czym wszystko ułożono na polu w sposób „sugerujący, że mamy do czynienia z jakimś ceremoniałem bądź rytuałem, lub zachowaniem fetyszystycznym”.

- Czy istnieje jakieś podobieństwo pomiędzy ułożeniem tego szkieletu a ułożeniem poprzednich jedenastu? - zapytał Dougal Cleary z RTE 1.

- Nie. Pierwszych jedenaście szkieletów zostało po prostu zakopanych w ziemi, powiedziałabym, że byle jak. Ten szkielet został starannie ułożony na otwartej przestrzeni razem z oddzielnymi od niego innymi częściami ciała.

- W jaki sposób oddzielnymi?

- Można powiedzieć, że ze znajomością rzeczy. Skalpelem lub nożem.

- Poszukujecie więc kogoś, kto ma wiedzę medyczną i umiejętności chirurga?

- Być może. Dopóki nie otrzymamy od doktora Reidy'ego raportu z autopsji, żadnej możliwości nie wykluczamy.

- Użyła pani słowa „rytuał”. Do jakiego rytuału się pani odnosiła?

- Użyłam tego słowa tylko dlatego, że dziewczyny nie zamordowano gwałtownie, w złości, tylko po to, żeby pozbawić ją życia, i zastosowano jakąś staranną, przemyślaną procedurę. Nie wiemy,

czy ma ona jakieś podłoże religijne lub związane z magią. Współpracuje z nami profesor Gerard O'Brien, badając przede wszystkim ten aspekt sprawy, do tej pory nie natrafił jednak na nic, co pozwoliłoby sposobem prawdopodobny i spójny wyjaśnić tę kwestię.

- A czy ma już jakieś wyjaśnienie niespójne?

- Nic, o czym moglibyśmy teraz sensownie dyskutować.

- Czy to ostatnie morderstwo rzuca cień wątpliwości na teorię Jacka Devitta, że to oficer armii brytyjskiej zamordował kobiety w 1915 roku?

- Niczego nie wykluczamy. Oczywiście, ten sam człowiek nie mógł popełnić dzisiejszego morderstwa. Jedną z przyjętych przez nas teorii zakłada jednak, że obaj mordercy należą do tej samej sekty lub są czcicielami podobnej tajemnej siły. W gruncie rzeczy sprawdzamy każdą teorię, jaka tylko przychodzi nam do głowy.

- Czy to oznacza, że sprawa morderstwa z 1915 roku została ponownie otwarta?

- Musimy... Oczywiście, jeśli rzuci ona światło na dzisiejszą zbrodnię. W jutrzejszych gazetach opublikujemy listę jedenastu kobiet i poprosimy ich krewnych, żeby jak najszybciej skontaktowali się z nami; chcielibyśmy wykonać mitochondrialne testy DNA.

- Rozumiem, że pani osobiście od początku była przeciwna zamykaniu sprawy z 1915 roku?

- Zamordowano dwanaście kobiet i nie potrafimy wyjaśnić dlaczego. Nieważne, kiedy zginęły, nieważne, kim były, jesteśmy im winni przynajmniej odszukanie mordercy.

Tego wieczoru wyszła z centrali Gardy krótko po szóstej i pojechała do Tesco przy Paul Street na zakupy. Chodziła w tę i z powrotem wzdłuż półek z towarami, popychając metalowy wózek i starając się nie myśleć o poćwiartowanych zwłokach. Wiedziała, że jeśli nie pojawią się jakieś nowe

ślady, do następnego dnia nie ma nic do roboty. Poza tym potrzebowała czasu, żeby się uspokoić.

Widziała już zwłoki ludzi, którzy zginęli od strzału w twarz z karabinu. Widywała zwłoki ludzi, którzy utonęli, spłonęli lub zginęli w roztrzaskanych samochodach. Widziała nawet zwłoki osób, które

systematycznie torturowano, przykładając im do ciał rozgrzane do czerwoności pogrzebaczki lub szczypce. Jednak nigdy dotąd nie natrafiła na ciało całkowicie zbezczeszczone, do końca pozbawione ludzkiego kształtu, tak dokładnie i celowo zniszczone. Można było odnieść wrażenie, że chodziło tu

właściwie o kradzież, a nie o morderstwo. Morderca rozerwał ciało na strzępy, systematycznie, kawałek po kawałku, jakby chciał wydrzeć z niego duszę.

Zastanawiała się nad uduszeniem wołowiny w guines-sie na kolację i kupiła trochę marchewki, brukwi i cebuli. Pchając wózek do chłodni z mięsem, poczuła jednak, że oddycha coraz mocniej i gwałtowniej. Przystanęła, chwyciła się mocno ręczki wózka i zamknęła oczy. Na czoło wystąpił jej zimny pot, po chwili lodowate krople potoczyły się jej także po plecach.

- Nic ci nie jest, kochanie? - zapytała jakaś starsza kobieta.

Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą, oświetlone tak jasno jak na miejscu wypadku drogowego, lśniące, brązowe wątróbki, szkarłatne połacie wołowiny i delikatne, kremowożółte fałdy flaków.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. - Tylko że przez chwilę zrobiło mi się słabo. —

Zostawiła wózek i szybko wyszła ze sklepu na ulicę.

Szybkim krokiem szła wzdłuż Care's Lane, kiedy z tyłu dobiegł ją kobiecy głos:

- Katie! Katie McCarthy!

Przystanęła i odwróciła się. Machała do niej niska, pulchna blondynka w zielonym płaszczu. W pierwszej chwili Katie jej nie rozpoznała, ale zaraz ją olśniło.

- Brigid Dennehy! Nie wierzę własnym oczom.

- Jak się masz, Katie? Widziałam cię w telewizji. Jesteś teraz bardzo ważną osobą.

- Brigid! Nie widziałam cię całe lata! Co się z tobą działo?

- Och, nic nadzwyczajnego. Wyszłam za męża, wychowałam dzieci. Przenieśliśmy się do Skibbereen, pewnie dlatego nigdy nie natknęliśmy się na siebie w mieście.

- Masz czas na kawę? - zapytała Katie. - Musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć.

Weszły do kawiarni w Meadows & Byrne, modnym markecie z artykułami gospodarstwa domowego przy Emmet Place. Obie zamówiły cappuccino, a Katie dołożyła do tego dużym kremowym ciastku z syropem malinowym.

- Ja właściwie jestem na diecie! - zaprotestowała Brigid.

- Ja także, ale nie codziennie spotykam dziewczynę, która podpaliła mi warkoczyki w kościele Matki Boskiej Lourdes.

- Tamte czasy wydają mi się dzisiaj zupełnie innym życiem - powiedziała Brigid. Właściwie wyglądała prawie tak samo jak wtedy, kiedy chodziły do szkoły. Była pulchna, lecz ładna, miała piegi i ciemne, kręcone włosy.

W szkolnych latach bezustannie chichotała, była pewna siebie i w każdej chwili skora do żartów. Teraz wyglądała na zmartwioną i zmęczoną, a wśród ciemnych włosów można było zauważyć

siwe pasemka. Mankiety jej płaszcza zaczynały się strzępić, a ciemnozielony pulower z pewnością pamiętał lepsze dni.

- Od ilu lat jesteś zamężna? - zapytała Katie, mieszając kawę łyżeczką.

- Wyszłam za Pata, kiedy tylko skończyłam szkołę.

- Czy to ten sam Pat, z którym chodziłaś już w trzeciej klasie?

- Tak, Pat Murphy. Ten, który zawsze czekał na mnie przy bramie. Zawsze mówiłaś o nim, że ma szyję jak żyrafa.

- Och, przepraszam. Był wysoki i sztywny jak patyk, o ile sobie przypominam.

- Cha, cha, cha! Teraz już taki nie jest. Straciłabyś godzinę, żeby go obejść dookoła.

- Co z dziećmi?

- Dochowaliśmy się szóstki. Dwóch chłopców i czterech dziewczynek. Najstarsze ma siedemnaście lat, a najmłodsze dziewiętnaście miesięcy.

- Cieszę się.

Brigid na moment zamilkła. Wzięła do ręki ciastko, ale zaraz odłożyła je na talerzyk, jakby nie miała apetytu.

- Brigid? - Katie zmarszczyła czoło.

- Nie jest mi łatwo, Katie, jeśli chcesz znać prawdę. Mniej więcej rok temu Pat złamał nogę, naprawiając jakiś dach w Scull. Od tego czasu nie ma pracy.

- Tak mi przykro. Jak sobie radzisz?

- Walczę, żeby nie pójść na dno. Pat jest małomówny, żyje z poczuciem winy, a przecież nie mogę mieć do niego o nic pretensji. Dużo pije...

Katie wyciągnęła rękę i uściśniła uspokajająco dłoń Brigid.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że życie może potoczyć się w takim kierunku - kontynuowała

Brigid. - Miało być tak jak w powieściach o miłości, chyba wiesz. - Nagle przycisnęła dłoń do ust i zaczęła łkać.

- Och, Brigid, chyba nie jest aż tak źle.

- Pat wydaje cały zasilek chorobowy na alkohol. Do późnego wieczora nie ma go w domu, a czasami w ogóle nie wraca na noc. Chciałam z nim o tym porozmawiać, ale traktuje mnie jak powietrze. To teraz zupełnie inny człowiek, nie ten sam, którego poślubiłam. - Jej łzy zaczęły kapać na ciastko. Wyjęła chusteczkę i głośno wydmuchała nos. - Przyjechałam na jakiś czas do siostry. Nie mogłam już dłużej tego znosić, Katie. Po prostu nie mogłam. Wiele myślałam o tobie, zawsze byłaś taka ładna i zapobiegliwa, a ja chciałam być taka jak ty.

- Musisz być silna, Brigid.

- Próbowałam, ale to wszystko jest takie beznadziejne. Czasami mam ochotę rzucić się z mostu do rzeki i pewnie już dawno bym to zrobiła, gdyby nie dzieci.

- Daj spokój, Brigid, nie mów w ten sposób.

Brigid rozwinęła chusteczkę i ponownie wydmuchała nos.

- Na czym polega sekret, Katie? Co mam zrobić, żeby być szczęśliwą?

- Sama chciałabym wiedzieć, Brigid.

- Ale ty przecież jesteś szczęśliwa, prawda? Jesteś mężatką?

- Tak. Poślubiłam Paula Maguire. Nie wiem, czy kiedykolwiek go spotkałaś. Jest... hmm... jak by tu powiedzieć, swego rodzaju deweloperem.

- A ty masz fantastyczną pracę.

Katie miała już powiedzieć Brigid, jak przygnębiająca zazwyczaj monotonna jest jej praca, i o tym, jak straciła całego Seamusa. Brigid patrzyła jednak na nią z takim podziwem, że tylko się uśmiechnęła i pokiwała głową. Brigid ugryzła ciastko. Na górnej wardze pozostało jej hę kremu.

- Wiesz, czuję się trochę lepiej, kiedy pomyślę, że ludzie mogą jednak być szczęśliwi.

- Tak - powiedziała Katie. - Mogą.

Wyjeżdżała właśnie z piętrowego parkingu przy Paul Street, kiedy zadzwonił telefon komórkowy.

- Katie? Tu Liam Fennessy. Jak najszybciej przyjedź na Blarney Road, na skrzyżowanie. To ważne.

- Co się stało?

- Chodzi o twojego starego przyjaciela. Wygląda na to, że ktoś chciał udzielić mu lekcji, której już nigdy nie zapomni.

- Jestem przy Lavitt's Quay. Będę najpóźniej za piętnaście minut.

Przejechała przez rzekę i przyciskając pedał gazu, pognęła na zachód, trzykrotnie przejeżdżając na czerwonym świetle. Skręciła przy ciemnych krzemienych murach Cork Goal i po chwili była już na Blarney Road. Zaczynał padać deszcz, dokuczliwy, nieprzyjemny kapuśniaczek, jaki zwykle Atlantyk przynosi bez ostrzeżenia.

Na skrzyżowaniu stały już dwa wozy patrolowe i zielona vectra Liama. Kiedy Katie zahamowała na poboczu, nadjechał także ambulans, pobłyskując niebieską lampą na dachu.

Do samochodu Katie podszedł umundurowany gwardzista i otworzył jej drzwi.

- Zatelefonował do nas jakiś motocyklista. Wygląda na to, że minęły go całe tuziny samochodów i żaden kierowca go nie zauważył.

Katie zabrała z tylnego siedzenia samochodu żółtą odblaskową kurtkę, narzuciła ją i podążyła do trójkątnego trawnika w miejscu, gdzie Shandon Road łączyła się z Blarney Road. Ustawiona na nim była kapliczka o wysokości człowieka. Przy kapliczce znajdowała się marmurowa rzeźba Chrystusa na krzyżu, rozpaczającej Marii Dziewicy klęczącej na trawie przed krzyżem i Marii Magdaleny spoglądającej w zupełnie innym kierunku.

Przy krzyżu stał Liam Fennessy. Miał postawiony kołnierz płaszcza, a na szklach jego okularów

widoczne były krople deszczu.

- Wisi tutaj przynajmniej od kilku godzin - powiedział. - Czekamy na straż pożarną i ekipę ratowniczą.

Figura Jezusa znajdowała się tylko z jednej strony krzyża. Po drugiej stronie, oświetlony teraz przez liczne reflektory samochodowe, wisiał dobrze zbudowany mężczyzna. Miał na sobie tylko majtki. Cały pokryty był farbą emulsyjną, przez co wyglądał tak, jakby wyrzeźbiono go z kamienia. O tym, że jest to żywa istota, świadczyły tylko ciemne, błyszczące oczy, czerwona linia ust i krew ściekająca spod korony z drutu kolczastego, nałożonej na jego zwisającą głowę.

Na drabinie przed krzyżem stał krzepki gwardzista. Obejmował mężczyznę w pasie, chcąc chociaż w ten sposób trochę mu ulżyć. Oczy ofiary były otwarte. Wpatrywał się gdzieś w dal, przez cały czas nie wydał ani jednego dźwięku.

- Jezu Chryste - jęknęła Katie.

- Porównanie samo się narzuca, to prawda. Ale w rzeczywistości mamy do czynienia z Dave'em MacSweenym.

Katie poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Boże, pomyślała. Nie pozwól, żeby tak właśnie wyglądała „stanowczość” Eamonna Collinsa. W przeciwnym razie Dave MacSweeney nie będzie jedynym, który skończy na krzyżu.

- Możemy go ściągnąć?

- Właśnie w tym celu posłaliśmy po strażaków. Ktoś przymocował go do kamienia pistoletem do wbijania gwoździ. Zanim zobaczymy, jak Dave MacSweeney zdejmowany jest z krzyża, potrzebne będą przyrządy do cięcia śrub.

- Jest przytomny?

- Nie mam pewności. Zapytałem go, kto go tak załatwił, ale nie zareagował.

- Oczy ma otwarte.

- Rzeczywiście. Kiedy jednak, machałem mu dłonią przed oczyma, nawet nie mrugnął.

Katie popatrzyła na trzy małe parterowe domki stojące przy szosie.

- Jacyś świadkowie? - zapytała.

- Dom po prawej jest pusty i czeka na kupca. W środkowym akurat nie ma mieszkańców. A starsza kobieta, która mieszka w ostatnim, jest spanikowana. Poprosiłem 'ją, żeby pożyczyła drabinę, a ona zapytała mnie, czy przy-, szedłem obciąć jej żywopłot. Czy ktokolwiek obcina żywopłot po ciemku, w deszczu i na dodatek w wartym czterysta funtów płaszczu od Johna Magee?

- W porządku. Pozostaje nam zaapelować do mediów. Ktoś musiał przecież coś widzieć.

Chociażby parkującą furgonetkę.

- Furgonetkę?

- Musieli ją mieć. Przecież nie wieźliby przez całe miasto na tylnym siedzeniu samochodu osobowego faceta pomalowanego farbą na biało, prawda? Poza tym potrzebowali kompresora i przynajmniej dwóch drabin, żeby podnieść to cielsko na krzyż.

Katie jeszcze raz popatrzyła na Dave'a MacSweeny'ego. Oczy miał wciąż wzniesione ku niebu.

Deszcz spływał grubymi strugami po jego białej twarzy, przez co można było odnieść wrażenie, że płacze.

Strażacy i ratownicy poświęcili na ściągnięcie Dave'a MacSweeny'ego z krzyża dobre

dwadzieścia minut. Przytrzymujące go śruby okazały się zbyt grube dla jakichkolwiek nożyc i

przecięli je dopiero za pomocą piły tarczowej. Moknąc, Katie obserwowała, jak Dave wisi na krzyżu,

okryty pogniecionym, srebrnym kocem, w plastikowych goglach, otoczony gejzerami

pomarańczowych iskier.

- Bardziej przypomina bożonarodzeniowego indyka niż ukrzyżowanego Chrystusa - zauważył

Liam.

Strażacy ściągnęli go wreszcie na ziemię i położyli na noszach. Katie pochyliła się nad nim i

powiedziała:

- Dave, słyszysz mnie? Dave? Popatrzył na nią, ale milczał.

- Dave, wiesz kto ci to zrobił? Dave! Niemal niezauważalnie skinął głową.

- Kto to był, Dave? Powiesz mi?

Jeden kącik jego ust zadrżał, kiedy próbował się uśmiechnąć.

- Przepraszam, pani nadinspektor - wtrącił się jeden z sanitariuszy. - Naprawdę musimy spieszyc się z nim do szpitala.

- W porządku. - Katie wyprostowała się i pozwoliła sanitariuszom zabrać nosze z Dave'em.

Odwróciła się i pochwyciła spojrzenie Liama. Wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem i malującym się na twarzy skupieniem, jakby coś bardzo go zastanawiało. - O co chodzi? - zapytała.

- O nic. Próbuję zrozumieć, dlaczego ktoś zadał sobie aż tyle trudu i go ukrzyżował. Na pewno nie chcieli go zabić, prawda? Było mało prawdopodobne, że będzie wisiał tutaj nie zauważony tak długo, żeby umrzeć. O co więc chodzi? Czy ktoś chciał mu dać nauczkę?

- Najprawdopodobniej. Wiesz, jaki to kawał gnoja. Mógł nadepnąć na odcisk dziesiątkom ludzi.

- Ale dlaczego został ukrzyżowany? Przecież jego oprawcy podejmowali cholerne ryzyko, wywożąc go tutaj i wieszając na środku drogi. Dlaczego po prostu nie przybili go do kuchennego stołu

w jego własnym domu? To o wiele mniej ryzykowne, a nauczka taka sama.

Przestało padać i Katie zsunęła kaptur kurtki.

- Nie wiem, Liam. Kto może wiedzieć, co się dzieje w umysłach ludzi, którzy decydują się na przybicie kogoś do krzyża? Może mają kompleks Poncjusza Piłata?

Liam otworzył jej drzwi samochodu. Włączył się alarm informujący, że zostawiła włączone światła.

- Z całym szacunkiem, pani nadinspektor, chyba pani tego nie przemyślała.

- Co takiego? - zapytała Katie ostro.

- Skoro przybili go do krzyża na środku drogi, nie zrobili tego tylko po to, żeby go ukarać.

Myślę, że chcieli tę robotę komuś pokazać. Może to było ostrzeżenie?

- Hmm... Masz całkowitą rację - przyznała Katie. - Przepraszam cię, tyle mam teraz na głowie.

Chociażby tę poćwiartowaną kobietę z Meagher's Farm.

- Rozumiem, w porządku. Sam zajmę się tym przypadkiem. Chciałem jedynie, żebyś go zobaczyła, to wszystko.

- Dzięki - powiedziała Katie. - Jakbym nie miała dość odrażających widoków.

Z telefonu komórkowego zadzwoniła do Eamonna Collinsa. Odebrała jakaś kobieta mówiąca z nosowym dublińskim akcentem. W tle Katie słyszała Andy'ego Williamsa śpiewającego Księżycową rzekę.

- Czy Eamonn jest w domu?

- Kto pyta?

- Katie Maguire.

- A kto to taki, Katie Maguire, mogę zapytać?

- Możesz. Detektyw nadinspektor Katie Maguire.

- W porządku. Nie ma powodu się wściekać. Po chwili do telefonu podszedł Eamonn.

- Dobry wieczór, pani nadinspektor. W czym mogę pani pomóc?

- Myślę, że już mi wystarczająco pomogłeś, dziękuję. Do cholery, co ty wyprawiasz? Miałeś zamienić z Dave'em MacSweenym kilka słów na osobności, a nie urządzać przedstawienie!

- Prawdę mówiąc, od tego zacząłem, on jednak wywołał kłótnię. Poza tym obraził moją matkę, nazwał ją... - Nastąpiła chwila ciszy. - Nie mogłem pozostać wobec tego bierny.

- I postanowiłeś go ukrzyżować? Matko Boska, Eamonn, teraz zaczniesz się wielkie śledztwo i napiszą o tym wszystkie gazety. A nie mów mi, że Dave MacSweeney nie opowie wszystkim dookoła,

kto i dlaczego go tak załatwił.

- Och, moim zdaniem tego akurat nie robi, pani nadinspektor. Oprócz kary otrzymał także uczciwe ostrzeżenie. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby jeszcze kiedykolwiek sprawił pani jakiś kłopot.

- Modłę się, żebyś miał rację, Eamonn. Bo jeśli ta sprawa mnie pogrąży, to bądź pewien, że pogrąży także ciebie.

Oczy doktora Reidy'ego były mocno podkrążone, jakby nie spał co najmniej od tygodnia, i czuć było od niego tabaką. Bez słowa podsunął Katie duże pudełko vick's vapor rub. Włożyła do niego palec i ułożyła sobie grubą warstwę tabaki na górnej wardze. Oczy zaczęły jej łzawić, w nosie poczuła

swędzenie, i tak było to jednak lepsze od alternatywy, czyli potężnego kichnięcia.

Doktor Reidy przeprowadził ją przez małe sąsiednie pomieszczenie do głównego laboratorium patologicznego, po drugiej stronie korytarza. Tam, na dwóch stołach sekcyjnych z nierdzewnej stali, na których układano zwłoki do sekcji, spoczywało to, co pozostało z kobiety, której szczątki znalezione zostały w Meagher's Farm.

Szkielet leżał na stole po lewej stronie. Na drugim stole doktor Reidy postarała się ułożyć skórę, mięśnie i wnętrzności dziewczyny mniej więcej w takim porządku, w jakim jeszcze niedawno składały

się na żywą ludzką istotę. Była to jednak luźna, bezkształtna „parodia” młodej dziewczyny, poplamiona, poraniona, uwalana krwią, przypominała raczej puste pudełko po sukni wieczorowej niż kobietę. Mimo to Katie zadziwiła dokładność, z jaką doktor Reidy potrafił to wszystko złożyć.

Podeszła do stołu i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w szczątki. Doktor Reidy tymczasem pilnie porządkował instrumenty i nie przeszkadzał jej w tym.

- Jaka przyczyna śmierci? - zapytała w końcu.

- Najprawdopodobniej szok chirurgiczny, inaczej mówiąc, operacyjny. Spowodowany zanikiem ciekłych elementów krwi.

- A to oznacza, że morderca zdejmował z niej ciało, kiedy żyła?

Doktor Reidy pokiwał głową.

- Przykro mi, ale najprawdopodobniej tak właśnie było. Sądząc po stanie tkanek, mogę powiedzieć, że najpierw usunięto jej ciało z rąk i nóg, a dopiero potem zwyciężyła ją śmierć. To

wyjaśnia głębokie rany na bicepsach i górnych częściach ud. Morderca założył opaski uciskające, żeby nie wykrwawiła się na śmierć, chciał utrzymać ją przy życiu najdłużej, jak tylko było to możliwe.

- Możemy stwierdzić, czy dostała jakieś środki przeciwbólowe?

- W żołądku znalazłem pozostałości aspiryny, ale żadnych innych, mocniejszych środków uśmierzających ból.

- Uważa pan, że mógł to zrobić jakiś chirurg?

- Nie, na pewno nie. Ciało oddzielono od kości całkiem wprawnie, to muszę przyznać, jednak nie jest to robota kogoś, kto miał zawodowe przygotowanie chirurgiczne. Rozmawiamy raczej o utalentowanym rzeźniku.

Katie popatrzyła uważnie na twarz dziewczyny. Brakowało jej części prawego policzka, nie było też oczu, jedynie puste oczodoły.

- Mamy większość jej organów wewnętrznych, brakuje jednak serca - powiedział doktor Reidy.

- Nie potrafię powiedzieć, czy ktoś zabrał je celowo, czy nie.

- Może porwały je wrony?

- Rozumiem, że dotąd nikt się o nią nie upomniał. Katie potrząsnęła przecząco głową.

- Nie ma jednak zmartwienia - kontynuował doktor. - Na podstawie tego, co mamy, doktor

Lambert sporządzi doskonały portret. W tej chwili mogę pani powiedzieć, że ofiara miała pięć stóp i

dziesięć cali wzrostu, cieszyła się dobrym zdrowiem, była sprawna fizycznie i ważyła

prawdopodobnie około stu czterdziestu pięciu funtów. Mówię „prawdopodobnie”, bo brakuje mi kilku

części jej ciała. Była blondynką w wieku od 21 do 24 lat. Jakość pracy jej dentysty każe mi

wnioskować, że była Amerykanką. Prawdę mówiąc, miała wspaniałe uzębienie.

- Coś jeszcze?

- Na przegubach jej rąk i na kostkach nóg są zadrapania, które wskazują, że została zakuta w kajdanki. Jeśli dostarczy mi je pani, będę w stanie dokonać identyfikacji. Na jej pośladkach

natrafiłem

na kilka głębokich śladów o kształcie diamentów. Odgaduję z tego, że zmuszono ją do leżenia przez dłuższy czas na łóżku bez materaca. I znów: jeśli i gdy da mi pani to łóżko, rozpoznanie nie będzie problemem. Powiedziałbym, że chodzi raczej o jakiś starszy mebel, oczywiście dziewczyna tak krwawiła, że sprawca nie był w stanie usunąć z niego grubych plam krwi.

- Kolejna sprawa. Wokół jej ust nie ma żadnego śladu materiałów przyklejonych ani ran, które powstałyby, gdyby ją zakneblowano. Jak pani widzi, skóra wokół ust i nad wargami została zniszczona, kiedy zdzierano ją z twarzy. Nie ma też drobin lateksu czy chociażby materiału z piłki tenisowej pomiędzy zębami, tak więc najprawdopodobniej nie wepchnięto jej także nic do ust, żeby ją uciszyć.

- Nie została zakneblowana? I oprawca ściągał jej na żywca mięso z rąk i nóg, podawszy dla uśmierzenia bólu jedynie trochę aspiryny? Boże, ona musiała przecież strasznie krzyczeć.

- Prawdopodobnie głośno krzyczała - potwierdził doktor Reidy, nawet nie mrugnawszy okiem.

- To znaczy, że trzymano ją w jakimś odizolowanym miejscu, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć.

Albo w pomieszczeniu, z którego nie wydostawały się żadne dźwięki, może w piwnicy?

- Też tak uważam.

- Co z dziurami w kościach udowych?

- Wykonano je stalowym wiertłem numer osiem. Sądzę, że nowym, ponieważ otwory są czyste

i są w nich ślady oleju. Natrafiliśmy na mikroskopijne ślady metalu i powinniśmy móc zidentyfikować

wiertło.

- W porządku. - Katie westchnęła. - Skoro wskazał pan tyle śladów, nie pozostaje mi nic innego, jak złapać to monstrum i aresztować.

Doktor Reidy zakrył stoły białymi płachtami. - Zgadzam się, pani nadinspektor.

Powiedziałbym, że I zrobiłem wszystko co możliwe, aby to pani ułatwić.

O czwartej czterdzieści pięć po południu do drzwi jej gabinetu zastukał Jimmy O'Rourke.

- Szefowo? - powiedział. - Chodzi o ofiarę z Meagher's Farm. Chyba już wiemy, kto to jest.

Podał jej wydruk z poczty elektronicznej zawierający krótki tekst i kolorową fotografię. Katie przyjęła kartkę. Zdziwiła się, że ręka jej drży.

Notkę wysłano wczorajszego dnia o godzinie szóstej wieczorem z biura szeryfa w Santa Barbara, Mission Drive 1745, Solvang, Kalifornia, i adresowano ją do centrali 1 Gardy w Phoenix Park. „Otrzymaliśmy pilną prośbę od państwa Kelly z Paseo Delicias w Solvang z prośbą o ustalenie miejsca pobytu ich córki, która odbywa trzytygodniową wycieczkę autostopem po Irlandii w okolicach Limerick, Kerry i Cork. Panna Kelly kontaktowała się dotąd z rodzicami co dwa-trzy dni, uspokajając ich, że jest zdrowa i cała. Tymczasem...”

Katie popatrzyła na fotografię. Młoda, wesola, jasnowłosa dziewczyna stała na pomalowanej na biało werandzie i uśmiechała się do obiektywu.

„Fiona ma 22 lata, mierzy 5 stóp i 10 cali, waży 147 funtów. Najprawdopodobniej była ubrana w niebieskie dzinsy i granatową wiatrówkę z turkusowymi paskami z przodu. Miała ze sobą granatowy plecak firmy Nike”.

- Cholera jasna - westchnęła Katie.

O dziewiątej dwadzieścia pięć wieczorem Katie rozmawiała przez telefon z zastępcą szefa, Fredem Olguinem, z biura szeryfa w Santa Barbara.

- Już na wstępie chcę pana uprzedzić, że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Ofiarą jest młoda blondynka, która może się okazać Amerykanką.

- Rozumiem i przykro mi to słyszeć. Naturalnie na razie nie powiem nic państwu Kelly. Są jednak bardzo zaniepokojeni. Wygląda na to, że Fiona telefonowała do nich niemal każdego popołudnia.

- Chciałabym znać wszystkie miejsca, z których Fiona telefonowała do domu od dnia przybycia do Irlandii. A jeśli to niemożliwe, to listę numerów telefonicznych.

- Zdobędę dla pani te informacje, niech się pani nic martwi.

Lista dotarła pocztą elektroniczną zaledwie dwadzieścia minut później wraz z planem, na którym państwo Kelly starannie zaznaczyli trasę podróży córki, kreśląc krzyżyki w różnych miejscach mapy Irlandii.

Katie poprosiła Liama, żeby skontaktował się z posterunkiem celnym w Shannon oraz posterunkami Gardy w Limerick, Killarney i Bandon. W ciągu godziny uzyskała stosunkowo szczegółowy obraz trasy Fiony od dnia, kiedy wysiadła z samolotu, który przyleciał z Los Angeles.

O siódmej pięćdziesiąt rano następnego dnia do gabinetu Katie wszedł Dermot O'Driscoll. W jednej ręce trzymał kanapkę z szynką, a w drugiej kubek z gorącą kawą. Zapytał, jak postępuje śledztwo.

Katie ruchem głowy wskazała na mapę i przypiętą obok fotografię Fiony.

- Niestety, mam przecucie, że to właśnie jest nasza ofiara.

- A więc Amerykanka? Nie Irlandka?

- Jej przodkowie pochodzą stąd.

Poprzedniego wieczoru gwardziści zatelefonowali do wszystkich siedmiu hoteli i pensjonatów oferujących nocleg ze śniadaniem, w których Fiona spędzała noce. Dokładnie wypytano wszystkie gospodynie. Niemal każda powiedziała o niej: „słodziutka, przyjazna, ufna”. Pani Rooney z „The Atlantic Hotel” w Dingle stwierdziła:

- Była tak niewinna i naiwna, że muszę to przyznać, trochę się o tę dziewczynę bałam.

Podróżowanie autostopem nie jest już takie bezpieczne jak w czasach, kiedy ja byłam młoda.

Ostatni telefon do rodziców Fiona wykonała z pensjonatu „The Golden Shamrock” w Ballyvourney, niedaleko Macroom, niecałą godzinę jazdy z Cork.

O godzinie ósmej rano gwardzista John Buckley z MacKroom rozmawiał z Denisem

Henessym, który prowadził desk przy głównej drodze do Cork. Pakował stare gazety, riedy zobaczył

Fionę machającą na przejeżdżające samochody tuż przed jego kioskiem.

- Nie zapomina się takiej dziewczyny, wie pan? Wyglądała jak któraś z tych panienek ze

Słonecznego patrolu. W końcu zatrzymał się jakiś jasnoniebieski pick-up i ją zabrał. Z tyłu na karoserii miał napisane „C&J Donoghue Builders”.

O jedenastej dwadzieścia pięć przed południem detektyw gwardzista Patrick O'Sullivan dotarł do Cona i Jimmy'ego Donoghue, którzy prowadzili firmę budowlaną w Mallow, dwadzieścia mil na północ od Cork. Obecnie remontowali rząd starych wiktoriańskich chat niedaleko Cecilstown.

Pamiętali, że zatrzymali się, by zabrać Fionę przed Macroom, i zaoferowali, że podwiozą ją aż do pubu „The Angler's Rest”, kilka mil na południe od Blarney.

- Chyba nic się jej nie stało, co? Była śliczna jak anioł.

- Powiedziała, dokąd chce dotrzeć?

- Tak, oczywiście. Miała zamiar pocałować Kamień z Blarney. Ciągle sobie z niego żartowała.

Patrick zadzwonił do Katie z telefonu komórkowego.

- Zostań tam - postanowiła Katie. - Porozmawiaj z gospodarzem „The Angler's Rest” i klientami. Może ktoś ją widział? Zaraz do ciebie dołączę.

Jesienne słońce raziło ją we wstecznym lusterku, kiedy długą, prostą drogą jechała z Cork na zachód, w kierunku „The Angler's Rest”. Większość liści poopadała już z drzew i w krajobrazie dominował kolor pomarańczowy i żółty. Chwilami Katie odnosiła wrażenie, że patrzy na zewnątrz przez szybę pokrytą plamami rdzy.

Patrick czekał na nią na parkingu przy pubie. Kołnierz płaszcza miał wysoko podniesiony, z jego ust, kiedy mówił do Katie, ulatywała para.

- Rozmawiałeś z gospodarzem? - zapytała Katie, wysiadając z samochodu.

- Niczego nie widział, natrafiłem jednak na faceta, który może coś wiedzieć.

Facet siedział przy barze z kwartą beamisha i szklanką whisky przed sobą. Miał małą, czerwoną twarz i zadziwiająco płaski czubek głowy. Zdawało się, że można by na niej postawić talerz i kubek. Ubrany był w brudną, kiedyś brązową marynarkę i równie brudne spodnie od innego garnituru, dawniej ciemnoniebieskie.

- Jak się pan nazywa? - zapytała go Katie.

- Ricky Looney. Tak samo jak mój ojciec.

W piecyku trząsał ogień, a wszyscy pijacy z „The Angler's Rest” wpatrywali się w Katie z bezczelną, nie skrywaną ciekawością.

- Cóż, Ricky, ja nazywam się Katie Maguire. - Wyciągnęła fotografię Fiony i podsunęła mu ją przed oczy. - Detektyw O'Sullivan powiedział mi, że widziałeś tę dziewczynę.

- Tak, widziałem.

- Czy pamiętasz, jaki to był dzień?

- Niedokładnie, ale w tym dniu juniorzy z Cork przegrali w hurlingu z Killarney.

- Czwartek - wtrącił Patrick.

- Tak. Ma pan rację. To był dzień przed piątkiem.

- Czy siedział pan tutaj, kiedy ją pan zobaczył? - zapytała Katie.

- Owszem, tak.

- Gdzie pan ją widział?

- Za oknem, po drugiej stronie drogi. Nadszedł ten niebieski pick-up, a ona z niego wysiadła i przeszła przez szosę. Patrzyłem na nią, jak podnosi w górę kciuk, żeby ktoś zabrał ją dalej, wie pani...

- I ktoś ją zabrał?

- O, tak. Ledwie po minucie lub dwóch zajechał duży, czarny samochód, wskoczyła do niego i już jej nie było.

- Wie pan, jakiej marki był ten samochód?
 - Powiedziałbym, że mercedes. Z przodu świeciło się tylko jedno światło.
 - Zauważył pan numery rejestracyjne? Ricky Looney potrząsnął przecząco głową.
 - Jego tablice były z tyłu grubo uwalane błotem. Tak jakby ktoś jechał tym autem przez pole.
- Nakazała przez telefon, aby zatrzymywano na drogach wszystkie ciemne mercedesy, a kierowców wypytywano o to, co robili w czwartek w ubiegłym tygodniu. Wkrótce zadzwonił Dermot O'Driscoll, niezadowolony.
- Na jutro zapowiadany jest strajk kierowców ciężarówek. Zablokują tunel Johna Lyncha. Jeśli ty z kolei będziesz zatrzymywać na drogach każdego ciemnego mercedesa, nastąpi kompletny chaos!
 - Jadę właśnie do Blarney, sir. Później się z panem skontaktuję.
 - Katie, masz wrócić przed piątą. Zwołałem kolejną konferencję prasową.
 - Jestem pewna, że da pan sobie radę z dziennikarzami. Wie pan tyle co ja.
 - Katie...
 - Przepraszam, sir. Bardzo źle pana słyszę.

Katie zajechała z Patrickiem O'Sullivanem do wioski Blarney i zaparkowała auto przed zamkiem. Blarney, choć ośrodek turystyczny, było małą wioską z supermarketem, dwoma wielkimi pubami, które latem obsługiwały tysiące zagranicznych turystów, i sklepem z pamiątkami sprzedającym koszulki z reklamą guinnessa, breloczki do kluczy oraz kryształowe puchary z Waterford po siedemdziesiąt pięć funtów sztuka. Jednak tego popołudnia Blarney wyglądało jak wymarłe, a na wielkim parkingu stał zaledwie jeden samochód.

Katie podeszła do kasy biletowej przy zamku i pokazała kasjerce fotografię Fiony. Kobieta w budce pokręciła przecząco głową.

- Nie kochana. Przykro mi... Nawet jeśli była tutaj nie rozpoznałabym jej. Codziennie widzę tyle twarzy, same twarze, jedną po drugiej.

Poszli przez park w kierunku zamku. Na jednym z drewnianych mostków robili sobie zdjęcia roześmiani turyści z Japonii, chcąc koniecznie uchwycić obiektywami widoczne w wodzie setki drobnych monet, które wrzucali tu odwiedzający w nadziei, że to przyniesie im szczęście.

Kiedy jednak minęli grupę Japończyków, dalej trawniki i ścieżki były już ciche i puste. Słońce zachodziło, słychać było tylko skrzeczenie wron. Wspięli się po schodach wiodących do wejścia piętnastowiecznej wieży, a kiedy znaleźli się przy nim, Katie powiedziała:

- Dosyć, Patrick. Na górę pójdziesz sam. Nikt nie namówi mnie na wspinaczkę po czterystu stopniach. Nie zrobię tego nawet z poczucia obowiązku.

Stała przy sklepie z pamiątkami, czekając na powrót Patricka. Wreszcie wrócił, zdyszany i spocony mimo przejmującego chłodu.

- Nie spieszyłeś się - zbesztła go.

- Rozmawiałem z fotografami - wysapał. - Nie pamiętają, żeby dziewczyna podobna do Fiony całowała Kamień z Blarney w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Dadzą mi jednak po jednym egzemplarzu każdej fotografii, jaką wykonali od ostatniej środy. Sami powiedzieli, że trudno wyobrazić sobie młodą Amerykankę, która by się tutaj przywlokła zupełnie sama i nie kazała sobie zrobić zdjęcia, żeby przesłać je do domu, do rodziców.

- W porządku, Patrick. Dobra robota. Dopilnuj tylko, żeby przysłali ci te fotografie jak najszybciej. Mam jednak wrażenie, że ona w ogóle tutaj nie dotarła.

- Ciemny mercedes?

- To więcej niż prawdopodobne. Od „The Angler's Rest” do centrum Blarney jest tylko sześć kilometrów. Nie powiesz mi, że znalazłby się kierowca, który nie chciałby jej podwieźć na samo miejsce.

- Zatem wywiózł ją do Knocknadeenly, związał i zabił.

- Na to wygląda, prawda? Zabrał ją w jakieś miejsce na odludziu. Do chaty, może do stodoły?

Moim zdaniem do jakiejś chaty na uboczu. Nie mógł jej torturować i zrobić tego wszystkiego, co zrobił, w ciągu jednej nocy. Musiał gdzieś odpoczywać, spać, coś jeść. Zapewne dysponował | chatą z

przynajmniej dwoma pokojami. Zorientuj się u agentów w Cork, Mallow i Fermoy, czy mają lub ostatnio mieli oferty sprzedaży albo wynajmu takich domów.

- Coś jeszcze?

- Tak. Chcę, żeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obserwowano Meagher's Farm.

Poza tym na jutro rano ma być gotowych przynajmniej sześć samochodów patrolowych. Należy odwiedzić wszystkie budynki w Ballyhooly, Glanworth, Killavullen i Castletownroche. Przejechać każdą boczną drogę i zatrzymać się przy każdej farmie, chacie i w ogóle przy każdym budynku, bez wyjątku. I wszystkie je posprawdzać. Ktokolwiek zamordował tę dziewczynę, musi za to odpowiedzieć, Patrick, i to szybko. Patrick jeszcze przez chwilę notował polecenia Katie tęym ołówkiem HB, po czym zatrzaskał notes i powiedział:

— W porządku. Przepraszam, ale od czego mam zacząć?

Kiedy wróciła na Anglesea Street, czekała na nią wiadomość. Na ekranie komputera pojawił się bukiet róż i podpis: „Przepraszam cię, Katie. Czasami zachowuję się jak palant. Kocham cię z całego serca. Paul”.

Patrzyła przez chwilę na notatkę, po czym wymazała ją. Nie chciała już myśleć o Paulu. O

wiele łatwiej będzie nie kochać go, jeśli on nie będzie usiłował udawać, że ich małżeństwo wciąż dla

niego coś znaczy. Poczula się trochę spokojniejsza, pogodzona ze sobą, jakby właśnie słusznie ukarała

Paula za utratę malutkiego Seamusa.

Może wyznaczenie pokuty było słusznym działaniem, właściwym katolikom? A może poczuła

taką samą ulgę, jakiej doznawało zadziwiająco wielu morderców po nałożeniu na ich ręce kajdanek?

Doktor Reidy zatelefonował do Katie w środę rano, krótko po godzinie dziesiątej trzydzieści, i powiedział:

- Naszą ofiarą jest Fiona Kelly, nie mam cienia wątpliwości.

- Jest pan absolutnie pewien?

- Tak, tak. Dane od dentysty doskonale pasują.

- W porządku. Ma pan coś jeszcze?

- Nie w tej chwili. Teraz jadę do Hayfield Manor, żeby zjeść spóźnione śniadanie. Trudno mi prowadzić sekcję, kiedy jestem głodny. Przy okazji, jak nazywa się ta włoska restauracja, którą mi pani polecała? Pomyślałem, że mógłbym pójść tam dzisiaj wieczorem.

- „Florentino's”. W połowie Carey's Lane.

Katie odłożyła słuchawkę. Jeszcze dziś po południu mieli przylecieć do Irlandii rodzice Fiony, chociaż Katie ostrzegła szefa Olguina, że nawet jeśli ciało należało do Fiony, nie będzie mowy o tym, by mogli je zobaczyć. Przypomniała sobie Seamusa leżącego w małej, białej trumnie. Jej ukochany chłopiec wyglądał tak ładnie, tak doskonale, że niemal czekała, aż otworzy oczy i uśmiechnie się do niej.

Krótko przed lunchem wszedł do jej gabinetu Jimmy O'Rourke z wykonanymi w skali jeden do jeden fotografiami ponad dwudziestu kompletnych i częściowych odcisków obuwia z pola, na którym znaleziono zwłoki Fiony. Zostawił je ktoś w męskich gumowych butach noszący dziesiąty rozmiar.

Natychmiast wysłała w teren pięciu gwardzistów z zadaniem sprawdzenia każdego sklepu z obuwem i odzieżą męską w Cork. Przed piątą wrócili z parą butów marki Primark, sprzedawanych wyłącznie w

Penney, dużym sklepie na Patrick Street. Od dnia, kiedy pojawiły się w sprzedaży, to jest od dwunastego października, Penney's sprzedał dwadzieścia siedem par tych butów. Jedenastu klientów

można było odszukać, ponieważ zapłacili kartami kredytowymi, reszta jednak płaciła za buty gotówką. Kosztowały w końcu tylko 7.99 funta.

Katie wysłała zespół, żeby sprawdził jedenastu klientów, których można było znaleźć, miała jednak niewielką nadzieję, że zabójca znajduje się wśród nich. Chyba, że c h c i a ł zostać schwytany.

O dziesiątej trzydzieści pięć wieczorem przybyli technicy z informacją o śladach opon, znalezionych na błotnistym poboczu przy wjeździe na teren Meagher's Farm. Kiedy zabójca układał ciało Fiony na polu, noc była akurat sucha, dlatego na asfalcie wiodącej do zabudowań farmy nie natrafiono na żadne szczególne ślady. Jednak sprawca prawdopodobnie prowadził samochód z wyłączonymi światłami i pewnie z tego powodu skręcił w bramę zbyt ostro, i pozostawiając na ziemi trójkątny ślad o szerokości 66 milimetrów i długości 37 milimetrów. Ślad od razu sprawdzono w bazie danych w Dublinie i okazało się, że pochodzi z opony contitouring contact XH95, na wszystkie pory roku, wzmocnionej stalowymi pasami, radialnej, rozmiaru 215/55R16. Wśród wielu innych pojazdów w takie opony wyposażony był także każdy mercedes-benz klasy E sprzedawany w salonach dealerów.

Przeszukiwanie chat i zabudowań gospodarczych na obszarze Knocknadeenly było jak dotąd bezowocne, chociaż pewien gwardzista odkrył w szopie w Ballynoe nielegalną gorzelnię i siedemset napełnionych już butelek. Inny natrafił w Templemichael na skradzioną koparkę ukrytą pod belami siana. Alkohol skonfiskowano, właścicielowi koparki wskazano miejsce, w którym powinien jej szukać, jednak nikt nie został aresztowany. Katie była potrzebna współpraca ze strony wszystkich ludzi w okolicy.

Wróciła do domu dopiero w czwartek, grubo po północy. Kiedy zdjęła płaszcz, usłyszała wrzaski i okrzyki dobiegające z sypialni. Cóż, Paul znów zasnął przed telewizorem. Poszła do kuchni i

włączyła światło. Sierżant popatrzył na nią z wyrzutem ze swego kosza i głośno ziewnął.

Przygotowała sobie kubek herbaty i usiadła przy kuchennym stole, chcąc ją wypić. W głowie kłębiło się jej zbyt wiele myśli, by mogła iść do łóżka. Od porwania Fiony minął tydzień i jej zabójca

mógł opuścić Irlandię następnego dnia po tym, jak porzucił zwłoki na polu Meaghera. Tymczasem Katie czuła, że wciąż jest bardzo blisko, jakby nadal miał przed sobą jakieś zadanie, które musi dokończyć. Było to tylko jej przeczucie, nic więcej, prawdopodobnie wzmocnione przez zmęczenie i desperacką potrzebę podtrzymania w sobie wiary, że go znajdzie.

W końcu, o drugiej trzydziści sześć nad ranem, wylała resztę herbaty do zlewu, zgasiła światło w kuchni i poszła po schodach do sypialni. Sierżant z pomrukiem zadowolenia wygodniej ułożył się w koszu.

27

Dotarła do pracy dopiero o dziesiątej dwadzieścia pięć. Nastawiła co prawda budzik na siódmą trzydziści, ale kiedy dzwonił, śniła akurat o matce. W jej śnie był ciepły sierpniowy dzień, błękitne niebo i obłoki nad Atlantykiem, a ona znajdowała się w ogrodzie i właśnie mówiła mamie, że spodziewa się dziecka. Ptaki ćwierkały, liście łagodnie szeleściły poruszone lekkim wiatrem. Matka zmarszczyła czoło i zapytała:

— Jeszcze jednego dziecka czy tego, które zmarło?

Gwałtownie usiadła na łóżku. Była spocona. Popatrzyła na zegar i w pierwszej chwili nie uwierzyła, że jest już siedem po dziewiątej. Paul wciąż spał z głową głęboko schowaną w poduszce. Chrapał wysokim, jakby złowróżbnym charkotem.

Ubrała się szybko, rozdierając paznokciem nowe czarne pończochy. Zdażyła przełknąć pół szklanki soku pomarańczowego i wyskoczyła z domu, nie umywszy nawet zębów. Kiedy zbliżała się do Cork, zorientowała się, że główna droga zakorkowana jest przez sznur samochodów o długości co

najmniej półtora mili. Tunel Jacka Lyncha zatarasowany był przez strajkujących kierowców ciężarówek, z kolei naprzeciwko hotelu „Silver Springs” znajdował się punkt kontrolny, na którym czterech gwardzistów zatrzymywało każdego ciemnego mercedesa. Kiedy dotarła do tego miejsca, jeden z gwardzistów zasalutował jej ironicznie.

- Przepraszam za utrudnienia w ruchu, pani nadinspektor.

Zaczęło padać.

Liam i Jimmy już na nią czekali w jej gabinecie, gapiąc się przez okno.

- Założę się o dziesięć funtów, że ustrzeliłbym ze trzy ; spośród tych wron, zanim reszta by odleciała - powiedział Liam.

- Z całym szacunkiem - odparł Jimmy - założę się o dwadzieścia funtów, że nie trafiłbyś nawet w ten pieprzony parking.

Katie weszła do środka i zdjęła płaszcz.

- Nigdy nie próbujcie ingerować w złowróżbne znaki - odezwała się ostro, nawiązując do ich wymiany zdań.

Jimmy popatrzył na Liama i ze zdziwieniem zmarszczył brwi, jednak żaden z nich się nie odezwał.

- Na czym stoimy, Jimmy? - zapytała, siadając przy biurku i włączając komputer. - Jakież nowe wieści z Dublina?

- Nic, jak dotąd. Mieliśmy jednak trochę szczęścia z tymi zaginionymi kobietami z 1915 roku. -

Otworzył notes i zaczął czytać: - Pewna dama z Bishopstown zatelefonowała, żeby powiedzieć, iż pani Betty Hickey, która zaginęła w 1915 roku w Glemdlle, była jej babcią. Jakiś facet z Ballyvolane twierdzi, że jego prababcią była pani Mary O'Donovan. Oboje chętnie zjawią się w szpitalu, żeby można było pobrać próbki do badań DNA. Jeżeli zapłacimy za taksówkę.

- No cóż, to jest już coś. Czy wiemy, kiedy przylecą rodzice Fiony Kelly?

- Lądują w Dublinie jutro rano, o siódmej trzydzieści odparł Liam. Nie martw się, zacząłem już przygotowania i do ich przyjęcia. Aha, telefonował do ciebie profesor O'Brien.

Powiedział, że zadzwoni później.

- O Boże.

- Stwierdził, że ma ci coś do powiedzenia. Coś fascynującego, tak się wyraził, ale nie tak znowu niesłuchanie pilnego.

- Dzięki, Liam.

- Zorganizowaliśmy dzisiaj punkty kontrolne - powiedział Jimmy - i zatrzymujemy wszystkie czarne i ciemne mercedesy. Zdaje się, że sama przejechałaś przez jeden z punktów, prawda? Dotąd nic

jeszcze nie mamy, spisujemy jednak nazwiska i adresy kierowców, żeby później ich posprawdzać.

Zbieramy też błoto z przednich opon.

- Dobrze. Mam nadzieję, że nasz pan i władca nie narzekał za bardzo na utrudnienia w ruchu.

- Oczywiście, że narzekał. Ale na tym chyba polega jego praca - na bezustannym narzekaniu.

Katie nacisnęła guziczek na telefonie i po chwili poprosiła operatorkę z centrali o połączenie jej z doktorem Reidym. Czekając, szybko przerzuciła poranną korespondencję. Były tam między innymi dwa listy z okolicznych szkół z prośbami o przeprowadzenie pogadarek na temat swej kariery. W tej chwili miała dla dziewcząt tylko jedną radę: nigdy nie zostawajcie gwardzistkami, bądźcie pielęgniarzkami.

Liam usiadł na skraju biurka i powiedział:

- Tak przy okazji, mamy pewien postęp w sprawie ukrzyżowania.

- Naprawdę? - zapytała Katie, nie unosząc głowy.

- Pistolet do gwoździ i kompresor ukradziono ze sklepu z modną odzieżą, który remontują, naprzeciwko poczty. Kradzież została zgłoszona wczoraj rano. Robotnicy, którzy przyszli do pracy, zaczęli dzień właśnie od tego.

- Oczywiście, nikt niczego nie widział i nie słyszał?

- Dotąd nie znaleźliśmy żadnego naocznego świadka. Jednak do kradzieży musiało dojść krótko po czwartej po południu, kiedy robotnicy skończyli pracę. Wieczorami zawsze kręci się mnóstwo ludzi, mam więc pewną nadzieję.

- Dobrze. Nie marnujcie jednak na to zbyt dużo czasu, zgoda? Ktokolwiek to zrobił, Dave MacSweeny na to zasłużył. Nawet mnie nie interesuje, co było motywem jego oprawców.

- Jak sobie życzysz. Jednak Jezus Chrystus wystawiony został na ciężką próbę.

Zaterkotał telefon. W słuchawce odezwał się doktor Reidy. Katie obróciła się na obrotowym krześle. Miała też doskonały widok na wrony siedzące na dachu parkingu. Zdawało się, że dzisiaj jest

ich jeszcze więcej niż zwykle, f skłóconych pomiędzy sobą i rozdrażnionych.

- Pani nadinspektor! - krzyknął doktor. Jego głos brzmiał tak, jakby akurat szedł długim, odbijającym echo korytarzem. - Mam pani do przekazania tylko jedną ważną wiadomość, oprócz informacji o niesmacznych małżach, na które natrafiłem w moim steku z owocami morza wczoraj 'wieczorem. Następnym razem niech pani swoje rekomendacje dotyczące restauracji zachowa dla siebie. To miejsce ima wystrój futurystycznego szaletu publicznego, a żarcie rodem z dziewiętnastowiecznej garkuchni.

- Przykro mi, doktorze Reidy. Kiedy jadłam tam ostatnim razem, bardzo mi smakowało. Mam nadzieję, że się pan nie rozchorował.

- Nie ja, moja droga. Na ćwierć mili wyczuwam zgniliznę.

- Jaka to ważna wiadomość, którą chce mi pan przekazać?

- Ach, racja! Fiona Kelly nie została zgwałcona. Oczywiście zwłoki są w takim stanie, że praktycznie nie mogę powiedzieć, czy zastosowano wobec niej jakikolwiek inny rodzaj przemocy. Jednak tkanki w jej waginie i odbycie nie noszą śladów wymuszonej penetracji, a promienie ultrafioletowe nie wykazały w jej ciele obecności nasienia.

- Rozumiem. Czy napastnik pozostawił jakiegokolwiek ślady umożliwiające zbadanie DNA?
- Nic, na co byśmy do tej pory natrafili. Żadnych włosów, żadnych komórek skórnych ani krwi nie należącej do ofiary, także żadnej śliny ani w ogóle innych wydzielin obcego organizmu. Chciałbym powiedzieć, że nie powinno to być dla nas wielkim zaskoczeniem, zważywszy na stan szczątków, jednak nie rozpaczajmy przedwcześnie. Badamy ją milimetr po milimetrze i kto wie, czym jeszcze nasza dociekliwość zostanie wynagrodzona.
- W każdym razie nic nie wskazuje na to, że zabójca działał na tle seksualnym?
- Hmm... Z seksem bywa różnie. Pamiętam pewnego faceta z Ballybunion, który zabawiał się, dusząc kobiety świeżo złowionymi makrelami. Jednak nie penetrował ich. Nigdy nawet nie ściągnął spodni z tyłka.
- W porządku, doktorze. Dziękuję. Przy okazji, wygląda na to, że odnaleźliśmy potomków w linii prostej dwóch spośród jedenastu kobiet zaginionych w 1915 roku. Sierżant O'Rourke skontaktuje się z panem w sprawie poddania ich testom.
- Ach, te cuda współczesnej medycyny sądowej! Co wy, biedni gliniarze, zrobilibyście bez nich? Jest już pani bliżej złapania tego monstrum?
- Powoli posuwamy się naprzód. Fionę Kelly widziano w okolicach Blarney, dość dokładnie nam ją opisano. Pozostaje nam rutynowa robota: krążenie od drzwi do drzwi i wypytywanie ludzi.
- Wie pani co, moja droga? Byłaby pani doskonałą gospodynią domową. Jeśli któregoś dnia znudzi się pani tropieniem ludzi, u mnie czeka na panią zajęcie, obiecuję.
- Nie odpowiadając, Katie odłożyła słuchawkę.
- No i co? - zapytał Liam.
- Nie zgwałcono jej i nie ma żadnych widocznych śladów molestowania seksualnego.
- Czy to nie jest zbyt pochopne stwierdzenie? Tym bardziej że z ofiary pozostały właściwie tylko poobgryzane żebra.

- Ona była dwudziestodwuletnią dziewczyną, Liam. Miała przed sobą całe życie.

Liam popatrzył na nią spod oka. Katie, podobnie jak on sam, nigdy nie żartowała ze zbrodni, rzadko jednak bywała tak zasadnicza.

Wstała i obeszła biurko.

- To, co morderca jej zrobił, mogło mieć podłoże seksualne. Ale Owen Reidy nie jest głupcem.

Uważam, że powinniśmy skoncentrować uwagę na ustaleniu, w jakiego rodzaju obrzędzie „uczestniczyła” Fiona Kelly.

- W tej sytuacji może jednak oddzwonisz do Gerarda O'Briena?

- Tak, chyba powinnam to zrobić.

Liam uśmiechnął się i klepnął ją w ramię.

- Profesor O'Brien bardzo cię lubi, wiesz? Mogłaś trafić gorzej.

Para unosząca się znad filiżanki z kawą osadzała się mgiełką na szklach okularów Gerarda.

- Sądzę, że dokonałem czegoś w rodzaju przełomu - powiedział. - Poczytałem o Morrigan w Internecie i dotarłem do linku łączącego ją z pewnym miejscem w Niemczech, w Westfalii, przeprowadzano tam pogańskie obrządki...

- Nie przerywaj, mów dalej - poprosiła Katie. - Niestety, nie mam zbyt wiele czasu.

Siedzieli przy oknie kawiarni na Oliver Plunkett Street. Wciąż padało, ale wąskie chodniki zapełniali ludzie robiący zakupy.

- Przepraszam. Tak, już przechodzę do rzeczy. Okazuje się, że w okolicach miasta Munster żyła sobie czarownica znana jako Morgana. Pozwalała sobie na najróżniejsze występki, niespodziewanie wykrzykiwała coś na ślubach, żywcem gotowała koty, gryzła palce u nóg niemowlakom. Każdy mógł ją jednak wezwać na pomoc, jeśli tylko skłonny był jej dać to, czego chciała.

- Naprawdę? A czego chciała?

- Należało pojmać trzynastcie kobiet znanych z dobroci, pojedynczo, zaciągnąć je na uświęcone miejsce i żywcem obdrzeć ze skóry. Następnie trzeba było zerwać z ich kości całe mięso, nakarmić Morganę i porozkładać kości według dokładnie określonego wzoru.

Katie skupiła na słowach Gerarda całą uwagę.

- Wzoru? Jakiego wzoru?

- Dokładnie nie wiem. Mój osiemnastowieczny niemiecki nie jest zbyt dobry. Kości trzeba było jednak ułożyć bardzo starannie. Mit uorsicht. Do obu kości udowych ofiar zaś należało przywiązać szmacianą lalkę ozdobioną haczykami z ości i gwoździami. Każda z tych lalek miała jakoby zawierać połowę duszy ofiary. Tę dobrą stronę przytwierdzoną do prawej nogi i tę złą przymocowaną do lewej.

Każda dusza, która została w ten sposób podzielona, nie mogła już iść do czyśćca i musiała robić to, co nakazywała jej Morgana. Nie można też było użyć magii w celu ponownego złożenia ciała, ponieważ laleczki nie pozwalały na dołączenie nóg do reszty postaci.

Katie przez długą chwilę milczała, bawiąc się łyżeczką. Gerard O'Brien obserwował ją z uwagą, zastanawiając się, co za chwilę mu powie.

Wreszcie wsunęła łyżeczkę z powrotem do cukiernicy i popatrzyła na niego.

- Co miało stać się później? Po zamordowaniu i obraniu z mięsa trzynastu kobiet i przymocowaniu tych laleczek?

- Później, jak sądzę, Morgana mogła dać wszystko, czego tylko oprawca by zapragnął.

Pieniądze, sławę, sukcesy z kobietami...

- Czy wiadomo o jakichś potwierdzonych przypadkach, kiedy ludzie naprawdę usiłowali to zrobić?

- Nic o tym nie wiem. Jednak źródło legendy jest bardzo poważne. W szczególach opisał ją doktor Ignatz Zingerle w Hexenprozesse in Westfalen. Wspomina ją także siedemnastowieczne dzieło,

zatyłowane Wunderbarliche Geheimnissen der Zauberey.

- Rozumiem. To wszystko brzmi bardzo interesująco. Gerard podrapał się po głowie.

- Wiem, że to na początek niewiele. Ale to właśnie początek, prawda? Przynajmniej wiesz, do czego potrzebne były laleczki. A one z kolei mogą dać ci wskazówkę, skąd pochodził morderca.

- Być może. Jednak bajki, takie jak ta o Morganie, znane są w północnej Europie niemal w każdym kraju. Morgana, Morrigan, jakkolwiek byśmy wymawiali ich imiona. Obrządkie konieczne do ich przywołania będą bardzo podobne, dokądkolwiek byśmy się udali.

- Tak, ale koronka.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałaś mi, że laleczki wykonano z resztek halek obramowanych niemiecką koronką.

Niemiecka legenda, niemiecka koronka. To musi mieć jakieś znaczenie.

Katie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Możliwe, że masz rację, Gerardzie. Problem polega I jednak na tym, że bardzo potrzebujemy dowodów, a nie spekulacji.

- Ale może dzięki temu trafisz przynajmniej na właściwy trop?

- Być może tak.

Gerard popatrzył na zegarek i śmiesznie zamrugął.

- Boję się, że nie znajdziesz czasu, żeby zjeść ze mną lunch.

Jadła przy biurku kanapkę z kurczakiem, kiedy do drzwi zapukał Liam.

- Wybieram się właśnie, żeby pogadać z Dave'em MacSweenym w szpitalu. Pomyślałem, że może chciałabyś pojechać tam ze mną.

- Jestem zbyt zajęta, Liam - odparła, strzepując okruszki z raportów, które właśnie czytała.

- Tak tylko zapytałem. Chyba już wiem, kto go ukrzyżował.

- Naprawdę?

- Krótco przed kradzieżą pistoletu do gwoździ dwóch facetów popijało sobie w „The Ovens Tavern”. Wyszli z baru za piętnaście czwarta, twierdząc, że mają robotę do zrobienia, ale jeszcze wrócą. Mieli białego forda transita, który zaparkowali tuż przed barem. Wskoczyli do niego i odjechali. Ale tylko dwadzieścia pięć jardów. Zatrzymali się przed pocztą, wysiedli z furgonetki i otworzyli tylne drzwi. Nikt nie widział, żeby ładowali kompresor nie mam więc naoczego świadka przestępstwa. Założę się jednak o dziesiątaka że to byli oni.

- Kim byli ci „oni”? Znamy ich?

- Tak. To Gerry Heelan i Cors O'Leary. A wszyscy dobrze wiemy, dla kogo ci dwaj pracują.

- Owszem, dla Eamonna Collinsa. Oni i dziesiątki in-

nych szumowin. Dlaczego jednak Eamonn Collins miałby zlecić ukrzyżowanie Dave'a MacSweeny'ego? Przecież nie obracają się w tych samych kręgach, zajmują się zupełnie czymś innym.

- Wiem - odparł Liam. Patrzył bardzo poważnie zza dużych okularów.

- A może Heelan i O'Leary zrobili to na własną rękę? - zasugerowała Katie.

- Och, wątpię. To było zbyt teatralne. Także zbyt skomplikowane jak na nich. Heelan i O'Leary dopadliby po prostu MacSweeny'ego w jakiejś bocznej uliczce i rąbnęli go cegłą w głowę.

- Zatem życzę ci powodzenia - powiedziała Katie. Powróciła do czytania i jedzenia, jednak

Liam stał w miejscu, opierając się o drzwi. W końcu podniosła głowę i zapytała: - Słucham? Coś jeszcze?

- Wiesz, nie sposób nie słuchać, o czym mówi się w pewnych kręgach. Jedna z plotek głosi, że MacSweeny zagiął parol na faceta, który pobaraszkował sobie z jego dziewczyną. Chciał go trochę uszkodzić.

- Tak?

- W gruncie rzeczy już go trochę uszkodził, tak słyszałem. Dorwał go na parkingu przy Beasley Street i dał mu wycisk. Skłania mnie to do postawienia pytania, czy to ten facet nie zapalał przypadkiem żądzą zemsty i nie nasłał na Dave'a Eamonna Collinsa? Albo czy nie zrobiła tego kobieta

MacSweeny'ego?

- To tylko plotki i przypuszczenia.

- Pewnie masz rację. Ale to jest jakiś motyw, prawda?

- Dave MacSweeny ma więcej wrogów niż pies pcheł. Wiele osób mogło chcieć dać mu wreszcie skuteczną nauczkę.

- Sam nie wiem. Nie ma znów tak wielu, którzy by się na to ośmielili. Dave MacSweeny bywa bardzo gwałtownym człowiekiem, zwłaszcza kiedy ktoś go rozwścieczy. Pomyśl o tym. W Cork nie tylko Eamonn Collins mógłby marzyć o czymś takim jak przybicie Dave'a do krzyża. Ale tylko Eamonn Collins ośmieliłby się to uczynić i miałby na tyle mocne nerwy, żeby go potem puścić żywego.

Katie powoli zwinęła w kulkę papier, w który zawinięta była kanapka i rzuciła nią do kosza.

- Jak będziesz wiedział coś więcej, daj mi znać - powiedziała.

Tego popołudnia pojechała w odwiedziny do ojca. Kiedy otworzył jej drzwi, siwe włosy miał zmierzwiłone. Odniosła wrażenie, że spał.

- Katie! Co za niespodzianka. Wszystko w porządku? Weszła do holu. Czowała zapach siekanego

mięsa i cebuli.

- Po prostu musiałam z kimś porozmawiać, to wszystko.

- Wejź. Wypijesz filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję. Właśnie zjadłam lunch.

Usiedli razem przy oknie, które wychodziło na rzekę. T Słońce to znikało, to wylaniało się zza chmur, przez co chwilami oświetleni byli, niczym aktorzy na scenie, oślepiającym światłem odbitym od powierzchni wody, a momentami pogrążali się w głębokim cieniu, jakby byli jedynie własnymi wspomnieniami. Katie nie mogła nie dostrzec plam po zupie pomidorowej na swetrze ojca i tego, jak suche i pomarszczone są jego dłonie.

- Dzieje się coś bardzo dziwnego - powiedziała. - Problem w tym, że nie wiem, czy to prawda, czy tylko działanie wyobraźni. To znaczy, mam bardzo silne przeczucie, że zabójca Fiony Kelly jest bardzo blisko i że pewnie będzie chciał popełnić jeszcze jedno morderstwo. Jednak zupełnie nie wiem,

skąd to przeczucie się we mnie bierze. Może to z powodu napięcia?

- Czy masz w ogóle jakieś dowody, że on wciąż jest w Cork?

- Żadnego. Musi mieć jednak motyw, żeby wiernie „odtworzyć” morderstwa z 1915 roku. Albo jest po prostu naśladowcą, albo kontynuuje to, do czego zmierzał jego poprzednik. A ten najwyraźniej zamierzał wezwać z zaświatów ducha Morigain i prosić ją o różne przysługi.

- Czy to znaczy, że człowiek, którego szukasz, chce zamordować kolejnych dwanaście kobiet?

- Nie wiem. Może pierwsza jedenastka wciąż się liczy jako fragment ofiary? W końcu wszystkie kobiety, łącznie z Fioną Kelly, znalezione zostały niemal w tym samym miejscu. Może uważa, że musi zabić jeszcze tylko jedną więcej?

- Nawet jedna będzie o jedną za dużo.

- Oczywiście. Ale nie wiem, jak się do tego wszystkiego zabrać. Mam niby tak dużo wskazówek od lekarza sądowego, a i tak wciąż nie wiem, kogo szukać.

Ojciec dotknął jej ręki. Jego dłoń była tak zimna, że trudno było oprzeć się wrażeniu, iż należy do zmarłego.

- Wiesz, co powinnaś zrobić? - zapytał. - Musisz zapomnieć, kogo szukasz, i skupić się na tym, czego szukasz. Nie jesteś psychologiem, to nie twój zawód. Nikt nigdy nie odgadnie zamiarów psychopaty, nie ma mowy. Zapomnij o podejrzeniach, przeczuciach i złych znakach. Skoncentruj się na tym, co wiesz. Na faktach, dowodach, zeznaniach naocznych świadków.

- Mam tylko jednego naocznego świadka i nie określiłabym go jako szczególnie wiarygodnego.

- Zeznania naocznych świadków zawsze budzą wątpliwości. Pamiętasz tę strzelaninę w Togher? Jeden facet powiedział, że gość z bronią był niski i rudy, drugi stwierdził, że był wysoki i miał gęste wąsy, a trzeci klął się na wszystkie świętości, że to była kobieta. Jednak z tych trzech zeznań wyciągnąłem dosyć wniosków, żeby dojść do tego, kto strzelał.

- Fionę Kelly widziano po raz ostatni, jak wsiadała do ciemnego mercedesa — powiedziała Katie. — Było to przy „The Angler's Rest”, na drodze do Blarney. Ciemny mercedes miał tylko jedno przednie światło. Widział to zaledwie jeden facet, pijak z tego baru. Mocno mu już wtedy szumiało w głowie. Było ponure, ciemne popołudnie. Tył samochodu był podobno tak zabłocony, że facet z baru nie dostrzegł tablicy rejestracyjnej.

- I w ogóle nie widział kierowcy? Katie potrząsnęła przecząco głową.

- Samochód zatrzymał się dwadzieścia pięć metrów od baru, pod kątem do okna, w ten sposób, że świadek mógł dojrzeć tylko trzy czwarte pojazdu, jego tylną część.

- Narysuj to.

- Co?

- Masz, rysuj w tym notatniku. Pokaż mi, gdzie stoi pub, gdzie zatrzymał się samochód, gdzie była dziewczyna.

- Co to da?

- Zaufaj mi. Po prostu rysuj.

Katie narysowała kwadrat oznaczający „The Angler's Best”, następnie dwie linie skracające pod kątem czterdziestu pięciu stopni, imitujące drogę do Blarney. Naprzeciwko baru nakreśliła mały, czarny prostokąt, czyli samochód. Zakończyła, rysując małą, patykowatą figurkę, Fionę Kelly.

Ojciec oglądał przez chwilę szkic, po czym powiedział:

- Rozumiem, że to jest mniej więcej dokładne, tak?

- Staralam się, jak mogłam.

- Gdzie siedział twój świadek?

- Tutaj, przy lewym oknie. Patrzył na drogę po przekątnej.

- Odległość, jak rozumiem, była na tyle mała, że rozpoznał markę samochodu.

- Powiedziałabym, że tak.

- Skąd jednak wiedział, że samochód ma zepsute jedno światło?

- Co?

- Samochód powinien był przejechać przed pubem w ten sposób, że twój świadek nie mógłby zobaczyć jego maski. Następnie kierowca zatrzymał się, żeby zabrać ofiarę, stanął na tyle daleko, że świadek widział jedynie tył auta, po czym szybko odjechał na północny wschód. Skąd więc facet wiedział, że paliło się tylko jedno przednie światło?

- Nie wiem. Jednak musiało tak być. Przecież nie powiedziałby tego, gdyby tak nie było. W którymś momencie to zauważył.

- Pamiętaj, czego cię uczyli w Templemore. Nie ma czegoś takiego jak „musiało tak być”. Albo widział przez okno przód mercedesa, albo go nie widział. Z tego, co mi do tej pory powiedziałaś, moim zdaniem wynika, że warto byłoby zamieni" jeszcze parę słów z tym człowiekiem. Może stracisz

czas, a może... Nie wiem. Mam przeczucie.

- I kto mówił przed chwilą, żebym nie kierowała się przeczuciami?

Mimo że zapadał już zmrok, pojechała do „The Angler's Rest”. W barze siedziało tylko pięć osób, czterech mężczyzn i kobieta w średnim wieku o kruczoczarnych włosach i piskliwym śmiechu.

Było tu ciepło i przytulnie, a w kominku wesoło trzaskał ogień.

Ricky Looney siedział na swoim stałym miejscu. Przed nim stała kwarta piwa, wypita do połowy.

- Kupić ci coś do picia, Ricky? - zapytała Katie.

- Tak. Piję beamish, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie powiem ci jednak nic więcej niż do tej pory.

- W porządku. Chciałam jedynie wiedzieć, czy potrafisz oczyma wyobraźni zobaczyć to, co się wydarzyło.

- Oczyma wyobraźni? Co to znaczy? Może mam coś narysować? Nigdy nie byłem w tym dobry.

- Nie, niczego nie musisz rysować. Po prostu zamknij oczy i spróbuj sobie wyobrazić, co tego dnia widziałeś. Tak jakbyś oglądał film.

Ricky Looney wyraźnie się wahał, jednak kiedy go ponagliła, zacisnął wreszcie powieki i zrobił minę, która jego zdaniem świadczyła o maksymalnej koncentracji.

- Czy widzisz dziewczynę stojącą na poboczu i machającą na przejeżdżające samochody?

Skwapliwie pokiwał głową.

- Ma długie, jasne włosy, prawda? W co jest ubrana? Pewnie w dzinsy, co?

- Zgadza się, dzinsy. I w żakiet z zielonkawymi naszywkami. Ma ze sobą plecak.

- To ona. Dobra robota, Ricky. Powiedz mi teraz, czy pamiętasz, w którą stronę odjechał samochód? W lewo a może prosto? Czy w prawo, w kierunku Blarney?

- W prawo. Jestem tego pewien. Teraz to widzę, w mojej głowie, wyraźnie jak w dzień.

- Bardzo dobrze. Widzisz coś jeszcze?

- Robi się ciemno. Chyba zaczyna padać. Trudno cokolwiek zobaczyć.

- I nie jesteś w stanie zauważyć tablic rejestracyjnych?

- Tablic? Nie. Są zbyt zabłocone. Cały tył samochodu pokryty jest grubą warstwą błota.

- Powiedz mi teraz o przednich światłach. Które nie działa, lewe czy prawe?

- Trudno mi powiedzieć. Stąd ich nie widzę.

- Nie rozumiem. Przecież powiedziałeś mi, że samochód miał zepsute jedno przednie światło.

- Bo miał. Ale teraz tego nie widzę. Zobaczę je dopiero, kiedy będzie wracał.

- Wracał?

Ricky ostrożnie otworzył oczy.

- Tak. Jakies dwadzieścia minut później.

- Jesteś pewien? Jesteś pewien, że to był ten sam samochód?

- Przecież siedziałem przy tamtym oknie. Pewnie wcale bym go nie zauważył, ale stary Joe

bardzo powoli wyjeżdżał z parkingu i mercedes też zwolnił. Zatrąbił na niego, jakby bardzo się spieszył.

- I to wtedy zobaczyłeś, że jedno światło nie działa?

- Tak. Kierunkowskaz.

- Ale nie widziałeś kierowcy?

- Nie. Kłamałbym, gdybym powiedział, że widziałem, a nie chcę kłamać tylko dlatego, żeby ci zrobić przyjemność.

- Ale jesteś całkowicie pewien, że to był ten sam samochód?

- Nie przysięgłbym na życie mojej matki, wyglądał jednak tak samo. Zresztą, mama umarła trzy lata temu. Panie, świeć nad jej duszą.

Powoli jechała krętą drogą w kierunku Blarney. Było już ciemno, wiatr się wzmógł, a pozołkłe liście wirowały w świetle reflektorów. Skręcała w każdą boczną drogę, w każdy zjazd, jechała do

samego końca, szukając błotnistego traktu z samotną chatą lub stodołą.

Jeśli Ricky Looney miał rację i ten sam samochód mijiał „The Angler's Rest” zaledwie

dwadzieścia minut po zabraniu Fiony, z pewnością przetrzymywano ją gdzieś bardzo blisko.

Kierowca

najprawdopodobniej dojechał do celu, obezwładnił dziewczynę, wyciągnął z samochodu i związaną

umieścił w jakiejś chacie. Dotarcie na miejsce zabrało mu w takim przypadku nie więcej niż cztery,

pięć minut jazdy od „The Angler's Rest”.

Jedna z dróg, mniej więcej dwie mile za pubem, sprawiała wrażenie, że może być tą właściwą.

Wiła się licznymi zakrętami, opadała i znów się wznosiła, a błoto było tu tak gęste, że Katie słyszała,

jak jego grudy uderzają w gumowe osłony na kołach. Kiedy dotarła do końca, natrafiła jedynie na

zniszczoną szopę, bez drzwi i okien, obrośniętą bluszczem. Wzięła z samochodu latarkę i obesła

SZO-

pę. W środku znalazła tylko kuchenne krzesło, które też zdążył już opleść bluszcz. Przez chwilę stała i

nasłuchiwała. Panowała niemal absolutna cisza. Szeleściły jedynie opadające liście, a od dachu

miarowo odbijały się rzadkie krople deszczu.

Powróciła do głównej szosy i skręciła w kolejną boczną drogę, ale ta doprowadziła ją do

wielkiego domu o starannie zabezpieczonej zewnętrznej bramie. Sprawiał wrażenie, jakby zamknięto

go na zimę. Jadąc wzdłuż płotu, natrafiła na wąską, szutrową drogę wiodącą pod górę, a po chwili

opadającą na powrót w dół. Pomyślała, że jeśli pojedzie nią do końca, dotrze do Kanturk Road, od

zachodniej strony. Jadąc bardzo powoli, przebrnęła prawie trzy czwarte mili, tymczasem droga

stawała się coraz węższa. a jej brzegi mniej wyraźne.

Nagle światła samochodu wyłowiły sylwetkę kogoś zgiętego w pół i chwiejącego się z boku na

bok. Natychmiast wcisnęła hamulec i mondeo z chrzęstem żwiru pod oponami zatrzymało się.

Usłyszała złowieszczy odgłos uderzenia w karoserię, okrzyk „cholera!”, po czym zapadła cisza

Wysiadła z samochodu i po chwili niemal zderzyła się z chudym, starym mężczyzną,

rowerzystą, w brązowej tweedowej marynarce. Spadł z roweru na środku drogi i właśnie zdążył się podnieść na czworaki.

- Och, Boże, przepraszam pana - powiedziała, pomagając mu wstać. - Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

- Co pani sobie wyobraża? - zapytał bardziej zaskoczony niż zły. - Nie potrafi pani jeździć uważniej? Niech pani patrzy, w jakim jestem stanie, błoto mam na całym ubraniu. Mogła mnie pani zabić.

- Bardzo mi przykro. Byłby pan jednak znacznie bezpieczniejszy, gdyby zainstalował pan sobie światła przy rowerze.

- Co? A po co mi światła? Przecież znam drogę.

- To ma pan nade mną przewagę, bo chyba się zgubiłam. Czy ta droga prowadzi do Kanturk Road?

- Nie.

- A więc dokąd?

- Donikąd. To ślepa droga. Minęła pani skręt do „Sheehan's Nurseries”, a zresztą i tak interes nie funkcjonuje już od wielu miesięcy.

- Rozumiem. Jest zamknięty.

- Sheehana tam w każdym razie nie ma.

- A jest tam w ogóle ktokolwiek?

- Nie wiem. Być może. Niecałe pięć minut temu widziałem jakiś samochód.

- Naprawdę? Jaki?

- Nie wiem. Nie obejrzałem go dobrze przez żywopłot.

- W porządku, dziękuję panu. Mam nadzieję, że nic panu nie jest.

- Na szczęście przeturlałem się. Jestem cały brudny, ale będę żył.

- Naprawdę, bardzo mi przykro. Proszę, to moja wizytówka. Jeśli cokolwiek stało się z rowerem, niech się pan ze mną skontaktuje. Poza tym pańska marynarka wymaga czyszczenia...

- To tylko stary lump, jak i ja.

Katie wróciła do samochodu. Ostrożnie ruszyła na wstecznym biegu i po chwili zupełnie przypadkiem dostrzegła wąską, zarośniętą drogę prowadzącą w lewo, w całkowitą ciemność.

Wycofała auto jeszcze trochę i ustawiła je w taki sposób, że światła dokładnie oświetliły drogę.

Z pewnością nie była uczęszczana; wywnioskowała to z gęstej trawy i zielska na brzegach. Z pewnością jednak ktoś tutaj ostatnio przejeżdżał, i to kilkakrotnie.

Jechała drogą, starając się trzymać jak najbliżej lewego skraju, aby nie zniszczyć całkowicie poprzednich śladów. Nawierzchnia była nierówna, pełna dziur, z tak głębokimi koleinami, że samochód Katie kilkakrotnie głośno zaszurał podwoziem o ziemię. W końcu jednak zobaczyła na horyzoncie zarys wielkiego drzewa, a obok niego spadzisty dach jakiejś chaty z wyraźnie widocznym kominem. Kiedy podjechała bliżej, zauważyła także postojowe światła samochodu przebijające się przez rzadki żywopłot.

Skierowała mondeo na skraj drogi i zatrzymała się. Przez chwilę siedziała bez ruchu, obserwując chatę i parkujący przed nią samochód. Po kilku minutach ujrzała w jednym z okien słabe światło. Odniosła wrażenie, że ktoś przeszukuje budynek, przyświecając sobie pochodnią. Miała ochotę wezwać wsparcie, jednak wcale nie była pewna, czy natrafiła na coś podejrzanego, a ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było marnowanie czasu innych policjantów.

Wysiadła z samochodu i cicho zamknęła drzwi. Chata znajdowała się na samym szczycie wzgórza, dlatego wyraźnie czuła chłodny wiatr. Przeszła przez drogę i zbliżyła się do chaty. Brama była otwarta, a samochód ustawiony był przodem do wyjazdu, gotowy do drogi. Przez moment Katie wahała się, aż wreszcie przekroczyła bramę, starając się chować w cieniu krzaków po lewej stronie. Teraz, kiedy znalazła się bliżej, zobaczyła, że samochód, który stoi przy budynku, to mercedes 320E.

Płomień pochodni znów zamigotał w oknie, i po chwili usłyszała hałas przewracanego krzesła.

Katie przebiegła przez podwórze i stanęła na ścieżce wiodącej do drzwi. Wyjęła z kabury przy pasku pistolet i odbezpieczyła go.

Drzwi chaty były nie domknięte. Zaczęła ostrożnie do nich podchodzić, upewniwszy się najpierw, że jej sylwetka nie będzie widoczna na tle nieba. Była prawie na miejscu, kiedy drzwi niespodziewanie się otworzyły, a w progu stanął mężczyzna z pochodnią.

- Stój! - krzyknęła. - Jestem gwardzistką! Mam broń! Mężczyzna przez chwilę milczał, po czym odezwał się

- Jezu Chryste! Prawie zesrałem się ze strachu. - Skierował pochodnię w stronę Katie, ona zaś odskoczyła i krzyknęła:

- Odrzuć pochodnię! Odrzuć ją!

Natychmiast wykonał polecenie i podniósł ręce do góry.

- Jesteś sam? - zapytała Katie.

- A jak myślisz? Boże...

- Cofnij się - zażądała Katie.

Mężczyzna znów posłuchał rozkazu. Katie szybko się I pochyliła i podniosła z ziemi pochodnię.

Oświetliła nią twarz mężczyzny i od razu go rozpoznała. Był bardzo wysoki, i miał prawie sześć stóp i

cztery cale wzrostu, na głowie I długie, czarne dredy wijące się niczym węże, jego pociągła i twarz była czarna od kilkudniowego zarostu. Oczy miał f osadzone tak głęboko, że odnosiło się wrażenie, iż nie ma ich w ogóle. Ubrany był w długi, czarny płaszcz, ubłocony I u dołu. Na nogach miał równie zabłocone czarne skórzane buty do konnej jazdy.

- Tomás Ó Conaill - powiedziała Katie. - Dawno cię nie widziałam.

- Kim jesteś? - zapytał chrapliwym głosem. - Coś mi mówi, że mam do czynienia z panią detektyw sierżant Katie Maguire.

- Obecnie detektyw nadinspektor. Powinieneś czytać gazety.

- Gazety, powiadasz? Facet taki jak ja nigdy nie ma czasu na czytanie gazet. Doskonale wiesz, jak ciężko pracuję, żeby związać koniec z końcem.

- To twój samochód?

Odwrócił głowę i zmarszczył brwi, udając zdziwienie.

- Widzę go pierwszy raz w życiu.

Katie cofnęła się o dwa kroki i otworzyła drzwi mercedesa. Cicha melodyjka, jaka się rozległa, miała zwrócić jej uwagę, że światła postojowe wciąż są włączone.

- Kluczyki są w stacyjce - powiedziała. - Chyba się nie spodziewasz, że ci uwierzę, iż zostawił je dla ciebie ktoś inny.

- Dla mnie to też zagadka. Szedłem właśnie tą drogą, kiedy zobaczyłem samochód z włączonymi światłami.

Katie włączyła światła drogowe mercedesa i stanęła przed

samochodem. Zauważyła, że prawa żarówka, najprawdopodobniej przepalona, nie świeci.

- Co robiłeś w tym domu? - zapytała Tómasa.

- Wszedłem na podwórze i zobaczyłem otwarte drzwi do chaty. Dookoła nie zauważyłem żywego ducha, zapukałem więc, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Cóż za wspaniała obywatelska postawa. Wyjaśnisz mi, dokąd właściwie szedłeś?

- Po prostu sobie spacerowałem.

- Spacerowałeś, powiadasz? W ciemnościach, drogą, która właściwie donikąd nie prowadzi?

- Chyba prawo tego nie zabrania, co?

- Prawo zabrania kradzieży samochodów, zabrania także włamywania się do cudzych domów.

- Niczego stąd nie wzięłem, Katie. Ostatnio prowadzę żywot świętego, przysięgam!

- Dla ciebie jestem detektywem nadinspektorem Maguire, Tómas - odparła Katie. Włączyła

nadajnik radiowy. — Charlie sześć do Charliego alfa. Pilnie potrzebuję wsparcia przy „Sheehan's Nurseries”. Znajduję się w odległości mniej więcej półtorej mili od szosy do Blarney, piąty zakręt w lewo za „The Angler's Rest”. Mam tutaj podejrzanego mężczyznę do odtransportowania.

- Jestem podejrzanym? - zdziwił się Tomás Ó Conaill. - Zechcesz mi uprzejmie wyjaśnić o co?

- Jeszcze nie wiem, Tomás. Może ty mi to powiesz?

- Niczego nie ukradłem, nikogo nie tknąłem nawet palcem, Bóg mi świadkiem!

- Niemniej odpowiesz mi na kilka pytań, prawda?

- Nie mam nic do powiedzenia, Katie. Jestem niewinny jak niemowlę.

Minęło prawie dwadzieścia minut, zanim dojrzała wreszcie światła samochodu Jimmy'ego

O'Rourke, podskakujące na nierównej drodze, oraz towarzyszący mu radiowóz. Kiedy czekali, Tomás

Ó Conaill przez cały czas jak najęty opowiadał Katie o podróżach swoich i swojej rodziny w ciągu ostatnich trzech lat, dookoła Roscommon i Longford oraz Sligo. Mówił, jak zarabiał pieniądze, kupując i sprzedając konie oraz używane samochody, pracując przy asfaltowaniu dróg i wreszcie naprawianiu przeciekających | dachów w domach starszych pań.

- Ostatnio pracuję dobrze i uczciwie, Katie, przysięgam ci.

- Jestem detektyw nadinspektor Maguire.

- Och, daj spokój, Katie. Bądź miła. Znamy się w końcu sporo lat, prawda?

- Tak. Od czasu, jak zadźgałeś dziecko tej biednej młodej dziewczyny z Mayfield.

- Przepraszam cię, oczyszczono mnie z tego zarzutu, chyba pamiętasz?

- Bo nikt nie był na tyle odważny, żeby przeciwko tobie zeznawać. Ale ja wiem, że to zrobiłeś, ty także to wiesz i to mi wystarcza.

- Dziecko było pomiotem szatana i gdybym je zabił, I czego jednak, zapewniam cię, nie zrobiłem, wyświadczyłbym światu największą przysługę od czasów Jezusa Chrystusa.

- Ach, tak. Nasienie szatana. To była bardzo obrazowa linia obrony, do dziś ją pamiętam.

- Skoro nie wierzysz w szatana, Katie, jak możesz twierdzić, że wierzysz w Boga?

W tym momencie samochód Jimmy'ego i wóz patrolowy wtoczyły się na podwórze. Cicho i szybko, jakby chciał przekazać ostatni fragment jakiejś ważnej informacji, Tomás Ó Conaill powiedział jeszcze:

- Posłuchaj mnie, Katie... Na tej ziemi są siły, o których większość ludzi nawet nie śniła. Są najróżniejsze demony i czarownice, wprost nie mogące się doczekać, żeby je ktoś przywołał. Możesz się śmiać, jeśli chcesz, ale one naprawdę istnieją, i tylko dzięki ludziom takim jak ja nadal tkwią tam, gdzie jest ich miejsce.

- Czy widzisz, żebym się śmiała? - zapytała Katie.

Podczas gdy Tomás Ó Conaill pod czujnym okiem gwardzisty Pata O'Malleya, zajmował miejsce na tylnym siedzeniu samochodu patrolowego, Katie i Jimmy O'Rourke zaczęli oglądać chatę. W środku czuć było wilgoć i zgniliznę, jednak bez wątpienia całkiem niedawno ktoś z niej korzystał. W kuchni stała paczka herbaty, a w lodówce znaleźli butelkę zepsutego soku pomarańczowego i krążek sera calvita, pokryty już warstwą zielonej pleśni.

W saloniku Katie podniosła egzemplarz „Evening Echo” sprzed trzech tygodni i dwa pomięte opakowania po batonikach mars. W mniejszej sypialni znajdowało się jedno łóżko przykryte różowymi kocami i brązową ałtasową kołdrą. Było starannie zaścielone, jednak kiedy Katie podniosła

koce, pomięte prześcieradło wymownie zaświadczyło o tym, że ktoś tutaj spał.

- Łóżka - powiedziała. - Wielka fiesta dla lekarzy sądowych. Włosy, skóra, łupież, krew, znajdziesz na nich wszystko, co zechcesz.

Przeszli do większej sypialni. Katie przekroczyła próg i kiedy włączyła światło, od razu zrozumiała, że znalazła to, czego szukała. Ściany pokoju pokrywała zawilgocona tapeta z ponurym wzorkiem w brązowe róże. Głównym sprzętem w pomieszczeniu było stare żelazne łóżko, pozbawione materacy i koców, z widocznymi sprężynami. Pod łóżkiem rozłożone były, tworząc trzy lub cztery warstwy egzemplarze „Irish Examiner”. Gazety przesiąkły ciemnobrązową krwią. Obok łóżka na tanim nocnym stoliku wyklejonym fornirem stała lampa do czytania.

Oprócz łóżka i stolika w pokoju nie było żadnego mebla. W powietrzu dawało się odczuć coś przerażającego. Katie odniosła wrażenie, że jest to wszechogarniające, niemal ogłuszające zło, zło przywodzące na myśl krzyk tak głośny, że ludzkie ucho nie jest w stanie go znieść.

- Matko Boska - jęknął Jimmy.

Katie przez długą chwilę stała bez ruchu i w milczeniu patrzyła na pokój. Nie chciała

wyobrazić sobie, co tutaj się wydarzyło, jednak po prostu nie mogła odegnąć od siebie tej myśli.

Widziała przecież szkielet Fiony, zrekonstruowany na stole autopsyjnym doktora Reidy'ego. Widziała jej mięso, włosy i wnętrzności.

Jeden z gwardzistów wszedł do środka i odezwał się:

- Mogę w czymś pomóc, pani nadinspektor?

- Tak, Kieran. Chcę, żeby natychmiast przybył tutaj zespół techników. Poza tym potrzebuję jeszcze przynajmniej

dziesięciu ludzi. Mają odciąć drogę z obu stron. Potrzebne będą reflektory. I nie chcę, żeby trafili tu dziennikarze. I Całkowita blokada informacji, rozumiesz?

- Tak, pani nadinspektor.

Katie nie weszła głębiej do sypialni. Oprócz tego, że na podłodze wyłożonej linoleum znajdowały się krwawe ślady butów, których nie chciała zatrzeć, wyraźny zapach krwi przypominał jej smród zgniłego jagnięcia. A w powietrzu unosił się chłód, który zdawał się ostrzegać, że jeśli tylko

postąpi krok dalej, już nigdy, przenigdy nie zazna ciepła.

- Co cię tutaj sprowadziło? - zapytał Jimmy.

- Wskazówki, których udzieliła mi Opatrzność. Poza tym ojciec przypominał mi, że policjant powinien myśleć.

Katie wyszła na zewnątrz i zaczęła oglądać mercedesa, jej ust unosiła się para, dookoła błyskały niebieskie światła radiowozów, skrzeczały radia. Położyła dłoń na masce nad silnikiem. Metal był ciepły, co znaczyło, że Tomás Ó Conaill najprawdopodobniej przyjechał tutaj właśnie tym samochodem. W środku znalazła do połowy opróżnioną torebkę cukierków miętowych, zwiniętą mapę, pustą butelkę po bulmer's ciderze o pojemności pół kwarty i pudełko chusteczek higienicznych. W popielniczce leżały trzy niedopałki wienfieldów, tańszego gatunku, po trzy i pół funta .paczka. Siedzenia przykryte były tkanymi winylowymi pokrowcami w kolorze wielbłądziej sierści. Na

fotelu pasażera Katie zauważyła brunatną plamę. Odniosła wrażenie, że ktoś siedział tutaj przez jakiś czas we własnej krwi. Plamy zakrzepłej krwi znajdowały się także na podłodze przed fotelem. Stała za samochodem i otworzyła bagażnik. Był grubo wyłożony gazetami, podobnie jak podłoga pod łóżkiem w chacie. Na gazetach nie było wiele krwi, Katie zauważyła jednak trzy albo cztery ciemne strugi i siedem kropel.

Jimmy stał obok niej, paląc papierosa. Nie odzywał się ani słowem. Po kilku chwilach Katie zatrzasnęła bagażnik i podeszła do wozu patrolowego. Usiadła na tylnym siedzeniu, obok Tómasa O Conailla i ostro popatrzyła mu w oczy.

- Masz bardzo ponurą minę, Katie - powiedział do niej. Wyraz jego twarzy nie zmieniał się, wciąż błąkał się po niej ten sam delikatny uśmiezek, niemal flirtował.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie byłeś w ostatni czwartek po południu.

- W czwartek? Musiałbym pomyśleć. Dlaczego?

- Potrzebna ci będzie bardzo przekonująca historia, dlatego. Aresztuję cię jako podejrzanego o popełnienie morderstwa.

Zmrużył oczy.

- Morderstwa? Jakiego morderstwa? Nie miałem nic wspólnego z żadnym morderstwem.

- Co znaczy więc ta krew w sypialni? Nie mów mi, że zarznąłeś tam świnię.

- Nic nie wiem o żadnej krwi. Nigdy nie byłem w tej sypialni.

- Kłamiesz, Tómas.

- Wcale nie kłamię, mówię prawdę, Bóg mi świadkiem. Zobaczyłem, że drzwi są otwarte, i jedynie zacząłem się rozglądać, z nadzieją, że natrafię na coś, z czego nikt inny nie będzie już miał pożytku. Nie dotarłem do sypialni i przysięgam, że nie mam nic wspólnego z żadnym morderstwem.

- Och, racja. Tak samo jak nigdy nie miałeś nic wspólnego z rozerwaniem dłutem brzucha ciężarnej dziewczyny. Albo z uderzeniem motyką w głowę sześćdziesięcioletniego mężczyzny

tylko dlatego, że podejrzewałeś go o oszustwo przy jednej z twoich transakcji.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegł ją Tomás Ó Conaill.

Wciąż się uśmiechał, jednak jego mina stawała się coraz kwaśniejsza, jak mleko podczas burzy.

- Przyszedłem tu, spokojny i niewinny, i tylko zajrzałem do środka tej chaty. Niczego stąd nie zabrałem i nikomu nie wyrządziłem krzywdy.

Katie westchnęła i odezwała się:

- Tomásie Ó Conaill, aresztuję cię za zamordowanie Piony Kelly. Masz prawo do milczenia, a wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie.

- Niech grzmiący powóz Dullahana zatrzyma się przed twoim domem i obyś pławiła się w misie pełnej krwi!

Katie wysiadła z samochodu.

- Jimmy, zawieź go do centrali. Kiedy tutaj skończę, przyjadę i porozmawiam z nim.

Tomás Ó Conaill pochylił się jeszcze w jej kierunku i powiedział złowrogo brzmiącym szeptem:

- Jesteś wiedźmą, Katie, dobrze wiesz, co robimy z wiedźmami. Nikogo nie zamordowałem i nigdy nie udowodnisz mi, że to zrobiłem.

Jimmy zatrzaskał mu przed nosem drzwi samochodu i kiwając głową, spojrział na Katie.

- Co za twardziel. Mam nadzieję, że lekarz sądowy zgromadzi dość dowodów, aby zamknąć go na długo.

- Kto, jeśli nie on, mógłby zabić dziewczynę w taki sposób? Kiedy chce, umie nawet ładnie mówić, ale, na Boga, jest gwałtowny jak wściekły pies!

- Nie martw się, Katie. Mówię ci, tym razem go mamy.

- Natychmiast podejmę starania o nakaz przesłuchania. Jak tylko uzyskamy zgodę, pojedziesz na miejsce postoju Ó Conaillów w Tower i przetrząsniesz każdy wóz. Weźmiesz ze sobą Pata

O'Sullivan i Micka Dockery'ego, i tylu gwardzistów, ilu tylko będziesz potrzebował. Porozmawiasz z

rodziną Ó Conailla. Pytaj ich, gdzie był w ten czwartek, kiedy zginęła Fiona Kelly, pytaj także o wieczór, kiedy jej ciało przewieziono do Meagher's Farm.

- Pobożne życzenia. Powiedzą mi jedynie, że mogę się pieprzyć z własną babcią.
- Bez wątpienia. Musimy jednak próbować, prawda? Pamiętaj o motcie Katie Maguire.
- Co to za motto?
- Nikomu nie daj się nabrać.
- W porządku. Ale mam nadzieję, że uwzględnisz mi nadgodziny.

Do jej biura wszedł Dermot O'Driscoll. W ręce miał pączka z dżemem, a na twarzy pełen zadowolenia uśmiech.

- Doskonale się spisałaś, Katie. Chciałbym przedstawić sprawę mediom na tyle wcześnie, żeby dziennikarze zdążyli z materiałami do porannych gazet.

- Wstrzymałabym się z tym, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Chyba nie masz żadnych wątpliwości, że to Ó Conaill. co? Praktycznie złapałaś drania na gorącym uczynku.

- Mimo wszystko czułabym się lepiej, gdybyśmy poczekali na badania patologów, jeśli się pan zgodzi. Chodzi mi głównie o odciski palców i butów. Poza tym Ó Conaill zapiera się, że tylko siedział

w tym samochodzie, a nie przyjechał nim.

- Daj spokój. Jeśli nie, to jak się dostał do tej chaty?

- Twierdzi, że na piechotę.

-Na piechotę?! - zawołał Dermot z ustami pełnymi pączka. - Wiesz co, nie ma to jak morderca z poczuciem humoru.

- Pewnie ma pan rację. Jednak jeśli nie znajdziemy żadnego dowodu, że naprawdę jechał tym samochodem, będziemy musieli zrewidować poglądy. Oczywiście nie twierdzę, że zaświadczy to o jego niewinności. W końcu mógł mieć współników, którzy na jego zlecenie porwali Fionę i przywieźli

ją do chaty. Po prostu nie chcę w jakimś momencie spartaczyć roboty.

- W porządku, rozumiem. Postaraj się jednak trochę pogonić tych wszystkich fachowców technicznych.

Kiedy Dermot wyszedł, oblizując z palców lukier, do gabinetu Katie wszedł detektyw gwardzista Patrick O'Sullivan.

- Merc zarejestrowany jest na O'Mahony's Auto Rentals z Mallow. Został wypożyczony dziesięć dni temu facetowi o nazwisku Francis Justice, który podał, że mieszka na Green Road w Mallow.

- W jaki sposób zapłacił?

- Gotówką.

- W takim razie zbierajmy się i porozmawiajmy z tym panem Justice. Czy firma podała ci jego rysopis?

- Dziewczyna, która dokonywała formalności, jest na wakacjach na Teneryfie.

- Zadzwoń do niej. I porozmawiaj z inspektorem Ahernem z Mallow. Będziemy potrzebowali pomocy.

Kiedy byli gotowi do wyjazdu, zegar wskazywał prawie jedenastą. Katie zadzwoniła na telefon komórkowy Paula, w tle usłyszała śmiechy i głośną muzykę. Nietrudno było zgadnąć, że bawi się w Counihan's ze swoją kompanią prostackich koleśków.

- Miałem nadzieję, że cię zobaczę - powiedział. Jego głos nie pozostawiał wątpliwości, że jest pijany.

- Przykro mi, Paul. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Dokonaliśmy aresztowania w związku z morderstwami na Meagher's Farm.

- Naprawdę? Wspaniała wiadomość. Wspaniale, doskonale. Kto to jest?

- Ktoś, o kim już słyszałeś, nie mogę ci jednak powiedzieć nic więcej.

- Jestem z ciebie dumny, maleńka. Naprawdę dumny. Posłuchaj, jeśli chcesz, mogę na ciebie poczekać.

- Daj spokój, nie ma takiej potrzeby. Prawdopodobnie wrócę nad ranem.

- W porządku. - Paul był rozczarowany jak mały chłopiec.

- Co jest, Paul? Co się stało?

- Właściwie wszystko, to się stało. Ale to może poczekać do jutra.

- Powiedz mi teraz.

- Nie, najdroższa. To by zabrało za dużo czasu.

- Paul...

- Wszystko totalnie spieprzyłem, to się stało. Praktycznie jestem bankrutem, Dave MacSweeny grozi, że odetnie mijają, kolejnych dwóch łotrów nachodzi mnie w sprawie długów karcianych, moje jedyne dziecko nie żyje, a teraz straciłem także ciebie.

- Paul... Łkał.

- Chciałem, żeby wszystko się ułożyło, maleńka. Zrobiłem wszystko, co tylko zdołałem wymyślić. Tymczasem tylko pogarszałem sytuację.

Katie nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Wciąż mu nie ufała i wiedziała, że już nigdy nie będzie go kochać, ale nadal czuła się za niego odpowiedzialna, w taki sam sposób, w jaki zawsze czuła się odpowiedzialna za każdego.

- Idź do domu - powiedziała. - Prześpij dobrze noc, a jutro rano o wszystkim pogadamy.

Oczywiście przy Green Road 134 w Mallow nie mieszkał żaden Francis Justice, ani teraz, ani nigdy wcześniej. Ulica była zastawiona przez wozy patrolowe, błyskały niebieskie światła. Biedna stara kobieta, która mieszkała pod numerem 134, nigdy nie słyszała o mężczyźnie o nazwisku Francis Justice, nie słyszała o kimś takim również jej sąsiadka w pikowanym szlafroku, wałkach na głowie i o

barkach zapaśnika, ciekawie wyglądająca zza płotu i wtrącająca się do wszystkiego.

Jak niepyszni, pojechali z powrotem do miasta. Liam siedział na tylnym siedzeniu obok Katie, która z odchylną lekko głową wpatrywała się w milczeniu w przednią szybę. Kiedy mijali Murphy's Brewery w Blackpool, odezwała się wreszcie:

- No i co myślisz?

- O czym?

- Uważasz, że Tomás Ó Conaill zabił Fionę Kelly?

- Nie wiem. Trzeba by najpierw zadać pytanie dlaczego, prawda? Wiem, że ma złą reputację.

Całkiem na serio wierzy w magię, czarownice i wszystkie te dziwaczne gówna. Jednak nie wierzę, by

naprawdę próbował przywołać Morrigan, a ty? Jeśli czegoś chce, kradnie to. Nie musi §'wołać do pomocy pieprzonych czarownic.

- Skąd możemy wiedzieć, czego on chce? Może chce być miliarderem. Możesz to wykluczyć?

Może chce być następnym Wielkim Królem Münsteru?

- To prawda. Ale może też być po prostu zwyrodniałym zboczeńcem, któremu staje, kiedy zdziera skórę z żywych kobiet.

- Chryste, Liam!

- Wiem. Trudno sobie coś takiego wyobrazić, prawda? Zawsze jednak musimy pytać

„dlaczego”. Czasami nie jesteśmy w stanie uwierzyć w odpowiedź. Niekiedy jest tak niedorzeczna, że

zanosimy się śmiechem. Założę się, że nie pamiętasz tego faceta z Mayfield, który zmiażdżył szyję swojej żony pomiędzy nogami deski do prasowania? Całkiem serio wierzył, że nieszczęsna chce go zamienić w szczura.

- Czytałam o tym.

- To było niedorzeczne, dzieło psychologa, a jednak wydarzyło się naprawdę. Facet miał swoje powody. Dlatego musisz zapytać Tomás Ó Conailla, dlaczego to zrobił. Nie „czy”, nie „jak”, ale „dlaczego”.

Przejechali przez Christy Ring Bridge. Brudne wody Lee błyszczały po obu stronach mostu niczym plamy oleju, a w oddali zapalały się i gasły światła gmachu opery.

- Bądź ze mną szczery, Liam - odezwała się Katie. — Czy miałeś kiedyś jakieś zastrzeżenia do mojego awansu?

- To przecież nie była moja decyzja, prawda? Nie zależało to ode mnie.
- Wiem. Ale odnoszę wrażenie, że kwestionujesz moje osądy.
- Kwestionuję wszystko, detektywie nadinspektorze. Kwestionuję zachód słońca i pojawienie się księżyca. Nigdy nikomu nie wierzę, a w szczególności moim przełożonym.
- Jesteś dobrym detektywem, Liam.
- Tak.

Przesłuchiwała Tómasa Ó Conailla od drugiej trzydzieści nad ranem, skończyła dobrze po piątej. Garbił się nad stołem, ton głosu wznosił niewiele ponad szept i przez cały czas, niemal nie mrugając oczyma, wbijał w nią wzrok, przypatrywał się jej głęboko osadzonymi oczami, które wyglądały, jakby ich nie miał w ogóle.

Godzinę wytrzymał Jimmy O'Rourke, potem zastąpił go Patrick O'Sullivan. Ó Conaillovi powiedziano, że może poprosić o adwokata, jakiego tylko sobie życzy, jemu jednak wystarczył adwokat z urzędu, młody człowiek o nazwisku Desmond O'Keeffe, w okularach w grubej oprawce i o gęstej rudej grzywce opadającej na czoło.

O Conaill bez przerwy palił papierosy. Wreszcie pusty pokój przesłuchań o szarych ścianach zasnuła surrealistyczna mgła.

- Gdzie dorwałeś samochód, Tómas?

- Mówiłem ci już dwadzieścia razy, czarownico. Nigdy przedtem nie widziałem tego pieprzonego wozu.

- Kiedy cię aresztowaliśmy, silnik wciąż był ciepły. Nie mów mi, że nie prowadziłeś tego auta.

- Nie prowadziłem.

- Założę się o każde pieniądze, że na kierownicy są twoje odciski palców.

- Pewnie są. Już ci mówiłem, że w nim siedziałem. Chciałem zobaczyć, jak to jest w takim aucie. I nic więcej

- Naprawdę spodziewasz się, że w to uwierzemy?

- Możecie wierzyć, w co chcecie. Nie zamordowałem żadnej dziewczyny.

Katie wyciągnęła kolorową fotografię Fiony Kelly i przytrzymała ją przed jego twarzą. Nie mrugnął nawet okiem, nie skupił na niej spojrzenia.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie przebywałeś w czwartek po południu.

- Byłem w Dripsey na spotkaniu z pewnym facetem, w sprawie kilku koni.

- Jakim facetem?

- Wszyscy nazywają go Cootie. Nie znam jego prawdziwego nazwiska.

- Jak się dostałeś do Dripsey?

- Pojechałem z moim kuzynem, Gerem, i drugim synem, Tadghem. Ger podrzucił nas, jak wy to nazywacie, land-cruiserem.

- Sprawdźmy to, oczywiście. Gdzie byłeś w piątek?

- Wielu z nas pojechało do Mallow szukać roboty przy naprawie przeciekających dachów.

Katie wciąż trzymała fotografię Fiony Kelly przed jego oczyma.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o Morigain?

Po raz pierwszy Tomás zamrugał oczyma.

- Oczywiście, że słyszałem.

- Opowiedz mi więc.

- Co ci opowiedzieć?

- Opowiedz mi o Morigain. Kim jest, co może dla ciebie zrobić?

Desmond O'Keeffe zastukał długopisem w blat stołu.

- Przepraszam... Nie widzę żadnego związku...

- Jest pan tutaj, żeby strzec praw pana O Conailla, panie O'Keeffe, a nie po to, żeby kwestionować sposób przesłuchiwania - powiedziała Katie.

- Mimo wszystko... - zaprotestował Desmond O'Keeffe, czerwieniąc się.

- Nie ma sprawy, odpowiem - wtrącił Tomás O Conaill. - Nikomu nic nie zrobiłem i ta wiedźma dobrze o tym wie. Morigain jest bean-sidhe, co oznacza kobietę z baśni.

- Wierzysz w baśnie?

- Wierzę w Morigain, dlaczego nie? Czyż nie słyszałem jej osobiście tej nocy, kiedy zmarł

mój biedny ojciec, zawodzącej i pukającej do tylnych drzwi?

- Myślałam, że kobiety z baśni płaczą tylko dla pięciu wybranych rodzin.

- To prawda - przytaknął Ó Conaill i zaczął liczyć je na palcach: - O'Neillowie, O'Brienowie, O'Connorsowie, O'Gradysowie i Kavanaghowie. Mój ojciec ożenił się z kobietą z klanu O'Gradych.

- Czy wierzysz, że Morrigan można wezwać z innego świata, jeśli złoży się jej ofiarę z ludzi?

Tómas Ó Conaill wzruszył ramionami i strzepnął popiół z papierosa do przepelnionej popielniczki.

- Czy słyszałeś o szkieletach jedenastu kobiet, które znaleźliśmy w Knocknadeenly?

- Tak, słyszałem. Widziałem je w telewizji.

- Jeden z naszych ekspertów uważa, że ktoś mógł próbować składać ofiarę Morrigan. Jeśli zabijesz trzynaście kobiet i zedrziesz mięso z ich kości, aby mogła się nim pożywić, Morrigan wynagrodzi cię, dając ci wszystko, czego tylko zechcesz.

- Tak, wiem o tym.

- Wygląda na to, że naszemu mordercy z 1915 roku ktoś przeszkodził, zanim zdołał złożyć całą ofiarę. Czy nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że jeśli zabijesz kolejne dwie kobiety, będziesz mógł wezwać Morrigan i poprosić ją, żeby uczyniła cię bogatym? To łatwiejsze, niż wygrać w lotto.

- Nie powinnaś sobie drwić z sidhe, detektywie nadinspektor wiédźmo.

- Pytam cię wprost, Tómas. Zabiłeś Fionę Kelly?

- Odpowiedź brzmi: nie, nie zabiłem. A jeśli miałbym wezwać Morrigan, prosiłbym ją tylko o jedno: żeby uczyniła cię ślepą i kulawą.

- Jesteś słodki, Tómas.

Kilka minut później do pokoju przesłuchań zapukał Liam i skinął na Katie, żeby wyszła na zewnątrz.

- Przesłuchanie przerwano o godzinie piątej dziewięć nad ranem — powiedziała, po czym

pozostawiła Tómasa O Conailla samemu sobie. Zapalał akurat kolejnego papierosa.

Liam trzymał w ręce informację z wydziału technicznego.

- Wstępnie sprawdzili samochód. Ó Conaill zostawił odciski na całych drzwiach, klamkach, kierownicy, dźwigni zmiany biegów, hamulcu ręcznym, sterownikach radia, kluczykach, bagażniku, dosłownie wszędzie. Znalazł się wyraźny odcisk kciuka na wstecznym lusterku. Najprawdopodobniej poprawiał je, dostosowując do swojej pozycji za kierownicą.

- Są jeszcze jakieś odciski?

- Fiony Kelly, na zewnętrznej klamce po stronie pasażera, co potwierdza słowa twojego świadka, że do samochodu wsiadła dobrowolnie.

- Żadnych innych?

- Jeden czy dwa odciski innej osoby w okolicach korka wlewu paliwa. Zapewne zostawił je pracownik firmy, do której należy wóz. Nic jednak nie wskazuje na to, żeby samochód prowadził ktoś

poza Ó Conaillem.

- Co z plamami krwi?

- Och, wynik pozytywny. Ta sama grupa, którą miała Fiona Kelly. Ale nie zrobili jeszcze testów na DNA.

- Wyniki z chaty?

- Ślady butów, owszem. Numer dziesięć, ten sam, na jaki natrafiliśmy na Meagher's Farm. Nie ma jednak odcisków palców O Conailla, i to jest dziwne. Natrafili na częściowy odcisk jego dłoni na klamce drzwi wejściowych, jednak w środku nie było żadnych jego odcisków. Mnóstwo innych, żaden

ze znalezionych nie należy jednak do niego. Przynajmniej do tej pory.

- Ani jeden?

Liam potrząsnął głową.

- Dlaczego tak bardzo starałby się nie pozostawić po sobie śladów w chacie, skoro pokrył nimi prawie cały samochód? Tym bardziej że w samochodzie były plamy krwi Fiony Kelly?

- Zaskoczyłaś go, prawda? Prawdopodobnie miał zamiar odjechać i nigdy tam nie wrócić.

- Mimo wszystko... Coś tu się nie układa...

- Jest tylko jeden sposób, żeby sprawę wyjaśnić. Musimy go po prostu zapytać.

- A co z jego alibi?

- Cała jego rodzina zgodnie twierdzi, że w czwartek pojechał na spotkanie z tym całym Cootie, a w piątek wyjechał do Mallow. Ale to cię chyba nie dziwi, prawda? Jego matka wygląda, jakby na śniadanie jadała bloki betonu, A musiałabyś widzieć jego siostrę! To dopiero kawał baby'

— Co z ich samochodami? Znaleźliście coś?

— Przeszukaliśmy wszyściutkie, dokładnie siedem. Dwa nowiusieńkie jeepy cherokee, najnowszy model bmw, jeden winnebago chieftain i trzy przyczepy kempingowe. Rozpruliśmy tapicerkę, a w przyczepach nawet zerwaliśmy podłogi. I nic, poza dwudziestoma ośmioma butelkami paddy's i pewną ilością eleganckich damskich ciuszków, które wyglądają, jakby podprowadzono je od

Browna Thomasa.

- W porządku. Dziękuję, Liam.

Wróciła do pokoju przesłuchań. Tomás Ó Conaill nawet nie podniósł wzroku, żeby na nią popatrzeć. Usiadła i położyła na stole pomiędzy sobą a nim raport techników.

- Chciałabym się dowiedzieć, skąd wzięłeś samochód -powiedziała.

- Już ci mówiłem, czarownico. Natrafiłem na niego na podwórku przed domem. Pewnie go dotykałem, ale z tego, co wiem, dotykanie nie jest przestępstwem.

- Twoje odciski są na całym aucie. Tylko twoje, no i dziewczyny, którą zamordowałeś.

- Ile razy mam ci powtarzać, że nie zamordowałem żadnej dziewczyny?

- Ale ukradłeś samochód, prawda?

Tómas Ó Conaill przez długi czas milczał. W końcu wyciągnął kolejnego papierosa, zapalił go i wydmuchnął dym nosem, jakby wysuwając dwa długie, szare kły.

- Prowadziłem go - przyznał. - Ale go nie ukradłem. Znalazłem go i zamierzałem sobie jedynie pożyczyć.

- Znalazłeś go?

- Tak, znalazłem.

- Sądzisz, że urodziłam się wczoraj? Popatrzył zimno prosto w oczy Katie.

- Nie, czarownico, wcale tak nie sędzę. Możesz sobie wyglądać na młodą i piękną, ale i tak masz twarz starej wiedźmy.

- Gdzie znalazłeś ten samochód. Tómas?

- Stał przy drodze, dwoma kołami w rowie, mniej więcej milę na północ od skrzyżowania w Curraghnalaght. Nie był zamknięty, a kluczyki tkwiły w stacyjce.

- Inaczej mówiąc, ktoś go tam zaparkował.

- Nie zaparkował, lecz porzucił. Bez wątplenia porzucił. Nikogo nie było w promieniu wielu mil.

- Kiedy dokładnie dokonałeś tego cudownego odkrycia?

- Wczoraj wieczorem, powiedziałbym, że około dziewiątej.

- Dlaczego nie zgłosiłeś się ze znaleziskiem do Gardy? Tómas milczał. Ruchem głowy odrzucił z twarzy długie, kręcone włosy.

- Zatem znalazłeś porzucony samochód i postanowiłeś go ukraść?

- Nie chciałem ukraść, już ci mówiłem, tylko pożyczyć. W moim własnym wozie mam kłopoty ze skrzynią biegów, a musiałem pojechać do Cork po części zamienne.

- A więc po prostu chciałeś pojechać tym porzuconym samochodem do Cork i potem go oddać?

- Taka była moja intencja, owszem.

- W porządku - powiedziała Katie. - Przypuśćmy, że I wierzę w tę fantastyczną historię, chociaż nie wierzę ani i przez chwilę. Co robiłeś w chacie przy „Sheehan's Nursery”? To chyba niedokładnie po drodze z Curraghnalaght do Cork, prawda? Prawdę mówiąc, ta droga donikąd nie prowadzi.

- W skrytce obok deski rozdzielczej znalazłem kartkę. Ktoś na niej napisał nazwę „Sheehan's Nursery” i narysował coś w rodzaju mapy.

- Naprawdę? Czy wciąż masz tę kartkę?

- Nie wiem. - Zaczął przetrząsać kieszenie, ale znalazł w nich jedynie paczkę papierosów rizla.

- Nie. Prawdopodobnie gdzieś ją wyrzuciłem.

- Bardzo wygodne wytłumaczenie.

- Pomyślałem, że jeśli dotrę do Sheehan's Nursery, dowiem się, do kogo należy samochód, i może nawet dostanę nagrodę za jego zwrot.

- Och, już w to wierzę, Tómas, naprawdę wierzę.

- Nic masz żadnego powodu, żeby mi nic wierzyć. Przysięgam na Boga, że to wszystko prawda.

- Nie sądzę. Uważam, że prawda jest inna. Użyłeś fałszywego nazwiska i adresu, żeby wypożyczyć mercedesa. Wykorzystałeś go, żeby zabrać z trasy pierwszą niewinną dziewczynę, jaka ci się nawinęła. Zawiozłeś ją do „Sheehan's Nursery”, gdzie przywiązałeś ją do łóżka i z zimną krwią torturowałeś, zdierałeś za życia ciało z jej kości i w końcu zabiłeś ją. Następnie krwawe szczątki zawiozłeś na Meagher's Farm i ułożyłeś je na polu jako ofiarę dla Morigain.

Tómas Ó Conaill zaczął kiwać głową.

- Jesteś czarownicą, detektywie nadinspektorze czarownico. Nie jesteś nikim lepszym od bean-nighe, jesteś praczką śmierci, spierającą krew z ubrań umierających ludzi. Jestem niewinny, nie

popelniłem żadnego morderstwa, i to jest moje ostatnie słowo.

Katie pochyliła się i popatrzyła prosto w głęboko osadzone oczy.

- Zamknę cię za to, Tómas. I długo po tym, jak pójdę na emeryturę i wieczory będę spędzała w domu przy kominku, pozostanie we mnie ciepłe, satysfakcjonujące uczucie pewności, że wciąż siedzisz w Bridewell i pozostaniesz tam aż do dnia, w którym wydasz ostatnie tchnienie.

Siobhan tak się spieszyła na autobus, że zapomniała zabrać notatnik ze wstępnymi projektami sukienek. Znajdowała się już w połowie Wellington Road, kiedy zdała sobie z tego sprawę. Musiała prędko pobiec z powrotem do domu. Gdy biegła, na jej ramieniu kołysała się duża torba zrobiona na drutach. Otworzyła kluczem drzwi frontowe i pobiegła po schodach do sypialni. Zabrała notatnik ze stolika, po czym z głośnym stukotem butów na drewnianych schodach zbiegła z powrotem na dół.

Zanim dotarła do skrzyżowania świętego Łukasza, autobus już odjeżdżał. Gwałtownie zamachała rękami, jednak kierowca odjechał z przystanku obok kiosku z gazetami, nawet jej nie zauważywszy. Wkrótce po autobusie jadącym w dół Summerhill pozostały jedynie kłęby dymu z rury wydechowej dieslowskiego silnika. Nie było sensu za nim biec. Oczyma wyobraźni Siobhan ujrzała, jak spóźnia się na lekcję projektowania. Pani Griffin jak zwykle powita ją sarkastycznie i urządzi przedstawienie przed całą klasą, bo spóźniała się przecież prawie codziennie. Nawet i jeśli zdoła na czas ukończyć projekt, zostanie zawstydzona i poniżona.

Z jedną ręką opuszczoną wzdłuż ciała zaczęła iść szybkim krokiem w kierunku Cork po prowadzącym stromo i w dół chodniku. Szybko minęła wiktoriańską iglicę kościoła świętego Łukasza

i kilkadziesiąt byle jakich budynków f mieszkalnych stojących po obu stronach Summerhill, otoczonych mokrymi od deszczu ogrodami i strzeżonych przez zardzewiałe bramy. Listopadowe słońce świeciło jej w oczy, nie dając o sobie zapomnieć, niczym natrętna migrena, o tej porze samochody kierowały się z północy w kierunku miasta, a hałas ich silników był wprost ogłuszający. Siobhan miała ognistorude włosy układające się w fale. Z trudem dawały się rozczesać, mimo że każdego ranka je szczotkowała i związywała szarfą. Była śliczna, jeśliby przyjąć kanon urody z czasów sprzed Rafaela. Podobna była do matki i, podobnie jak ona, miała mlecznobiałą skórę i szafirowo-niebieskie oczy. W chwilach zażenowania policzki przybierały mocno czerwony kolor.

Już od najwcześniejszego dzieciństwa pragnęła projektować sukienki. W przedszkolu rysowała damy w bogatej tych sukniach balowych, a kiedy ukończyła jedenaście lat. Zwyciężyła w konkursie „Evening Echo” na najlepszy projekt sukni wieczorowej dla nastolatek. Ojciec zawsze sceptycznie patrzył na jej zainteresowania i mawiał, by przygotowywała się do „bardziej stosownego zawodu”, a za taki uważał na przykład pracę w kasach Dunnes Stores, jednak matka chroniła ją przed nim, zachęcała do rozwijania „Zainteresowań i po prostu w nią wierzyła. Teraz była wystarczająco dorosła,

by zdawać sobie sprawę, że matka widziała w niej dziewczynkę, jaką sama zawsze chciała być: utalentowaną, wolną, niezależną i wykształconą, a nie ciężarną w wieku siedemnastu lat i zmęczoną życiem w wieku lat dwudziestu trzech.

Nie doszła nawet do połowy Summerhill, gdy przy krawężniku obok niej zatrzymał się duży biały samochód. Szyba po stronie pasażera opuściła się.

- Halo, dziewczyno! Wygląda na to, że bardzo się spieszysz. Może cię podwieźć?

Siobhan pochyliła się i popatrzyła w ciemne wnętrze auta. Dostrzegła sylwetkę mężczyzny w ciemnych okularach. Z samochodu docierał do niej zapach skórzanej tapicerki i drogiej wody po goleniu.

- Nie, dziękuję. Nie mam daleko.

- Po prostu zauważyłem, że się spieszysz.

- To nic ważnego.

- W porządku. Ale mam jeszcze kilka wolnych minut do swojego pierwszego spotkania, to wszystko. Mogę cię podwieźć, dokąd tylko zechcesz.

Zawahała się. Zawsze odrzucała propozycje podwiezienia ze strony obcych ludzi, ale przecież raz mogła odstąpić od tej zasady. Był w końcu jasny dzień, a nie druga w nocy, chodnikiem przemieszczało się mnóstwo ludzi zmierzających do miasta, a po drogach jeździły autobusy i samochody.

- W porządku - powiedziała, wskazując na miejsce pasażera i stawiając torbę na podłodze przy

nogach. - Chcę się dostać do Crawford College of Art and Design. Wie pan, gdzie to jest?

- Och, tak - odparł mężczyzna i z wprawą włączył samochód do ruchu. - Patrząc na twój kolorowy strój, pomyślałem sobie, że musisz być studentką sztuk pięknych.

- Sama tę sukienkę zaprojektowałam. Tego się właśnie uczę, projektowania odzieży.

Zatrzymali się na czerwonym świetle przy końcu Summerhill. Mężczyzna odwrócił się w jej stronę i zobaczyła w czarnych szklach jego okularów swoje odbicie.

- Cóż za nadzwyczajne włosy - zauważył. - Prawdziwy celtycki ogień.

- Kiedyś ich nienawidziłam

- Jak mogłaś? Są jak cohullen druith.

Siobhan posłała mu krzywy uśmiech. Nie miała najmniejszego pojęcia, co znaczą słowa cohullen druith.

- To szkarłatna czapka zrobiona z piór — powiedział mężczyzna, jakby odgadł jej myśli. -

Taką czapkę noszą irlandzkie syreny, merrowy. Dzięki niej łatwiej unoszą się na wodzie. Są uderzająco piękne, jak ty, i bardzo rozwiązałe w stosunkach ze śmiertelnymi mężczyznami.

Oczywiście, niczego nie sugeruję... - przerwał, zwolnił ręczny hamulec i ruszył, kiedy zapaliło się zielone światło.

Przejechali przez most i zmierzali teraz w kierunku Merchants' Quay. Kiedy dotarli do następnych świateł, mężczyzna powiedział:

- Merrowy, przybywszy na ląd, muszą zdejmować czapki i ukrywać je. Kto znajdzie taką czapkę, zyskuje absolutną władzę nad syreną, ponieważ nie może ona powrócić bez niej do morza.

- Chyba uczyliśmy się czegoś na ten temat w szkole - powiedziała Siobhan.

Zaczynała się niepokoić. Mężczyzna zatrzymał auto na prawym pasie, jakby chciał z powrotem przejechać przez Patrick's Bridge, zamiast jechać prosto w kierunku Sharman Crawford Street, dokąd

chciała dotrzeć.

- Dalej pójde już pieszo - powiedziała.

- Na twoim miejscu nie marzyłbym o tym.

- To nie jest daleko, naprawdę.

Mężczyzna znów się do niej odwrócił i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jak ci na imię? - zapytał.

- Siobhan, dlaczego?

- Pozwól, że coś ci powiem, Siobhan. Każda podróż jest przygodą. Kiedy rano robisz pierwszy krok, wychodząc z domu, nigdy nie wiesz, dokąd tym razem zaprowadzi cię los.

- Uważam, że stąd mogę już iść pieszo - powiedziała stanowczo i szarpnęła za klamkę. Zapaliło się zielone światło i mężczyzna ruszył w prawo, przez rzekę, w kierunku MacCurtain Street, która wiodła z powrotem na wschód.

- Proszę, niech się pan zatrzyma. Chcę wysiąść.

- Niestety, to niemożliwe. Oto jedna z podróży, która, rozpoczynając się, może się zakończyć dopiero u określonego celu. Żadnego guzdrania się, żadnych objazdów. Zatrzymamy się dopiero na końcu drogi, jak mówią słowa pewnej piosenki.

- Niech pan zatrzyma samochód, proszę. Chcę wysiąść. Mężczyzna zignorował ją. Na dobre już zdenerwowana,

Siobhan nabierała jak najgorszych podejrzeń. Musieli stanąć przed przejściem dla pieszych

obok Everyman Theater i kiedy to zrobili, zaczęła walić pięściami w szybę, próbując zwrócić na siebie

uwagę kierowcy furgonetki, która stanęła obok nich.

- Na pomoc! - zawołała. - Pomocy!

Jednak kierowca rozmawiał przez telefon komórkowy, a poza tym bez wątplenia uznał, że

Siobhan po prostu się wygłupia. Mrugnął do niej i pokiwał głową, a potem światła się zmieniły i

znów

ruszyli. Minęli Summerhill. Dworzec kolejowy i mknęli dalej drogą wiodącą wzdłuż rozlanych szeroko, lśniących wód rzeki Lee.

Samochód jechał bardzo szybko. Siobhan znów szarpnęła klamkę, mężczyzna pochylił się ku niej i złapał za przeguby, mocno i boleśnie je ściskając.

- Nie możesz wysiąść, Siobhan, na twoim miejscu nawet bym tego nie próbował. Siedź na tyłku i ciesz się z przejażdżki rollercoasterem. To jest przygoda, kochanie... Przygoda o wiele bardziej

fascynująca niż chodzenie do college'u i projektowanie płaszców. Płaszcz możesz zaprojektować każdego dnia. Płaszcz, na miłość boską! Powiedz, jak często stajesz twarzą w twarz z przeznaczeniem?

- Wypuść mnie! - wrzasnęła. Walczyła, próbowała mu się wyrwać, panika dodawała jej sił. - Wypuść mnie! Wypuść!

Mężczyzna szarpnął kierownicą w prawo, potem w lewo. Samochód zatańczył na szosie, ledwie omijając nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę. Z tyłu dobiegł pisk opon i kakofonia klaksonów.

- Tak szybko chcesz umrzeć? - zdziwił się mężczyzna. W jego głosie zabrzmiała nuta triumfu.

- Proszę, niech pan się zatrzyma. Niech mnie pan wypuści.

W zmaganiach z Siobhan znów szarpnął kierownicą. Tym razem jedno z kół otarło się o krawężnik, odpadł od niego kołpak i potoczył się w krzaki.

- Czego ty chcesz? - krzyknęła znów Siobhan. - Czego i ode mnie chcesz?

Mężczyzna bez słowa przejechał przez Skew Bridge, potem z piskiem opon skręcił w lewo, później w prawo i wreszcie samochód przejechał przez tory kolejowe.

- A jak myślisz? - odezwał się po chwili. - Chcę wszystkiego, co możesz mi dać, moja droga Siobhan, a może nawet trochę więcej. - Uniósł w górę jej ramię i mocno je ścisnął.

Siobhan kilkakrotnie głęboko odetchnęła, jak ktoś, kto wchodzi po pas do zimnej wody.

Próbowała być spokojna, jak najspokojniejsza. Matka zawsze powtarzała jej, że nienależnie od tego, w jak trudnej sytuacji znajdzie się z powodu mężczyzny, nigdy nie powinna stracić panowania nad sobą, nigdy nie powinna wpaść w histerię. Mężczyźni zawsze chcą wyprowadzić cię z równowagi. To daje im powód do złości, pretekst do bicia. Ojciec bił matkę każdego niedzielnego ranka, po mszy, z monotonną regularnością, ale Siobhan nigdy nie słyszała, żeby matka powiedziała chociaż: „Przestań, Tom, przestań”.

- Zaprezentuję ci wszystkie rodzaje przyjemności - powiedział mężczyzna. - Wszelkie doznania, odczucia, których dotąd sobie nawet nie wyobrażałaś. Doprowadzę cię, Siobhan, do takiej ekstazy, że będziesz błagała o więcej i więcej. Niestety, w dzisiejszych czasach mamy na to tak mało czasu. Wszystko robimy w pośpiechu, wciąż w pośpiechu, prawda? Czy ty wiesz, ile przez to tracimy?

- Nie pozwolę, żebyś mnie skrzywdził - odezwała się Siobhan głosem, który miał zabrzmieć buntowniczo.

- Przykro mi, ale nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Jeżeli będę chciał cię skrzywdzić, zrobię to.

- Masz mnie natychmiast wypuścić z samochodu.

- Co? Żebyś zawołała gliniarzy, którzy natychmiast by mnie zapuszkowali? Nic z tego, moja droga. Sprawa jest zbyt poważna. Potrzebne mi jeszcze tylko jedno życie. Kiedy je dostanę, otrzymam

wszystko, czego zapragnę. Już prawie widzę ten dzień, Siobhan. Największy dzień, jaki kiedykolwiek nastąpił w historii naszych czasów. I cała chwała będzie twoim udziałem. Albo przynajmniej jej większość. Albo część. No, przynajmniej odrobina.

Minęli Tivoli Docks z dźwigami odbijającymi się w tafli rzeki, po czym skręcili na drogę prowadzącą w górę w kierunku Mayfield. Siobhan zaczęła zapadać się w fotelu, z każdą chwilą coraz

bardziej, jakby chciała się przed kimś ukryć.

- Nie powinnaś się bać - powiedział mężczyzna. - Jedyнным powodem do strachu może być wizja śmierci w zapomnieniu. To jednak z pewnością ci nie grozi.

- Jestem spóźniona - jęknęła Siobhan. - Jestem spóźniona na lekcję projektowania. Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie się podziewam.

Mężczyzna puścił jej rękę, zanurzył palce w jej gęstych włosach koloru miedzi i masował skórę na jej głowie.

- Wkroczyłaś na zupełnie inną ścieżkę, Siobhan. To zupełnie inna droga. Kiedy obudziłaś się dzisiaj rano, pomyślałaś, że twoje życie będzie takie samo jak wczoraj i przedwczoraj, i jeszcze wcześniej. Tymczasem, uwierz mi, ono już takie nie jest. - Wysunął palce z jej włosów i powąchał je.

- To dziwne, prawda? Rude włosy pachną zupełnie inaczej od innych. Jak lisy.

Po chwili, kiedy dotarli do skrzyżowania w Ballyvolane, sięgnął ręką w dół i zaczął poruszać nią po omacku pod siedzeniem, jakby coś tam zgubił. Kiedy ponownie się wyprostował, trzymał w dłoni nowiutki młotek. Naklejka z ceną wciąż przyklepiona była do jego trzonka. Siobhan kątem oka dostrzegła, że coś zalsniło, nie miała jednak pojęcia, co mężczyzna zamierza, aż do chwili, kiedy wyciągnął rękę i szybkim ruchem płaską stroną żelaznej nasady młotka uderzył ją prosto w czoło.

Kiedy się obudziła, była naga. W głowie czuła dudnienie po uderzeniu młotkiem, jej wzrok był nieostry. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, chociaż odnosiła wrażenie, że jest w mieszkaniu na piętrze,

ponieważ przez okno widziała czubki jodeł, zachmurzone niebo i słabe słońce z trudem przedzierające

się przez chmury.

Spróbowała wstać i wtedy zdała sobie sprawę, że jest r przywiązana do fotela, na którym siedzi.

Jej przeguby i kostki ktoś mocno przytwierdził do poręczy i nóg fotela, używszy do tego nylonowego sznurka. Czuła przeraźliwe zimno. Pokój był pusty. Podłogę pokrywało zielone, poplamione

linoleum,

a ściany wyklejono kremową tapetą, która była już bardzo brudna. Gdzieś odklejała się od ściany, i w wielu miejscach widoczna była na niej wilgoć. W kącie pokoju znajdował się kominek.

Na ścianie naprzeciwko Siobhan wisiał obraz przedstawiający Jezusa Chrystusa otoczonego zwierzętami. Uśmieleli chał się do niej dobrotliwie, jedną rękę unosił do góry. Oblizwała wargi. Były spierzchnięte. Z trudem znajdowała w sobie siłę, aby równomiernie oddychać.

- Pomocy - wydobyła z siebie szept. - Pomocy.

Spała. Musiało minąć kilka godzin, ponieważ gdy znów otworzyła oczy, niebo miało bladobłękitny kolor, a słońce skryło się przed jej wzrokiem za ramą prawego okna. Teraz oświetlało już tylko obraz z Jezusem. Tak zeszywniała, że gdyby ktoś przyszedł i ją uwolnił, a ona spróbowałaby wstać, nogi i ręce odmówiłyby jej posłuszeństwa. Jej skóra była bielsza niż kiedykolwiek. Widziała żyły na, swoich piersiach i udach. Tworzyły na jej ciele siatkę przypominającą trochę mapę. Nigdy dotąd nie było jej tak zimno. - Mamusiu - powiedziała z rozpaczą

w głosie. A potem powtórzyła znacznie ciszej: - Mamusiu, jestem tutaj.

Kiedy Conor Cronin z Traveler's Support Movement zapukał do drzwi, Katie była gotowa, żeby pójść wreszcie do domu.

- Spodziewałam się pana - powiedziała, zatrzasnąjąc i zamykając na klucz szuflady biurka.

Conor był mężczyzną w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Miał wąsy jak mors i podpuchnięte oczy faceta, który namiętnie i bez umiaru pija guinnessa. Ubrany był w zielony płaszcz przeciwdeszczowy, w ręce trzymał kapelusz o szerokim rondzie.

- Tadgh O Conaill wszystko mi opowiedział. Zdaje się, że aresztowała pani Tómasa, i to pod zarzutem morderstwa.

- Pomaga nam w pewnym śledztwie.

- Dobrowolnie?

- Czy Tómas O Conaill kiedykolwiek dobrowolnie pomagał Gardzie?

- Został formalnie oskarżony?

- Tak.

Conor rozejrzał się po gabinecie Katie, jakby coś tu zgubił.

- Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, że usiądę?

- Proszę, niech pan siada. Obawiam się jednak, że wszystkie moje krzesła pożyczyłam na jakąś konferencję. Tutaj. - Zdjęła z małego stołeczka stertę papierów i przełożyła je na biurko.

Conor usiadł i położył kapelusz na kolanach, jakby było to częścią występu brzuchomówcy:

Cronin i jego Mówiący Kapelusz.

- Chciałbym się upewnić, że przestrzega pani jego praw - powiedział. - Niezależnie od tego, co rzekomo uczynił, nie jest winien tylko dlatego, że jest Wędrowcem. Nie chciałbym sądzić, że zamknęła go pani z powodu jakichś uprzedzeń.

- Panie Conor, i pan, i ja, znamy Tómasa O Conailla od dawna. Jest paskudnym draniem i

wypracowuje Wędrowcom reputację, na którą w gruncie rzeczy nie zasługują

- On nie jest mordercą, pani nadinspektor. Nie będzie nim, dopóki nie orzeknie tego sędzia i

ława przysięgłych. I tylko jedna władza ma prawo zdecydować, czy naprawdę jest zły. Ta władza to...

- wskazał palcem na sufit.

- Jeszcze dzisiaj wystąpię na konferencji prasowej, panie Conor — powiedziała Katie. -

Zamierzam ogłosić, że aresztowałam Tómasa pod zarzutem zamordowania Fiony

Kelly, niech się pan jednak nie martwi. Chcę także przypomnieć dziennikarzom, że jedna czarna owca nie świadczy o całym stadzie.

- Mimo wszystko niepokoję się, czy prawa Tómasa będą przestrzegane. Jest pani do niego bardzo uprzedzona.

Katie zastukała ołówkiem w blat biurka.

- Do Irlandii przyjechała młoda Amerykanka, chcąc objechać wyspę wzdłuż i wszerz. Tómas Ó Conaill porwał ją, torturował, zrywał ciało z jej kości, kiedy jeszcze żyła, a potem poćwiartował jej zwłoki i rozłożył je na polu jako ofiarę dla dziwacznej bogini. Dlatego nie powinien mnie pan oskarżać o uprzedzenia wobec niego.

Conor gwałtownie wstał.

- Jeszcze o tym porozmawiamy. Wędrowców prześladowuje się w tym kraju od czasów Olivera Cromwella i nie życzę sobie, żeby i pani prześladowała go tylko dlatego, że nie ma stałego miejsca zamieszkania.

- A ja nie życzę sobie, żeby się z tej sprawy wykpił tylko dlatego, że zwie się Wędrowcem.

Conor wydmuchał nos. Po chwili odezwał się:

- Miłego dnia, pani detektyw nadinspektor.

Następnie nałożył na głowę kapelusz i wyszedł z gabinetu, w drzwiach mijając się z Patrickiem O'Donovanem, który wchodził właśnie do gabinetu Katie ze stertą raportów.

- Co w niego wstąpiło?

- To ciężki przypadek niedowartościowania, nic więcej. Co masz dla mnie?

- Kolejne dwie osoby zgłosiły, że ich praprababki zginęły w 1915 roku. Mam tu zapisane...

Kathleen Harrington i Brigid Lehane. Obie zgodziły się poddać testom na DNA.

- Dobra wiadomość. Coś jeszcze?

- O czwartej będzie tutaj pani i pan Kelly. Rodzice Fiony.

- Dobrze. Spotkam się z nimi.

Jadąc do domu, Katie zadzwoniła do Paula z telefonu komórkowego, jednak jej mąż nie podnosił słuchawki. Zapewne wciąż spał, odsypiając zarwaną noc. Zatelefonowała do Liama Fennessy'ego. Sygnał rozbrzmiewał przez dobre pół minuty, zanim odezwała się Caitlin, dziewczyna Liama.

- Caitlin? Tu Katie Maguire. Czy Liam jest w domu?

- Wyszedł mniej więcej dwadzieścia minut temu. Nie wiem, kiedy wróci.

- Pilnie muszę z nim porozmawiać, a nie mogę go złapać na komórce.

- Ma zepsuty aparat.

- Aha, rozumiem. Jak tylko wróci do domu, poproś go, żeby się ze mną skontaktował.

Caitlin milczała, jednak Katie wyraźnie usłyszała, jak pociąga nosem, jakby przed chwilą płakała.

- Caitlin? Czy wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. Naprawdę nic mi nie jest.

- Nie wygląda na to. Niespodziewanie Caitlin zaczęła łkać żałośnie.

- Caitlin, co się stało? Powiedz mi.

- Nic. Mam okres, to wszystko.

- Zaraz do ciebie przyjadę.

- Proszę cię, nie.

- Mimo wszystko przyjadę.

Liam i Caitlin mieszkali w dwupokojowym domku na nowym osiedlu pod Douglas, blisko wioski i centrum handlowego na południowy wschód od Cork. Katie zaparkowała mondeo na stromym podejździe i podeszła do frontowych drzwi. Zadzwoiła i usłyszała, jak dźwięk dzwonka rozległ się w środku. Niebo miało kolor łupkowej dachówki, a temperatura powietrza gwałtownie spadała.

Musiała zadzwonić jeszcze raz, zanim Caitlin podeszła do drzwi. Była szczupłą, ładną dziewczyną o czarnych, krótkich włosach i spiczastym nosku. Na głowie miała opaskę, była ubrana w kremowy, obszerny sweter i dzinsy. Włożyła też okulary przeciwsłoneczne.

— Co się stało? — zapytała Katie.

Caitlin wzruszyła ramionami. Odwróciła się i Katie weszła za nią do środka, zamykając za sobą drzwi. W holu o stolik z telefonem oparta była wielka reprodukcja obrazu Jacka Yeatsa. Miała pękniętą ramę i rozbite szkło. W kuchni widać było na podłodze stertę zmiecionych kawałków porcelany.

- Właściwie poszło o nic - powiedziała Caitlin, siadając przy kuchennym stole. - Po prostu rozmawialiśmy o naszych wakacjach. Liam powiedział, że chce pojechać na ryby do Galway. A ja powiedziałam, że wolałabym wyjechać do Portugalii i złapać trochę słońca.

- W porządku. No i co?

Palce Caitlin rysowały na lakierowanym blacie sosnowego stołu niewidzialne kółka i motylki.

- Liam stwierdził, że najprawdopodobniej i tak w końcu go zostawię i pójdę swoją drogą, ponieważ kobiety zawsze tak robią, bo są nieracjonalne po prostu dlatego, że są kobietami.

Odpowiedziałam mu... Nie wiem, nie pamiętam, ale chyba powiedziałam, że jest głupi, i zaczęliśmy się kłócić. Rzucił telefonem komórkowym przez cały pokój. Potłukł wszystkie talerze. Krzyknęłam w

końcu, żeby się wynosił i nie wracał, dopóki się nie uspokoi. Wtedy mnie uderzył.

Zdjęła okulary. Lewy policzek miała posiniaczony i opuchnięty, a oko było niemal zupełnie niewidoczne. Nad prawą brwią i u nasady nosa miała rany.

Katie usiadła obok niej i ujęła jej dłoń.

- Tak mi przykro, Caitlin. Naprawdę bardzo mi przykro. Po policzkach dziewczyny spłynęły łzy.

- Nigdy taki nie był. Zawsze był łagodny, spokojny, wrażliwy prawie jak poeta. Teraz odnoszę wrażenie, że jest zgorzkniały i zły.

- Pewnie potrzebuje odpoczynku - powiedziała Katie. - W ciągu ostatnich sześciu miesięcy chyba za bardzo go eksploatowałam. Widzisz, bardzo na nim polegamy, na jego doświadczeniu i wiedzy. Może oczekuję od niego zbyt wiele?

- Chyba nic mu za to nie zrobisz? - Caitlin pokazała na swoje oko.

- To zależy. Zastosował wobec ciebie przemoc fizyczną, Caitlin, a to jest przestępstwo. Możesz go oskarżyć, jeśli chcesz.

- To by go wykończyło, prawda? To znaczy, zniszczyłoby jego karierę.

- Jest inspektorem Gardy, Caitlin. Powinien bardziej niż ktokolwiek inny przestrzegać prawa. Bardziej niż ktokolwiek inny powinien panować nad sobą.

Caitlin sięgnęła po papierową chusteczkę i otarła oczy.

- Co zrobisz? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem. Nie mogę jednak udawać, że nic się nie stało. Przy pierwszej okazji z nim porozmawiam.

- Częściowo to była też moja wina. Nie powinnam była mówić, że jest głupi. Powinnam zdawać sobie sprawę, że żyje w stresie.

- Daj spokój, Caitlin. Sprzeczką to jedna sprawa, a maltretowanie żony to coś zupełnie innego.

- Odniosłam wrażenie, że nagromadziło się w nim tyle wściekłości, zaciekłości, urazów...

Katie delikatnie ścisnęła jej palce.

- Zrobię nam kawę, zgoda?

Jadąc wreszcie do siebie, spotkała Paula spacerującego z Sierżantem, mniej więcej pół mili od domu. Zaczynało padać, zatrzymała się więc i podwiozła ich. Sierżant wiercił się i sapał na tylnym siedzeniu i co jakiś czas lizał Katie po karku. Paul wyglądał na mocno skacowanego i jakby nieobecnego duchem. Był nie uczesany i ubrany w stary, szary dres do biegania, upstrzony białymi plamami po farbie emulsyjnej.

- A zatem złapałaś swojego rytualnego mordercę? - powiedział, nie patrząc na żonę.

- O trzeciej po południu poinformujemy o wszystkim prasę.

- A wolno mi już teraz wiedzieć, kto to jest?

- Jeżeli nikomu nie powiesz.

- Rozumiem. Tyle lat jesteśmy małżeństwem, a ty wciąż mi nie ufasz.

- Oczywiście, że ci ufam. Sierżant, na miłość boską, przestań lizać! To Tomás Ó Conaill.

- Tomás Ó Conaill, ten psychopata? Wcale mnie to nie zdziwiło. Przyznał się?

- Od początku do końca wszystkiemu zaprzecza. Mimo że aresztowałam go obok mercedesa upapranego krwią Fiony Kelly i upstrzonego jego własnymi odciskami palców.

- Wiesz coś o motywie zbrodni? Może zabił ją w imię jakichś wyższych, piekielnych racji?

- Nie wiem. Gerard O'Brien uważa, że składał ofiarę z człowieka, próbując przywołać Morigain, bean-sidhe. Najwyraźniej znudziło go sprzedawanie używanych samochodów i asfaltowanie dróg. Postanowił szybko zarobić duże pieniądze. Dzięki magii.

- Chryste, nie myślałem, że on może być aż tak głupi.

- Cóż, zdaje się, że wszyscy trochę liczymy na czary, chcąc się wzbogacić. Bo czyż nie na tym polega gra w totolotka, na wyścigach konnych czy zawieranie zakładów?

- Albo sprzedawanie materiałów budowlanych, które do nas nie należą, a wartych milion funtów.

- Tego nie powiedziałam.

- Powiedziałaabyś, gdybym nie zaczął pierwszy. Katie w milczeniu zaparkowała samochód i oboje z Paulem weszli do domu. Teraz padał już rześisty deszcz i w salonie było tak ponuro, że Katie zapaliła światło. Sierżant pobiegł do swojej miski w kuchni i głośno chleptał wodę. Paul nalał sobie whisky.

- Chcesz drinka?

- Boże, nie. Jest dopiero dziesiąta. Wezmę prysznic.

- Posłuchaj, kiedy zadzwoniłaś dzisiaj w nocy... Tak naprawdę to wcale nie jestem aż taki zdołowany.

- Masz prawo być zdołowany. Życie cię ostatnio nie rozpieszczało, prawda? Nawet jeśli w większość problemów wpakowałeś się sam.

Paul usiadł.

- Może Tomás Ó Conaill mimo wszystko nie jest aż tak szalony?

- Co masz na myśli?

- Cóż, pomyśl o rzeczach, o które moglibyśmy poprosić Morrigain, gdybyśmy ją wezwali.

- Na przykład?

Zakołysał kieliszkiem, wpatrując się w złoty płyn, aż w końcu go wypił.

- Na początek poprosilibyśmy o zwrot Seamusa.

- Co?

- Od razu byłoby pomiędzy nami lepiej, prawda? Widzisz, gdyby Seamus nie...

Urwał, kiedy zauważył wyraz twarzy Katie. Bez słowa wyszedł z salonu i poszedł na górę.

Katie zdjęła żakiet, odpięła pas z bronią i rozpięła bluzkę. Porozrzucała ubranie po biało-różowej kanapie, poszła do łazienki i odkręciła prysznic. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze nad umywalką.

Wyglądała jak ktoś, kto właśnie przeżył straszny wstrząs.

Moglibyśmy poprosić o zwrot Seamusa. Matko Boska, jak on śmiał to powiedzieć?

Głęboko odetchnęła i weszła do kabiny. Długo stała bez ruchu, z czołem przyciśniętym do kafelków, a woda spadała na jej głowę, kark, i spływała po plecach.

Moglibyśmy poprosić o zwrot Seamusa.

Ciągle stała pod prysznicem, kiedy Paul zaczął dobijać się do kabiny z matowego szkła.

— Nic ci nie jest, maleńka?

— Nie, wszystko w porządku. Za minutę wychodzę.

— Posłuchaj, nie chciałem cię urazić. Przepraszam. Tylko tyle mam na głowie...

— Nie słyszę cię. Otworzył drzwi do kabiny.

— Mam dodatkowe kłopoty w związku z tymi materiałami budowlanymi.

— Jakie kłopoty?

- Jakiś facet od Adama, nie znam go, podszedł do mnie wczoraj w pubie i powiedział, że mam jeszcze czterdzieści nsiem godzin, a potem mnie dorwą.

Katie wyszła spod prysznicza. Zawinęła się w różowy ręcznik kąpielowy, a drugim owinęła głowę niczym turbanem.

- Czy wspomniał Dave'a MacSweeny'ego? Paul potrząsnął przecząco głową.

- Powiedział tylko: masz czterdzieści osiem godzin, chłopaczku, a potem cię dopadnę.

- Ale dałeś mu do zrozumienia, że Dave MacSweeny chce odzyskać swoje materiały?

- A o czym innym on mówił? Uwierz mi, maleńka, gdybym mógł im oddać te pieprzone materiały, zrobiłbym to w mgnieniu oka. Tymczasem Winthrop Developments nie oddadzą mi ich, dopóki nie otrzymają całego szmalu, Char-lie Flynn wciąż wygrzewa swoją tłustą dupę na Florydzie, ja nie jestem w stanie zmusić go do zapłacenia, jeśli oczywiście wszystkiego już nie stracił. A wiesz, co się stało z moją częścią zysku.

Katie nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Wyglądało na to, że nawet ukrzyżowanie nie

osłabiło żądy zemsty Dave'a MacSweeny'ego. Jeśli chciała skutecznie ochronić Paula, musiała powiedzieć Dermotowi O'Driscollowi, że wie, gdzie znajduje się Charlie Flynn, dlaczego się ukrywa, i

jaka w tym wszystkim jest rola Paula. Mówiąc wprost, istniało realne zagrożenie, że całe to gówno rozbryźnie się na wszystkie strony.

Ale przynajmniej aresztowała Tomás O Conailla za zamordowanie Fiony Kelly. Być może uratowała życie kolejnej dziewczyny, jeśli Ó Conaill naprawdę chciał, żeby liczba poświęconych kobiet osiągnęła trzynaście. Było to jednak marne pocieszenie w obliczu groźby załamania całej kariery.

Zadzwonił telefon i Paul podniósł słuchawkę.

- To do ciebie - powiedział. - Jimmy O'Rourke.

Starannie ubrana, chociaż z włosami w nieładzie, w ciągu czterdziestu pięciu minut była z powrotem na Anglesea Street. Na półpiętrze przed jej gabinetem detektyw sierżant Jimmy O'Rourke rozmawiał z roztrzęsioną rudowłosą kobietą.

- Pani Buckley? - zapytała Katie, wyciągając do niej rękę. - Jestem detektyw nadinspektor Katie Maguire. Może wejdziemy do mojego gabinetu i napijemy się czegoś? Jimmy, postaraj się o kawę dla nas.

Pani Buckley usiadła na skraju krzesła. Była kobietą niezwykle bladą, sprawiała wrażenie doświadczonej przez życie. Jej długie, rude włosy w kilku miejscach spinały wsunięte w nieplastikowe grzebienie. Ubrana była w tani, szary płaszcz przeciwdeszczowy od Penneya. Katie zauwa-

żyła, że palce ma pożółkłe od nikotyny, i zaproponowała jej papierosa. Pani Buckley zapaliła i wypuściła kłęb dymu.

- Zamierzałam zaskoczyć ją i zabrać na obiad - powiedziała. - Poszłam na wydział projektowania, ale nie było jej tam. Powiedzieli mi, że rano nie pojawiła się w college, i nikt nie wiedział, gdzie moja córka się podziewa. Nie wiedziała tego nawet jej najlepsza przyjaciółka. Poszłam

więc do jej mieszkania i tam też jej nie było. Schodziłam po schodach, kiedy natrafiłam na faceta, który mieszka pod nią. Ma kłopoty z sercem czy coś takiego, więc nie pracuje. Powiedział mi, że widział ją, jak przechodziła pod jego oknami mniej więcej pięć po dziewiątej. Potem zatrzymał się jakiś samochód i ją zabrał.

- Czy kiedykolwiek robiła sobie wolne, ot tak, bez oka zji? Po prostu nie przychodziła na zajęcia, nic o tym nikomu wcześniej nie mówiąc?

- Być może. Z powodu naszej sytuacji rodzinnej mieszka teraz sama. Wczorajszy dzień był jednak ważny. Miała dokończyć pracę na końcowy egzamin. Dlatego właśnie chciałam zabrać ją na

obiad. Pomyślałam, że się ucieszy, że pamiętam.

Do gabinetu wrócił Jimmy O'Rourke. Za nim weszła policjantka z tacą, na której stały cztery kubki kawy.

- Świadek, Frank O'Leary, jest na dole. Właśnie przywiózł go wóz patrolowy. Mam go tu przyprowadzić?

- Tak, bardzo proszę. - Katie podała kubek pani Buckley. — Słodzi pani? Tutaj jest cukier.

Niech mi pani opowie o waszej sytuacji rodzinnej.

- Jakies siedem miesięcy temu, zaraz po Dniu Świętego Patryka, opuściłam męża. Co miesiąc przepijał całą wypłatę i w końcu uznałam, że mam już tego dosyć. Przeprowadziłam się do mojej siostry, ale niestety, jej mąż, Kieran, okazał się dla mnie chyba trochę zbyt życzliwy.

Sama nie wiem, jak rozpoczął się romans. Minęły trzy albo cztery miesiące i moja siostra w końcu się zorientowała.

Wyprowadziliśmy się z Kieranem i przez trzy tygodnie mieszkaliśmy w jego samochodzie, ponieważ nikt z rodziny nie chciał nas przyjąć pod swój dach. Moja mama nadal nie odzywa się do mnie, a rodzina Kierana traktuje go, i. jakby był zadzumiony. Siobhan nie mogła oczywiście zostać z nami, moja siostra znalazła jej mały, samodzielny i pokój przy Wellington Street.

- Czy nie uważa pani, że to sytuacja rodzinna mogła i. sprawić, iż Siobhan postanowiła na jakiś czas zniknąć? Rozumie pani, dziewczęta w tym wieku często przeżywają swoje rozterki, nikomu się nie zwierzając, bywają bardzo zamknięte w sobie.

- Nie, mam z córką doskonałe układy. Poza tym Siobhan bardzo lubiła Kierana. Wiedziała, że wbrew wszystkiemu Kieran mnie uszczęśliwił. No i po prostu wiem, że powiedziała by mi, gdyby tego

dnia nie zamierzała iść na zajęcia.

- Czy ma pani jej zdjęcie?

Pani Buckley otworzyła torebkę i wyjęła z niej fotografię.

- Zrobiliśmy ją na przyjęciu z okazji dziewiętnastych urodzin Siobhan.

Katie popatrzyła na roześmianą rudowłosą dziewczynę wznoszącą do góry kieliszek z szampanem. Tymczasem pani Buckley nerwowo zagryzała wargi.

- Znajdziecie ją, prawda?

Frank O'Leary był korpulentnym mężczyzną, sprawiał wrażenie poważnego. Nosił okulary o silnych szklach, był ubrany w rozciągnięty sweter i mówił bardzo powoli, jakby z zastanowieniem.

- Widziałem Siobhan idącą w dół Summerhill jakieś pięćdziesiąt jardów przede mną, chociaż słońce świeciło mi w oczy. Rozpoznałem jej czerwony płaszcz i rude włosy. Była mniej więcej przy

York Hill, kiedy zatrzymał się obok niej biały samochód. Zobaczyłem, że pochyliła się i rozmawiała z

kierowcą.

- Nie widział pan kierowcy?

- Nie. Z tej odległości nie.

- Jak długo Siobhan stała obok samochodu, zanim wsiadła do środka?

- Och, niedługo. Szedłem za nią, ale nie zrównałem się z nią. Chciałem powiedzieć jej „cześć”, ale niespodziewanie otworzyła drzwi auta, wsiadła i samochód zaraz odjechał.

- Czy wie pan, co to było za auto?

- Duże i białe.

- Wie pan, jakiej marki?

Frank O'Leary potrząsnął przecząco głową, ale odparł:

- Widzi pani, to mógł być samochód japoński. Tak mi jakoś wyglądał na japoński.

- Nie widział pan tablic rejestracyjnych?

- Nie przyszło mi do głowy, żeby się nimi zainteresować. Poza tym słońce świeciło mi prosto w oczy. Byłem, jak by to powiedzieć, półślepy.

- Widział pan, dokąd pojechał ten samochód?

- W dół, aż do podnóża Summerhill. Potem minął światła i wjechał prosto w Brian Boru Street, dalej go już nic widziałem.

- Dziękuję panu, Frank, bardzo nam pan pomógł. Jeżeli coś jeszcze pan sobie przypomni, nawet coś, co uzna pan za nieistotne, proszę bez wahania się z nami kontaktować, dobrze?

Frank O'Leary dokończył kawę i wstał.

- Pamiętam coś jeszcze. Samochód miał na antenie barwy i symbol drużyny hurlingowej z Cork: krew i bandaże.

- To może się nam przydać. Dziękuję panu.

Kiedy wyszedł, Katie udała się do Dermota O'Driscolla. Dermot siedział za biurkiem i przeglądał bieżącą korespondencję.

- Te papiery - mruknął, gdy Katie weszła. - Kiedy I umrę, nie trzeba będzie mnie zakopywać, dawno już będę leżał przywalony stosem raportów z drogówki.

Katie zamknęła drzwi i dopiero wtedy Dermot podniósł na nią wzrok. Podwładni zamykali za sobą drzwi jego gabinetu jedynie wtedy, kiedy chcieli rozmawiać o sprawach osobistych lub poufnych.

- Nie wiem, czy już pan słyszał, ale wczoraj rano zniknęła w St. Lukę dziewiętnastoletnia dziewczyna. Studiuje projektowanie mody, nazywa się Siobhan Buckley.

- Jimmy już mi powiedział. Ale zdaje się, że nie ma jej dopiero od kilku godzin, prawda? To chyba nic nadzwyczajnego, że dziewiętnastoletnia dziewczyna urywa się na wagary.

- Cóż, ma pan rację. Ale... nie wiem, mam w związku z tym złe przeczucia. Mamy świadka, który widział, jak wsiadała do dużego, białego samochodu.

- No i co chcesz przez to powiedzieć?

- Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy przełożyć konferencji prasowej, zanim nie dowiemy

się czegoś więcej.

- Co ty sugerujesz? Nie mów mi, że masz wątpliwości i co do winy Tómasa Ó Conailla.

Większość dziennikarzy już wie, że go zamknęliśmy. Conor Cronin kłapie mordą jak zwykle.

- Próbuję tylko powiedzieć, że Siobhan Buckley zniknęła w bardzo podobnych okolicznościach jak Fiona Kelly. Może powinniśmy więc trochę poczekać, zanim złożymy oficjalne oświadczenie?

Dermot musiał to przemyśleć. Myślał, przekładając pomiędzy palcami ołówkę. Wreszcie odezwał się:

- Jesteś przekonana, że to Tómas Ó Conaill zamordował Fionę Kelly, prawda?

- Nie aresztowałabym go, gdybym nie była przekonana. Poza tym wskazują na to wszystkie ślady, które zebraliśmy na miejscu.

- Więc czym się martwisz?

- Jestem ostrożna, to wszystko. Tym bardziej że matka Siobhan Buckley twierdzi, że córka z pewnością nie zrobiłaby sobie wolnego w college'u, nie uprzedzając jej.

- Czy to ta dziewczyna? - zapytał Dermot, ruchem głowy wskazując fotografię, którą pani Buckley dała Katie. Katie podała mu zdjęcie. Musiał włożyć okulary, żeby mu się dobrze przyjrzeć. - Mój Boże... Czego spodziewają się młode dziewczęta, ubierając się w ten sposób?

- Kiedy ją porwano, nie miała na sobie krótkiej spódniczki wyszywanej cekinami.

- Nie, ale mimo wszystko...

- Szefie, po prostu zanim obwieszczę światu winę Tómasa Ó Conailla, chciałabym upewnić się co do losów Siobhan Buckley. Być może Ó Conaill miał współnika, który wciąż jest na wolności.

Dermot oddał jej fotografię.

- Przekazałem już wyżej, że zamknęliśmy tę sprawę.

- I nie chce pan, żebyśmy wyszli na głupków, tak?

- Nie o to chodzi - odparł Dermot. - Mamy niepodważalne dowody na to, że Tómas Ó Conaill

był zamieszany w morderstwo Fiony Kelly, i to mi wystarczy. Nie mów mi że podobnie jak ja, nie chciałabyś go widzieć za kratkami.

- Oczywiście, że tak. Dręczy mnie jednak przeczucie, że wciąż nie o wszystkim wiemy.

Dermot odłożył ołówek.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno. Za trzy i pół miesiąca od dziś przechodzę na emeryturę. Chcę odejść z jak najczystsza kartą. Powiem więcej, chcę odejść z przekonaniem, że coś dobrego w swoim życiu zrobiłem. A zamknięcie w więzieniu śmiecia takiego jak Tomás O Conaill z pewnością będzie się liczyło. Nawet jeżeli nie zabił Fiony Kelly, co moim zdaniem jednak zrobił, zasługuje na długi pobyt za kratkami za swoje dotychczasowe grzechy.

- Nie nam o tym decydować...

- Wielka szkoda. No, dość już. Konferencja prasowa rozpocznie się dokładnie o piętnastej, jak zaplanowano, i oświadczymy na niej całemu światu, że złapaliśmy i oskarżyliśmy człowieka, który zamordował Fionę Kelly. Powiem ci, co masz zrobić, jeśli chcesz się poczuć trochę lepiej. Poproś i ludzi z radia 96 FM, żeby nadali komunikat o zaginięciu i panny Buckley. Kręci się pewnie teraz dookoła Victoria 'Sporting Club w godnym sobie towarzystwie.

- Tak, proszę pana.

- A tak przy okazji, jak ci idzie z Charliem Flynnem? Znów miałem telefon z ratusza.

- Chyba jestem bliska przełomu. Niech mi pan da dwadzieścia cztery godziny.

- Staraj się. W sobotę wieczorem będę musiał wygłosić przemówienie na przyjęciu w zarządzie miasta. Nasz prestiż wzrósłby, gdybym mógł powiedzieć, że dokonaliśmy postępów także w tej sprawie.

- Tak, proszę pana.

Wróciła, żeby porozmawiać z Tómasem Ó Conaillem. Kiedy przyprowadzono go do pokoju przesłuchań, odniosła wrażenie, że jest bardzo zmęczony. Usiadł naprzeciwko niej, oparł głowę na dłoniach i patrzył tępym wzrokiem w stół.

- Tómas, chciałabym ci zadać dwa pytania.

- Idź stąd, detektyw nadinspektor czarownico. Zostaw mnie w spokoju.

- Tómas, chciałabym wiedzieć, czy pracowałeś sam, czy miałeś współnika?

- Co? O co ci chodzi? O współnika, kiedy sprzedawałem te kłusaki w Limerick czy kiedy przybijałem dachówki w Glanmire?

- Kiedy porywałeś Fionę Kelly.

Podniósł głowę i popatrzył na Katie zmęczonym wzrokiem.

- Już ci mówiłem. Nigdy jej nie widziałem, nie porwałem jej, nie zabiłem. Czego ode mnie chcesz, mam się nagrać, żebyś tysiąc razy mogła posłuchać, jak temu zaprzeczam?

- Wiemy, że to zrobiłeś, Tómas. Dlaczego po prostu się nie przyznasz? Wszystko stanie się dla ciebie prostsze.

- I do czego jeszcze mam się przyznać? Że zabiłem również te kobiety w 1915 roku? Że jestem facetem z baśni, który nie starzeje się, nie umrze i znajduje przyjemność w porywaniu kobiet i robieniu z nich filetów, kotletów i innych potraw?

- A jesteś kimś takim?

Wyprostował się, a nogi w czarnych dżinsach wsunął pod stół.

- A jeśli jestem? Chciałabyś, żebym był?

Katie podniosła z podłogi plastikowy woreczek z dowodami rzeczowymi i położyła go na stole przed Tómasem.

- Co o tym sądzisz? - zapytała go.

Jego czarne oczy błyszczały, kiedy patrzył na Katie.

- A co mam sądzić?

- To ja cię pytam.

- Wygląda mi to na kawałek koronki.

- Bo to jest kawałek koronki. Jak myślisz, skąd ona pochodzi?

Tómas Ó Conaill pokiwał głową.

- Nie chcę zgadywać.

- Jak myślisz, co mógłbyś z tego zrobić, gdybyś zawiązał na niej supeł?

Przez długi czas milczał, aż wreszcie na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Pętlę, którą założyłbym na twoją szyję.

Spieszyła się, żeby zdążyć na konferencję prasową, kiedy zaterkotał telefon. Dzwonił O'Brien i sprawiał wrażenie podekscytowanego.

- Trochę dokładniej zainteresowałem się Morigain. Pewien profesor teologii z Osnabruck przesłał mi e-mail z fascynującymi źródłowymi informacjami. Czy masz coś przeciwko temu, że przyjdę do ciebie i o wszystkim ci opowiem?

- Trochę później, Gerard, może dopiero jutro. Na razie nie mów o tym nikomu, ale dokonaliśmy aresztowania. Właśnie lecę, żeby o tym poinformować prasę.

- Aha, rozumiem - powiedział Gerard. Jego rozczarowanie było oczywiste. — Skoro już kogoś aresztowałaś, moje rewelacje cię nie interesują.

- Oczywiście, że interesują. Ale nie teraz. Zadzwoń do mnie o piątej.

Sala konferencyjna była pełna, a kiedy Katie weszła na podwyższenie, rozszalały się aparaty fotograficzne i lampy błyskowe. Przez chwilę czekała na ciszę, aż wreszcie odezwała się:

- Wczoraj wieczorem aresztowaliśmy i postawiliśmy w stan oskarżenia Tómasa Ó Conailla, lat 37, bez stałego miejsca zamieszkania, w związku z porwaniem i zamordowaniem Fiony Kelly.

Przygotowujemy właśnie komplet dokumentów dla biura prokuratora. W tej chwili mogę powiedzieć tylko tyle. Ponadto chciałabym podziękować dziennikarzom za moralne wsparcie podczas naszego śledztwa, chciałabym też podziękować licznym gwardzistom, którzy włożyli wiele dodatkowej pracy w działania mające doprowadzić mordercę Fiony Kelly przed oblicze sprawiedliwości.

- Czy Ó Conaill przyznał się do popełnienia zbrodni? -zawołał Dermot Murphy.

- Nie, wszystkiemu zaprzecza.

- Jakie ma pani dowody, że to właśnie on jest mordercą?

- Ślady i potencjalne dowody wciąż badają nasi technicy. Mogę pana jednak zapewnić, że nawet wstępne oględziny dają nam pewność, że aresztowaliśmy właściwego człowieka.

- Co pani odpowie na zarzuty, że Ó Conaill stał się kozłem ofiarnym tylko dlatego, że jest Wędrowcem?

- Odrzucam je z całą stanowczością. Uważam także, że społeczność Wędrowców powinna takie zarzuty uważać za obraźliwe. Ó Conaill nie jest typowym Wędrowcem, pod żadnym względem.

- Mówiła pani wcześniej, że może chodzić o rytualną zbrodnię. Czy po aresztowaniu Ó Conailla podtrzymuje pani ten pogląd?

- Rozpatrujemy kilka motywów.

- Czy rytualne morderstwo jest jednym z nich?

- Tak.

- Czy wie już pani, o jaki rytuał mogło chodzić?

- Tak, owszem.

- Powie nam to pani?

- Nie, nie tym razem.

- Dzisiaj rano zaginęła dziewczyna o nazwisku, jak jej tam, Siobhan Buckley. Czy może to mieć związek z porwaniem Fiony Kelly?

Zanim zdążyła odpowiedzieć Katie, wystąpił Dermot:

- Nie mamy dowodów na to, że zachodzi tu jakikolwiek związek. Jeśli chodzi o Siobhan Buckley, uważamy, że wkrótce znajdzie się cała i zdrowa. Jeśli nie wróci do domu w ciągu dwudziestu czterech godzin, oczywiście rozpoczniemy poszukiwania. Jednak skoro Tomás Ó Conaill jest w więzieniu, zapewniam wszystkie młode dziewczyny w Cork, że miasto jest dla nich obecnie o wiele bardziej bezpieczne.

Kiedy wróciła do gabinetu, paliła się dioda na jej telefonie. Podniosła słuchawkę i połączyła się z centralą.

- Ktoś czeka na panią na dole, pani nadinspektor.

- Przepraszam, ale jestem bardzo zajęta. Proszę mu powiedzieć, żeby zostawił nazwisko, numer telefonu i krótką notatkę, w jakiej sprawie chce się ze mną spotkać.

- To jest kobieta. Mówi, że to bardzo ważne. Coś w związku z Siobhan Buckley.

W tym momencie wszedł Liam z plikiem raportów z laboratorium. Położył je na biurku i odwrócił się, żeby wyjść.

- Liam - powiedziała, wyciągając rękę. - Liam, musze z tobą porozmawiać.

- Mam spotkanie w Glanmire - odparł i postukał palcem w zegarek. - Jestem już pół godziny spóźniony.

- Dobrze, złapię cię później.

- Co mam zrobić z tą kobietą? - zapytała telefonistka ze zniecierpliwieniem.

- Niech pani ją poprosi, żeby poczekała jeszcze kilka minut. Zaraz do niej zejdę.

Wzięła do ręki raporty i szybko przebiegła po nich wzrokiem. Większość dotyczyła odcisków palców z drzwi i kierownicy skradzionego mercedesa, ale były także wstępne wyniki badań DNA kilku jasnych włosów znalezionych na podłodze przed fotelem pasażera. Niemal nie było wątpliwości,

że należały do Fiony Kelly.

W chacie nie znaleziono jednak żadnego śladu, ani jednego odcisku palca, który pasowałby do Tómasa Ó Conailla, mimo że dokładnie zbadano pościel, poduszki oraz filiżanki i szklanki, sztućce, a nawet kostkę mydła.

Przejrzawszy materiały, Katie zeszła na dół do poczekalni. Na jednym z krzeseł siedziała zaniedbana kobieta w średnim wieku, w brązowym kapelusiku zrobionym na drutach i w brązowym płaszczu. Obok niej na podłodze stały plastikowe siatki z zakupami. Katie ruszyła w jej kierunku, jednak recepcjonistka zawołała „pani nadinspektor!”, a kiedy Katie się odwróciła, wskazała jej długopisem wysoką postać stojącą w kącie i wpatrującą się we własne odbicie w okiennej szybie. Katie podeszła więc do niej. Kobieta miała krótkie, na-żelowane, jasnoszare włosy zaczesane do tyłu. Ubrana była w długi płaszcz z czarnej skóry, sięgający łydek, z postawionym kołnierzem. Na nogi włożyła czarne skórzane buty na wysokich obcasach, które sprawiały, że była jeszcze wyższa.

- Jestem detektyw nadinspektor Katie Maguire - przedstawiła się Katie. - Rozumiem, że ma pani jakieś informacje na temat Siobhan Buckley.

Kobieta odwróciła się. Była najprawdopodobniej w tym samym wieku co Katie, jednak makijaż nadawał jej skórze nadzwyczajną porcelanową gładkość. Miała wyraziste rysy Marleny Dietrich, wydatne kości policzkowe i kocie oczy. Nosiła duże okulary o lekko barwionych na purpurowo szklach, bez oprawek. Ponad okularami można było dojrzeć jej brwi, tworzące nienaganne łuki.

Pachniała perfumami, których Katie nie potrafiła rozpoznać, mogła jednak wyczuć w nich zapach róż i wanilii.

- Lucy Quinn - przedstawiła się z wyraźnym amerykańskim akcentem i wyciągnęła rękę w czarnej rękawiczce z nadzwyczaj delikatnej skóry. - Cieszę się, że zechciała mi pani poświęcić swój czas.

- Może pani sobie wyobrazić, jak bardzo jestem zajęta. Byłabym wdzięczna, gdyby pani od razu przeszła do rzeczy.

- Czytałam w „Time” o przypadku Fiony Kelly i o tych jedenastu szkieletach, które tutaj wykopaliście. Według autora artykułu mogło chodzić o ofiary poświęcone w jakimś obrządku i oczywiście... Cóż, od razu mnie to zainteresowało.

- Myślałam, że przychodzi pani z informacją o Siobhan Buckley.

- Przepraszam, powinnam dokładniej się przedstawić. Proszę nie myśleć, że jestem jedną z dziwaczek, które wierzą w czary i wypisują listy do Charliego Mansona. Jestem profesorem mitologii

porównawczej z Uniwersytetu Stanu Kalifornia w Berkeley. Spędziłam całe lata na badaniu starych obrządków celtyckich i sądzę, że będę potrafiła pani pomóc.

- Cóż, Lucy, doceniam pani propozycje, jednak oskarżyłam już kogoś o zamordowanie Fiony Kelly.

- A co z Siobhan Buckley?

- Na razie nie mamy powodu, żeby łączyć zniknięcie Siobhan Buckley z Fioną Kelly.

- Ależ te sprawy bez wątpienia się łączą. Siobhan jest ruda, prawda? I studiuje projektowanie odzieży? Tak przynajmniej słyszałam w radiu.

- Tak - odparła Katie. - Ale co to ma do rzeczy?

- Jeśli ktoś chciał złożyć rytualną ofiarę Morrigan, musiał znaleźć trzynaście kobiet. Ale nie trzynaście pierwszych lepszych kobiet. To musiały być starannie dobrane kobiety.

Katie zmrużyła oczy.

- Skąd pani wie o Morrigan?

- Znaleźliście jedenaście szkieletów odartych z ciała? I kolejną dziewczynę, zamordowaną w taki sam sposób, i jej ciało pozostawione w tym samym miejscu? To musiała być ofiara dla Morrigan.

- Mówi pani, że studiuje podobne zagadnienia?

- Przez osiem lat zajmowałam się wyłącznie rytualnymi ofiarami składanymi z ludzi.

Znalezione szkielety miały małe laleczki przyczepione do górnych części kości udowych, prawda?

- Laleczki?

- Małe, szmaciane laleczki, pełne haczyków i gwoździ.

- Obawiam się, że nie mogę tego skomentować.

- Oczywiście, że były przy nich laleczki. Nie powiedziała pani o tym dziennikarzom, prawda?

Rozumiem, że miała pani swoje powody.

Po chwili zastanowienia Katie odparła:

- Tak, rzeczywiście, przy szkieletach były laleczki. Nie ujawniliśmy tego, ponieważ chcieliśmy mieć sposób na sprawdzanie wiarygodności osób, które dzwoniły do nas z fałszywymi informacjami, udając, że wiedzą, kto jest mordercą i dlaczego zabił.

Lucy Quinn potrząsnęła głową.

- Niech mi pani wierzy, pani detektyw nadinspektor, jeśli chodzi o moją wiarygodność, mam większą wiedzę na temat ofiar złożonych dotąd Morigain niż ktokolwiek inny na świecie.

Opublikowałam nawet na ten temat dwa artykuły: Mistyczne obrzędy w prowincjonalnej Irlandii i Niewidzialne Królestwo.

- Mam dla pani propozycję - powiedziała Katie. - Może przejdziemy do mojego biura? Napije się pani kawy?

Poprowadziła gościa po schodach. Na korytarzu kobiety minęły Jimmy'ego O'Rourke, który na

widok tak eleganckiej kobiety otworzył szeroko oczy. Kiedy weszły do gabinetu Katie, Lucy ściągnęła

płaszcz. Pod spodem miała luźne, szyte na miarę spodnie i obcisły czarny sweterek w pełni ukazujący

obfitość jej biustu. Otwarte drzwi gabinetu minął Patrick O'Donovan, po chwili znalazł powód, żeby

przejsć jeszcze raz. Lucy usiadła, założyła nogę na nogę i posłała Katie swobodny uśmiech.

- Proszę mi więc opowiedzieć o tych trzynastu kobietach - poprosiła Katie.

- Zanim Morigain przyjmie ludzką postać i pojawi się na naszym świecie, osoba, która chce ją

tutaj przywołać, musi znaleźć trzynaście kobiet. Każda z nich musi reprezentować inny z trzynastu aspektów kobiecości. Przywołujący musi je zabić, poćwiartować i ułożyć ciało każdej z nich w specjalny sposób, żeby Morrigan mogła się nim pożywić. On sam musi zjeść serce każdej z ofiar, aby

okazać swoje poświęcenie. Zakładam, że nie znalazła pani serca Fiony Kelly.

- Myśleliśmy, że porwały je wrony.

- Nie. Zabójca z pewnością pociął je i zjadł na surowo.

- Matko Boska!

- To rytuał, który sięga czasów druidów, a może jeszcze dawniejszych. Odnotowano taki przypadek w Ardfert, w County Kerry, w siedemnastym wieku. Do czasu, kiedy odkopaliście tutaj te kości, i do czasu, kiedy zamordowano Fionę, najbardziej znany współczesny przypadek przeprowadzenia takiego obrządku zdarzył się niedaleko Bostonu w 1911 roku.

- A więc ktoś chciał przywołać Morrigan w Ameryce?

- Człowiek o nazwisku Jack Calwood. Nie ma powodu, który uniemożliwiłby przywołanie Morrigan w dowolnym miejscu na świecie, oczywiście jeśli ktoś znajdzie do tego odpowiedni teren.

- Czy ten Jack Calwood został złapany?

- Nie. Raz lub dwa policja już prawie go miała, zawsze jednak zniknął bez śladu. Złożył ofiarę z trzydziestu jeden kobiet, a zatem próbował wezwać Morrigan przynajmniej trzykrotnie.

- Co mu przeszkodziło?

- Jedna z jego ofiar uciekła i zaalarmowała policję.

- Musi mi pani opowiedzieć o tym dokładniej. Interesuje mnie jednak człowiek, który zamordował Fionę Kelly Czy zaczyna od nowa i będzie chciał poświęcić kolejnych trzynaście kobiet, czy też te, zamordowane w 1915 i 1916 roku można już liczyć na jego konto?

- Och, z pewnością one się liczą, pod warunkiem że wszystkie ofiary zostały złożone w tym samym miejscu i zgodnie z tym samym ściśle określonym rytuałem. Zabójca Fiony Kelly musi

jedynie zamordować jeszcze jedną dziewczynę i zjeść jej serce. Wówczas będzie miał gwarancję, że pojawi się Morrigain i wynagrodzi go w taki sposób, jaki on sam wymyśli. Teoretycznie, oczywiście.

- Zabójca - ciągnęła Lucy - musi zerwać całe mięso z nóg swych ofiar, co jest pewnym symbolem: kobieta nie ucieknie dzięki temu do podziemnego świata. Następnie ściąga mięso z jej ramion, a to dlatego, żeby przyjazne duchy nie przeciągnęły jej z kolei do Niewidzialnego Królestwa. Potem zrywa skórę i mięśnie z jej twarzy, żeby nikt w życiu pozagrobowym jej nie rozpoznał. Później rozrywa jej brzuch, żeby ofiara nie mogła jeść ani pić, nawet w innym świecie. Usuwa jej płuca, żeby nie mogła oddychać. W końcu pozbawiają serca, symbolizującego jej duszę, duchowy znak tożsamości.

- Powiedziała pani, że tymi trzynastoma ofiarami muszą być określone typy kobiety.

- Tak. Mam tu dla pani listę. - Lucy otworzyła czarny skórzany notes i wyciągnęła z niego złożoną kartkę papieru. - Kobiety należy ofiarować w takim porządku. Postępując w ten sposób, można przywołać Morrigain bez żadnych trudności.

Katie rozłożyła papier i zaczęła czytać listę starannie napisaną na maszynie:

„1. Śmiejąca się dziewczica, 2. Smutna matka bliźniaków, 3. Śpiewająca kucharka, 4. prostytutka o kręconych włosach, 5. Siwowłosa akuszerka, 6. Bezdietna wróżka, 7. Cudzołożnica nie okazująca skruchy, 8. Wdowa bez własnych zębów, 9. Najmłodsza córka o oczach zielonych jak morze, 10. Jedyne dziecko o oczach niebieskich jak niebo, 11. Tancerka o włosach czarnych jak noc, 12. Podróżująca kobieta o włosach jasnych jak słońce, 13. Szwaczka o włosach płomiennych jak ogień”.

- Jedna z kobiet, które zaginęły pomiędzy 1915 a 1916 rokiem, była akuszerką. Kolejna była prostytutką, inna pracowała jako kucharka u któregoś z brytyjskich oficerów na Military Hill. Nie wiem nic o pozostałych, ale trzy z jedenastu...? Fiona Kelly ma numer dwanaście, jest blondynką i podróżowała. Kiedy usłyszałam w radiu, że Siobhan Buckley była ruda i uczyła się projektowania

odzieży... Cóż, sama nie wiem. Może się mylę, ale nie sądzę. Katie przez chwilę milczała.

- Jestem otwarta na wszelkie sugestie. Jednak wszystkie dowody, jakie do tej pory zebraliśmy, wskazują, że to człowiek, którego właśnie zamknęliśmy, Tomás Ó Conaill. Jest zabójcą Fiony Kelly.

Odciski palców zostawił w całym samochodzie, którym najprawdopodobniej była wieziona na farmę,

gdzie ją znaleziono. Ponadto Ó Conaill doskonale zna irlandzką mitologię i naprawdę wierzy w istnie-

nie Morrigan. Zawsze istnieje możliwość, że nie działał sam, jednak do tej pory nie natrafiliśmy na ślad żadnego współnika.

- Czy nie sądzi pani, że dobrze by było, gdybym z nim porozmawiała?

- Niestety, nie mogę na to wyrazić zgody. Jeśli jednak podpowie mi pani jakieś pytania, które pozwoliłyby nam uzyskać jaśniejszy obraz tego, ile on wie o Morrigan, będę oczywiście bardzo wdzięczna.

- Jasne, zastanowię się nad nimi. Tymczasem mogłaby mi pani opowiedzieć o miejscu, gdzie znaleziono ciało Fiony Kelly? Czy mogłabym tam pojechać i je obejrzeć? To naświetliłoby mi kilka spraw. Widzi pani, kiedy chodzi o rytuały, obrzędy, ich miejsce zawsze ma zasadnicze znaczenie.

- Dobrze. Jutro rano zabieram tam rodziców dziewczyny. Jeśli nie będą protestowali, nie widzę powodu, by nie mogła pani pojechać z nami. Poza tym chciałabym porozmawiać z panią o tym Jacku Calwoodzie. Czy odpowiada pani godzina dziewiąta? Na razie chciałabym skopiować tę listę, jeśli pani pozwoli. Pomoże nam zidentyfikować niektóre z zaginionych kobiet.

- Niech ją pani zatrzyma - powiedziała Lucy, wstając i sięgając po płaszcz. - W takim razie do jutra. Cieszę się, że będę mogła w czymś pomóc. Jeśli chciałaby pani skontaktować się ze mną, zatrzymałam się w „Jury's Inn”.

Chwilę po jej wyjściu do drzwi zapukał Patrick O'Donovan.

- Kto to jest? - zapytał, stanąwszy przed biurkiem Katie. - Nie sądziłem, że nieczyste myśli

potrafią chodzić na dwóch nogach.

- Robi wrażenie, prawda? - stwierdziła Katie. — Jest ekspertem mitologii celtyckiej i chyba trochę nam pomoże przy rozwiązaniu sprawy Fiony Kelly.

W gabinecie Katie zjawił się także Jimmy O'Rourke, najwyraźniej rozczarowany, że Lucy już wyszła. Sprawdził nawet, czy nie ukryła się za drzwiami.

- Niech ci się nic nie marzy, sierżancie - powiedział Patrick. - Jesteś żonaty, masz trójkę dzieci, a jeśli chcesz zmienić swoje życie, postaraj się raczej złowić złotą rybkę.

Rodzice Fiony Kelly spóźnili się pół godziny. Rozpadał się tymczasem rzęśisty deszcz i ich czarne płaszcze lśniły od wody. Katie przywitała ich w recepcji. Pani Kelly spontanicznie objęła ją w pól i przycisnęła do siebie, jakby obie utraciły córkę.

Pani Kelly była blondynką i wyglądała jak bardziej zmęczona i smutniejsza kopia dziewczyny, którą Katie widziała na fotografiach. Pan Kelly miał krótko przycięte siwe włosy, nosił okulary i przypominał Katie George'a Busha seniora.

- Tak mi przykro - powiedziała Katie. - Pragnę państwa zapewnić, że cały komisariat łączy się z państwem w bólu.

Pani Kelly wyciągnęła chusteczkę i otarła oczy.

- Sierżant powiedział nam, że nie będziemy mogli jej zobaczyć.

- Obawiam się, że nie. Zapewne przeczytali państwo w gazetach, że jej obrażenia były bardzo poważne.

- Ten człowiek, którego trzymacie w więzieniu... kto to jest? - zapytał pan Kelly - Jakiś Cygan?

- W Irlandii oficjalnie nazywamy ich Wędrowcami, jednak mnóstwo ludzi określa ich inaczej.

Mówi się o nich „druciarze” albo „talenciarze” itp. Tomás Ó Conaill wiódł życie Wędrowca, mówi ich

językiem, cantem, jednak większość Wędrowców przyznawała się do niego co najmniej niechętnie.

Pan Kelly wykrzywił usta.

- Myślałem, że będzie bezpieczna, podróżując po kraju takim jak ten. Nigdy tutaj nie byłem, ale zawsze uważałem Irlandię za swój dom.

- Wiem, panie Kelly. Wszyscy bardzo żałujemy tego, co się stało. W porównaniu z innymi krajami bardzo rzadko spotykamy się tutaj z przemocą. Niestety, kwitnie handel narkotykami, rośnie liczba pospolitych oszustw, no i nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co zrobi taki facet jak

Tómas Ó Conaill. Problem w tym, że on jest wygadany, potrafi wzbudzać zaufanie, jak większość mężczyzn, którzy polują na młode kobiety. Nie jestem w stanie wyrazić tego, jak bardzo jest mi przykro, że dopadł akurat waszą Fionę.

- Muszę ją zobaczyć - powiedział pan Kelly. - Widzi pani, chociażby po to, żeby całym moim umysłem pojąć, że ona naprawdę odeszła.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Wiem, że została straszliwie okaleczona. Zniosę to. Mój młodszy brat zginął w wypadku motocyklowym.

Katie ujęła jego prawą rękę w swoje dłonie.

- Panie Kelly, to, co przydarzyło się Fionie, nie ma nic wspólnego z wypadkiem motocyklowym. Lepiej będzie, jeśli zapamięta pan ją na zawsze taką, jaka była, kiedy się z panem żegnała. Proszę, niech pan mi zaufa.

- Patrick - wtrąciła się jego żona i ujęła jego drugą rękę. - Daj spokój. Niech tak zostanie.

Ramiona pana Kelly zaczęły drżeć i nagle wybuchnął płaczem. Katie mogła jedynie stać obok niego i patrzeć, jak eksploduje całe jego napięcie.

Było dobrze po północy, kiedy drzwi otworzyły się i mężczyzna wrócił. Panowała niemal całkowita ciemność i Siobfhan dostrzegała tylko jego sylwetkę na tle okiennych zasłon. Trzęsła się z zimna, a przed godziną nie wytrzymała i zmoczyła wyłożone pianką siedzenie krzesła.

Milczała, kiedy podchodził do niej i stanął przed nią. Dwukrotnie głośno pociągnął nosem, po czym wyjął chusteczkę i głośno go wydmuchał.

- Przypuszczam, że jesteś głodna — powiedział i znów pociągnął nosem.

- Proszę, puść mnie - wyszeptała.

- Nie mogę. Jeszcze nie. Nie mogę przecież pozwolić mojej syrenie, żeby wróciła do morza, prawda?

Niespodziewanie włączył lampę stojącą obok krzesła. Pokój zalało oślepiające światło stu pięćdziesięciowatowej żarówki i Siobhan musiała odwrócić głowę. Nie sposób jednak było nie dostrzegać ogromnego cienia dręczyciela.

- Zsikałaś się - powiedział bez emocji. - Cóż, moja mała syrena, bardziej słonej wody już nigdy nie zaznasz.

- Proszę - powiedziała błagalnie. - Mama będzie się o mnie martwić.

- Po to są matki. Zawsze są nieszczęśliwe, kiedy nie mają o co się martwić.

Sięgnął do kieszeni czarnego płaszcza i wyciągnął nożyczki do cięcia tapet o ostrzu długim niemal na dziesięć cali. Kilkakrotnie rozłożył je i złożył, niczym czerwono-nogi ostrzyciel nożyczek w Struwelpeter, i uśmiechnął się do Siobhan uśmiechem tak dobrodusznym, że zaczęła drżeć jeszcze mocniej.

- Powiedziałem ci, co powinien zrobić mężczyzna, żeby jego syrena nie uciekła z powrotem do morza. Musi jej odebrać czerwoną czapkę z piór, jej cohullen druith. Właśnie to mam zamiar teraz zrobić.

Podszedł bliżej i owinał sobie jej włosy wokół nadgarstka. Zaczęła rzucać głową z boku na bok, próbowała oderwać się od krzesła, jednak trzymał jej długie włosy mocno przy samej skórze.

- Jeśli nie będziesz spokojna, mała suko - powiedział - zmienię zdanie i odetnę ci sutki zamiast włosów. Nie robi mi to najmniejszej różnicy.

Siobhan wydała zrezygnowany jęk i przestała walczyć.

- Już lepiej - powiedział. Stał tak blisko niej, że czuła jego oddech. - Nie ma nic sympatyczniejszego niż odrobina współpracy, prawda? Współpraca czyni ten świat miejscem o wiele szczęśliwszym.

Wsunął nożyczki we włosy i zaczął ciąć. Towarzyszył temu głośny chrzęst. Siobhan zamknęła oczy, a po jej policzkach popłynęły łzy. Była tak przerażona, że nie potrafiła mówić, nie była w

stanie

nawet płakać.

Mężczyzna odcinał coraz więcej gęstych, rudych włosów, starając się pracować nożycami jak najbliżej czaszki. Siobhan czuła, jak opadają jej na ramiona i na piersi. Kiedy obszedł ją i zaczął ciąć z

tyłu, posłusznie pochyliła głowę, czasami nożyce zahaczały o jej uszy.

Gdy skończył, zebrał włosy z podłogi, oczyścił z nich jej brzuch i uda, po czym triumfalnie pokazał je Siobhan w wyciągniętej ręce.

- Patrz. Już mi nie odpłyniesz, moja syreno. Teraz będziesz musiała tu ze mną zostać.

Wziął skądś gumkę i starannie związał nią odcięte włosy.

- Co za cohullen druith... Cóż za pamiątka młodości i piękna, no i dziwnej miłości między syrenami a mężczyznami.

Nagle rozpiął rozporek i wyjął członek, który był już w stanie półerekcji. Zaczął delikatnie drażnić go włosami Siobhan, a penis stawał się coraz sztywniejszy. Dziewczyna chciała odwrócić głowę, jednak było w tym coś tak hipnotyzującego, że patrzyła na jego zabawę szeroko otwartymi oczyma.

- Wiesz, co to za uczucie? To tak, jakby pieściły mnie zwierzęta. Tak, jakby głaskała mnie kobieta, która nie jest ludzką istotą.

Przesuwał włosami po penisie, a główka członka przybierała barwę coraz ciemniejszej purpury.

Początkowo tylko łagodnie się pieścił, jednak w miarę jak członek sztywniał. ruchy mężczyzny stawały się coraz szybsze i gwałtowniejsze. Wkrótce już chłostał się z pasją, dziko, z zaciśniętymi ustami, gwałtownie oddychając przez nos, spięty, skupiony tylko na tej jedynej czynności.

Niespodziewanie wykrzyknął: - Aach... - I wystrzelił obfitym białym strumieniem spermy.

Siobhan poczuła, że trafił w jej szyję. Jedna kropla zawisła na małżowinie usznej, tworząc lepka parodię perłowego kolczyka. Mężczyzna, nie otwierając oczu, sprawił sobie jeszcze przyjemność,

dwu- lub trzykrotnie obciągając penisa, po czym schował w spodnie i zapiął rozporek.

- Wiesz, jak mnie podniecasz? - wystękał, otwierając oczy i po raz kolejny posyłając jej ten sam dobroduszny uśmiech. - Teraz jesteśmy sobie tak bliscy... Bardzo bliscy. Odmienisz moje życie, Siobhan. Dasz mi przyjemność większą, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Siobhan z rezygnacją odwróciła głowę. To nie jego podniecenie ją przerażało i załamywało, lecz fakt, że obciął jej włosy. Poczowała, że nie jest już tą samą Siobhan, że nie jest niczym więcej jak strachem na wróble. Łza, która wypłynęła z jej prawego oka, dotarła aż pod pachę.

Tego wieczoru Katie uparła się, że wreszcie przyrządzi porządny posiłek. Pokroiła ziemniaki, grzyby i cebulę, wszystko to posypała świeżym majerankiem i ułożyła w żaroodpornym naczyniu do zapiekanek. Do tego dodała siekaną wieprzowinę, resztki kurczaka i wstawiła danie do piekarnika.

Paul, który oglądał telewizję i głaskał Sierżanta leżącego u jego stóp, zawołał:

- Maleńka, co za zapachy! Ale jestem głodny.

- Przepraszam, ale kolacja będzie gotowa dopiero o ósmej.

Usiadła obok niego i przez chwilę wpatrywała się w męża bez słowa. Na policzkach wciąż miał tęczowe sińce, a na wargach czarne strupy, jednak opuchlizna pod oczami już zeszła.

- Co zamierzasz zrobić, Paul? - zapytała go.

- Co zamierzam zrobić z czym?

- Z Dave'em MacSweenym i jego materiałami budowlanymi oczywiście. Naprawdę boję się, że przytrafi ci się coś złego.

Nalał sobie kolejną whisky.

- Możesz dać jakąś ochronę z Gardy? - zapytał kwaśno.

- Bardzo bym chciała, mówię poważnie. Gdybym jednak poprosiła o ochronę policyjną, musiałabym wyjaśnić przyczynę.

- Jesteś gwardzistką. Dlaczego ty nie możesz mnie chronić?

- Uwierz mi, próbowałam. Nie mogę jednak pilnować cię przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda? Poza tym nie wiemy, jaki będzie kolejny ruch Dave'a MacSweeny'ego.

- Co więc sugerujesz? Mam zrobić to samo co Charlie Flynn uciec na Florydę?

- Mógłbyś wyjechać na jakiś czas z Cork.

- A co to da? Nie mógłbym trzymać się z dala od miasta przez całą wieczność, a poza tym w jaki sposób zarabiałbym pieniądze? Mimo wszystko jestem człowiekiem z Cork. Tutaj się urodziłem,

tu jest mój dom i nie będę trząsł portkami przed takim pasożytem jak Dave MacSweeny. Coś

wymyślę. Może coś mi się uda?

- Na przykład co?

- Rozmawiałem dziś z Rickym Deasy. Chce, żebym zainwestował w osiedle mieszkalne niedaleko Carrigaline.

- Jak możesz w cokolwiek inwestować, skoro musisz oddać sześćset pięćdziesiąt tysięcy funtów Winthrop Developments?

- Nie mogę. Ale ziemia, na której Ricky Deasy chce budować, nie została objęta żadnym planem zagospodarowania ani zgodą na jakąkolwiek budowę.

- Nie brzmi to zachęcająco.

- Nie, ale ziemia jest bardzo tania jako grunt rolniczy i każdy, kto przejmie ją pod uprawę, otrzyma dotację z Unii Europejskiej.

- Zdziwiasz mnie, Paul. Chyba nie myślisz o prze kwalifikowaniu się na farmera?

- Oczywiście, że nie. Ale wujek Ricky'ego jest zastępcą przewodniczącego An Bórd Pleanála i kiedy kupimy ziemię, postaramy się o zmianę jej przeznaczenia. Rozumiesz, jakiś prezencik dla wuja Ricky'ego i kilku innych członków zarządu.

- Paul, desperacie. Pograżasz się coraz bardziej! Odstawił kieliszek i ujął ją za rękę.

- Muszę zrobić coś wielkiego, Katie. I to szybko. W przeciwnym razie nigdy nie wydostanę się z tego wszystkiego, nigdy. A resztę życia spędzę, oglądając się za siebie i sprawdzając, czy nie chodzi

za mną Dave MacSweeny.

Katie pogłaskała go po poranionym i opuchniętym policzku.

- Opowiedz mi jakiś dowcip - poprosiła.

- Co?

- Opowiedz mi dowcip, tak jak to robiłeś, kiedy po raz pierwszy spędziliśmy razem wieczór.

- Walczę o swoje życie, Katie. To nie jest czas na opowiadanie dowcipów.

- Wiem. Ale opowiedz. Specjalnie dla mnie. Popatrzył jej głęboko w oczy, jakby szukał w nich dowodów na to, że sobie z niego nie kpi. Potem odezwał się:

- Pewien facet z Kerry spędził godzinę, gapiąc się w karton po soku pomarańczowym, ponieważ było na nim napisane „koncentrat”.

Katie posłała mu leciutki, czuły uśmiech i pocałowała go. Pachniał tak samo jak zawsze, nadużywał wody po goleniu bossa. Jednak jego zapach dziwnie ją uspokajał, upewniał, że przeszłość nie ulotniła się jeszcze całkowicie, jakby wczorajszy dzień wciąż był obecny na piętrze, w szufladach, w bibułkach, w które zawinęli wszystkie rzeczy Seamusa.

Kiedy następnego poranka o ósmej trzydzieści pięć pojawiła się w biurze, czekał już na nią Dermot O'Driscoll w towarzystwie ponurego, chudego faceta w ciemnym urzędowym garniturze.

- Katie, to jest pan Patrick Goggin z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z Dublina.

Katie wyciągnęła rękę i Patrick Goggin potrząsnął nią delikatnie, jakby z rezerwą.

— Wszystko wskazuje na to — kontynuował Dermot - że mamy pewne kłopoty z twoim przyjacielem Jackiem Devittem. Chodzi o kobiety zaginione 1915 roku.

— Nigdy nie twierdziłam, że Jack Devitt jest moim przyjacielem.

- To tylko taka przenośnia. Jack Devitt żąda od brytyjskiego Ministerstwa Obrony dokumentów dotyczących losów tych kobiet. Chce wiedzieć, czy zamordowano je na oficjalny rozkaz, czy może zajął się nimi jakiś oficer-renegat, czy może wreszcie ich zabójca podszył się pod siły zbrojne Korony.

Problem polega na tym, że Devitt uzyskał oficjalne poparcie Sinn Fein. Tutaj, w Cork, a także w Dail.

Możemy znaleźć się w bardzo niezręcznej politycznej sytuacji, jeżeli szybko nie wyjaśnimy sprawy.

Patrick Goggin miał chudą szyję. Kiedy mówił, jego jabłko Adama unosiło się i opadało, jakby próbował zwymiotować coś niesmacznego, połkniętego niedawno na śniadanie.

- Czy ma pani jakieś przypuszczenia, kto mógł porwać te kobiety? Może pani nawet zgadywać, jeżeli ma pani choćby najmniejsze podstawy. W przyszłym tygodniu w Stormont odbędzie się kolejny szczyt i wcale nie pragniemy, żeby Sinn Fein wyskoczyło z rewelacjami o czymś, co wydarzyło się ponad osiemdziesiąt lat temu.

Katie potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że w tej sprawie nie zrobiliśmy wielkiego postępu. Współpracuję z doktorem Reidym, krajowym patologiem, a także z ekspertem w dziedzinie mitologii celtyckiej, doktorem Gerardem O'Brienem. Ale sam pan rozumie, potrzebuję czasu.

- Nie ma pani na ten temat jakiejś teorii? Jeśli siły Korony naprawdę odpowiadają za porwanie tych kobiet wybuchnie straszna afera. Premier zażąda od brytyjskiego rządu przeprosin, jakiejś formy zadośćuczynienia dla Brodzin, a cały proces pokojowy cofnie się o miesiące, może nawet lata albo dekady, na miłość boską.

- Przykro mi, panie Goggin - odparła Katie - ale prowadzę bardzo skomplikowane dochodzenie w sprawie kryminalnej i nie mogę iść na skróty dla osiągnięcia doraźnych korzyści politycznych. Nie wiem, kto zabił te kobiety, I i istnieje prawdopodobieństwo, że nigdy się tego nie dowiem. Jeśli chodzi

o ostatnie morderstwo, zatrzymaliśmy I podejrzanego, mając poważne dowody przemawiające przeciwko niemu. Tyle tylko mogę panu powiedzieć.

Patrick Goggin potarł czoło czubkami palców, jakby bolała go głowa.

- Sądzę, że niezbyt dobrze rozumie pani sytuację, pani : nadinspektor. Musimy bez cienia wątpliwości wskazać mordercę z 1915 roku. A jeśli był nim brytyjski żołnierz działający na podstawie

oficjalnych rozkazów, musimy znaleźć sposób, cóż... Powiem pani wprost: musimy znaleźć sposób na wykazanie, że to nie był brytyjski żołnierz. Zbuntowany oficer, no, to jeszcze jakoś przeszłoby politykom przez gardło. Lepszy byłby psychopata w mundurze armii brytyjskiej. Jestem pewien, że mogę liczyć, iż przedstawi pani takie dowody, które wykluczą bezpośrednią winę armii brytyjskiej w tej sprawie.

- Dowód jest dowodem, proszę pana - powiedziała Katie chłodno. - A fakty są faktami. Jeśli żołnierze armii brytyjskiej celowo zamordowali te kobiety, z pewnością nie będę udawała, że było inaczej.

- Katie... — Dermot podniósł rękę. Katie nie dała mu jednak dokończyć.

- Nie, proszę pana. Muszę wiedzieć, co się stało z tymi jedenastoma kobietami, ponieważ ich śmierć ma ścisły związek ze śmiercią Fiony Kelly. Mogły sobie zginąć osiemdziesiąt lat temu, wciąż

jednak zasługują na nasz szacunek i na to, byśmy podjęli wszelkie starania w celu ustalenia, w jaki sposób zginęły. To były kobiety, proszę pana. Żywe, oddychające kobiety.

- Matko Boska - westchnął Patrick Goggin. - Oto kobieca solidarność w całej okazałości. Garda Siochana jest strażniczką interesów całego narodu, pani detektyw nadinspektor, a nie zgrają politycznie poprawnych indywiduów.

- Z całym szacunkiem, proszę pana - warknęła Katie, na dobre już rozżłoszczona, popatrzyła jednak na Dermota, który za plecami Patricka Goggina pokręcił głową i wypowiedział bezgłośnie „nie”. Zrozumiała, co chce przez to powiedzieć. Nie warto było się kłócić. Politycy przychodzą i odchodzą, a policjanci i tak trwają przez całe lata, odbierają pensje i spokojnie robią swoje.

- Słucham? - zapytał Patrick Goggin. - Co chciała pani powiedzieć?

- Chciałam powiedzieć, że zrobię co w mojej mocy, żeby dowiedzieć się, kto porwał te kobiety, proszę pana, i w jaki sposób zginęły. Później... Później poinformuję pana o wynikach dochodzenia. Oczywiście najszybciej, jak tylko będę mogła.

Patrick Goggin wyjął z portfela wizytówkę.

- Proszę - powiedział. - Tutaj jest także mój prywatny numer. Jeśli zechciałaby pani porozmawiać ze mną na temat tej zbrodni, ewentualnie na tematy innych problemów nurtujących Gardę, cóż - uniósł brwi i posłał jej nadzwyczaj anielski uśmiech - da mi pani znać, prawda?

Podał Katie rękę, Dermotowi zademonstrował parodię oficjalnego salutu funkcjonariuszy

Gardy, po czym wyszedł z gabinetu Katie. Jeszcze przez chwilę było słychać, jak na korytarzu piszcą gumowe podeszwy jego butów.

Patrick Goggin zapewne nie dotarł jeszcze do schodów, gdy Dermot wybuchnął gromkim śmiechem. Katie z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Spodobałaś mu się! - zawołał Dermot. - Cholernie mu się spodobałaś.

Kiedy przyjechali na Meaghers Farm w Knocknadeenly, siąpił nieprzyjemny, drobny deszczyk.

Państwo Kelly wysiedli z samochodu i stanęli, patrząc na brudne zabudowania farmy, zaorane błoto, nagie topole, jakby nie potrafili uwierzyć, że tak ponure miejsce może istnieć naprawdę.

- Jezu Chryste - powiedział pan Kelly. - Umrzeć w takim miejscu...

- Prawdę mówiąc, Fiona tu nie umarła - odparła Katie łagodnie. Otworzyła duży parasol, aby pan i pani Kelly mogli się pod nim schronić. - Zamordowano ją kilka mil stąd. Tutaj, w bardzo szczególnym celu, ułożono jej szczątki. Jesteśmy przekonani, że było to częścią pewnego pogańskiego obrzędu.

- Jezu Chryste - powtórzył pan Kelly. Sprawiał wrażenie skrajnie przygnębionego.

Lucy Quinn przez chwilę czekała na przednim siedzeniu samochodu, oczy miała osłonięte okularami o purpurowych szklach, wreszcie postanowiła wysiąść. Ubrana była w czarny płaszcz przeciwdeszczowy, czarny kaszmirowy szal i wysokie buty z czarnej skóry. Jej jasnoczerwona szminka była jedynym wyraźnym kolorowym punktem w tym szarym obrazie ponurego poranka, niczym płaszcz małej dziewczynki w Liście Schindlera.

- Dziękuję, że zgodzili się państwo, abym zabrała też profesor Quinn - powiedziała Katie do państwa Kelly.

- Nie ma sprawy - odparł pan Kelly. Głośno wydmuchał nos w chusteczkę. - Ktokolwiek może pomóc... Rozumie pani?

W tym momencie z budynku mieszkalnego wyszedł John Meagher. Ubrany był w kurtkę i tweedową czapkę. Wysoko podniesiony kołnierz trochę osłaniał mu twarz przed deszczem. Podeszedł do pani i pana Kelly, po czym w milczeniu uścisnął ich dłonie.

- John, przedstawiam ci profesor Lucy Quinn z Uniwersytetu Stanu Kalifornia w Berkeley - powiedziała Katie. - Jest kimś w rodzaju eksperta, jeśli chodzi o starodawne obrzędy.

- Wie pani, co tu się stało? - zapytał John.

- Tak - odparła Lucy. - Cóż mogę powiedzieć? To tragedia.

John sprawiał wrażenie zmęczonego, a jego głos brzmiał tak, jakby dokuczał mu silny katar.

- Tego akurat było mi potrzeba - mruknął. - Miałem piekielnie trudny rok, a teraz jeszcze to.

Wczoraj próbowałem sprzedać trzy mleczne krowy, ale nikt nie chciał nawet na nie spojrzeć.

Miejscowi farmerzy myślą chyba, że gram w jednej drużynie z szatanem. Kiedy wchodzę do pubu, wszyscy się żegnają.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, że obejrzę miejsce, gdzie znaleźliście pierwszych jedenaście kobiet? - zapytała Lucy.

Katie popatrzyła na panią i pana Kelly.

- Zechcą państwo chwilę tutaj poczekać. Zaraz przejdziemy do miejsca, w którym znaleziono Fionę.

Oboje mieli łzy w oczach.

- Dobrze. Niech pani robi swoje.

Katie ruszyła za Johnem i Lucy na tyły budynku, gdzie stała kompletnie już zdemolowana spiżarnia. Ceglane fundamenty były porozbijane. Lucy przez chwilę krążyła dookoła fundamentów, stąpając bardzo ostrożnie. Nagle zatrzymała się, zmarszczyła czoło i popatrzyła niespokojnie w lewo i

w prawo, jakby coś niewidocznego, krążącego w powietrzu, zakłóciło jej spokój. W oddali z drzew wzbilo się w niebo stado wron. Przez chwilę krążyły ponad nimi w całkowitej ciszy, aż wreszcie usiadły na gałęziach.

- Czy tutaj znaleziono kości? Wszystkie wymieszane?

- Tak.

- Wątpię, czy ciała pochowano tu zaraz po zgładzeniu nieszczęśnic. Według mnie szczątki zostały najpierw ułożone dokładnie tam, gdzie znaleziono także Fionę Kelly. Dopiero kiedy ptaki i zwierzęta zjadły mięso i wnętrzności, kości zakopano tutaj, po prostu żeby ukryć dowody zbrodni.

Ruszyli pod górę zaoranym polem, aby obejrzyć miejsce, w którym John natrafił na szczątki

Fiony. Pani i pan Kelly postępowali za nimi. Mżawka była już tak gęsta, że wkrótce prawie nie mogli dojrzeć ani zabudowań farmy, ani Iollan's Wood, który pozostał za nimi.

- Uczcijmy jej pamięć minutą ciszy - zaproponowała Katie, przystanąwszy.

Wszyscy czworo zatrzymali się w szczerym polu, wśród siąpiącego deszczu, kierując myśli ku Fionie i wszystkim dzieciom, które umarły przed swoimi rodzicami. Katie przeżegnała się.

- Z mitologicznego punktu widzenia miejsce jest bardzo ważne - powiedziała po chwili Lucy. -

Drzwi do Niewidzialnego Królestwa schowane są zawsze za zagajnikiem albo małym lasem. To dlatego, że korzenie drzew sięgają daleko w głąb ziemi, a ich gałęzie wyciągają się wysoko ku niebu, tworząc naturalne połączenie pomiędzy światem realnym a światem czarownic.

- To miejsce zwą Iollan's Wood - wtrąciła Katie.

- No właśnie, wszystko więc pasuje. Iollan był jednym z największych Fianów, pradawnych wojowników, którzy mogli odwiedzać Niewidzialne Królestwo, kiedy tylko tego chcieli. Iollan miał nawet kochankę, która była czarownicą. Nazywała się Fair Breast. Była o niego bardzo zazdrosna.

- Przykro mi, że pani przerywam - odezwał się pan Kelly - ale tutaj umarła moja córka. Nie mam ochoty wysłuchiwać o żadnych czarownicach.

Lucy zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

- Kiedy mówi się o „czarownicach”, panie Kelly, większość ludzi kojarzy je z wesołymi wrózkami rodem z Finian's Rainbow. Irlandzkie czarownice mają jednak zupełnie inną naturę. Duszą dzieci w środku nocy. Potrafią mężczyzn zamieniać w psy. Mogą zatańczyć przed tobą na środku drogi, kiedy prowadzisz samochód, przez co nie zauważasz barierki na moście albo nadjeżdżającej z przeciwka ciężarówki, a jeśli nawet zauważysz, i tak będzie już za późno.

- Moją córkę zamordował psychopata, pani profesor, a nie czarownica.

- Czy jest pan człowiekiem religijnym, panie Kelly? - zapytała Lucy.

- Tak, jestem.

- Czy wierzy pan w Trójkę Świętą?

- Tak, wierzę.

- Czy podpisze się pan pod stwierdzeniem, że poza naszym światem istnieje także inny?

- W tym sensie tak, sądzę, że tak.

Lucy obeszła go dookoła i niespodziewanie zaczęła masować jego ramiona. Był to bardzo ciepły, wręcz intymny gest.

- Potrzebuje pan relaksu, wypoczynku, panie Kelly. Powinien pan otworzyć swój umysł na inne rzeczywistości. Jeśli wierzy pan w niebo i piekło, dlaczego nie potrafi pan uwierzyć w Niewidzialne Królestwo?

Pani Kelly wyglądała na zaniepokojoną. Mocno uściśnęła dłoń męża.

- Tutaj kryje się wyjaśnienie zagadki śmierci waszej córki - powiedziała Lucy. - Została poświęcona wiedźmie Morrigain przez kogoś, kto uważał, że poprzez jej śmierć wezwie wiedźmę ze świata czarownic i uzyska od niej wszystko, czego tylko będzie chciał. Zabił ją ktoś, kto całym sercem

wierzył, że to jest możliwe.

- Ktokolwiek to był, z pewnością był szalony.

- A może to pan jest szalony, bo pada pan na kolana co niedzielę i modli się do Boga, którego nigdy pan nie słyszał ani nie widział i na istnienie którego nie ma absolutnie żadnych dowodów?

Pan Kelly zsunął z ramion dłonie Lucy.

- Przyjechałem tutaj, żeby opłakiwać śmierć mojej córki, pani profesor Quinn. Nie spodziewałem się wykładów z mitologii porównawczej.

- Przepraszam. - Lucy opamiętała się. - Naprawdę bardzo państwa przepraszam. Po prostu myślałam, że pomogę wam zrozumieć, dlaczego umarła wasza córka. To nie był bezmyślny akt sadyzmu. Zabito ją w określonym celu, nieważne, jak okrutne i niewytłumaczalne wydaje się to państwu.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, prosimy zostawić nas samych.

- Oczywiście. Jeszcze raz przepraszam.

Pan Kelly odwrócił się. Katie ujęła Lucy pod rękę i obie zaczęły się oddalać, zostawiając pana i panią Kelly w deszczu. na pochyłym, zaoronym polu, na którym znaleziono ciało Fiony. Kiedy dotarły do dziedzińca farmy, Lucy odezwała się:

- Mam nadzieję, że zbytnio ich nie zdenerwowałam. Chciałam tylko, żeby zrozumieli, że Fiona nie zginęła bez powodu.

- Nie sądzę, żeby w tej chwili docierało do nich znaczenie starych celtyckich rytuałów —
odparła Katie.

John Meagher czekał na nie w domu.

- Czy mogę zaoferować paniom filiżankę herbaty? - zapytał. — A jeśli są panie głodne, moja matka upiekła właśnie ciasteczka.

Zdjęły płaszcze i powiesiły je na haczykach w przedsionku. Z kuchni dotarły do Katie odgłosy przestawiania talerzy i pokasływanie starej kobiety. Razem z Lucy weszła do salonu, gdzie w kominku

leniwie tlił się torf.

- Proszę, usiądźcie.

Katie usiadła na sofie, a John natychmiast znalazł sobie miejsce obok niej. Czowała bijące od niego zapachy torfu i wody po goleniu, które przyłgnęły do jego swetra. Lucy usiadła blisko kominka i

zacierając dłonie, wysunęła je jak najbliżej ognia.

- Nie myślałam, że gdzieś istnieją tak zimne i tak wilgotne miejsca - powiedziała.

- Czy przyjechała pani do Irlandii specjalnie z powodu tych morderstw? - zapytał John.

- Tak. Szef mojego wydziału zapalił się do tego pomysłu, kiedy mu o wszystkim opowiedziałam, a uniwersytet zgodził się pokryć wszelkie wydatki. Widzi pan, nieczęsto zdarza się

szansa osobistego uczestniczenia w śledztwie dotyczącym prawdziwej rytualnej ofiary, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. My, naukowcy, większość czasu spędzamy, ślęcząc nad ledwo czytelnymi średniowiecznymi inskrypcjami albo rozpadającymi się dokumentami z szesnastego wieku. Ta sytuacja jest zupełnie inna. Mamy do czynienia z żywą, powiedziałabym, „oddychającą” mitologią. John odwrócił się do Katie.

- Wczoraj po południu widziałem panią w telewizji. Zdaje się, że kogoś pani aresztowała.

- Zgadza się. I to na podstawie bardzo mocnych dowodów.

- A więc nie jestem już dłużej podejrzany? Katie roześmiała się.

- Czy kiedykolwiek twierdziłam, że jest pan podejrzany?

- To chyba pani zawód wszystkich podejrzewać, prawda?

- Nigdy nie podejrzewałam akurat pana.

- Dlaczego nie? To przecież moja farma. Komu byłoby łatwiej ułożyć tę biedną dziewczynę na moim polu, tak po prostu?

Katie popatrzyła na niego uważnie i napotkała jego spojrzenie. Niewątpliwie powinien złożyć wizytę fryzjerowi, a poza tym wreszcie się ogolić. Jego czarne włosy opadały na kołnierz, zarost na policzkach wyglądał tak, jakby ktoś pomazał go pyłem węglowym. Jego oczy, niebieskie jak chabry, zdawały się do niej przemawiać, opowiadać jakieś sekrety. Zapragnęła, aby odwrócił od niej wzrok, on jednak ani myślał to zrobić. W końcu Lucy odezwała się niepewnie, jakby mając świadomość, że przerywa niezwykle intymną chwilę:

- Cóż...

- Wciąż czekamy na wyniki badań lekarzy sądowych - powiedziała Katie. - Jestem jednak w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonana, że schwytaliśmy właściwego człowieka.

Do środka weszli państwo Kelly i John zrzucił z kanapy stertę gazet, aby i oni mogli usiąść.

Pokaszłując, jego matka wyszła z kuchni z tacą ze szklankami herbaty i słodkościami.

- Szkoda, że nie znaliście Fiony - powiedziała pani Kelly. — Była interesującą dziewczyną.

Była taka romantyczna, ciekawa świata. Nigdy niczego się nie bała.

- Ten Tomás Ó Conaill... - odezwał się pan Kelly. Czy ten człowiek ma kryminalną przeszłość?

- Niestety, tak. Udało się nam go skazać tylko za kradzież i zastraszanie, ale to niesłychanie porywczy osobnik. W zeszłym roku nieomal zabił dziewczynę, a nie zdziwiłabym się, gdyby okazał się winnym kilku morderstw, o których nic nie wiemy. Widzi pan, jest Wędrowcem, a nam trudno zmusić innych Wędrowców, żeby zeznawali przeciwko niemu, mimo że większość z nich go nie cierpi.

- I naprawdę uważa pani, że zabił Fionę dlatego, że wierzy w te... wiedźmy?

Katie skinęła głową.

- Dlatego właśnie tak ceni są dla nas eksperci, jak chociażby profesor Quinn. Pozwolą nam dokładniej wniknąć w motywy, jakie kierowały Ó Conaillem. Inaczej musielibyśmy uznać, że państwa

córka umarła zupełnie bez powodu.

- Ile czasu minie, zanim zostanie osądzony?

- Co najmniej kilka miesięcy. Musimy dokończyć śledztwo, po czym prześlemy akta do biura prokuratora. Będziemy jednak z państwem w kontakcie i na pewno poinformujemy, kiedy stanie przed sądem. Wiem z doświadczenia, że dla bliskich ofiary bardzo ważna jest świadomość, iż morderca poniósł zasłużoną karę.

Rozmawiali jeszcze przez kilka chwil. Wszyscy wypili herbatę, ciastka pozostały nietknięte.

Kiedy wychodzili z domu, John podszedł do Katie i powiedział:

- Czy moglibyśmy porozmawiać? Nie teraz, ale na przykład jutro albo pojutrze?

- O czym?

- O niczym nadzwyczajnym. Tak, po prostu. Muszę z kimś porozmawiać.

Katie przez chwilę się wahała. Deszcz padał na nich, jakby chciał owinąć ich pięknym, mokrym

welonem.

- W porządku - odparła. - Jutro w porze lunchu będę w domu, w Cobh. Tutaj jest mój adres - podała mu wizytówkę. - Niech pan najpierw do mnie zadzwoni. Przygotuję tylko zupę z porów i ziemniaków, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu.
- Dzięki. Nie chcę się naprzykrzać, ale...
- Każdy czasami szuka towarzysza do rozmowy - odparła Katie i dołączyła do Lucy Quinn oraz państwa Kelly, którzy czekali już w samochodzie.

Zostawiła pana i panią Kelly w „Country Club Hotel”, był to zespół jasnożółtych budynków zajmujących spory obszar na wysokim klifowym brzegu rzeki.

- Jurto rano przyślę po państwa samochód - powiedziała. - Zapraszam do mojego gabinetu.

Opowiem państwu szczegółowo o przebiegu śledztwa i bieżących postępach.

- Jest pani bardzo uprzejma - powiedział pan Kelly, wysiadając.

Jego głos drżał. Coś podpowiadało Katie, żeby powiedzieć mu, iż doskonale wie, jakie to straszne utracić jedyne dziecko, rozumiała jednak, że opowiadając o tym, tylko skomplikowałyby sytuację i ich wzajemne stosunki. Oboje wystarczająco cierpieli, nie miała prawa stwarzać sytuacji, która wymagałaby ich współczucia wobec niej.

- Zawieźć panią do hotelu? - Katie zapytała Lucy.

- Prawdę mówiąc, chciałam panią zaprosić na drinka. Jest kilka spraw, które zamierzałam z panią omówić.

- Dobrze. Nie mam jednak zbyt wiele czasu. Ruszyła spod „Country Club” i jechała z powrotem w kierunku St Luke's Cross, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy.

- Detektyw nadinspektor Maguire.

- Katie? Tu Paul. Cieszę się, że cię złapałem, maleńka. Posłuchaj, mój samochód nie chce zaskoczyć, a za dwadzieścia minut mam zjeść lunch w South's z pewnym facetem z banku. Będziemy rozmawiali o tym interesie budowlanym. Dzwoniłem po taksówkę, ale nie ma szansy, żeby jakaś pojawiła się tutaj wcześniej niż za pół godziny. Pomyślałem...

Katie popatrzyła na zegarek.

- Chcesz, żeby cię podwieźć? Dobrze. Właśnie skończyłam sprawy w Knocknadeenly. Muszę tylko zawieźć profesor Quinn do „Jury's Inn”.

- Wszystko w porządku? - zapytała po chwili Lucy.

- Tak, oczywiście. Mój mąż nie może odpalić samochodu, dlatego będę musiała jechać do Cobh i go zabrać. Pewnie przełożymy tego drinka na później.

- Mogę jechać z panią. Porozmawiamy po drodze.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu...

- Oczywiście, że nie mam. Jestem tu sama, w obcym kraju, i cieszy mnie każde towarzystwo.

Skręciły na wschód i po chwili jechały szeroką, czteropasmową szosą szybkiego ruchu w kierunku Cobh. Katie włączyła wycieraczki, bo znów zaczęło mżyć.

- Coś pani powiem - odezwała się Lucy po chwili. - Dopiero drugi raz w życiu spotykam się ze współczesnym rytuałem, w którym ofiarą jest człowiek. Proszę się nie dziwić, że mnie to ekscytuje, mimo że cała sprawa jest makabryczna.

- To pani zawód. Mój zawód też wiąże się z makabrą. A pierwszy?

- Pierwszy?

- Chodzi mi o ten pierwszy raz, pierwszą rytualną ofiarę. Przed Fioną.

- Ach! Nie rozumiałam. Pewien farmer z Minnesoty złożył całą swoją rodzinę w ofierze bogu Wendigo. To taki dziwaczny stwór, który podobno żyje w lasach. Jest trochę podobny do irlandzkiej banshee, ponieważ ukazuje się tylko wtedy, kiedy ktoś ma umrzeć.

- Co zrobił ten farmer?

- Naprawdę chce pani wiedzieć? Wrzucił żonę i trójkę dzieci, jedno po drugim, do maszyny, w której mielił jedzenie dla inwentarza. Żywe. Koroner stwierdził, że wszyscy czworo byli świadomi tego, co się dzieje, nawet wówczas, kiedy przemieleni byli aż do pasa. Obrona próbowała dowodzić niepoczytalności farmera, uczestniczyłam jednak w procesie jako ekspert i dowiodłam, że postępował dokładnie według znanych mu wskazówek, jak wywołać Wendigo. Człowiek jest szalony, kiedy zabija bez powodu. Natomiast nie jest szalony, jeśli dokładnie przeprowadza konkretny rytuał, którego

wypełnienie ma mu przynieść jakieś korzyści. W tym przypadku farmer był niemal bankrutem i wierzył, że Wendigo zabije jego wierzycieli. Zadziwiające? Jasne. Przerazające? Tak. Jednak nie ma mowy o tym, żeby uznać farmera za niepoczytalnego. Został uznany za winnego popełnienia morderstwa drugiego stopnia i skazany na dożywotnie więzienie.

- A więc nie sądzi pani, że Tomás Ó Conaill jest niepoczytalny?

- Trudno mi to powiedzieć, zanim nie spotkam się z nim osobiście. Ale żeby zrobić to, co zrobił, musiał posiadać sporo mrocznej wiedzy. Musiał być także zdeterminowany, przygotowany pod względem fizycznym i tak dalej. Niech pani tylko pomyśli, jak ciężko zerwać mięso z nóg i rąk żywej dziewczyny, następnie poćwiartować ją, wywieźć szczątki na środek pola i rozłożyć na nim w taki sposób, w jaki życzy sobie Morrigan. Pani złoczyńca, Katie, działa jak najbardziej racjonalnie, jeśli chce pani znać moje zdanie na ten temat. Jest chłodny, metodyczny, a spośród innych chłodnych i działających metodycznie osobników wyróżnia go to, że bez cienia wątpliwości akceptuje wszystko, co zawarte jest w mitologii celtyckiej. Był całkowicie i przekonany, że Morrigan znów pojawi się na tym świecie i da mu wszystko, na co on zasługuje.

Katie zjechała z czteropasmowej drogi i ruszyła wąską szosą pod górę w kierunku Cobh.

Wyminęła traktor.

- Co pani sądzi o Johnie Meagherze? - zapytała.

- Johnie Meagherze? Właściwie nie wyrobiłam sobie zdania. To wasz typowy, ogarnięty depresją farmer, ale niech mi ktoś pokaże farmera, który nie byłby w depresji. To chyba wiąże się z posiadaniem ziemi, prawda? Spędza się na niej całe godziny, w złej pogodzie, w izolacji. W Johnie jest jednak coś jeszcze. Coś jakby z innego wymiaru.

- Odziedziczył farmę, kiedy zmarł jego ojciec - powiedziała Katie. - Mówi, że czuje się odpowiedzialny za rodzinny interes, jednak moim zdaniem ta praca w ogóle mu nie wychodzi.

Praktycznie jest bankrutem.

- Czy podejrzewała go pani chociaż przez chwilę?
 - Skądże. Kiedy zaginęła Fiona Kelly, pracował na farmie. Potwierdziła to dziewczyna z mleczarni.
 - A jednak... Jest całkiem możliwe, że osobnik, który porwał Fionę, to nie ten sam człowiek, który ją zamordował. Wielu rytualnych zabójców pracuje z partnerami, czasem działają w większych grupach. Słyszała pani pewnie o „stowarzyszeniach” czarownic albo o „kołach” pedofilów.
 - Trudno mi sobie wyobrazić tak kulturalnego człowieka jak John Meagher współpracującego z nieokrzesanym, takim jak Tomás Ó Conaill.
 - Mimo wszystko, jeśli farma podupada...
 - Uważa pani, że mógł zapragnąć pojawienia się Morigain, żeby ratować interesy?
 - Nie wiem. Tylko spekuluję. Uważam jednak, że jest w nim coś niepokojącego. W nim i jego matce. Przypomina mi Normana Batesa.
 - Och, niech pani przestanie. Uważam, że jest czarującym człowiekiem.
 - Wiem, o czym mówię, Katie. Rozmawiałam z setkami ludzi, którzy wierzą we wszystko, od UFO do olbrzymich potworów. Zawsze są tacy sami, czarujący, racjonalni i tak dalej, ale poznawszy ich trochę, szybko dochodzi się do wniosku, że mają poważnego bzika.
- Przejechały przez kamienny most wiodący na Great Island. Minęły ponurą, zrujnowaną wieżę warowną, wokół której latały wrony. Krajobraz przypominał widoki ze złowróżbnych kart tarota.
- Moim zdaniem - odezwała się Katie - John Meagher jest po prostu zwyczajnym, przyzwoitym człowiekiem, który robi wszystko, żeby zapewnić jak najlepszą opiekę owdowiałej matce i ratować honor rodziny. Jeśli i jest czegokolwiek winny, to tego, że wziął na swoje barki zadanie, które zdaje się go przerastać.
 - Pewnie ma pani rację. Ale po Siobhan Buckley wciąż nie ma śladu, prawda? A Tomás Ó Conaill nie mógł przecież jej porwać.

- Nie dysponujemy żadnym dowodem, że porwana została po to, aby stać się kolejną ofiarą.

Osobiście uważam, że wkrótce się odnajdzie. Jej matka powiedziała, że dziewczyna nie zmartwiła się

rozstaniem rodziców, ale w takich przypadkach dzieciaki często nie okazują swoich prawdziwych uczuć.

- Cóż... - Lucy westchnęła. - W Bogu nadzieja, że ma pani rację.

Paul kręcił się nerwowo przed domem, czekając na Katie. Jego pajero stało zaparkowane przy trawniku, maska była uniesiona.

- Do cholery, nie wiem, co się z nim stało. Jeszcze wczoraj jeździł jak złoto. Jak wrócę, będę musiał zadzwonić do mechaników. Tymczasem chyba się spóźnię.

Usiadł na tylnym siedzeniu samochodu Katie.

- Lucy, przedstawiam pani mojego męża, Paula. Paul, to jest profesor Lucy Quinn.

- Jestem pod wrażeniem - odparł Paul. - Katie opowiadała mi o pani prawie przez całą noc.

- Mam nadzieję, że zbytnio się mną nie zachwycała.

- Chyba jest to pani obojętne, pani profesor. Wygląda pani na kobietę, która doskonale wie, jakie wrażenie robi na ludziach.

- Boże, ty pochlebco - roześmiała się Katie, zawracając na podjeździe. - Proszę nie brać jego słów poważnie.

- Skup się na drodze, maleńka, dobrze? Nie mogę pozwolić, żeby w banku zbyt długo na mnie czekali.

Znów przejechali przez kamienny most i po chwili włączyli się do ruchu na czteropasmowej drodze prowadzącej do Cork. O tej porze dnia był duży ruch i przez pierwsze trzy kilometry Katie musiała podążać za jadącą powoli ciężarówką, która próbowała wyprzedzić jeszcze wolniej się przemieszczającą koparkę. Paul zaczynał tracić cierpliwość.

- Spokojnie, nie denerwuj się - uspokajała go Katie. - Jeszcze tylko pięć minut.

- Nie możesz wstawić na dach koguta?

- Żeby zawieźć męża na lunch?

- Kiedyś używałaś go, jadąc do dentysty.

- To była naprawdę pilna sprawa. Miałam ropień. W miarę jak zbliżali się do centrum miasta, ruch na drodze słabł, a kiedy wyjechali na drogę nad zatoką, Katie mogła wreszcie przyspieszyć.

- To już lepiej - powiedział Paul. - Nie spóźnię się więcej niż dziesięć minut.

W tym momencie coś mocno uderzyło w tył samochodu i Katie stwierdziła, że z trudem panuje nad kierownicą. Och, Boże, pomyślała, coś wybuchło. Opony mondeo zapiszczały na powierzchni i samochód zaczął ślizgać się w kierunku prawego pobocza.

- Co, do diabła?! - zawołał Paul.

Katie z trudem wyprowadziła auto z poślizgu, wyrównała, jednak zaraz nastąpiło kolejne uderzenie, a potem jeszcze jedno. Popatrzawszy w lusterko, zobaczyła za sobą range-rovera.

- Chryste, on uderza w nas rozmyślnie!

Z całej siły nacisnęła hamulec, range-rover jednak nadal uderzał. Po chwili jego przedni zderzak szepił się z bagażnikiem mondeo, pchnął samochód na chodnik tak mocno, że auto zerwało łańcuch oddzielający drogę od przepaści, w której lśniły wody zatoki.

- Mój Boże! - zawołała Lucy.

Katie nadal przyciskała pedał hamulca, mondeo jednak był o wiele lżejszy i słabszy od range-rovera, który pchał ofiarę wzdłuż przepaści, coraz bliżej i bliżej jej skraju. Koła mondeo podskakiwały

na nierównym gruncie, a spod jego klocków hamulcowych snuł się czarny dym.

- Na miłość boską! - krzyknął Paul. - Zepchną nas do wody!

Katie do oporu skręciła kierownicą, jednocześnie zaciągając hamulec ręczny, dzięki czemu mondeo obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Range-rover nadal uparcie nacierał, w końcu z głuchym łoskotem uderzył w drzwi od strony pasażera. Odbił się od nich, na chwilę się zatrzymał,

przechylił, po czym runął w przepaść.

Katie nie widziała tego, walcząc o odzyskanie panowania nad autem. Mondeo wykonało kolejne półkole i kiedy już myślała, że koszmar się kończy, jedno z tylnych kół zawisło nad przepaścią. Usłyszeli zgrzyt pękającej blachy, kiedy podwozie zgniotło rurę wydechową. Przez straszną, długą chwilę samochód kołysał się na samym skraju przepaści.

-Wysiadajcie!- zawołała Katie. - Wysiadajcie jak najszybciej.

Paul otworzył tylne drzwi, jednak w tym samym momencie mondeo zadrżało, rozległ się metaliczny odgłos rozdieranej blachy i samochód, przesunąwszy się przez skraj urwiska, spadł do wody.

Wnętrze natychmiast wypełniło się wodą. Zimna, brudna i cuchnąca ciecz uderzyła Katie w twarz.

- Chrystee! - zawołał Paul i zaraz usta zalała mu woda. Katie próbowała się odwrócić, zobaczyć, co się z nim dzieje, ale zbyt ciasno opinał ją pas bezpieczeństwa. Lucy udało się odpiąć jej własny pas i otworzyła drzwi. Woda wdzierła się do samochodu z coraz większą siłą. Sięgała już ramion Katie. Podniósłszy głowę, wciąż mogła dojrzeć przez przednią szybę szare niebo, skraj przepaści i twarze ludzi wpatrujących się w tonący samochód.

Lucy otworzyła drzwi szerzej i udało się jej wydostać na zewnątrz. Kiedy wypływała, mocno uderzyła butem w przedramię Katie. Mondeo odrobinę się odwróciło i wreszcie zatoneło. Woda zalała

kabinę tak szybko, że Katie ledwo zdążyła nabrać powietrza, zanim cała pogrążyła się w półmroku mętnej cieczy.

Znów szarpnęła za pas, jednak zapięcie nie puszczało. Skłęta się za to, że nie wozi w samochodzie nożyka, przecież obiecała to sobie już dawno, wtedy, gdy była świadkiem, jak młoda matka spłonęła żywcem w wypadku na North Ring. Teraz bezskutecznie próbowała się wyrwać z pułapki, bezustannie naciskała przycisk zwalniający pas. Pas nie chciał jednak jej wypuścić.

Chryste, pomyślała. Tnę. W głowie jej szumiało, płuca wołały o powietrze tak rozpaczliwie, że niemal zrezygnowała z walki i napiła się wody z rzeki. Była jednak spokojna, ani na chwilę nie ogarnęła jej panika. Po prostu chciała się wydostać z pułapki.

Paul musiał utonąć niemal natychmiast. Co za ironia losu, myślała. Właśnie teraz, kiedy postanowiłam, że nie będę już z nim żyła, razem z nim umrę.

W tym momencie ujrzała za przednią szybą jakiś cień. Po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś uderza w boczne okno. Odwróciła się i w brązowej, mętnej wodzie ujrzała Lucy, z szeroko otwartymi oczyma, o twarzy pozbawionej barw.

Lucy otworzyła drzwi mondeo. Katie wskazała na zapięcie pasa bezpieczeństwa i Lucy od razu zrozumiała. Katie ujrzała błysk noża, wystarczyły dwa krótkie cięcia i była wolna. Lucy złapała ją za ramiona i wyciągnęła z fotela. Mocno odepchnęła się nogami od karoserii, zmierzając ku zbawczej powierzchni, cały czas trzymając Katie pod ramiona, niczym anioł eskortujący ją w drodze do nieba.

Kiedy wypłynęły, usłyszały okrzyki i brawa; ku zaskoczeniu Katie, nad wodą zgromadził się już spory

tłum. Lucy płynęła obok niej aż do zardzewiałej drabinki i pomogła jej złapać najniższy szczebel.

- Paul - powiedziała Katie, kaszląc wodą. - Nie wiesz, co się stało z Paulem?

- Poszukam go - odparła Lucy. Po drabinie zeszło dwóch mężczyzn, ujęli Katie pod ramiona i wyciągnęli ją na brzeg. Była bardzo ciężka, jej ubranie i płaszcz nasiąknęły wodą.

- Nic ci nie jest, dziewczyno? - jeden z mężczyzn zawołał do Lucy. Ona jednak, bez słowa, po raz kolejny zanurkowała pod wodę.

- Mój mąż wciąż tam jest - powiedziała Katie.

- Na rany Chrystusa!

Na wodzie pojawiła się mała łódź z trzema rybakami. Jeden z nich kilkakrotnie zanurkował tam, gdzie zatonął range-rover. Jego dach, widoczny z brzegu, trochę przypominał zanurzoną trumnę.

Po chwili na miejsce przyjechał wóz policyjny, potem jeszcze jeden, a zaraz za nim ambulans. W drugim samochodzie znajdował się detektyw gwardzista Patrick O'Sullivan. Natychmiast podszedł do Katie.

- Mój Boże, nic pani nie jest?

- Ktoś w nas uderzył specjalnie! To był range-rover, kierowca koniecznie chciał zepchnąć nas do wody. Paul wciąż tam jest.

- Zaraz pojawią się nurkowie. Proszę, niech się pani owinie kocem.

Trzęsąc się z zimna, Katie stała nad wodą. Minęły ponad trzy minuty i nie było śladu ani Lucy, ani Paula. Do wody wskoczył jeden z gwardzistów, ale niemal w tym samym momencie na powierzchni pojawiła się Lucy. Trzymała pod pachy Paula. Jego twarz była tak sinoniebieska, że spra-

wiała wrażenie, jakby specjalnie wymalował się na jakiś festiwal.

Gwardzista pomógł Lucy podplłynąć z Paulem do drabinki, pozostali szybko wciągnęli go na brzeg. Oczy miał zamknięte, nie było widać, żeby oddychał. Natychmiast zajęli się nim sanitariusze, wypompowując wodę z jego płuc, stosując sztuczne oddychanie. Katie stała nad nimi i patrzyła, jakby

to był ktoś obcy, jakby nigdy nie była z nim związana. Była zdrętwiała, i to nie tylko z powodu zimna.

Podeszła do niej Lucy. Wciąż ciężko oddychała i pluła wodą. Katie dotknęła jej dłoni.

- Chryste, bo pani zamarznie! Patrick, przynieś koc także dla profesor Quinn!

- Co z pani mężem? - zapytała Lucy, wskazując na Paula.

- Jeszcze nie wiem. Nie chcę przeszkadzać, kiedy zajmują się nim profesjonaliści. Kiedy będą gotowi, powiedzą mi, co się dzieje.

Lucy popatrzyła na nią z zaskoczeniem, jednak nic nie powiedziała.

- Uratowała mi pani życie - odezwała się Katie. - To było nadzwyczajne. Mam nadzieję, że uratowała pani także Paula.

- Przez dwa lata z rzędu byłam mistrzynią mojego college'u w pływaniu.
- Dzięki Bogu.
- Co z ludźmi w drugim samochodzie?
- Wciąż próbują ich wydostać.
- Kim oni są? Dlaczego chcieli zepchnąć nas do wody? Katie przesunęła palcami po mokrych włosach.
- Myślę, że odpowiedź na to pytanie zna Paul. Podeszła do nich sanitariuszka, drobna, piegowata dziewczyna o ciemnorudych, kręconych włosach.
- Oddycha już sam, pani nadinspektor. Puls ma także zadziwiająco równy. Jednak wciąż jest nieprzytomny. Jak długo znajdował się pod wodą?
- Jakies pięć minut, na pewno niewiele dłużej.
- Zabieramy go do Regional Hospital. Obie panie powinny pojechać z nami. Trzeba będzie panie zaszczepić przeciwko żółtaczce zakaźnej.
- Ja nie potrzebuję szczepienia, dziękuję. Chcę tylko dostać się do mojego hotelu.
- Musimy sprawdzić, czy nie odniosła pani żadnych ran - nalegała sanitariuszka. - A żółtaczka może się okazać bardzo groźna, jeśli pani nie zaszczepimy.
- Niepotrzebny mi lekarz i zastrzyk w dupę - odparła Lucy. - Wystarczy mi kieliszek brandy i gorący prysznic, to wszystko.

Sanitariuszka miała zamiar jeszcze się spierać, ale Katie przerwała tę rozmowę:

- Profesor Quinn nie pojedzie na badania, skoro tego nie chce. Lucy, poproszę Patricka, żeby zawiózł panią do „Jury's Hotel". Teraz pojedę z Paulem do szpitala, a później się skontaktujemy.

Lucy niespodziewanie pocałowała ją w czoło.

- Jest pani bezpieczna, i tylko to się liczy.

Nosze z Paulem umieszczono w ambulansie. Kiedy Katie siadała obok nich, usłyszała jakieś

krzyki dobiegające z wody. Właśnie wyciągnięto jednego z pasażerów range-rovera. Ze sposobu, w jaki miał ułożone nogi i ręce, Katie bez cienia wątpliwości wywnioskowała, że jest martwy.

Pozostała w szpitalu aż do jedenastej w nocy. Paul wciąż nie odzyskiwał przytomności.

- Muszę panią uprzedzić - powiedział lekarz - że mogło dojść do uszkodzenia mózgu z powodu długotrwałego niedotlenienia. Niestety, dopóki nie odzyska przytomności, nie będziemy w stanie postawić diagnozy.

- A odzyska przytomność?

- Hmm... Cóż, trudno powiedzieć, naprawdę.

- Rozumiem — westchnęła Katie. Niespodziewanie zakręciło się jej w głowie, z trudem stała na nogach. - Zatelefonuję jutro, jeśli wolno. Tymczasem niech pan zapisze mój numer. W każdej chwili może mnie pan wywołać także na Anglesea Street.

- Oczywiście. Dobrze się nim zajmiemy, Katie. Niech się pani nie martwi.

W samochodzie przed szpitalem czekała na nią młoda gwardzistka, gotowa zawieźć ją do domu.

Miała różowe policzki i bujne, jasne włosy zaczesane do tyłu.

- Czy już cię kiedyś widziałam? - zapytała Katie.

- Nie, proszę pani. Dopiero niedawno przeniesiono mnie z Brandon.

- A więc zbierasz doświadczenia w wielkim, złym mieście?

- Och, tutaj jest wspaniale. - Dziewczyna uśmiechnęła się. - Przynajmniej od czasu do czasu dzieje się coś ekscytującego.

Przez chwilę jechały w milczeniu, po czym Katie odezwała się:

- Dlaczego wstąpiłaś do Garda Siochana?

- Nie chciałam pracować jako sprzedawczyni w sklepie. Wszystkie moje koleżanki pracują w sklepach. Nie chciałam robić tego co one.

- To wszystko?

- Chciałam też jakoś pomagać ludziom.

- Ach, tak. Pomagać ludziom. Pamiętam to.

- Słucham?

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Miałam dzisiaj ciężki dzień, zresztą to mało powiedziane. Jak ci na imię?

- Kathleen, proszę pani. Kathleen Kiely. Większość ludzi mówi do mnie Katie.

- Chcesz, żebym ci coś poradziła, Katie? Chcesz naprawdę dobrej rady?

Gwardzistka patrzyła na Katie z wyczekiwaniem.

- Nigdy nie zapominaj, że wszystko ma swoje granice, Katie. Im więcej będziesz dawać z siebie ludziom, tym więcej będą chcieli od ciebie brać. Jeśli nie będziesz ostrożna, obudzisz się pewnego poranka w wieku czterdziestu jeden lat i zdasz sobie sprawę, że zjedli cię od środka, jak larwy. Ciała, które będziesz znajdować w opuszczonych budynkach, to będzie nic w porównaniu z tobą i twoim życiem.

- Słucham?

- Nie spodziewam się, że zrozumiesz choćby jedno słowo,

Katie. Po prostu pamiętaj, że nie jesteś świętą, siostrą miłosierdzia ani męczennicą. Nie jesteś winna światu wszystkiego, czego zażąda. Jeśli mimo wszystko będziesz tak myślała, skończysz, nie zaoferowawszy mu nic.

Gwardzistka sprawiała wrażenie zakłopotanej. Bez wątplenia nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jeszcze jedno - odezwała się Katie, kiedy samochód przejeżdżał przez most na Great Island. -

Nigdy nie próbuj pływać w Lee, nie zdjęwszy uprzednio płaszcza.

Telefon komórkowy zadzwonił, kiedy wkładała klucz do zamka. Odezwał się Liam Fennesy.

- Co z Paulem? - chciał wiedzieć.

- Trudno powiedzieć. W tej chwili jest z nim bardzo źle. Wciąż nie odzyskał przytomności.

- Bardzo mi przykro, Katie. Posłuchaj, jestem w St Patrick's Morgue. Właśnie dokonaliśmy

identyfikacji kierowcy i pasażera range-rovera.

Kiedy otworzyła drzwi, skoczył na nią Sierżant, skomląc żałośnie.

- Uspokój się, Sierżant! Spokój! No, już dobrze. Liam, mówiłam właśnie do psa. Czy to był ktoś, kogo znałam?

- Tak, z pewnością. Prawdę mówiąc, to byli dwaj twoi dobrzy przyjaciele.

- Kto taki? Powiedz, jestem zbyt zmęczona, żeby zgadywać.

- A jeśli ci powiem, że to był Dave MacSweeny i jego przyboczny mięśniak Fergald Fitzgerald?

- Chyba nie mówisz poważnie. Dave MacSweeny?

- Nie ma mowy o pomyłce. Kolczyki, tatuaże, znamię, wszystko się zgadza. Zdaje się, że spadnie ci kamień z serca, prawda?

Katie odwiesiła płaszcz, który pożyczyła w szpitalu.

- Do czego zmierzasz, Liam?

- Nie chcę mówić za dużo przez telefon, Katie, ale wiem, że to Eamonn Collins kazał przybić MacSweeny'ego do krzyża, i wiem też dlaczego. Tylko jeden facet w całym Cork był na tyle nieostrożny, by pokazywać się publicznie z Geraldine Daley, i tylko jednemu facetowi zdawało się, że

ujdzie mu na sucho kradzież materiałów budowlanych za milion funtów z cegielni MacSweeny'ego i sprzedanie ich Charliemu Flynnowi. Poza tym tylko jedna kobieta w Cork mogła poprosić Eamonna Collinsa o wielką, specjalną przysługę. Widzisz, Katie, znam Dave'a MacSweeny'ego od czasów, kiedy chodziliśmy razem do szkoły podstawowej. Eamonn Collins nie miał żadnych wspólnych interesów z Dave'em, poza twoimi interesami. Katie przez chwilę milczała, po czym zapytała:

- Co z tym zrobisz?

- Nic. Niby dlaczego miałbym coś robić? Skoro jeden drań postanawia ukrzyżować drugiego, po czym ten drugi topi się w rzece z trzecim, kogo to obchodzi?

- Mógłbyś złożyć raport Dermotowi.

- Mógłbym, oczywiście, ale nie zamierzam tego robić. Jestem lojalny Katie, lojalny przede wszystkim wobec Gardy Siochany. Co by powiedzieć o całej sprawie, gdyby naszą pierwszą kobietę detektywa nadinspektora w jakikolwiek sposób skompromitowano, byłoby to dla nas medialną katastrofą.

- Może sama złożę raport?

- Oczywiście, mogłabyś. Ale co dobrego nam to da? Przekreślisz swoją karierę, a Garda straci jednego z najlepszych detektywów. Powinnaś myśleć także o ojcu. Złamałabyś mu serce.

- Czasami potrafisz być bardzo zgryźliwy, Liam.

- Zgryźliwy? Ha! Jestem po prostu spostrzegawczy i racjonalny. Utrzymywanie pokoju nie oznacza, że trzeba ludzi pogrążyć. Utrzymywanie pokoju oznacza zawieranie kompromisów, robienie tego, co jest praktyczne, i zachowywanie cierpliwości. Być może Eamonn Collins ma teraz na ciebie haka, ale ty masz na niego o wiele więcej, prawda? I twój czas kiedyś nadejdzie. Popatrz zresztą na jasną stronę tego wszystkiego. Charlie Flynn nie musi już dłużej ukrywać się na Florydzie. Nikt z pozostałych przy życiu żołnierzyków Dave'a MacSweeny'ego nie będzie miał już dość odwagi, żeby nachodzić Charliego w sprawie pieniędzy. Dermot może powiedzieć lordowi burmistrzowi, że jego szwagier został odnaleziony bezpieczny i w dobrym stanie, a ty na całej sprawie tylko zyskasz.

- Do czego zmierzasz, Liam?

- Już ci powiedziałem. Do niczego.

- Wiesz, że odwiedziłam Caitlin.

- Tak, wiem.

- Wczoraj chciałam porozmawiać z tobą o niej.

- Być może.

Nastąpiła długa, pełna napięcia pauza.

- Caitlin uważa, że się zmieniłeś. Uważa, że to praca cię frustruje. To z powodu napięcia i stresów w pracy nie potrafisz nad sobą panować.

- Mam na ten temat swoje zdanie, Katie. Ale rozmawiamy o moim prywatnym życiu. Nie chcę, żebyś wtrącała się w to, co się dzieje pomiędzy mną a Caitlin.

- Skrzywdziłeś ją, Liam, uderzyłeś.

- Przynajmniej nie przybiłem jej do krzyża.

Katie milczała. Zrozumiała, w jakiej znalazła się sytuacji. Podeszła do barku, jedną ręką odkręciła butelkę wódki i nalała sobie obficie do szklanki.

- Jakies wiadomości o Siobhan Buckley? - zapytała.

- Prawie nic. Mniej więcej pięć po dziewiątej trzech świadków widziało białego lexusa jadącego niezbyt poprawnie Lower Glanmire Road. To było krótko po tym, jak Siobhan Buckley jakoby skorzystała z okazji i wsiadła do białej japońskiej limuzyny. W lexusie znajdował się mężczyzna i dziewczyna. Kobieta z samochodu, który jechał za nimi, odniosła wrażenie, że walczą ze sobą. Lexus chwilami nie jechał zbyt prosto. Otarł się o jakiś znak i niemal zderzył czołowo z samochodem jadącym z naprzeciwka.

- Czy później ktoś go widział?

- Nikt.

- Rozumiem. Myślę, że znów będę musiała porozmawiać z Tómasem Ó Conaillem.

- Posłuchaj, Katie - powiedział Liam z wahaniem. - Niezależnie od tego, jak sprawy układają się pomiędzy nami, chcę ci powiedzieć, że potrzebujesz trochę odpoczynku. Mogę sam porozmawiać jutro z Ó Conaillem. Mogę także koordynować poszukiwania Siobhan Buckley. Przeżyłaś właśnie okropny dzień, poza tym teraz powinnaś myśleć przede wszystkim o Paulu.

- Dziękuję ci za wyrozumiałość, Liam. Chciałabym, żebyś taką samą wyrozumiałość okazywał swojej żonie.

- Katie...

- Jutro o dziewiątej będę w pracy. Chcę, żeby do tego czasu na moim biurku znalazł się raport na temat dzisiejszego wypadku. Chcę mieć także informacje o rodzinie Dave'a MacSweeny'ego i pozostających na wolności członkach jego gangu kim są, gdzie mieszkają i czy twoim zdaniem wciąż są niebezpieczni.

- Rozumiem, szefie.

Katie wyłączyła telefon komórkowy i odłożyła go na kredens. Sierżant krążył wokół jej nóg, sapiąc i popiskując.

- Już dobrze. Dzisiaj będziesz musiał załatwić swoje sprawy w ogrodzie. Nie mam sił na żaden spacer.

Szklankę z wódką zabrała na górę, do sypialni. Była zbyt zmęczona, żeby brać prysznic.

Rozebrała się, wciągnęła obszerny T-shirt w białe i niebieskie paski, który wkładała czasem do spania,

i wsunęła się pod grubą, chłodną pierzynę. Zasnęła niemal natychmiast, nie zgasiwszy w domu światła.

Znów śniła o Lalkarzu. Szła przez mokry, piaszczysty dziedziniec, zmierzając do bramy rzeźni.

Wysoko ponad dachami z wysmukłych ceglanych kominów unosił się ku niebu czarny dym. Słyszała pobrząkiwanie łańcuchów, pracę maszyn i gardłowe krzyki.

- Paul? - odezwała się, stanąwszy w progu. - Paul, gdzie jesteś?

Zza rogu docierał do niej odgłos pił przecinających kości. Obeszła wielki stos krwawych szczątków i ujrzała rzeźników w czerwonych od krwi fartuchach i dziwnych muślinowych kapeluszach, odcinali płaty ciemnokasztanowego mięsa z nóg, rąk i częściowo poćwiartowanych korpusów.

- Uważaj na Lalkarza - szepnął jej ktoś wprost do ucha. Ona jednak nie zatrzymała się i szła prosto do najbliższego rzeźnika, mimo że ze strachu całe jej ciało pokryło się gęsią skórką. - Uważaj

na Lalkarza. - Rzeźnik oporządzał coś, co wyglądało jak noga kobiety; Katie mogła nawet dojrzeć charakterystyczne zagłębienia w kolanie. Krwawe resztki rzucał na stos.

Katie stanęła za jego plecami.

- Uzbrowiony gwardzista! - próbowała krzyknąć, jednak wydała z siebie tylko zniekształcony głos i niezrozumiałe dźwięki, jakby próbował przemówić ktoś martwy. - Jestem uzbrojonym gwardzi-

stą! Aresztuję cię!

Rzeźnik nie dał żadnego znaku, że ją usłyszał, ostrożnie wyciągnęła więc rękę i położyła ją na jego ramieniu. Zesztywniał. Po chwili odłożył piłę rzeźnicką i odwrócił się. Jego twarz, skryta za muślinowym welonem, była niewidoczna. Serce Katie stanęło, nagle zabiło mocno, po czym znów stanęło i znów zabiło. Strach zimnymi szpileczkami przebiegł po jej plecach.

Powoli, palec po palcu, rzeźnik zaczął ściągać rękawice. Po chwili uniósł dłoń i odsunął muślin.

Boże, spróbowała powiedzieć Katie, ale nie była w stanie.

To był Dave MacSweeny, martwy, z oczyma białymi jak u ugotowanego dorsza. Twarz miał szarą, a z jego ust wyciekała brudna, brązowa rzeczna woda.

- Nie! Zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła.

Śpiący na parterze Sierżant usłyszał ją i ostro warknął. Otworzyła oczy i przez ułamek sekundy nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest. Jednak stopniowo wróciła do rzeczywistości. Lampka przy łóżku

wciąż się paliła, a zegar wskazywał godzinę trzecią czterdzieści trzy nad ranem. Z fotografii, ustawionej na stoliku, uśmiechał się do niej Paul. Jedno oko spoglądało w inną stronę niż drugie, jakby wypatrywał czegoś ponad jej ramieniem.

Weszła do łazienki i umyła zęby. Wypiła dwie szklanki wody i wróciła do łóżka, gasząc lampkę. Minęło dwadzieścia długich minut, zanim znów zasnęła, tym razem śniła jednak tylko o samotnym biegu morskim brzegiem. Biegła bez końca, mając nadzieję, że ucieknie przed śladami

własnych stóp.

Siobhan obudziło oślepiające światło latarki skierowane prosto w jej oczy. Zajęczała w proteście i spróbowała odwrócić głowę. Do połowy okrywał ją brudny wełniany koc, ale mimo to była tak przemarznięta, że prawie nie czuła stóp.

- Która godzina? - zapytała. W ustach tak jej zaschło, że z trudem mogła mówić.

- Już prawie czas, żebyśmy rozpoczęli podróż, Siobhan - odparł mężczyzna. - Udało ci się zdrzemnąć na kilka chwil, to dobrze. Wkrótce będziesz potrzebowała tyle sił, ile tylko twoje drobne, delikatne ciało zdoła z siebie wykrzesać.

- Proszę... - wycharczała.

Usiadł obok niej, ostrożnie ułożywszy latarkę na oparciu krzesła. Widziała tylko ciemny zarys jego sylwetki.

- Wiesz, to dziwne - powiedział. — Dziwne, jak ludzie źle traktowani grzecznie się zachowują.

Można by przypuszczać, że będą źli, wściekli, prawda? Że będą miotać przekleństwa na oprawców, wrzeszczeć, bluźnić, przeklinać Boga. A jednak nie zachowują się tak. Zawsze mówią „proszę” i „dziękuję”. Z drugiej strony, może po prostu to ja mam szczęście? Może więziłem dotąd jedynie słabych i grzecznych?

- Chcę tylko iść do domu - łkała Siobhan. Mężczyzna wyciągnął rękę i zaczął głaskać szorstką szczotkę, która została jej na głowie po stryżeniu.

- Oczywiście, że chcesz iść do domu. Niestety, to smutne, ale nie możesz. Jest ci pisane coś zupełnie innego. Przygotowałem dla ciebie spotkanie. Spotkanie z ciocią Agonią. Weźmie cię w objęcia i podaruje ci najpiękniejszy ból, taki, jakiego nigdy dotąd nie zaznałaś.

- Proszę, nie sprawiaj mi bólu. Zrobię wszystko.

- Wiem, wiem. Ale nie po to tutaj jesteś. Znalazłaś się tu, żeby otworzyć przede mną drzwi,

które zostały zatrzaśnięte wieki temu. Jesteś wybraną, Siobhan. Ostatnią spośród trzynastu, szwaczką o włosach czerwonych jak ogień.

Zamierzam sprawić ci ból. Niestety. Zamierzam sprawić ci ogromy ból. Ale to część rytuału. To zasadnicza część rytuału. Dam ci doświadczenie, jakiego prawie nikt dotąd nie miał przywileju dostąpić. Dzięki mnie wzniesiesz się ponad samą siebie, do miejsca, w którym zrozumiesz, że ból może być zakończeniem egzystencji, zakończeniem wspanialszym nawet niż śmierć.

- Ja tylko chcę do domu - płakała Siobhan. - Proszę, proszę, chcę do domu.

- Chcesz na początek jakiś środek przeciwbólowy? - Mężczyzna pociągnął nosem i wstał. -

Chyba mam w łazience trochę aspiryny.

- Chcę iść do domu.

Bez ostrzeżenia mężczyzna przechylił jej krzesło do tyłu, tak że Siobhan uderzyła głową w podłogę. Wydała jęk bezradności i strachu. Jej przeguby od dawna były mocno przywiązane do oparcia krzesła. Teraz wydobył zwój nylonowej linki i do nóg krzesła przywiązał jej kostki, tak mocno, że przez chwilę odnosiła wrażenie, jakby odcinał jej stopy.

- Jesteś zimna, to dobrze. Chłód trochę złagodzi ból. Ale kiedy znów się ogrzejesz... Cóż, wtedy dopiero zaczniesz go czuć.

- Nie... Nie mogę... nie znośę tego. Nie znośę! Proszę, puść mnie! Puść mnie!

Pogłaskał jej odsłonięte kolana.

- Studiowałaś projektowanie odzieży, Siobhan. Czy kiedykolwiek marzyłaś o sławie? Uwierz mi, dzięki temu naprawdę będziesz sławna. Twoje nazwisko na zawsze zwiąże się z jednym z największych zdarzeń tysiąclecia. Kiedykolwiek ktoś pomyśli o powrocie Morigain, a wielu ludziom

utkwi to w pamięci na kilka następnych stuleci, od razu pomyśli także o Siobhan Buckley.

Siobhan leżała na plecach, z załzawionymi oczyma i nosem wypełnionym flegmą. Mężczyzna przez chwilę milczał, pomyślała nawet, że odszedł. Ale wtedy usłyszała jakby odgłos zatrząskiwania

walizki, a potem kaszel. Po chwili, poczuła okropny, zimny chłód stali tnącej wzdłuż jej łydkę, od kolana aż po kostkę. Mężczyzna powtórzył nacięcie wzdłuż tej samej linii, tym razem było głębsze, dotykało kości, poczuła na skórze ciepłą, lepłą ciecz.

Spróbowała krzyknąć, jednak z jej gardła wydobył się tylko ledwie słyszalny charkot.

- Bardzo dobrze, Siobhan - powiedział mężczyzna, wykonując dwa poprzeczne cięcia, dokładnie pod kolanem. Czują, jak przecina jej ścięgna. - Biorąc pod uwagę okoliczności, zachowujesz się spokojnie.

- AAAAAACH! - krzyknęła, gdy kontynuował nacinanie mięśni w górnej części łydki.

- Czy chcesz, żebym na chwilę przestał? - zapytał. Znow zakaszłał i powiedział: - Przepraszam, ale uważam, że lepiej będzie, jeśli przejdiesz przez to od razu.

Ból był tak przeraźliwy, że cała się trzęsła.

- Nie. - Tylko tyle zdołała wypowiedzieć. - Nie.

- Będę więc kontynuował. I nie krępuj się, krzycz, ile chcesz. Krzyk oczyszcza.

Siobhan mocno zacisnęła powieki i zmówiła modlitwę do Matki Boskiej, żeby obroniła ją, żeby zabrała ją z tego miejsca, odegnała od niej ten straszliwy ból. Mężczyzna naciął jej łydkę po lewej stronie, poczuła, jak otwiera się jej ciało, jak zimne ostrze przesuwają się po obnażonych mięśniach.

Zaczęła się modlić do Chrystusa Zbawcy. Modliła się, żeby wybaczył jej grzechy i pozwolił, aby jej dusza trafiła do nieba.

Ale kiedy otworzyła oczy, nadal znajdowała się w piekle. Mężczyzna wciąż się nad nią pochylał, nacinając ścięgno Achillesa i mięśnie wydłużone wokół jej kostek, podśpiewując pod nosem.

Kiedy parzyła się kawa, Katie zatelefonowała do szpitala. Paul był w stabilnym stanie i Jego życiu na razie nie zagrażało niebezpieczeństwo". Oddychał samodzielnie, wciąż jednak nie odzyskał przytomności i jak dotąd nie reagował na bodźce zewnętrzne. Za kuchennym oknem padał rześisty deszcz, a ciężkie krople głośno uderzały w dach garażu. Pielęgniarka powiedziała, że trochę później Paul zostanie zabrany na badanie tomografem komputerowym i badanie to wykaże, czy zaszły jakieś zmiany w mózgu.

Odłożywszy słuchawkę, Katie odmówiła w myślach modlitwę do świętej Teresy z Avila, patronki chorych i cierpiących. Tę samą modlitwę odmawiała za matkę, zanim zmarła. „Bóg każe nam

cierpieć i my, śmiertelnicy, nie wiemy dlaczego, On jednak karze nas, gdyż ma w tym swój ceł".

O ósmej czterdzieści siedem usłyszała sygnał klaksonu i wyjrzawszy za okno, zobaczyła nie oznakowany samochód policyjny, najwyraźniej czekający na nią. Zamknęła w kuchni Sierżanta, narzuciła na siebie granatowy płaszcz przeciwdeszczowy i wybiegła na zewnątrz.

- Miły, spokojny dzień - zauważył kierowca, ruszając z miejsca. Był nim siwowłosy gwardzista o nazwisku Patrick Logan: przyjazny, uczynny, bez wygórowanych ambicji i bliski emerytury.

- Cholera jasna - westchnęła Katie.

- Co się stało? Zapomniała pani czegoś? Mam zawrócić?

- Nie. Miałam zostawić pod doniczką kluczyki do samochodu męża. Chciałam zatelefonować po mechaników, żeby mu się przyjrżeli.

- Temu pajero? Co mu jest?

- Nie chce odpalić, nic więcej. Ledwo przed miesiącem był w serwisie i aż do wczoraj rana doskonale funkcjonował.

- Mógłbym poprosić syna, żeby go obejrzał. Ma warsztat samochodowy i często dojeżdża do

klienta. Z pewnością zażąda mniej pieniędzy niż pani mechanicy.

- Wspaniale, jeśli tylko to możliwe. Ten samochód to powód dumy i radości męża.

- Przy okazji, jak on się czuje?

- Wciąż jest nieprzytomny. Modlę się, żeby się nie okazało, że zaszły jakieś trwałe zmiany w mózgu.

- Boże drogi - powiedział Patrcik Logan. Po chwili milczenia, dorzucił: - A co z panią?

- W porządku, nic mi nie jest - odpowiedziała Katie. - Dziękuję za zainteresowanie.

- Nie weźmie pani kilku wolnych dni?

- A dlaczego?

- Cóż, jeśli wybaczy mi pani szczerłość...

- Na miłość boską, bądź szczerzy!

- Niektórzy spośród pani współpracowników uważają, że trochę pani przesadza, przemęcza się.

Poza tym jest pani przecież kobietą. A przecież nie musi już pani niczego nam udowadniać.

Sprawdziła się pani w służbie...

- Rozumiem. Uważają tak niektórzy moi współpracownicy.

- Przepraszam. Nie chciałem się z tym wyrywać. Czasami jednak lepiej jest wiedzieć, co w trawie piszczy, prawda? Inaczej może nas spotkać jakaś nieprzyjemna niespodzianka.

- Prawdę mówiąc, Patrick, doskonale wiem, że niektórzy moi koledzy krzywo na mnie patrzą.

Co więcej, uważają zapewne, że zbyt mocno ich eksploatuję, bo sama chcę osiągnąć jak najwięcej.

Ale nie zostałam detektywem dlatego, że wysiadywałam całymi dniami w kącie baru w Counihan i udawałam, że prowadzę obserwację i podsłuchuję. Pracuję ciężko tylko dlatego, że to jest konieczne, a

nie po to, żeby się wykazać przed współpracownikami albo kimś innym.

- Oczywiście, że nie, proszę pani. Przepraszam.

- W porządku, Patrick, wiem, że nie miałeś złych intencji. Posłuchaj, mniej więcej o wpół do

drugiej będę z powrotem w domu. Gdyby twój syn mógł wtedy przyjechać, byłabym naprawdę bardzo

wdzięczna.

- Nie ma problemu, proszę pani.

Na komendzie czekała na nią nagrana wiadomość od Gerarda O'Briena. Oczywiście, zatelefonował poprzedniego popołudnia o piątej, ale przecież była wtedy w szpitalu. „Halo. Katie? Tu

Gerard. Wiem, że już kogoś aresztowałaś, jednak te nowe materiały, które otrzymałem z Niemiec, są bardzo, bardzo ekscytujące. Stanowczo uważam, że mogłyby nam pomóc w rozwiązaniu tej sprawy z Knockadeenly. Mogłbym przyjść na Anglesea Street, jeśli chcesz. A może zaprosiłbym cię na lunch?”

Katie przez chwilę rozmyślała, po czym zatelefonowała do „Jury's Inn”, do Lucy. Telefon dzwonił przez długi czas, zanim Lucy wreszcie podniosła słuchawkę. Miała niezbyt wyraźny głos.

- Lucy? Tu Katie Maguire.

- Och, przepraszam. Źle spałam ostatniej nocy. Koszmary, rozumiesz...

- Nie tylko ty masz podobne problemy. Posłuchaj, chciałam ci powiedzieć, że Paul wciąż jest nieprzytomny, ale stan jego zdrowia nie pogarsza się. O ile nie zaszły nieodwracalne zmiany w mózgu, o tyle, jak twierdzą lekarze, są duże szanse, że z tego wyjdzie.

- To dobra wiadomość.

- Dzwonię także, żeby cię zaprosić dzisiaj na lunch. Jest ktoś, komu chciałabym cię przedstawić. To profesor Gerard O'Brien z uniwersytetu w Cork. Pomaga nam w sprawie zabójstw z 1915 roku. Twierdzi, że dotarł do ekscytujących materiałów pochodzących z Niemiec. To jego słowa,

zwykle jest jednak wiarygodny.

- Nie wiem, Katie. Zazwyczaj staram się nie nadeptywać na odciski innym naukowcom.

- Teraz nie ma takiej możliwości. A kto wie, może we dwoje dojrzycie coś, co naprawdę

pozwoli do końca rozwikłać tę sprawę?

- Nie jestem pewna.

- Lucy, naprawdę chcę cię zobaczyć. Przede wszystkim, żeby ci podziękować za wczoraj. Poza tym chciałabym usłyszeć więcej o tym całym Jacku Calwoodzie. No i wyświadczyłabyś mi wielką przysługę, zgadzając się na ten lunch. Mówiąc dyplomatycznie, Gerard O'Brien chyba coś do mnie czuje.

- Rozumiem. Potrzebujesz ochroniarza.

- Myślałam raczej o przyzwoitce, ale w porządku, ochroniarz też się przyda. Spotkajmy się więc u Isaaca, na MacCourtian Street, o pierwszej, zgoda?

- Dobrze. Zmusiłaś mnie do tego.

Krótko po dziesiątej do drzwi jej gabinetu zapukał Patrick Goggin. Akurat była zajęta przeglądaniem szczegółowych raportów z chaty, w której zamordowano Fionę Kelly, i jego widok zaledwie jej nie uszczęśliwił.

- Przepraszam, panie Goggin, ale mam dzisiaj naprawdę mnóstwo roboty.

- Doskonale rozumiem. — Głośno przełknął ślinę. — Chciałem jednak pani powiedzieć, że właśnie otrzymałem odpowiedź z Ministerstwa Obrony w Londynie. Dotyczy irlandzkich kobiet, które zniknęły na północ od Cork w latach 1915-1916.

- No i co?

- Poinformowano mnie, że w Archiwum Państwowym w Kew przeprowadzone zostały staranne poszukiwania dokumentów z tego okresu i okazało się, że wszystkie zostały zniszczone przez wroga podczas drugiej wojny światowej. Zresztą, cokolwiek się z nimi stało, nie ma ich i nikt nie może znaleźć.

- Jakże to wygodne. I pan im wierzy?

- Chyba nie mam wyboru, prawda?

- Czyżby sądził pan, że Anglicy specjalnie coś ukrywają?

- Być może. Ale nie mam pewności. Jack Devitt poświęcił całe życie, by opublikować jak najwięcej informacji o okropieństwach, jakich Brytyjczycy dopuścili się w Irlandii. W większości wypadków ma rację, szczególnie w sprawie Czarnych i Brązowych oraz Irlandzkich Ochotników. Osobiście jednak jakoś trudno mi uwierzyć, żeby brytyjski dowódca wydał oficjalny rozkaz systematycznego porywania i mordowania kobiet. A co pani o tym sądzi?

- Jestem skłonna się z panem zgodzić — odparła Katie. - Tym bardziej, że te kobiety stały się ofiarami w jakimś pradawnym celtyckim rytuale. Brytyjczycy nigdy nie popierali takich obrzędów, a właściwie robili wszystko, żeby je wyplenić. Tymczasem wywoływanie Morrighain to szczególnie ponury rytuał, który zna niewielu Irlandczyków, nie wspominając o Brytyjczykach. Jednak... jeśli Ministerstwo Obrony nie może albo nie chce w niczym pomóc, to chyba nie ułatwia sprawy, prawda?

- Dlatego właśnie zdaję się na panią. Proszę wyjaśnić, co naprawdę przydarzyło się tym kobietom. Jeśli Jack Devitt ma rację i one naprawdę zostały porwane i zamordowane przez brytyjskich

żołnierzy, muszę to wiedzieć bez cienia wątpliwości. Być może Jack ma na to więcej dowodów, niż chce nam ujawnić, ale my nie możemy przystąpić do prania brudów, zanim nie będziemy do tego dokładnie przygotowani.

Katie rzuciła długopis na leżące przed nią dokumenty.

- Mogę panu powiedzieć tylko tyle, panie Goggin, że robimy wszystko co w naszej mocy. Do tej pory zrobiliśmy testy DNA jedenastu osobom, które mogły być krewnymi ofiar. Aż siedem testów dało wynik pozytywny. Dzięki temu z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładam, że jedenaście szkieletów, które znaleźliśmy w Knocknadeenly, należy do kobiet porwanych pomiędzy 1915 i 1916 rokiem.

- Niektórzy krewni - kontynuowała Katie - opowiadają banalne historyjki o „dniu, w którym zniknęła ciotka Betty”, jednak żadna z nich nie rzuca nawet odrobiny światła na to, kto i w jaki

sposób

porwał kobiety. Praprawnuk Mary O'Donovan wspomniał przerażającą historię opowiedzianą mu przez praprababkę o „demonie Tommym”, który jakoby polował na młode kobiety w okolicach St Luke's Cross i Montenotte. Mogło to być jednak po prostu swego rodzaju ostrzeżenie dla miejscowych

dziewcząt, żeby nie flirtowały z brytyjskimi żołnierzami.

- Myślę, że możemy sobie to darować - powiedział Patrick Goggin, wydymając policzki.

- Myślę podobnie, panie Goggin. Jem dzisiaj lunch z dwójgim ekspertów w dziedzinie mitologii celtyckiej. Być może oni oświecą mnie jakimiś nowymi pomysłami.

- Naprawdę? - Goggin wyglądał na rozczerowanego. - Szkoda, bo zamierzałem zaprosić panią na drinka.

Siobhan zamrugnęła i otworzyła oczy. Niemal natychmiast ogarnęła ją fala bólu. Zalała ją niczym woda lalkę na wzburzonym morzu. Poczwała, jak podłoga pod nią unosi się, opada i przechyla, a ściany biegną ku niej, po czym cofają się i znów biegną. Zwymiotowała odrobiną zupy, którą nakarmił ją mężczyzna, i kilkoma strugami flegmy.

Ból był tak straszliwy, że nie potrafiła uprzytomnić sobie, co tutaj robi, co się z nią stało ani nawet tego, kim jest. Była w stanie myśleć tylko o bólu i o tym, dlaczego podłoga w pokoju nie zachowuje poziomu.

Mężczyzna stał blisko niej, a mimo to widziała tylko ciemny, niewyraźny cień.

- Obudziłaś się? - zapytał.

Nie odpowiedziała, ukląkł więc przy niej i uniósł kciukiem jedną z jej drżących powiek.

- Obudziłaś się? Byłaś bardzo dzielna, Siobhan. Jak się czujesz?

Znów zwymiotowała. Potem jeszcze raz. Mężczyzna cofnął się i czekał, aż skończy. Wreszcie powiedział:

- Zostawię cię teraz, żebyś trochę wypoczęła. Postaraj się trochę przespać. Wrócę jeszcze na

chwilę i nakarmię cię. Chcesz najpierw coś do picia?

Pokiwała głową. Ból był tak ogromny, że nie potrafiła nawet płakać. Mężczyzna zostawił ją na moment, ale zaraz wrócił z wielką szklanką wody. Podtrzymał jej głowę i pozwolił wypić kilka łyków.

Niemal natychmiast po wypiciu odrobiny wody znów zwymiotowała, a płyn rozprysnął się u jej stóp.

Siedziała ze zwieszoną głową, z zaciśniętymi powiekami, nieustannie czując kołysanie jak na statku.

- Wrócę później - powiedział mężczyzna łagodnie. - Wtedy znów odkryjemy razem trochę bólu.

Zamknął za sobą drzwi. Siobhan siedziała bezwładnie, a tymczasem podłoga kołysała się pod nią niczym tratwa.

- Mamo - wyszeptała. - Mamo, proszę cię, pomóż mi. Powoli otwierała oczy. Popatrzyła na nogi. Wyglądały inaczej niż zwykle i w pierwszej chwili nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że nie patrzy na skórę, lecz na kości. Na dwie kremowe kości udowe i dwie

nagie rzepki kolanowe, połączone tylko chrząstkami i skrawkami mięśni. Siedzenie pod nią było nasiąknięte krwią.

Była w stanie takiego szoku, że nie do końca rozumiała, iż kości udowe naprawdę należą do niej. Przypominały Siobhan fragmenty szkieletu wiszącego w rogu szkolnej pracowni biologicznej.

Znów zamknęła oczy. Kości przeraziły ją, a przecież naprawdę potrzebowała snu.

Deszcz za oknem powoli ustawał i nawet wyszło słońce, a nad Lough Mahoń i Passage West, którędy statki wypływały z Cork, kierując się na otwarty ocean, pojawiła się szeroka tęcza.

Lucy spóźniła się dziesięć minut. Była ubrana w czarny, skórzany żakiet i gruby sweter z puszystej, czarnej angory oraz obcisłe czarne dżinsy. Na szyi miała wielki srebrny krzyż, wysadzany ciemnopurpurowymi kamieniami.

Gerard poderwał się z krzesła, przy okazji przewracając szklanę z wodą mineralną. Kelnerka natychmiast ruszyła ku niemu ze ściereczką, a tymczasem Katie dokonała prezentacji:

- Gerardzie, przedstawiam ci profesora Lucy Quinn. Lucy, poznaj profesora Gerarda O'Briena.

- Bardzo miło mi panią poznać - powiedział Gerard. Lucy była przynajmniej cztery cale wyższa od niego i mówiąc do niej, miał przed sobą jej piersi. - Katie opowiedziała mi właśnie, jak ocaliła ją pani przed utonięciem. Jestem pod wrażeniem.

Lucy usiadła.

- Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Każdy, kto potrafiłby pływać jak Flipper - zauważyła Katie. — Napijemy się?

W porze lunchu u Isaaca zawsze było gwarnie. Była to nowoczesna restauracja o krzykliwym wystroju, popularna wśród biznesmenów z Cork, turystów i kobiet w średnim wieku, które lubiły spędzać tu czas po zrobieniu zakupów. Kierując się takim samym instynktem samozachowawczym jak Eamonn Collins, Katie wybrała stolik w łoży na tyłach sali. Z tego miejsca widziała każdą osobę wchodzącą do restauracji.

- Katie powiedziała mi, że uniwersytet specjalnie opłacił twoją podróż do Irlandii - odezwał się

Gerard z ustami pełnymi chleba. - Chciałbym, żeby uniwersytet w Cork również był tak wspaniałomyślny. A oni tymczasem nie posłają mnie nawet do Walii, żebym mógł obejrzeć celtyckie koła z kamieni.

- Cóż, te szkielety z Knocknadeenly to naprawdę bardzo rzadkie odkrycie - odparła Lucy. -

Opowiedziałam już Katie, że jedyny podobny znany przypadek miał miejsce w Bostonie w 1911

roku.

Jednak mojego dziekana zelektryzował przede wszystkim fakt, że ktoś próbuje dokończyć rytuał!

Wyobraź sobie: obecnie, w dzisiejszych czasach, teraz!

- Czy wyciągnęłaś jakieś istotne informacje z Tómasa Ó Conailla? - Gerard zwrócił się do Katie.

- Chcę go dzisiaj przesłuchać jeszcze raz, nadal jednak czekam na kompletne wyniki testów DNA i innych badań śladów pozostawionych w miejscu zbrodni.

- Co o nim wiesz? W gazetach napisali, że jest Wędrowcem.

- Owszem, uważa się za Wędrowca. Jest trzynastym synem dobrze znanej rodziny

Wędrowców, która większość roku spędza w Galway i Donegal. Ale kiedy miał piętnaście czy szesnaście lat, wdał się w bójkę z ojcem. Wybił mu jedno oko. Po tym incydencie opuścił rodzinę.

Lubi mówić o sobie, że jest królem wszystkich Wędrowców, ale wątpię, czy znajdziesz choć jednego,

który by się z nim zgadzał.

- A skąd on tak dużo wie o rytuałach celtyckich? Ten drań pewnie nigdy w życiu nie chodził do szkoły.

- Nie. Ale kiedyś mi powiedział, że nauczył go czytać pewien dyrektor szkoły, który mieszkał blisko miejsca postoju jego rodziny, niedaleko Claremorris. Człowiek ten był entuzjastą celtyckich tradycji i celtyckiego języka. Tó-mas O Conaill wie wszystko, co można wiedzieć o starych przesądach i obrzędach druidów. Najwyraźniej wierzy, że jest kimś w rodzaju wybranego spadkobiercy Wielkich Królów Irlandii i że ma nadprzyrodzoną moc.

- Czasami potrafi być jednak bardzo racjonalny. Umie zachowywać się czarująco. Bywa zabawny, a nawet, Bóg mi świadkiem, uwodzicielski.

Gerard i Lucy postanowili wypić we dwoje butelkę białego wina chilijskiego. Katie zamieniłaby tygodniowe wynagrodzenie za nadgodziny na podwójną wódkę, pozostała jednak przy wodzie

mineralnej ballygowan. Wkrótce na stole pojawiło się także jedzenie. Gerard zamówił mieszaną sałatę

z kaszanką konakilty, Lucy - porcję krewetek, a Katie wybrała rybę z grilla z ziemniakami.

- Bardzo dobre jedzenie - pochwaliła Lucy. - Gerardzie, Katie powiedziała mi, że dysponujesz jakimiś ciekawymi materiałami z Niemiec. Właściwie ekscytującymi materiałami.

Gerard poczerwieniał.

- Hmm... Cóż, właściwie tak, rzeczywiście, mogą być interesujące, a może i ekscytujące.

Zdołałem się skontaktować z pewnym historykiem kryminalistyki z Osnabruck, doktorem Franzem Kremerem. Napisał kilka książek o głośnych seryjnych morderstwach w Niemczech, Belgii i Polsce.

— Gerard wydobyl z kieszeni notatnik zapisany okrągłym, niemal dzieciennym pismem. - Rozmawiałem z doktorem Kremerem przez telefon prawie godzinę. Powiedział mi, że pomiędzy latem 1913 roku a wiosną 1914 w okolicach Miinsteru w Westfalii zagięło niemal sto dwadzieścia kobiet. Zanim

zniknęły, widywano kilka z nich w towarzystwie mężczyzny ubranego w szary mundur Wehrmachtu.

Nikt nie wie, kim był. Żadna jednostka armii na tym terenie nie zgłaszała dezercji żołnierza. Mniej więcej na Boże Narodzenie w 1913 roku lokalna gazeta napisała o tym mężczyźnie der Graue Gest, „Szary Duch”.

- Mój Boże - szepnęła Lucy. - Nie mogę w to uwierzyć. A Katie od razu przypomniał się szept, który słyszała we śnie: „Strzeż się Lalkarza”. Pomyślała też o tym, co znaczy celtyckie słowo „Knocknadeenly”: „Wzgórze Szarych Ludzi”.

Gerard włożył do ust trochę za dużo sałaty i przez chwilę zmagał się z niesfornymi liśćmi. Po chwili odezwał się:

- Zupełnie przez przypadek, czwartego czerwca 1914 roku, pewien ksiądz z Drensteinfurtu zauważył mężczyznę w szarym mundurze, rozmawiającego z jego gosposią po drugiej stronie miejskiego rynku. Mężczyzna i gosposia razem się oddalili. Ksiądz podążył za nimi i zza rogu zo-

baczył, że oboje wsiadają do samochodu. Odjechali i oczywiście ksiądz nie był w stanie ich ścigać, ale

gdy gosposia nie wróciła na plebanię, jeszcze tego samego wieczoru poinformował o jej zniknięciu policję.

- Trzy dni później samochód znalazł w lesie gajowy. Zaczęto przeczesywać teren, użyto psów, jednak po gosposi nie było nawet śladu. Wreszcie, po dwóch albo trzech godzinach, psy natrafiły na przecinkę i fragment ściółki, gdzie ziemia bez wątplenia została niedawno wzruszona, chociaż ktoś bardzo się postarał, żeby to ukryć. Policja zaczęła kopać i odkryto kości dziewięćdziesięciu sześciu kobiet. Wszystkie pozbawione były mięśni. Kości udowe wszystkich ofiar były przewiercone, a z każdej zwisała mała lalka z koronek. Lalki miały powbijane haczyki na ryby, były przewiercone gwoźdźmi i innym żelastwem.

- Zatem - odezwała się Lucy - Szary Duch próbował wezwać Morganę.

- Wszystko jednak wskazuje na to, że mu się nie udało - wtrąciła Katie. — Jeśli dziewięćdziesiąt sześć szkieletów podzielimy przez trzynaście, okaże się, że próbował siedem razy i był w połowie ósmej próby. Jak sądzisz, dlaczego próbował, mimo że obrzęd najwyraźniej nie przynosił rezultatów?

- A kto tak powiedział? - zapytała Lucy. - Morga-na mogła mu za każdym razem dawać wszystko, czego żądał, a tymczasem on wciąż pragnął więcej i więcej.

- Cóż, rzeczywiście. - Katie postanowiła nie dać po sobie znać, że poczuła się jak skarcona uczennica. - Możemy to przyjąć, pod warunkiem że jesteśmy gotowi uwierzyć w czary.

Lucy lekko wzruszyła ramionami.

- Jeśli chodzi o mitologię celtycką, Katie, staram się zachowywać otwarty umysł. Szczególnie wobec czarownic.

- Rozumiem - ustąpiła Katie. - Co dalej? Gerard zjadł resztę potrawy i do czysta wytarł kawałkiem chleba talerz po sałacie.

- Policja urządziła zasadzkę. Dwa dni później mężczyzna wrócił, żeby zabrać samochód.

Aresztowano go i zabrano do siedziby policji w Münsterze. Szef policji przesłuchiwał go przez trzy dni, nie usłyszał jednak od niego niczego poza tym, że nazywa się Jan Rufenwald i jest inżynierem z Hamm. Nic nie wiedział o zaginionych kobietach i zaprzeczył, że samochód należy do niego.

- To brzmi znajomo - powiedziała Katie.

- W końcu - kontynuował Gerard - postanowiono, że Jan Rufenwald stanie przed sądem. Miało to nastąpić w Münsterze, piątego lipca 1914 roku. Jednak w tym czasie w Niemczech panowało ogromne zamieszanie, ponieważ kraj był już w stanie wojny z Francją, i zaledwie na kilka dni przed wypowiedzeniem wojny Wielkiej Brytanii. Z różnych powodów rozprawa się opóźniała. Siódmego li-

pca Rufenwaldowi udało się uciec z celi w gmachu sądu i nikt go już nigdy nie zobaczył.

- Jakiś świadek powiedział, że widział kobietę w brązowej sukni opuszczającą budynek sądu ewakuacyjną klatką schodową. Mój przyjaciel z Niemiec uważa, że Jan Rufenwald miał współniczkę,

która pomogła mu uciec. Albo sam przebrał się za kobietę.

- Urządzono za nim wielki pościg, dosłownie w całej Westfalii. Gazety nazwały go „Monstrum z Münsterze”, a jego twarz spoglądała niemal z każdego słupa ogłoszeniowego od Hanoweru na wschodzie aż do holenderskiej granicy na zachodzie. Któregoś dnia policja z Recklinghausen oznajmiła, że mężczyzna odpowiadający jego rysopisowi był widziany w okolicach tego miasta późnym latem i jesienią 1912 roku, w czasie, kiedy zaginęło tam ponad siedemdziesiąt kobiet. Policja z Paderborn rozpoznała go jako „Williego Hakenmachera”, poszukiwanego od 1911 roku, kiedy to zniknęła bez śladu dotąd nie policzona grupa kobiet.

Niestety, śledztwo zakłóciła wojna, w końcu je przerwano, jednak z ówczesnych akt wynika, że Jan Rufenwald najprawdopodobniej jest odpowiedzialny za zamordowanie co najmniej czterystu kobiet, a może nawet znacznie większej ich liczby.

Lucy słuchała go w skupieniu. Kiedy Gerard skończył, wyprostowała się i powiedziała:

- Niewiarygodne. Naprawdę niewiarygodne.

- Wiesz coś na ten temat? — zapytała ją Katie.

- To nadzwyczajne. Bardzo podobne do zbrodni Calwooda, o których ci opowiadałam. Sądzę, że możemy mieć do czynienia z tym samym człowiekiem.

- Masz na myśli te morderstwa w Bostonie?

- Tak. Na terenie Bostonu zniknęło trzydzieści jeden kobiet. Zanim zaginał po nich wszelki ślad, naoczni świadkowie widzieli kilka z nich w towarzystwie mężczyzny w wojskowym mundurze.

- Masz rację - powiedział Gerard. - To nadzwyczajne.

- Pomyślcie tylko... To wszystko działo się, zanim ludzie zaczęli słuchać radia, nie było telewizji, Internetu... Wieści nie rozchodziły się tak szybko jak dzisiaj i trudno się spodziewać, żeby w tym wypadku jeden morderca naśladował drugiego.

- Czy tego faceta złapano?

- Prawie. Pewnego dnia wdał się w rozmowę z młodą kobietą, niejaką Annette Songer. Działo się to w sklepie spożywczym w Dedham, na południowo-zachodnich przedmieściach. Annette Songer była panną, o której mawiano, że stawia ludziom trafne horoskopy. To pasuje do opisu kobiety, którą należy poświęcić Morigain, czyli „wróżki nie mającej dzieci”. Jack Calwood zaproponował, że pod-

wiezie ją do domu. Miała mnóstwo pakunków, więc skorzystała z propozycji. Kiedy jednak wsiadła do samochodu, Jack ruszył w przeciwnym kierunku, niż chciała, i ani myślał zawrócić. Chciała go do tego zmusić siłą, podjęła nierówną walkę, podczas której kilkakrotnie ją uderzył, łamiąc jej szczękę.

„The Boston Evening Transcript” zamieścił długi artykuł na ten temat.

- Annette Songer udała nieprzytomną i kiedy samochód się zatrzymał, a mężczyzna wysiadł, żeby otworzyć bramę, otworzyła drzwi i uciekła. Natychmiast udała się na policję, ale gdy policjanci

pojawił się w domu, do którego została zawieszona, nie było już po nim śladu. Właścicielka domu powiedziała, że zawsze był spokojny i grzeczny, czynsz płacił na czas, ale „miał takie spojrzenie, że serce zamierało człowiekowi ze strachu”.

- Policja przeszukała dom i przekopała ogród. Znaleziono w nim kości przynajmniej dwudziestu kobiet. Do kości udowych przywiązane były laleczki.

- Rozpoczęto poszukiwania na wielką skalę. Rozmachem mogły dorównać pościgowi za Janem Rufenwaldem w Niemczech. Pamiętajcie, że w tamtych czasach po drogach jeździło niewiele samochodów, dlatego Calwoodowi wcale nie było łatwo uciekać. Widziano go najpierw w New London w stanie Connecticut, jak jechał na zachód. Później został rozpoznany w Westport. Policja rozstawiła na drogach blokady i wkrótce musiał porzucić samochód.

- Ścigany był aż do Nowego Jorku, a jego portret zamieściła na pierwszej stronie każda gazeta na Manhattanie. Drugiego maja na policję zgłosił się urzędnik z biura Cunarda mieszczącego się na Piątej Alei i powiedział, że mężczyzna podobny do Jacka Calwooda dwudziestego dziewiątego kwietnia przed południem kupił u niego bilet. Był to bilet wystawiony na statek, który wypłynął pierwszego maja w rejs do Liverpoolu w Anglii.

- Na statek natychmiast nadano telegram i kapitan zarządził dokładne poszukiwania, jednak Calwooda na pokładzie nie znaleziono. Pięć dni później, kiedy statek znajdował się niedaleko południowych wybrzeży Irlandii, został storpedowany przez niemiecki okręt podwodny i zatonął z ponad tysiącem ludzi.

- Mój Boże! - zawołała Katie. - „Lusitania”.

- Tak - potwierdziła Lucy.

- Zatem nawet jeśli był na pokładzie... - zaczął Gerard.

- Właśnie. Dokładnie policzono i spisano wszystkich rozbitków, którzy ocaleli. Nie było wśród nich Calwooda. Nowojorska policja poprosiła nawet policję irlandzką z Cork o dokładne

przesłuchanie każdego ocalałego mężczyzny, żeby uzyskać absolutną pewność, że Calwood nie przyjął fałszywej tożsamości.

- I oczywiście nie natrafiono na niego?

- Nie. Widziałam fotografie wszystkich mężczyzn, którzy wyszli cało z katastrofy „Lusitania”.

Żaden spośród nich nawet w przybliżeniu nie odpowiadał rysopisowi Calwooda, który policji w Dedham podała Annette Songer, a także właścicielka domu i kilka innych osób, które go znały.

Katie pokiwała głową.

- A jednak mniej niż pięć miesięcy później porwane zostały w północnym Cork pierwsze spośród jedenastu kobiet, które zamordowano zgodnie z tym samym rytuałem, jaki Calwood przeprowadzał w Bostonie.

- I tym samym, który Rufenwald przeprowadzał w Niemczech - dodał Gerard. - A nie zapomnijcie, że koronki, z których zrobiono lalki, pochodziły właśnie z Niemiec.

- Rufenwald, Calwood, a potem nasz tajemniczy brytyjski żołnierz - powiedziała Katie. -

Trudno przypuszczać, że mówimy o różnych osobach, prawda?

Rozmawiali jeszcze, pijąc kawę. Wreszcie Katie popatrzyła na zegarek i stwierdziła, że jest prawie kwadrans po drugiej.

- Słuchajcie, muszę już iść. Bardzo wam dziękuję, obojgu. To było bardzo pouczające spotkanie. Zamierzam skontaktować się z policją z Bostonu i z Niemiec. Sprawdzę u nich wszystko, co da się sprawdzić w tej sprawie. Gerardzie, może doktor Kremer mógłby znaleźć dla ciebie informacje, gdzie w Niemczech znaleziono ofiary i kim były zamordowane kobiety. Lucy, a ty co chcesz robić?

Lucy w skupieniu poprawiała usta jasnokoralową szminką.

- Chyba wrócę do Knockadeenly i dokładnie obejrzę miejsce, w którym znaleziono ciało

Fiony Kelly. Muszę dokładnie się dowiedzieć, na czym polega jego magiczna moc. Czy grzebano tam

kiedyś zmarłych, czy był to krąg druidów, czy krąży na jego temat jakieś lokalne niesamowite opowieści, i tak dalej.

- Doskonale. Przypilnuję, żeby ci dostarczono identyfikator. Oficjalnie to wciąż jest miejsce przestępstwa i bez identyfikatora nie zostałabyś tam wpuszczona.

- Och, jeszcze jedno, zanim się rozejdziemy — powiedział Gerard. - Kolejny mój znajomy z

Niemiec przesłał mi pocztą elektroniczną czarujący wizerunek Morgany albo Morrigan, czy też jak ją

nazwać. - Wyjął z teczki brązową kopertę. Z uśmiechem podał ją Katie. Katie otworzyła i zawahała się. - No, dalej - zachęcał ją. - Ona cię nie ugryzie.

Powoli wyciągnęła kartkę z ponurą ryciną przedstawiającą Morrigan. Czarownica nad czarownicami stała w ciemnym lesie i trzymała w ręce długi kij z zatknietą na nim ludzką czaszką. Jej twarz była gładka, blada i doskonale piękna. Usta miała lekko otwarte, jakby właśnie chciała coś powiedzieć. Ale, podobnie jak w przypadku Jacka Calwooda, w jej oczach było coś takiego, co sprawiło, że serce Katie zaczęło bić wolniej. Jakby skrajna bezduszość, bezgraniczne okrucieństwo. Czarownica miała na głowie wyszukany kapelusz z kruczych piór, jej włosy były zmierzwione, zaplątały się wśród nich chrząszcze i ćmy. W zniszczoną suknię Morrigan powbijane było mnóstwo haczyków, gwoździ i metalowych pinesek.

- Poruszające, prawda? - zapytała Lucy.

- Widziałaś już kiedyś ten rysunek?

- Akurat nie ten, ale wiele podobnych. Mówi się, że kiedy Królowa Śmierci stanie przy twoim łóżku, będziesz tak oczarowana jej urodą, że zapomnisz, dlaczego się przy tobie pojawiła.

- Wielkie dzięki - odparła Katie. - Może powinnam powielić ten rysunek w kilkuset egzemplarzach i nakazać, żeby rozwieszono go w całej okolicy jako wizerunek niebezpiecznej osoby poszukiwanej przez policję?

Po lunchu pojechała do szpitala, żeby spędzić dwadzieścia minut przy łóżku Paula. Sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, jakby spał i śnił o czymś miłym. Aż trudno było jej uwierzyć, że nie może potrząsnąć go za ramię i obudzić.

— Och, Paul, biedny dzieciaku - powiedziała, trzymając jego dłoń. - Zawsze miałeś ten sam problem, prawda? Nie potrafiłeś wydobyć się na powierzchnię z głębokich przepaści. Zawsze myślałeś, że jakoś ci się uda. Teraz stoisz przed największą próbą i nie wiem, czy wyjdiesz z niej zwycięsko. Nie mogę już powiedzieć, że cię kocham, ale proszę, Paul, otwórz oczy. Proszę cię, wyzdrowiej. Nie chcę, żebyś resztę życia spędził w taki sposób.

Usłyszała czyjeś znaczące chrząknięcie i pukanie do drzwi. Do sali wszedł Jimmy O'Rourke.

Miał ze sobą kiść winogron bez pestek i duży bukiet kolorowych kwiatów.

— Cześć, Katie. Jak się masz? Co dzisiaj słyhać u pacjenta?

— Wciąż jest nieprzytomny. Za pół godziny będzie miał tomografię mózgu.

— Mam prezenty od nas wszystkich. Chociaż to trochę głupio przynosić winogrona facetowi, który jest nieprzytomny.

— Dzięki mimo wszystko, Jimmy.

Jimmy postawił krzesło ze sklejki po drugiej stronie łóżka.

— Wygląda dobrze — zauważył. — Nabrał trochę kolorów, prawda?

— To wszystko nie ma znaczenia. Najważniejsze jest to, jak bardzo jego mózgowi zaszkodził brak tlenu, kiedy przebywał pod wodą.

Jimmy pokiwał głową, po czym powiedział ostrożnie:

— Dermot zapytał mnie, co się stało. Wiesz, chodzi o to. Dlaczego Dave MacSweeny uparł się, żeby zepchnąć was do rzeki. Jaki miał powód?

— Naprawdę nie wiem, Jimmy. Paul robił z Dave'em jakieś interesy, ale, o ile mi wiadomo,

układało im się raczej dobrze. Może to mnie chciał zabić?

- To chyba nie ma nic wspólnego z ukrzyżowaniem Dave'a, co?

Katie wzruszyła ramionami.

- Wszystko wskazuje na to, że ukrzyżowanie jest sprawką Eamonna Collinsa, wątpię jednak, czy kiedykolwiek mu to udowodnimy.

Jimmy przez chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

- Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że chodziło o Paula, nie o ciebie. Pewnie czekał w okolicach waszego domu, gotowy jechać za Paulem do miasta. Nie mógł przecież przewidzieć, że samochód Paula się zepsuje i że akurat ty przyjedziesz, żeby go podwieźć, prawda?

- Chyba nie. Ale jeśli naprawdę zamierzał go zabić, dlaczego po prostu nie wszedł do domu i go nie zastrzelił? Zepchnięcie samochodu do rzeki wcale nie gwarantuje, że kierowca zginie. Ani to skuteczna, ani dyskretna metoda pozbywania się kogoś.

- Dave MacSweeny zawsze zachowywał się jak lunatyk. Jeden Bóg wie, o co mu chodziło tym razem.

Katie posłała mu szybkie, uważne spojrzenie. Sposób, w jaki wypowiedział ostatnie słowa, świadczył, że doskonale wie, o co chodziło MacSweenyemu. O zemstę i karę. Nikt nie mógł bezkarnie

zabrać czegoś Dave'owi, nie zapytawszy go najpierw o pozwolenie, nikt nie mógł baraszkować z jego

dziewczyną, nawet jeśli Dave regularnie ją bił, łamał jej żebra i traktował jak szmatę. Dave

MacSweeny stracił panowanie nad sobą i zapłacił za to. Ale to Paul był na tyle nierozważny, że do tego doprowadził.

- Jimmy, nie jestem głupia. Poza tym jestem dziewczyną z Cork, tutaj się urodziłam i

wychowałam. Kiedy coś ważnego dzieje się w okolicy, przeważnie wiem, o co chodzi - powiedziała.

- W porządku, Katie - mruknął Jimmy. - Cóż, po prostu troszczę się o ciebie, chyba to widzisz.

Katie ujęła jego dłoń, której palce ozdobione były grubymi, srebrnymi pierścieniami, i mocno ją ucisnęła. Wiedziała, że Jimmy nie zachowuje się tak tylko dlatego, że Paul jest w śpiączce, że rozsypało się jej małżeństwo i w ogóle właściwie wszystko. Na Anglesea Street trudno było zachować

cokolwiek w sekrecie.

- Dziękuję, Jimmy - powiedziała.

Na szpitalnym łóżku leżał Paul z zamkniętymi oczami, oddychał równo i miał nawet uśmiech na twarzy, jakby marzył o Geraldine Daley albo o wygranej na wyścigach konnych w Curragh. Zresztą, któż mógłby zgadnąć, o czym marzył teraz Paul i co przywołało na jego twarz ten uśmiech?

Kiedy Siobhan otworzyła oczy, mężczyzna stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Jego twarz miała melancholijny wyraz, jakby rozmyślał o rzeczach, które wydarzyły się bardzo dawno temu i bardzo daleko stąd. Straszliwy ból w nogach Siobhan przeszedł w tępe pulsowanie, pokój przestał się

kołysać i po raz pierwszy widziała mężczyznę zupełnie wyraźnie. Ubrany był w obcisłą czarną koszulę z jedwabiu i czarne spodnie. Przypominał jej magika, którego kiedyś widziała w cyrku, mężczyznę wyciągającego z rękawów długie szarfy, a z kapelusza białego królika.

W pewnej chwili mężczyzna odwrócił się w jej stronę.

- Ach, obudziłaś się. Chcesz się napić wody? A może byś coś zjadła?

- Chcę już wrócić do domu. Proszę...

- Gdybyś tylko mogła... Niestety, czasami przeznaczenie wyznacza ludziom zadania wbrew ich woli.

- Nie chcę umierać. Proszę.

- Nie spiesz się tak. Śmierć ma swoje uroki. Dziś w nocy doświadczysz największego bólu, jaki jest w stanie przetrwać ludzka istota. A jutrzejszej nocy będziesz mnie błagała, żebym pozwolił ci umrzeć, błagała.

Siobhan zamilkła. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Chciała znaleźć się gdzieś indziej albo stać się kimś innym, kimkolwiek i gdziekolwiek, byleby nie być teraz sobą, w tym miejscu. Błagam, najświętsza Mario Dziewico, ocal mnie, ocal mnie, zabierz mnie stąd.

- Bardzo cię lubię, Siobhan — powiedział mężczyzna. - Myślę, że spośród wszystkich dziewcząt, które poznałem, masz najwięcej wdzięku. Bije od ciebie taki blask... Powinni uczynić cię świętą, wiesz? Święta Siobhan Czerwonowłosa. Dobrze by to brzmiało. Schowam twoje włosy w medalionie i przez resztę życia zawsze będę je ze sobą nosił. Na szyi, jako pamiątkę twojego niewysłowionego spokoju i opanowania.

- Dlaczego? - zapytała Siobhan, nie otwierając oczu.

- Dlaczego? Ponieważ ty, Siobhan, jesteś wybraną. Trzynastą, ostatnią. Jesteś kluczem.

- Dlaczego? - powtórzyła Siobhan.

- Ponieważ masz włosy, Siobhan, i umiejętności, których wymaga rytuał. Ponieważ jesteś bardzo, bardzo piękna i uosabiasz mistycyzm, magię, dzięki którym Irlandia jest tym, czym jest: krajem, w którym świat czarownic znajduje się tylko o krok od świata zwykłych ludzi.

- Dlaczego?

Zawahał się, zakłopotany.

- Przepraszam. Chyba nie rozumiem, o co pytasz. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w niego.

Ujrzał w jej spojrzeniu tak dziką nienawiść, że mimowolnie uniósł rękę, jakby chciał się przed nią obronić.

-Dlaczego mi to zrobiłeś?- zapytała. Jej głos był silny i stanowczy, brzmiał chropowato, jak głos Regan w Egzorcyście.

- Oj, Siobhan, Siobhan. Nie rozumiałabyś tego, nawet gdybym spróbował ci wytłumaczyć. To jest po prostu jedyny sposób, żebym otrzymał to, czego pragnę, czego potrzebuję. Uwierz mi, gdyby tylko istniała alternatywa...

Po policzkach Siobhan popłynęły łzy.

- Współczuję ci - powiedziała. - Strasznie ci współczuję.

- Współczujesz mi? Dlaczego?

- Bo kiedy umrzesz, pójdziesz do piekła, na zawsze. A tam będziesz się czuł tak jak ja teraz, nawet gorzej. I to się nigdy nie skończy. Nigdy.

Mężczyzna przez chwilę milczał, po czym wyciągnął rękę i opuszką palca dotknął jej mokrego policzka.

- Oto prawdziwy duch katolickiej świętości - powiedział. - Mogę sobie iść nawet do piekła, Siobhan, nie mam jednak żadnych wątpliwości, gdzie ty się znajdziesz.

Kiedy wróciła do domu, land-rover Johna Meaghery czekał już na podjeździe. Wyskoczyła z pożyczonego opla omegi i pobiegła do przedsionka. John wysiadł z samochodu i ruszył za nią. Ubrany

był w długi, czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Zauważyła, że chciał wyglądać elegancko i włożył nawet koszulę z krawatem.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - Byłam u męża w szpitalu.

- Czytałem o tym w gazetach. Czy wyzdrowieje? Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka.

- Lekarze jeszcze nie wiedzą. Fizycznie to on już utonął.

- Tak mi przykro.

Powiesiła płaszcz, po czym weszła do kuchni i wypuściła Sierżanta. Pies, jak zwykle w takiej sytuacji, wykonał swój radosny taniec, po czym popatrzył groźnie na Johna. Ten jednak spokojnie położył dłoń na jego łbie, pomiędzy uszami i powiedział:

- Cicho, cichutko. Nie najlepsza to chwila na psie wariactwa.

Sierżant natychmiast się uspokoił. Cicho zaskomlał i wrócił do kuchni.

- Do licha, kim ty jesteś? - zdziwiła się Katie. - Zaklinaczem psów?

- Ojciec mnie tego nauczył. Kiedy byłem dzieckiem, śmiertelnie bałem się psów, nauczył mnie więc nad nimi panować. To kwestia autorytetu. Jeśli pies wie, że nie będziesz tolerować niewłaściwego zachowania z jego strony, jest bardzo grzeczny.

- Zdejmij płaszcz, proszę.

Katie podeszła i wzięła od niego okrycie. Przez chwilę stali tak blisko siebie, że mogli się pocałować, gdyby tylko chcieli. John popatrzył jej w oczy, a ona odwzajemniła jego spojrzenie.

- Wiesz co? - odezwał się. - Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, gdy odkopaliśmy te kości...

- No, mów. Bo zaraz muszę podgrzać zupę.

- Przestraszyłaś mnie.

- Co? Co takiego?

John potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- W zasadzie nikt nie jest w stanie mnie przestraszyć. Taki już jestem. Ale kiedy pojawiłaś się na miejscu zbrodni, cholera, muszę przyznać, zrobiłaś wrażenie. Przestraszyłaś mnie. I bez wątpienia wystraszyłaś wszystkich mężczyzn w promieniu stu metrów. Tak, jakby spadła tam bomba i miała w każdej chwili eksplodować.

- To kwestia autorytetu - powiedziała Katie. Iskierka, która pojawiała się w jej oczach, kazała Johnowi znów w nie spojrzeć.

Przeszli do salonu.

- Napijesz się czegoś? - zapytała Katie. - Niestety, nie mogę ci towarzyszyć, ale mam w lodówce kilka puszek murphyego. Albo wino, jeśli wolisz.

- Murphy będzie w sam raz.

Kiedy wróciła z kuchni, John stał w rogu pokoju i oglądał książki na półkach.

- Nigdy bym nie powiedział, że lubisz Maeve Binchy - powiedział, odkładając na miejsce mocno podniszczony egzemplarz Tara Road.

- Uciekam w ten sposób przed codziennością - przyznała Katie.

- Trudno ci się dziwić. Przy takiej pracy... Założę się, że widzisz mnóstwo okropieństw.

- Nie jest aż tak źle. Najtrudniejsze są sytuacje, w których widuje się ludzi w ich najgorszych chwilach, czasami naprawdę strasznych. To trzeba odreagować. Nawet nie wiesz, jak ludzie potrafią być okrutni i głupi. Czasami trudno zachować wiarę w wyższość rodzaju ludzkiego nad innymi.

John wznosił do góry kufel z piwem.

- Rozumiem. Wypijmy więc za wiarę. Katie usiadła na skraju sofy.

- O ile pamiętam, chciałeś o czymś porozmawiać. John pokiwał głową.

- Próbowałem rozmawiać o tym z matką, ale sama widziałaś, jaka ona jest. A Gabriel, cóż, nie jest najinteligentniejszym człowiekiem na świecie. Problem polega na tym, że coraz wyraźniej dociera

do mnie, że wszystko tracę. Rozumiesz? Czy miałaś kiedyś wrażenie, że wszystko ci się wymyka?

- Niezbyt dobrze cię rozumiem.

- Chodzi o farmę. Naprawdę, wpędza mnie w depresję. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Doję krowy, orzę, kopię, naprawiam ogrodzenia, moknę, a w nocy słyszę tylko, jak krople deszczu uderzają o szyby, i matkę chrapiącą jak mors. Nie wiesz, ile bym dał, żeby wyjść gdzieś wieczorem, spotkać się z przyjaciółmi, porozmawiać, pośmiać się... Czy mam jeszcze szansę na to?

Katie nie mogła powstrzymać uśmiechu. John nie czekał na jej odpowiedź.

- Przepraszam, nie powinienem zrzędzić. W końcu dobrowolnie wybrałem takie życie, ale czuję, że powoli wariuję.

- Uspokój się i usiądź - powiedziała Katie. - Wypij jeszcze jedno piwo. To najlepsze lekarstwo na twoją chorobę.

John usiadł w drugim rogu sofy, obok wazonu z suszoną trawą preriową. Z kuchni wyszedł

Sierżant i przez chwilę wpatrywał się w niego surowo. Wreszcie cicho warknął i podreptał do

legowiska.

- Coś widziałem - powiedział John.

Zamilkł na tak długo, że Katie postanowiła przejąć inicjatywę.

- No, mów. Co to było?

- Nie jestem pewien. Wjeżdżałem traktorem do hangaru, kiedy odniosłem wrażenie, że widzę kogoś stojącego na skraju lasu, w miejscu, w którym znalazłem ciało dziewczyny.

- Zawiadomiłeś gwardzistę, którego tam zostawiliśmy na straży?

John potrząsnął przecząco głową.

- To w końcu było blisko głównej bramy. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli sam podejść do tej osoby. Pomyślałem, że to pewnie ktoś, kto wybrał drogę na skróty. Dzieciaki skracają sobie czasami trasę do głównej drogi, idąc właśnie przez moje pole.

- I co dalej?

- Przeskoczyłem przez płot i wszedłem na pole. Słońce akurat zachodziło za drzewami i

świeciło mi prosto w oczy. Kiedy zbliżyłem się do tej postaci, zauważyłem, że to kobieta. Była ubrana

w długi, szary płaszcz, a na ramiona miała narzucony szary szal czy coś podobnego. - Przerwał na chwilę, ale zaraz mówił dalej: - Krzyknąłem do niej. Coś w rodzaju: „Przepraszam, ale nie wolno chodzić po tym polu”. I wtedy kobieta zniknęła.

- Chcesz powiedzieć, że odeszła?

- Nie. Najnormalniej w świecie zniknęła mi z oczu. Rozpłynęła się w powietrzu. I wcale nie w okamgnieniu, lecz stopniowo, tak że stojąc jakieś dwadzieścia czy trzydzieści jardów od niej, wciąż widziałem niewyraźny zarys jej sylwetki. A kiedy dotarłem do miejsca, w którym stała, już w ogóle jej nie było. Nie było też po niej żadnego śladu. Żadnych odcisków stóp, zupełnie nic.

- I co zrobiłeś?

- A co mogłem zrobić? Nikogo tam nie było.

- Nie poinformowałeś gwardzisty, który miał pilnować miejsca zbrodni?

- A w jakim celu? Pomyślałby, że coś mi się pomieszało. Może miałby rację? Już sam nie wiem.

- Dlaczego więc postanowiłeś opowiedzieć o tym mnie?

- Ponieważ mam już dość tłamszenia tego w sobie, a nie przyszedł mi do głowy nikt inny.

Matka i tak uważa mnie za dziwaka, bo nie chcę jeść nożem jej tłuczonych ziemniaków.

Katie przez długą chwilę patrzyła na Johna w milczeniu. Pomyślała, że jego opowieść można

wyjaśnić na kilka sposobów. Po pierwsze, po prostu próbował skupić na sobie jej uwagę, ponieważ ją

polubił, i wymyślił taki właśnie sposób. Po drugie, nie zobaczył nic nadzwyczajnego, po prostu słońce

zachodziło we wczesnowieczornej mgle. Po trzecie, miał przywidzenia spowodowane izolacją, depre-

sją i stresem.

- No i co o tym sądzisz? - zapytała.

- Nie wiem, co myśleć. Może to była halucynacja albo złudzenie optyczne?

- Jednak wcale tak nie uważasz.

- Nie. Patrzyłem na to zjawisko zbyt długo. Było zbyt, jak to powiedzieć, wyraźne. Z pewnością nie miałem do czynienia z grą światła ani z dymem czy czymś takim.

- Czy na pewno ta osoba nie mogła niepostrzeżenie położyć się między bruzdami w taki sposób, żebyś jej nie zauważył?

- Już ci mówiłem, ona się nie przewróciła, nie zapadła pod ziemię ani nic z tych rzeczy. Po prostu zniknęła, jakby wyparowała.

Katie znów długo myślała. Wreszcie odezwała się:

- Mogę ci coś pokazać?

- Jasne. Jeśli to pomoże wyjaśnić moje „widzenie”.

Podeszła do drzwi wejściowych i w tej samej chwili rozległ się sygnał dzwonka. Otworzyła drzwi. W progu stał młody mężczyzna w niebieskim kombinezonie uwalanym smarem, z napisem „Maxol” widocznym na kieszeni na piersi. Miał kręcone, jasne włosy, brudny czubek nosa i bez wątpienia był synem Patricka Logana.

- Pani nadinspektor Maguire? Nazywam się Declan Logan. Zatelefonował do mnie ojciec i powiedział, że bym zajął się pani samochodem.

- Wspaniale. Dziękuję, że przyjechałeś. Nie mam pojęcia, co się z nim stało, wiem jedynie, że

mój mąż nie potrafił go uruchomić.

- Ojciec powiedział mi, że pani mąż jest w szpitalu. Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Dziękuję. Tutaj są kluczyki.

Katie wyszła na zewnątrz, a za nią Sierżant, który natychmiast zaczął obwąchiwać brudne spodnie Declana. Przed frontową bramą parkował jaskrawożółty transit z wypisanym z boku dużym czerwonym napisem DECLAN LOGAN AUTO DOKTOR. Katie podeszła do swojego samochodu i wyjęła kopertę z wizerunkiem Morrigain, który podarował jej Gerard.

- Przestań, Sierżant! - zawołała. - Jesteś nieznośny.

- Wręcz przeciwnie - powiedział Declan, delikatnie klepiąc Sierżanta po karku. - Bardzo lubię psy.

Katie wróciła do salonu.

- Chcesz jeszcze piwa? — zapytała Johna.

- Wystarczy, dziękuję. Właściciel farmy musi być czujny, zawsze w pogotowiu. Tym bardziej kiedy, tak jak mnie, zagraża mu szaleństwo.

- Popatrz - powiedziała Katie i wysunęła z koperty portret Morrigain. - Czy przypomina kobietę, którą widziałeś?

John przez chwilę uważnie przyglądał się rysunkowi, po czym pokiwał głową.

- To może być ona. Oczywiście tamtej na polu nie widziałem tak wyraźnie, ale owszem, widzę ogromne podobieństwo.

Zwrócił kartkę Katie. Z zewnątrz dotarł do nich odgłos rozrusznika pajero Paula, to Declan próbował włączyć silnik. Katie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle powietrze w salonie jakby się zagęściło, niczym w samolocie na dużej wysokości. Rozległ się odgłos, jakby coś zaskrzy-piało, i Katie natychmiast zrozumiała, co się wydarzyło. Rzuciła się przez sofę i pociągnęła Johna na dywan. W tym samym momencie wypadły szyby w oknach. Firany uniosły się i na pokój poleciały

drobne, błyszczące odłamki szkła.

Zaraz też do salonu dostały się kłęby czarnego dymu, ograniczając widoczność niemal do zera.

W powietrze uniosło się pierze z poduszek, także płonące kawałki opon.

John spróbował usiąść.

- Co to było, do diabła? - powiedział mocno zdziwiony. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że jest głuchy i nie słyszy własnych słów.

- Bomba! - krzyknęła do niego Katie. - Nie podnoś się, nie ruszaj! Może być ich więcej.

- Bomba? Nie wiedziałem, że takie rzeczy dzieją się na południu!

- Nie ruszaj się!

Wstała. Dym powoli rzednął, przez otwór po oknie zobaczyła płonące na środku podjazdu pajero Paula. Furgonetka Declana stała obok, połączona z nim przewodami elektrycznymi. Dach pajero przybrał kształt dziwnego znaku zapytania. Drzwi od strony kierowcy leżały w trawie pomiędzy płotem a podjazdem. Obok nich leżał Declan. Jego ręka wciąż ścisnęła klamkę. Katie ujrzała krew.

Odepchnęła przewrócony fotel i wybiegła na dwór. John ruszył za nią. W powietrzu unosił się zapach mokrych wawrzynów i semteksu.

- Mówiłam ci, żebyś się nie ruszał - warknęła Katie.

- Popatrz na niego. Ten facet potrzebuje lekarza, i to natychmiast.

Katie zatelefonowała na Anglesea Street, a także po pogotowie, strażaków i jednostkę saperów.

Zażądała natychmiastowego przybycia Liama Fennessy'ego, Jimmy'ego O'Rourke i co najmniej ośmiu dodatkowych gwardzistów, choćby trzeba ich było odrywać od innych zadań.

- Trzymaj się z daleka od samochodu - ostrzegła Johna, jednak on wcale nie zamierzał jej słuchać. Przebiegł przez trawnik, w kilku miejscach całkowicie wypalony, i ukląkł obok Declana.

Declan trząsł się jak człowiek w ataku epilepsji. Jego włosy były szare jak popiół i sterczały

pionowo. Twarz miał niemal czarną, a kiedy John uniósł jego głowę, prawe oko wypłynęło i zatrzymało się na policzku. Nie miał lewej ręki, a z zakrwawionych strzępów rękawa wystawała kość

ramieniowa. Lewa noga została oderwana tuż nad kolanem. Katie ujrzała ją na środku drogi, z wciąż starannie zawiązanym adidasem na stopie.

Z tętnicy udowej Declana tryskała krew i wsiąkała w ziemię. John szybko wysunął pasek ze spodni i przewiązał go wokół jego uda. Zacisnął pasek tak mocno, że krew niemal natychmiast przestała wypływać.

- Daj mi ręcznik - powiedział do Katie. - Musimy powstrzymać krwawienie z ramienia. Znajdź koce, musi mu być ciepło. Jest w szoku.

Katie wbiegła do domu i zerwała koce z łóżka. Kiedy wróciła, John był półnagi, swoich ubrań użył do zatamowania krwi wypływającej z miejsca po oderwanej ręce Declana. Deszcz spływał mu po

włosach na obnażone, muskularne ramiona.

- Masz - powiedziała Katie i podała mu dwa ręczniki kąpielowe. Następnie przykryła Declana kocami i przyklękła nad nim, żeby deszcz nie kapał na jego okaleczoną twarz. Z jednostajnym sykiem płonęły opony pajero, a dym z palonej gumy szczypał w oczy i drażnił gardło.

- Kiedy przyjedzie ambulans? — zapytał John.

- Zwykle są bardzo szybcy. Zależy jednak, skąd jadą,

- Nie przeżyje, jeśli nie opanujemy szoku.

- Gdyby nie ty, już byłby martwy.

- Praktykowałem dwa lata w San Francisco General Hospital. Chciałem być lekarzem.

Czekali jeszcze przez dziesięć długich minut, zanim wreszcie usłyszeli sygnał ambulansu, dobiegający od Fota Is-land. Zanim do nich dojechał, usłyszeli także syreny samochodów policyjnych,

przynajmniej pięciu lub sześciu, oraz wozu strażackiego.

Katie popatrzyła na Johna przez zasłonę deszczu. Declan wciąż drżał, od czasu do czasu wydając urywane westchnienia, jakby się czemuś dziwił. Wreszcie ambulans nadjechał. Wskoczył z niego młody sanitariusz, rozejrzał się, położył dłoń na ramieniu Katie i powiedział:

- Niech pani go już zostawi. Zajmiemy się nim. Jakiś gwardzista podał jej rękę i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ona także drży.

Dopiero po godzinie do zniszczonego salonu wszedł Jimmy O'Rourke, strząsając krople deszczu z płaszcza.

- Wszystko sprawdziliśmy. Garaż, altanę i tak dalej. Także cały dom. Więcej bomb tu nie ma.

- Czy wygląda to na robotę Dave'a MacSweeny'ego?

- Cóż, powiedzmy, że nie wykonano jej zbyt profesjonalnie. Chłopcy od materiałów

wybuchowych mówią, że ktoś podłączył do startera pół funta semteksu, jednak połączenie nie

zadziało. Dopiero kiedy pojawił się Declan ze swoim warsztatem, prąd był wystarczająco silny, żeby

nastąpiła eksplozja.

- Boże, jak ja to powiem Patrickowi? Jimmy położył dłoń na jej ramieniu.

- Zrobię to, jeśli chcesz. Znamy się z Patrickiem od bardzo dawna.

- Nie, to mój obowiązek. Poza tym to ja poprosiłam Declana, żeby obejrzał samochód Paula.

Powinłam się domyślić, że musi istnieć jakiś powód, dla którego nie można go uruchomić. Teraz już wiem, co Dave MacSweeny robił tu wczoraj. Wcale nie zamierzał jechać za nami. Przecież nie mógł wiedzieć, że przyjadę, żeby podwieźć Paula. Drań kręcił się tutaj, żeby osobiście zobaczyć, jak wybucha bomba.

- A kiedy nie wybuchła, stracił cierpliwość i wepchnął was do rzeki.

- To chyba najbardziej prawdopodobny scenariusz, prawda? Szkoda, że Dave MacSweeny nie powie już nam, czy właśnie tak było.

Jimmy popatrzył na Johna, który ubrany był w jedną z koszul Paula i gruby brązowy sweter.

- John, sanitariusze poprosili mnie, żebym ci powiedział, że najprawdopodobniej uratowałeś Declanowi życie. Jest w stanie krytycznym, ale raczej z tego wyjdzie.

- John studiował medycynę w San Francisco - wyjaśniła Katie.

- A więc Bóg czuwał nad Declanem.

- Porzuciłem medycynę po dwóch latach. Nie byłem do tego stworzony. Te okropne widoki krwi i rannych ludzi potrafią dopaść człowieka w środku nocy. Zainteresowałem się medycyną alternatywną. Aromaterapią, refleksologią, leczeniem ziołami i tym podobnymi rzeczami.

- Czarami? - zapytał Jimmy, wykonując gest, jakby mieszał łyżką w jakimś naczyniu. - Oko ropuchy, jądra nietoperza...

John posłał mu w milczeniu krzywy uśmiech.

Do pokoju wszedł Liam.

- Katie? Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

- Oczywiście.

- Na zewnątrz, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Muszę ci coś pokazać.

Katie ruszyła za nim do ogrodu. Spalony wrak pajero wciąż dymił, ogień był już jednak ugaszony. Technicy uważnie oglądali mechanizm zapłonu, fotografowie wykonywali zdjęcia spalonych fragmentów samochodu. Trzech saperów od Collinsa Barracksa stało obok, w milczeniu paląc papierosy i przytupując z zimna. Liam poprowadził Katie do rogu, gdzie rosły krzaki wawrzynu.

- Początkowo go nie zauważyliśmy. Mam nadzieję, że się nie rozkleisz.

- O co chodzi? - zapytała Katie. W głosie Liama było coś takiego, że przebiegł jej po plecach zimny dreszcz.

Liam odgarnął gałęzie jednego z zewnętrznych krzewów i powiedział:

- Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

W pierwszej chwili Katie nie wiedziała, na co patrzy. Z gałęzi jednej spośród srebrzystych brzóz rosnących za wawrzynami zwiślały czerwone i żółte liny. Odbiegały od nich cieńsze sznurki przytrzymujące duże, lśniące bordowe bryły otoczone białymi pęcherzykami. Dopiero kiedy na szczycie tej plataniny ujrzała głowę Sierzanta i jedną z jego łap zwisającą pomiędzy „sznurkami”,

zdała sobie sprawę, że spogląda na rozerwane na strzępy ciało swojego psa.

- Mój Boże - jęknęła. Odwróciła się i na sztywnych nogach odeszła w kierunku podjazdu. Liam puścił gałęzie krzewu. Ruszył za Katie i po chwili stanął obok niej.

- Przykro mi - powtórzył.

- To nie twoja wina. - Katie z trudem rozpoznawała własny głos. Odniosła wrażenie, że to mówi ktoś inny, ktoś, kto znajduje się na skraju kompletnego załamania. - Powinnam była przestrzegać procedur bezpieczeństwa.

- To nie ma nic wspólnego z procedurami. Od ilu lat miałaś Sierzanta?

- Od ośmiu - odparła i odchrząknęła. - Miał osiem lat. Miała ochotę wyjść za bramę, a potem iść, iść i już nigdy nie obejrzeć się za siebie, wiedziała jednak, że nie może. Musiała przebyć swoją drogę do samego końca, chociażby po to, żeby znaleźć odkupienie za to, co wydarzyło się dzisiaj.

- Weź wolne na resztę dnia - powiedział Liam. - Zrobię wszystko, co miałaś na dzisiaj zaplanowane.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Zresztą, za dużo tego wszystkiego. Muszę znowu przesłuchać Tómasa Ó Conailla.

- Gdyby coś takiego mnie się przydarzyło, kazałabyś mi dać sobie spokój z pracą na dzisiaj.

- Jestem zbyt zajęta, Liam. Wezmę trochę wolnego, kiedy Tómas Ó Conaill zostanie skazany.

- Popatrz na siebie, jesteś blada jak trup. Nawet usta masz białe.

- W takim razie nałożę trochę szminki.

Wróciła do domu, a Liam wszedł zaraz za nią. Usiadła na sofie z dłonią przyciśniętą do ust, z oczyma lśniącymi od łez.

John zmarszczył czoło i zapytał Liama:

- Co jeszcze się stało?

- Wybuch zabił jej psa - odparł Liam. - Właśnie go znaleźliśmy. Napijesz się czegoś? - zwrócił

się do Katie. -Może koniaku?

- Dziękuję. - Pociągnęła nosem, a John podał jej pudełko z chusteczkami higienicznymi.

- Nie wiedział, co się z nim dzieje. Moment i było po wszystkim. Nie cierpiał.

- Tak, wiem. Ale był takim wesołym, wspaniałym przyjacielem. Nie zasłużył na taką śmierć.

- Na pewno nic nie wypijesz?

- Jeśli zacznę pić, nie wrócę już dzisiaj do pracy.

- Przeżyłaś szok - powiedział John. - Resztę dnia powinnaś wykorzystać na odpoczynek i

zapanowanie nad sobą. W San Francisco miałem sąsiada, którego pies wpadł pod samochód. Facet

potem w depresji przez całe miesiące.

Katie głęboko odetchnęła.

- Aleja nie mam czasu na depresję. Jakoś to przeżyję.

Czy dotarły ostatnie raporty techników z chaty, w której została zamordowana Fiona Kelly?

- Tak. Czekają od pół godziny. Jeszcze nie zagłębiłem się w szczegóły, ale wygląda na to, że

znaleźli bardzo mało odcisków palców. Z pewnością żaden z nich nie należy do Ó Conailla. Część

śladów obuwia, odcisniętych we krwi, pasuje do jego butów, z pewnością więc kłamał, kiedy mówił,

że nie wchodził do sypialni. Laboratorium twierdzi jednak, że wlaź tylko w zakrzepłą krew. Są inne

ślady, które powstały, kiedy krew była świeża, ale nie należą do niego

- Wciąż jestem przekonana, że Tomás Ó Conaill to morderca, a przynajmniej uczestniczył w tej

zbrodni - powiedziała Katie. - Ale wszystko wskazuje na to, że nie działał sam. A taki wniosek każe

mi się podwójnie martwić o Siobhan Buckley.

- Niestety, nie mamy o niej żadnych wiadomości.

Zadzwoił telefon komórkowy Johna. Wyszedł na zewnątrz i przez chwilę rozmawiał. Kiedy

wrócił, odezwał się do Katie:

- Czy mogę już jechać? Właśnie dowiedziałem się od Gabe'a, że jedna z moich krów rodzi.

Jeśli będziesz chciała ze mną porozmawiać, zjawię się w komisariacie.

- W porządku. Będę potrzebowała twojego zeznania w sprawie dzisiejszej eksplozji, ale z tym nie ma pośpiechu.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego psa - powiedział John. - Naprawdę szczerze mi go żal.

Katie towarzyszyła mu do land-rovera. Siła wybuchu roztrzaskała boczną szybę po stronie kierowcy, a dwa odłamki przebiły karoserię, o włos omijając bak z benzyną.

- I nici z mojej zniżki za bezwypadkowość - zauważył.

- Co do tej sylwetki, którą widziałeś przy Iollan's Wood... - zaczęła.

- Może miałem halucynacje?

- Powiedz mi tylko, czy wierzysz w takie rzeczy? Duchy, czarownice i zjawy?

- Nie wiem. Mogę ci opowiadać jedynie o tym, co naprawdę widziałem. Ale mnóstwo ludzi w Irlandii twierdzi, że widziało różne zjawy, prawda? Oglądałaś ten program telewizyjny o złych duchach? Ktoś przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ma włączoną kamerę wideo, skierowaną na magiczne drzewo w County Laois. Ma nadzieję, że kiedyś nagra mieszkające w nim duszki.

- Czego byś zażądał, gdybyś wywołał Morrigain?

- Ja? Pewnie kilku milionów dolarów, tak jak większość normalnych ludzi. No i długich wakacji w jakimś ciepłym i słonecznym miejscu. Aha, i przy okazji towarzystwa pięknej i inteligentnej kobiety.

Tómas Ó Conaill był niezwykle spokojny i opanowany. Katie odniosła wrażenie, że jest równie posepny jak ciemne popołudnie przed burzą z piorunami. Ubrany był w wyblakłą czarną dzinsową koszulę rozpiętą na piersiach, dzięki czemu można było dostrzec celtycki łańcuch wytatuowany wokół jego szyi i gęste czarne włosy na bladej klatce piersiowej. W lewej ręce trzymał paczkę playersów bez filtra i bawił się nią, co chwilę ją podrzucając. Denerwował tym Katie i miała ochotę mu ją odebrać. Wiedziała jednak, że chodzi mu właśnie o to, żeby straciła panowanie nad sobą i zabrała mu papierosy, nie zrobiła więc tego.

Cuchnął kwaśnym męskim potem i czosnkiem. Tego popołudnia przydzielono mu nowego adwokata, ugrzecznionego, siwowłosego faceta w lśniącym szarym garniturze. Pracował w firmie prawniczej Coughlan Fitzgerald & O'Regan, jednej z najbardziej wziętych na South Mali. Zanim Katie zdążyła otworzyć usta, adwokat przedstawił się jako Michael Kidney, a później co chwilę przeszkadzał jej w przesłuchaniu.

- Tómas - powiedziała Katie - w sypialni natrafiliśmy na kilka śladów butów, odcisniętych we krwi. Nasi technicy zidentyfikowali je jako należące do ciebie.

- Pewnie więc przespacerowałem się po tej sypialni, co?

- Przespacerowałeś się? Ty nie tylko po niej spacerowałeś. Uwięziłeś w niej Fionę Kelly i zamordowałeś ją, prawda?

Michael Kidney uniósł do góry rękę z drogim długopisem.

- Muszę pani przerwać, pani nadinspektor. Mój klient przyznał, że być może przypadkiem znalazł się w sypialni, ale po całym zdarzeniu, długo po tym, jak ją opuścił morderca. Rzecz jasna, był całkowicie nieświadomy tego, co się w niej wydarzyło.

- W sypialni było pełno krwi. Tylko półgłówki nie zorientowały się, co tam zaszło.
 - Bycie półgłówkiem, o ile mi wiadomo, nie jest przestępstwem. Gdyby było, połowa męskiej populacji Irlandii marniałaby za kratkami.
 - Tomás - powiedziała Katie, pochylając się nad stołem. - Tomás, posłuchaj mnie. Uważam, że wiesz, co się stało z Fioną, gotowa jestem jednak uwierzyć, że nie działałeś w tej sprawie sam. Miałeś
- wspólnika, prawda? Możesz wiedzieć wszystko o rytuale mającym na celu wywołanie Morrigan, jednak był z tobą ktoś, kto zamordował Fionę, zgadza się? Masz złą reputację, Tomás, ale mordowanie ludzi to nie twoja działka.
- Przysięgam na Biblię, że nigdy nikogo nie zamordowałem i że nigdy nikomu nie pomagałem w morderstwie.
 - Przysięgałeś już, że nie wszedłeś do tej sypialni, a jednak w niej byłeś.
 - Być może, tak. Ale nikogo tam nie było i powtarzam, nigdy nikogo nie zamordowałem.

Przysięgam.

- Jak się nazywa twój przyjaciel?

- Co?

Michael Kidney natychmiast uniósł rękę.

- Pani nadinspektor, mój klient jest niewinny i nie musi nikogo mieszać do sprawy w celu udowodnienia tego. To pani powinna wskazać, kto popełnił to morderstwo, a nie on.

- Po prostu zapytałam go o nazwisko przyjaciela. Tego, który naprawdę zamordował Fionę.

Tomás energicznie potrząsnął długimi, brudnymi włosami.

- Niczego złego nie zrobiłem, mówię prawdę, Katie. Nikogo nie zamordowałem i nie mam przyjaciela-mordercy.

Michael Kidney wyprostował się, zdjął okulary i zaczął czyścić szkła końcem krawata.

- Odnoszę wrażenie, że jesteśmy w impasie, pani nad-inspektor. I muszę powiedzieć, że

dysponuje pani tylko poszlakowymi dowodami przeciwko mojemu klientowi.

- Poszlakowymi? Możemy udowodnić, że Tomás prowadził samochód, którym przewieziono ciało zamordowanej do Knocknadeenly. Możemy też udowodnić, że przebywał w pokoju, w którym ją zamordowano.

- Ale nie wtedy, kiedy ją zamordowano. Nie może pani udowodnić, że popełnił morderstwo, nie może pani nawet wskazać wiarygodnego motywu tej zbrodni. Te wszystkie opowieści o wrózkach

i czarownicach... Chyba nie chce pani oskarżyć mojego klienta o uprawianie czarnej magii?

- Mamy dość dowodów, żeby wnieść przeciwko Tomásowi oskarżenie, nawet nie znając motywu, który skłonił go do popełnienia morderstwa. W tej chwili daję mu możliwość poprawienia swojej sytuacji poprzez podjęcie współpracy.

Michael Kidney odpowiedział jej po dłuższej chwili.

- Słyszałem, że straciła pani dzisiaj psa. Chcę powiedzieć, że bardzo pani współczujemy.

Wszyscy w firmie Coughlana Fitzgeralda.

Katie nieświadomie głęboko odetchnęła.

- Dziękuję panu - powiedziała. Następnie znów odwróciła się do Tomásza Ó Conailla. W jego spojrzeniu wyczytała, że wyczuł jej cierpienie.

- Sam lubię psy, Katie - odezwał się łagodnym, wręcz słodkim głosem. - Miałem kiedyś wielkiego czarnego labradora. Zdechł. Czuję się tak, jakbym stracił przyjaciela.

Katie nie podjęła tematu.

- Dwa dni temu z Summerhill porwana została młoda studentka sztuk pięknych o nazwisku Siobhan Buckley. Do tej pory jej nie znaleźliśmy. Pewien świadek opowiedział, że widział, jak skorzystała z okazji i wsiadła do przypadkowego samochodu, podobnie jak Fiona Kelly. Jeśli wiesz coś na ten temat, jeśli miałeś współnika, porywając Fionę Kelly, muszę wiedzieć, Tomás, kto to

jest, i muszę go dopaść, i to bardzo szybko. Jeśli wiesz, gdzie jest Siobhan, a stanie się jej coś złego, klnę się na Boga, że resztę życia spędzisz w więzieniu.

Tómas wyjął papierosa i zapalił, po czym wydmuchnął kłęb dymu.

- Już ci mówiłem, Katie. Nie miałem współnika i o niczym nie mam pojęcia. Jeśli to miałyby ci jednak w czymś pomóc, powiem ci, że...

- Tómas - ostrzegł go adwokat.

- Nie, Michael, nie zrobiłem nic złego i jeśli pomoże to Katie w jej śledztwie, dlaczego mam milczeć? Powiem jej o tym teraz. Wybacz mi, najdroższa Katie, bo zgrzeszyłem. Nie znalazłem mercedesa tam, gdzie powiedziałem, że go znalazłem. Natrafiłem na niego na podjeździe w starym ogrodzie. Nikogo nie było w pobliżu, kluczyki tkwiły w stacyjce i z własnej nieprzymuszonej woli wyznaję ci, że przyszło mi do głowy, żeby go ukraść. Ale go nie ukradłem, bo zjawiałaś się ty, niczym najkoszmarniejsza z koszmarnych zjaw. Zdażyłem rozejrzeć się po chacie i doszedłem do wniosku, że musiało się w niej rozegrać coś strasznego. Postanowiłem stamtąd jak najszybciej odejść, ale wtedy usłyszałem słowa „uzbrojony gwardzista” i było po mnie.

Jeśli ta sprawa ma jakiś związek z wywoływaniem Morrigain, pozwól, że coś ci powiem, jeśli do tej pory nie dowiedziałaś się o tym. Morrigain może wezwać tylko czarownica, jeśli więc Fionę Kelly porwał i zamordował mężczyzna chcący przywołać Morrigain, zgadłaś, że nie mógł działać sam. Musiał współpracować z kobietą.

- Mój klient tego nie powiedział - wtrącił ostro Michael Kidney. - Jego słów w żadnym wypadku nie można potraktować jako wypowiedzianych podczas przesłuchania,

- Przymknij pan dziób, panie Kidney - powiedział Tómas O Conaill spokojnie. - Właśnie próbuję pomóc Katie w znalezieniu faceta, którego szuka. Kiedy go znajdzie, przekona się, że nie tknąłem palcem ani Fiony Kelly, ani nikogo innego.

- Uważasz więc, że powinnam szukać mężczyzny i kobiety, pracujących razem?

Tómas Ó Conaill w milczeniu uniósł w dwóch palcach papierosa i potaknął ruchem głowy.

Katie wstała.

- Panie Kidney, sądzę, że nad ranem jeszcze raz będę musiała porozmawiać z Tómasem Ó Conaillem - powiedziała.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo mi to pasuje.

- Niech więc pan się dopasuje albo przyśle kogoś innego.

- W porządku, pani nadinspektor, po co ta zgryźliwość?

Gerard O'Brien zatelefonował do niej, kiedy wracała z Anglesea Street.

- Katie? Chyba musimy porozmawiać.

- Gerardzie, czy to nie może poczekać do jutra? Jadę właśnie do szpitala, żeby zobaczyć Paula.

- Przez całe popołudnie surfowałem po w Internecie. Chyba natrafiłem na coś interesującego.

Nie wiem dokładnie, co to oznacza, uważam jednak, że powinnaś się z tym zapoznać.

- Rozumiem - powiedziała. Trzymała kierownicę tylko jedną ręką. Skręciła w kierunku Sullivan's Quay. W wodzie odbijało się szare światło późnego popołudnia. - Słucham cię więc.

- Trudno opowiadać o tym przez telefon. Może spotkamy się później na kawie? Albo najlepiej na kolacji?

- Gerardzie, cieszy mnie twoje zaproszenie, jednak to śledztwo zabiera cały mój czas. Poza tym zważyło mi się na głowę kilka spraw i naprawdę...

Jakiś samochód zatrąbił na nią z tyłu i zorientowała się, że na skrzyżowaniu z George's Quay zabłysło zielone światło.

- Gerardzie - powiedziała. - Nie mogę teraz rozmawiać. Daj mi godzinę, oddzwonię do ciebie.

- Chodzi o uniwersytet! - krzyknął, ale zaraz jego głos znikł w trzasku zakłóceń.

Odrzuciła telefon komórkowy na siedzenie i pomachała przepaszająco kierowcy samochodu, który jechał za nią. Minęła katedrę świętego Finbarra i wkrótce była przed szpitalem. Na przednią

szybę pojazdu spadło kilka kropel deszczu. Szarość na dworze zaczęła zmieniać się w zmrok.

Nie mogła przestać rozmyślać o ostatnim przesłuchaniu Tómasa Ó Conailla. Wszystkie poszlaki wskazywały na to, że przynajmniej brał udział w zamordowaniu Fiony Kelly, jeżeli nie zabił jej osobiście. Jeśli jednak powiedział prawdę i legenda o Morrighain naprawdę mówi, że tylko kobieta może wywołać czarownicę z Niewidzialnego Królestwa? Jaka kobieta wchodziła w grę?

Przychodziła jej do głowy tylko matka Johna Meaghera, pokaszująca i krążąca w domu pomiędzy pokojami. Trudno było sądzić, że sam John zdolny jest kogoś zabić, nawet przygnębiony, samotny i w tarapatach finansowych. Jeśli jednak jego matka znała rytuał i wiedziała o szkieletach zakopanych pod spizarnią, wiedziała też, jak dokończyć ofiarę, według jakiego klucza dodać dwie kolejne kobiety do jedenastu i przywołać Morrighain.

Johnowi wydawało się, że widział zjawę przy Iollan's Wood, ponurą postać, którą mogła być Morrighain. Znajdował się w takim stanie psychicznym, że jego matka potrafiłaby przekonać go o tym, podczas gdy tak naprawdę widział jedynie wieczorną mgłę, dym albo promienie słońca znikającego za drzewami.

Katie postanowiła, że jutro rano znów pojedzie na Me-agher's Farm i porozmawia z Johnem oraz jego matką. Osobno, żeby sprawdzić, czy w ich zeznaniach nie będzie jakichś niezgodności. W końcu rytuał mógł mieć także podłoże emocjonalne: oto matka wywiera wpływ na ulubionego syna, chcąc podarować mu siłę, jaka nigdy nie była mu dana.

Do poczekalni wszedł doktor O'Keeney. Był wysokim, postawnym mężczyzną, miał wytrzeszczone oczy, przywodzące na myśl Bustera Keatona, wymachiwał rękami w sposób tak nieskoordynowany, jakby nie należały do niego.

- Mamy już wyniki badań Paula, Katie. Muszę ci szczerze powiedzieć, że nie napawają mnie optymizmem.

Katie zastygła w oczekiwaniu. Miała właśnie wstać z krzesła, jednak nie zrobiła tego, a jedynie

wyprostowała plecy. Doktor O'Keeney miał dużą brodawkę po lewej stronie nosa. Zawsze zastanawiała się, dlaczego ludzie, szczególnie lekarze, nie usuwają sobie takich narośli.

- Mózg Paula pozbawiony był tlenu tak długo, że zaszły w nim nieodwracalne zmiany. Nie zagrażają one jego życiu, jednak prawdopodobieństwo, że odzyska przytomność, jest bardzo małe.

Najprawdopodobniej do końca życia pozostanie w stanie wegetatywnym, tak jak teraz.

- Nie obudzi się? Nigdy? Doktor O'Keeney potrząsnął głową.

- Nie wiem, co się dzieje w jego głowie, jakie po niej krążą myśli, jakie sny. Nie sądzę jednak, by były gorsze od tego, czemu musiałby stawić czoło, wyszedłszy ze śpiączki i próbując zacząć żyć od

nowa. Nie potrafiłby mówić, samodzielnie jeść, świadomie się wypróżniać, ale przez cały czas byłby

tego świadom.

- Co mam robić?

- Obawiam się, że nic nie możesz zrobić. Mam tutaj kilka innych przypadków śpiączki. Bliscy wysiadują przy swoich ukochanych, codziennie z nimi rozmawiają i grają im ulubioną muzykę. Gdy ktoś z takiego stanu wychodzi, bardzo to nagłaśniamy, doświadczenie podpowiada mi jednak, że są to bardzo rzadkie przypadki. Musisz pogodzić się z czymś bardzo smutnym, Katie. Paul, jakiego znałaś, nie żyje, zmarł na tylnym siedzeniu twojego samochodu.

- Odbiera jakieś bodźce?

- Nie. Możesz być tego pewna.

- Skąd ta pewność? Przed chwilą powiedziałaś, że nie masz pojęcia, jakie myśli krążą po jego głowie.

- Katie, jeśli Bóg nie sprawi cudu, straciłaś Paula na zawsze. Bardzo mi przykro.

Sama weszła do pokoju, w którym leżał Paul, i stanęła obok niego. Sprawiał wrażenie śpiącego, spokojnego, jakby po prostu wypoczywał po długim dniu zawierania zakładów na wyścigach konnych

w Fairyhouse i po wypiciu zbyt wielu butelek guinnessa. W szpitalnej sali Katie zrozumiała, że jej życie zmieniło się na zawsze. Marzenia, które nosiła w sobie, kiedy była młoda, już nigdy się nie spełnią. Wydało się jej, że jej marzenia są klątwą niszczącą każdego, kto się z nią zetknie, nawet psa. Nie pocałowała Paula, nie potrafiła. Odeszła od niego, wyszła ze szpitala i od razu skierowała się na parking. Znowu padał deszcz, drogę do samochodu przebyła biegiem. Włączyła silnik, ale po chwili go wyłączyła. Chwyliła za telefon komórkowy i zadzwoniła do „Jury's Inn”.

- Lucy? Lucy, tu Katie Maguire. Możemy się spotkać?

Kiedy zjeżdżała ze skrzyżowania Victoria Cross, jakaś ciężarówka, ruszywszy spod pubu „The Crow's Nest”, przejechała na czerwonym świetle i uderzyła w bok auta po jej stronie. Ciężarówka nie

jechała szybko, odgłos uderzenia był jednak przerażająco głośny, a samochód Katie stanął w poprzek szosy i został jeszcze raz uderzony przez taksówkę nadjeżdżającą z przeciwnika.

Wysiadła i zaraz poczuła duże krople deszczu. Ciężarówka szepiła się z jej samochodem i kiedy kierowca spróbował cofnąć, rozległ się nieprzyjemny zgrzyt dartej blachy i trzask pękającego plastiku.

Katie postawiła kołnierz, obeszła ciężarówkę i stanąwszy przy drzwiach kierowcy, pokazała legitymację.

- Cholera jasna - westchnął kierowca. Był młodym człowiekiem o głowie ogolonej na zero.

Miał kolczyki w uszach, był ubrany w skórzaną kurtkę ozdobioną pomarańczowymi paskami odbłaskowymi.

- Nie zatrzymał się pan na czerwonym świetle - powiedziała Katie. - Poproszę o pańskie nazwisko, adres i nazwę firmy ubezpieczeniowej.

- Przepraszam, ale moja dziewczyna właśnie urodziła i spieszę się do domu.

- Nie obchodzi mnie, dlaczego pan się spieszy. Jechał pan tak, że mógł pan kogoś zabić.

Zadzwoiła na Anglesea Street, do wydziału ruchu drogowego, po czym nakazała kierowcy ciężarówki, żeby zjechał na pobocze. Jej własny samochód wciąż był zdolny do jazdy, chociaż opona tarła głośno o zgnieciony błotnik. Zanim na miejsce przyjechał radiowóz, powstał korek długości dwóch kilometrów, a Katie przemokła do suchej nitki i drżała z zimna.

- To nie jest pani najlepszy tydzień, pani nadinspektor - powiedział gwardzista Niel O'Gorman, wysiadając z wozu i wkładając czapkę.

Lucy czekała na nią w barze, przy stoliku pod oknem. Pisała coś na laptopie. Ubrana była w obszerny biały sweter i czarne skórzane spodnie.

- Mój Boże! - zawołała, ujrzawszy Katie. - Co się stało?

- Miałam stłuczkę, to wszystko. Nikomu nic się nie stało, nie ma o czym mówić.

- Jesteś cała mokra. Napijesz się czegoś?

- Wciąż jestem na służbie, ale kawa dobrze mi robi. Usiadła. Przez okno widziała Western Road i połyskującą czarną rzekę przepływającą nieopodal.

- Nad czym pracujesz? - zapytała, wskazując głową na laptopa Lucy. — Masz jakieś nowe wiadomości na temat Morrigain?

- Co nieco - odparła Lucy. - Pojechałam dziś rano do Knockadeenly i obejrzałam sobie to miejsce pod lasem. Bez wątplenia w czasach druidów mogło ono mieć magiczne znaczenie. Celtyckie znaki wyryte w kamieniach znajdują się w Ballynahima na południu, w Tullig na zachodzie, w grocie Rathfilode na wschodzie i na megalitycznym grobie w Kilgallan, na północy. Jeśli pociągniesz linie łączące te miejsca, skrzyżują się one właśnie w Knockadeenly, z dokładnością niemal do jednego metra. Poza tym jest jeszcze Iollan's Wood: naturalna brama prowadząca do Niewidzialnego Królestwa.

Katie starała się słuchać, jednak głos Lucy docierał do

niej jak słabe echo. Czuła się, jakby nie było jej w tym barze, jakby patrzyła na Lucy tylko przez otwory na oczy wycięte w jakiejś masce.

- Znalazłam dwa wczesne wiersze lokalnych poetów, wymieniające Morrigain i

Knockadeenly. Jeden z nich mówi o „szalonym tańcu śmierci trzynastu kobiet na Wzgórzu Szarych Ludzi”, wspomina także „kobietę o rozwianych włosach, która pochodzi z kraju leżącego poza światem”. - Zawahała się i zapytała: - Katie, nic ci nie jest? Wyglądasz bardzo blado.

- Czuję się doskonale. Chyba trochę przemarzłam. I jestem zmęczona. Dziś po południu

otrzymałam złe wiadomości o Paulu.

Lucy ścisnęła jej dłoń.

- Opowiedz mi - poprosiła.

- Wygląda na to, że on nigdy... - urwała i wykrzywiła usta. Nie mogła się zmusić, by wypowiedzieć następne słowa.

- Nie spiesz się. Wygląda na to, że co?

- Lekarz powiedział, że... - Machnęła ręką, próbując zebrać się w sobie, wyjaśnić sobie w duchu, że tak musiało się to skończyć. Długo milczała i nagle po jej policzkach popłynęły łzy. Głośno załkała.

Nadszedł kelner z kawą, lecz Lucy odprawiła go.

- Daj spokój z kawą, ta pani jest zdenerwowana. Katie chodź, do mojego pokoju. Połóżysz się na chwilę. Trzęsiesz się jak liść na wietrze.

Lucy pomogła jej podnieść się z krzesła i wyprowadziła ją z baru. Katie nie protestowała. W tej chwili, po wszystkim, co się wydarzyło tego dnia, nie miała już sił się opierać. Ani duma, ani wrodzony upór, ani wyszkolenie w Templemore nie mogły ukoić jej bólu i żalu.

Podtrzymywana przez Lucy, dotarła pod drzwi jej pokoju na pierwszym piętrze. Pokój numer 223 urządzone skromnie, miał w sobie jednak pewne ciepło i bez wątpienia był wygodny. Miał beżowe ściany i podwójne łóżko przykryte narzutą w kolorze rdzy. Lucy zaciągnęła zasłony.

- Pozwól - powiedziała, pomagając Katie zdjąć prze-

moczony płaszcz. - Boże, nawet bluzkę masz mokrą. Przygotuję ci kąpiel, to cię rozgrzeje.

- Nie rób sobie kłopotu.

- A od czego są przyjaciele? To samo zrobiłabyś dla mnie, prawda?

- W porządku. Rzeczywiście, kąpiel by mi pomogła. Lucy przyniosła Katie biały płaszcz kąpielowy i puściła wodę do wanny. Katie usiadła na brzegu łóżka i powoli zaczęła się rozbierać.

Czuła się obolała, przemęczona i dezorientowana, jakby stoczyła się sześć piętér w dół po schodach i

na koniec uderzyła głową w betonową posadzkę.

- Mam nadzieję, że lubisz płyn do kąpieli Chanel numer 5! - zawołała Lucy z łazienki. -

Cudownie działa na skórę.

- Zwykle używam takiego, który akurat jest w promocji w Dunnes Stores.

- Gotowe - powiedziała Lucy, wychodząc z łazienki. - Wymocz się, wypocznij, a ja powieszę twoją bluzkę na wywietrzniku klimatyzacji.

Katie ostrożnie weszła do wanny i długą chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w ścianę przed sobą niewidzącym wzrokiem. Chciała oczyścić umysł ze wszystkiego. Pragnęła zapomnieć o ucieczce z tonącego samochodu. O Declanie, bez nogi, trzęsącym się na trawniku przed jej domem. O Sierzancie, koszmarze niczym z obrazu Salvadora Dalego. O Paulu i długiej podróży, jaką jeszcze będzie musiał odbyć, zanim zakończy życie. O małym Seamusie, zimnym jak lód.

- Wszystko w porządku? - zapytała Lucy.

- W porządku, tak, dziękuję. Woda wspaniale pachnie.

- Wiesz, co mówiła moja matka? Czasami człowiek musi przyznać przed sobą, że ma wszystkiego dosyć. Że nie da już rady, że nie ma siły zmagać się z przeciwnościami. Czasami trzeba się po prostu poddać.

Katie pokiwała głową, chociaż Lucy jej nie widziała. Wzięła z bocznej półki mały ręcznik do twarzy i wtedy zaczęła płakać. Atak płaczu dopadł ją tak niespodziewanie, że w pierwszej chwili nie uwierzyła, iż to ona płacze. Rozzłościła się na siebie. Ale w miarę jak narastała w niej złość, płakała coraz mocniej i głośniejsze, aż wreszcie się poddała. Zwiesiła głowę tak nisko, że ustami niemal dotykała

powierzchni wody.

Lucy delikatnie zapukała do drzwi.

- Katie? Nic ci nie jest?

Katie znów jedynie skinęła głową. Nie była w stanie mówić.

- Katie? Chyba nie płaczesz?

Lucy wahała się jeszcze przez chwilę, po czym otworzyła drzwi.

- Och, Katie - powiedziała. Uklękła przy wannie, podwinęła rękawy swetra i objęła Katie. -

Katie, biedactwo. Kochanie, wszyscy oczekują od ciebie, że zawsze będziesz taka stanowcza i silna, prawda? Zapominają, że przecież jesteś tylko człowiekiem, tak jak my wszyscy.

Pocałowała Katie w czoło, dwa razy, tak jak matka całuje płaczące dziecko. Po chwili odezwała się:

- Zrelaksuj się. Umyję ci głowę, a potem wymasuję plecy i poczujesz się dziesięć razy lepiej, obiecuję.

Katie siedziała w milczeniu, a tymczasem Lucy wzięła słuchawkę prysznicową i zaczęła moczyć jej włosy. Wprawnymi, energicznymi ruchami rozprowadziła szampon na włosach. Było to tak przyjemne, że Katie mimo woli zamknęła oczy.

- Zawsze myję włosy, kiedy jestem zmęczona, przygnębiona albo po prostu mam kaca - powiedziała Lucy. - A kiedy już je umyję, siadam sobie w fotelu i zjadam całą tabliczkę czekolady.

Skoro nikt inny nie chce mnie rozpieszczać, dlaczego nie mam rozpieszczać się sama?

Splukowała włosy Katie, po czym nałapała sobie na dłoń płynu do kąpieli i zaczęła rozprowadzać go po jej szyi i plecach.

- Cudownie - wyszeptała wreszcie Katie. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- Mój chłopak pracował w Gold's Gym. Nauczył mnie sztuki masażu, refleksologii i wielu innych rzeczy, które możesz wykorzystać, kiedy chcesz się odprężyć.

Przesuwając kciukami po plecach Katie, Lucy odnalazła na jej kręgosłupie wrażliwe punkty i sprawiła, że napięcie powoli zaczęło ją opuszczać.

- Nie przestawaj, proszę - powiedziała Katie.

- Byłaś naprawdę niesłuchanie spięta. Całe twoje ciało wciąż jest tak napięte jak sprężyna w zegarze.

- Wciąż się z nim spotykasz?

- Z kim?

- Z chłopakiem, który nauczył cię masować.

Lucy potrząsnęła głową.

- Niestety, nigdy nie miałam szczęścia do mężczyzn. Albo ich przerażam od samego początku, albo w miarę zacieśniania znajomości zaczynają widzieć we mnie zagrożenie. To chyba cena, jaką kobieta musi płacić za to, że jest wysoka i wykształcona.

- To chyba lepiej, niż być niską i despotyczną, tak jak ja.

- Twoja praca chyba wymaga trochę despotyzmu, prawda?

- Ale nie tego, żeby być wstrętną dla wszystkich. Lucy wciąż masowała jej szyję i górną część pleców.

Katie miała zamknięte oczy i niemal czuła, jak napięcie odpływa i rozpuszcza się w wodzie.

Lucy znowu wylała sobie na dłoń trochę płynu do kąpieli i niespodziewanie zaczęła masować jej piersi.

Matko Boska, co ona robi? - przemknęło przez myśl Katie. Otworzyła oczy i popatrzyła na

Lucy, ona jednak sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej, jakby to, co robiła, było naturalną częścią masażu. Posłała Katie przyjazny uśmiech i Katie pomyślała, że jeśli teraz odepchnie jej dłonie, wyjdzie na osobę pruderyjną. W końcu to był tylko masaż. Po prostu kobieta masowała kobietę i nawet jeśli Katie nie spodziewała się, że Lucy zacznie dotykać jej piersi, przecież nie miało to nic wspólnego z seksem.

Lucy delikatnie ścisnęła i pieściła jej piersi, śliskie od płynu do kąpieli. Wreszcie Katie

uspokoila się i ośmieliła się znów zamknąć oczy. Dotyk Lucy sprawiał jej przyjemność. W końcu

Lucy pochodziła z Kalifornii, a Amerykanki były o wiele bardziej oswojone z nagością niż tradycyjnie

wychowywane Irlandki. Boże, gdyby widziała mnie teraz siostra Brigid, pomyślała.

— Powinnaś robić to sama, przynajmniej raz w tygodniu — powiedziała Lucy. — Taki masaż wzmacnia piersi, stymuluje tkanki, no i pomaga w porę wykryć guzy.

Katie milczała. Masaż stopniowo ją podniecał, szczególnie w chwilach, kiedy Lucy delikatnie pociągała za jej brodawki i ścisnęła je pomiędzy palcami. Minęło mnóstwo czasu od dnia, kiedy ktoś dotykał jej z takim uczuciem. Pomyślała, że jeśli nie każe Lucy przestać, wkrótce przeżyje orgazm, wyłącznie po pieszczotach piersi.

— Dość tego, bo się zaziębisz — niespodziewanie powiedziała Lucy. Pocałowała Katie w czoło, po czym pomogła jej wyjść z wanny i owinąć się ręcznikiem.

Kiedy Katie była już sucha, Lucy nalęła im obu whisky. Położyły się obok siebie na łóżku i zaczęły rozmawiać. Katie podświadomie pragnęła, aby te chwile trwały wiecznie.

- Wiesz co? Na dobrą sprawę nigdy nie miałam bliskiej przyjaciółki - mówiła Lucy. - Pewnie dlatego, że rozmowy z kobietami strasznie mnie nudzą. Chciałyby tylko paplać o niegrzecznych dzieciach, karierach mężów pracujących w bankach albo o tym, jak zrobić wspaniałą pieczeń z indyka, który przeleżał zapomniany kilka miesięcy w zamrażalniku.

Katie uśmiechnęła się.

- A ja miałam w szkole kilka wspaniałych przyjaciółek. Teraz większość to mężatki, jedna ma nawet siódmkę dzieci. Inna jest nauczycielką w szkole specjalnej w Kil-kenny, kolejna śpiewa w chórze w Dublinie. Kilka zaszło w ciążę, kiedy tylko ukończyły szkołę, niektóre nie czekały nawet na to.

Po chwili milczenia Lucy odezwała się.

- Ten facet, Tomás O Conaill. Naprawdę uważasz, że zostanie skazany?

- Wiesz, cały czas o nim myślę. Mam bardzo mocne poszlaki, a on fatalną reputację, jednak coś mi tutaj nie pasuje. Powiedział mi, że Morigain może wezwać tylko czarownica, kobieta. Z kolei nasi świadkowie mówią, że Fionę Kelly bez wątpienia porwał mężczyzna. Doktor Reidy twierdzi, że żadna kobieta nie dysponuje siłą fizyczną, która była potrzebna do zabicia dziewczyny w taki sposób i jej rozcłódkowania. Poza tym czytałam akta FBI. Wynika z nich, że samotna kobieta staje się seryjnym mordercą niezwykle rzadko. No i w zasadzie nikt dotąd nie słyszał o kobiecie, która dokonałaby seryjnych zabójstw, powodowana wiarą w czary.
- Sądziś więc, że działa jakaś „spółka”?
- To całkiem możliwe. Tym bardziej że wciąż nie udało się nam znaleźć Siobhan Buckley, a Morigain wymaga jeszcze jednej ofiary, zanim zdecyduje się pojawić.
- Zaczynasz mówić, jakbyś w nią wierzyła.
- Po prostu próbuję rozumować jak nasz zabójca, to wszystko. Albo zabójcy. Oni wierzą, że Morigain istnieje, dlatego ja też muszę w to wierzyć.
- Masz jakieś podejrzenia, kim oni są?
- John Meagher powiedział mi dzisiaj, że widział Morigain. Albo jakąś inną postać stojącą na polu w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki Fiony Kelly.
- Żartujesz!
- Nie, przysięgam. Powiedział, że widział ją wyraźnie jak własną rękę.
- Pewnie miał halucynacje. Musiał być w szoku po tym, jak znalazł ciało Fiony w takim stanie...
- Być może. Jednak kiedy się nad wszystkim zastanowić, można dojść do wniosku, że John Meagher ma bardzo poważny motyw, żeby próbować przywołać kogoś takiego jak Morigain, ducha, który pomógłby mu rozwiązać wszystkie problemy. Nienawidzi pracy na farmie, stopniowo staje mu

przed oczyma widmo bankructwa. A jego matka... Cóż, pewnie nie jest czarownicą, ale bez wątpienia

wygląda jak czarownica. Mogła doskonale wiedzieć, że pod spizarnią zakopano szkielety. W końcu mieszka na tej farmie od dziewiętnastego roku życia.

- Masz jakieś poważne dowody na to, że Meagherowie są w to zamieszani?

- Żadnych. Przeszukaliśmy pola, budynki gospodarcze i dom. Sprawdziliśmy nawet podłogę w oborze.

- Spróbuj więc jakoś ich zmusić, żeby się przyznali. Jeżeli, oczywiście, są winni.

- Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Jeśli działają wspólnie, matka i syn, naprawdę trudno będzie przerwać znowę milczenia. Kilka lat temu miałam do czynienia z podobną sytuacją, tyle że chodziło o ojca i córkę. Ojciec przejechał traktorem głowę swojej żony, a córka przytrzymywała mat-

kę, żeby się nie wyrwała. Wiedziała, że to zrobili, a oni oboje wiedzieli, że ja wiem, jednak nie udało mi się wymusić na nich przyznania do winy i chodzą na wolności do dziś. Chryste, ostatnio spotkałam ich na zakupach w Roches.

- Może mogłabym ci pomóc - powiedziała Lucy, opierając się na łokciu. - W końcu wiem niemal wszystko, co można wiedzieć o Morigain. Wiem, jak ją wezwać na ten świat, wiem też, jakie rytuały trzeba przeprowadzić, żeby namówić ją, aby ci pomogła. Jeżeli obie porozmawiamy z Meagherami, cóż... Istnieje możliwość, że wspólnie zmusimy ich do odsłonięcia się, prawda? Katie potrzęsnęła głową.

- Chyba naoglądałaś się zbyt wielu seriali policyjnych.

- Akurat. Prawie nie oglądam telewizji. Odbyłam dwuletnie studia podyplomowe z psychologii biznesu na uniwersytecie w Santa Cruz. Uczono mnie, jak zadawać ludziom pytania, żeby szybciej odkrywali swe prawdziwe oblicze. Ambicje, przechwałki, kręctwa itp. wychodzą podczas takich rozmów. Ktokolwiek zabił Fionę Kelly, musiał być całkowicie przekonany, że pozostanie bezkarny, a

tacy właśnie ludzie są skłonni do popełniania błędów. Dlatego, że uważają wszystkich innych za głupców, sądzą, że inni ludzie do nich nie dorastają.

Katie zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

- W porządku. Wybierzmy się więc razem do Knock-nadeenly jutro rano. Powiedzmy o dziesiątej.

Lucy położyła dłoń na ramieniu Katie.

- Najważniejsze jest jednak to, czy już czujesz się lepiej.

- Tak. I to dzięki tobie.

- Co chcesz teraz robić?

Katie popatrzyła w jej oczy, szare jak rześisty deszcz. Pomyślała, że mogłaby ją nawet pokochać.

- Chyba pojedę do domu.

- Może zdrzemiesz się przez chwilkę? Jest dopiero siódma.

- Nie, muszę wracać.

Lucy pochyliła się nad nią i zaczęła bawić się jej włosami. Po chwili delikatnie głaskała opuszkami palców jej brwi i wargi.

- Zamknij oczy. To ci dobrze zrobi, zapewniam cię. Po masażu zawsze wskazany jest krótki sen. Jeśli się nie prześpisz, kiedy stąd wyjdiesz, będzie ci się zdawało, że twój mózg zamienił się w jajecznicę.

- Czy naprawdę jest dopiero siódma?

- Prawdę mówiąc, szósta pięćdziesiąt pięć.

Bez wątpienia Katie była bardzo senna. Czowała się jak Dorotka wędrująca przez pole maku w Czarnoksiężniku z krainy Oz. W pokoju hotelowym było ciepło, płaszcz kąpielowy był ciepły, a obok leżała Lucy, uspokajająca ją, głaszcząca i czule pieszcząca jej uszy. Paulowi nigdy nie pozwalała, by

dotykał jej uszu, ponieważ były bardzo wrażliwe i delikatne. Tymczasem Lucy błędziła po nich palcami tak lekko, jakby dotykała róży, jakby chciała przenieść na opuszki palców ich zapach.

- Muszę iść - powiedziała Katie, uniósłszy głowę. Lucy delikatnie pchnęła ją na poduszkę.

- Jeśli zostaniesz tu jeszcze godzinę, nic złego się nie stanie. Za to poczujesz się o wiele lepiej.

- Obudzisz mnie o ósmej?

Lucy pocałowała ją w usta. Był to całkowicie niewinny pocałunek, jednak Katie odniosła wrażenie, jakby nagle odkryła nowy wymiar, świat luster, w którym wszystko jest znajome, ale odwrócone. W pewnym sensie było to niepokojące, ale z drugiej strony - kuszące.

- Obudzę cię, obiecuję.

Przez dwie lub trzy minuty Katie leżała bez ruchu z otwartymi oczyma, wkrótce jednak poczuła, że musi je zamknąć, chociaż na moment, na krótką chwilę. Kiedy była sierżantem i całe noce spędzała w wozie patrolowym, nauczyła się sypiać po kilka minut. Wiedziała, że wciąż to potrafi.

- Ciepło ci? - zapytała Lucy, okrywając ją po szyję.

- Aha.

- Wygodnie?

- Tak.

- Umiesz szybko zasypiać? Cisza.

Lucy siedziała na krześle i wpatrywała się w Katie prawie przez godzinę. Miała właśnie wstać i sięgnąć z mini-baru kolejną buteleczkę whisky, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Katie. Podniosła go ze stolika i powiedziała:

- Słucham.

- „Zgłasza się Eircell. Masz nową wiadomość w poczcie głosowej. Aby wysłuchać wiadomości, wciśnij jeden”.

Postąpiła zgodnie z instrukcją i usłyszała głos Gerarda O'Briena. Bez wątplenia był bardzo

przejęty.

- „Katie? Tutaj znów Gerard. Posłuchaj, Katie, naprawdę pilnie muszę z tobą porozmawiać. Nie chcę mówić za dużo przez telefon... Chyba odkryłem, kim był Calwood i co się z nim stało. Mam także bardzo niepokojącą informację, która może sprawić, że postanowisz kontynuować to śledztwo.

Urwał na chwilę, po czym dodał: - Oddzwoń do mnie, jak tylko będziesz mogła. Zostawię wiadomość

także Liamowi Fennessy'emu".

Lucy trzymała telefon przy uchu. Po chwili głos z Eircell odezwał się:

- Aby skasować wiadomość, naciśnij siedem. Popatrzyła na Katie, która miarowo oddychała, z otwartymi ustami, jej ręka lekko drżała na poduszce obok.

Kiedy zadzwonił telefon, Liam miał właśnie wyjść z pokoju.

- Inspektor Fennessy? Tu centrala. Czy jest u pana nadinspektor Maguire?

- Nie widziałem jej przez całe popołudnie. Próbowwała pani dzwonić na jej komórkę?

- Tak. Niestety, nie odbiera. Mam na linii profesora O'Briena, chce jej powiedzieć coś bardzo ważnego, ale chyba nie może jej nigdzie znaleźć.

- Jest na linii? To niech go pani przełączy do mnie. Przez chwilę ze słuchawki dobiegały trzaski, ale zaraz usłyszał głos Gerarda.

- Inspektor Fennessy? Próbuję skontaktować się z nad-inspektor Maguire.

- A może ja w czymś panu pomogę?

- Chodzi o te morderstwa. Naprawdę pilnie muszę z nią porozmawiać. Dzwoniłem na jej komórkę, szukałem jej nawet na Meagher's Farm...

- Profesorze, ja także zajmuję się tą sprawą. Jeżeli znalazł pan coś istotnego...

- Istotnego? To będzie przełom w śledztwie. Czekam jeszcze na ostatnie elementy układanki z Ameryki, ale kiedy je dostanę, zapewne będziemy mogli rozwiązać zagadkę morderstw z 1915 roku,

a także sprawę Fiony Kelly. Przy okazji zmienimy obraz współczesnej historii.

- Niech pan posłucha, profesorze. Nie wiem, gdzie jest teraz Katie, spodziewam się jednak, że skontaktuje się ze mną jeszcze dzisiaj wieczorem. Może więc podzieli się pan ze mną swoją rewelacyjną wiadomością, a ja przekażę ją Katie natychmiast, kiedy do mnie zadzwoni?

- Hmm... Cóż, chyba lepiej będzie, jeśli najpierw porozmawiam z Katie. Nie jestem pewien, czy...

- Rozmawiamy o morderstwach, profesorze O'Brien. Jeśli ma pan jakiś dowód, który może przyczynić się do postawienia kogoś przed obliczem sprawiedliwości, niech mi pan o tym powie i to

jak najszybciej.

Nastąpiła długa cisza.

- Dobrze - powiedział wreszcie Gerard. - Ale raczej nie wyjaśnię tego panu przez telefon.

- A więc przyjadę do pana. Gdzie pan teraz jest?

- W domu. Perrott Avenue numer 45, na tyłach uniwersytetu.

- Niech mi pan da dwadzieścia minut. Muszę przedtem załatwić jeszcze jedną sprawę.

- Rozumiem. Ale jeśli tymczasem otrzyma pan jakąś wiadomość od Katie, proszę mnie poinformować.

- Oczywiście.

Jimmy'ego O'Rourke spotkał w holu.

- Napijemy się piwa po robocie, stary? — zapytał Jimmy, wypuszczając w powietrze kłęb papierosowego dymu.

- Dobra, jedno szybkie nie zaszkodzi. Widziałeś gdzieś Katie?

- Chyba poszła do domu. Słyszałeś o jej wypadku?

- Tak. Na Boga, jaki cały dzień, takie jego zakończenie.

- Gdyby mnie ktoś o to zapytał, natychmiast dałbym jej dzień wolnego.

Znów padał deszcz. Liam włożył płaszcz i zapiał go aż po szyję.

- Zawsze twierdziłem, że kobiety nie nadają się do tej roboty. Jeśli Katie nie będzie na siebie uważała, marnie skończy.

- Lepiej sam uważaj na siebie - powiedział Jimmy. - Jest o wiele twardsza, niż na to wygląda.

- Zobaczymy - mruknął Liam. - Dokąd chcesz pójść, do O'Flahertych?

Katie znów śniła, że jest w rzeźni. Tusze wołowe zalegały stertami dosłownie wszędzie i całe pomieszczenie wprost ociekało krwią. Nad głową mogła dostrzec matowe świetliki. Leżały na nich mokre od deszczu liście. W tle grała muzyka, słabo słyszalna, przytłumiona, jakby dobiegała z radia,

które upadło na dno studni.

- Co tutaj robisz? - wyszeptał ktoś, prosto do jej ucha. - To jest miejsce śmierci. Tutaj mieszka Lalkarz, który tnie ludzi na kawałki, dla swoich celów. Kobiety i dzieci, niewinnych i winnych. Odcina im ręce i nogi, przepiłowuje na pół ich głowy.

Skręciła i znalazła się w innej części rzeźni. Podłoga, mokra od deszczu, błyszczała.

Porozrzucane były na niej w nieładzie kawały mięsa i kości. Niedaleko, przy metalowym stole, stał mężczyzna w dziwnym, pięciokątnym kapeluszu i wrzucał płaty mięsa do maszyny do mielenia.

Maszyna wydawała nieregularne piski, wyrzucała z siebie krew i kości, które latały dosłownie wszędzie.

Katie ostrożnie zbliżyła się do mężczyzny. Uniosła rękę, chcąc dotknąć jego ramienia, ale kiedy to zrobiła, on powoli się odwrócił. Nie miał twarzy, lecz bezkształtną masę, po której pełzały chrząszcze.

- Teraz pora na twój ruch - wyszeptał ustami pełnymi insektów. - Twój ruch, możesz mi wierzyć.

Dochodziła godzina dziesiąta wieczorem i Gerard coraz bardziej się denerwował. Odsunął zasłony w salonie i zaczął wyglądać na ulicę. Padało, jakby miała nadejść wielka powódź, dlatego z każdą chwilą nabierał większej pewności, że inspektor Fennessy postanowił raczej spędzić wieczór w domu, przed telewizorem, zamiast odwiedzać profesora mitologii celtyckiej w wielkim, zawilgoconym wiktoriańskim apartamencie, pełnym książek, „National Geographics” i pustych butelek po tanim napoju jabłkowym. Gerardowi to nie przeszkadzało. Chciał porozmawiać przede wszystkim z Katie. Życzył sobie jedynie, by inspektor Fennessy okazał mu trochę grzeczności i po prostu zadzwonił z informacją, że odwołuje spotkanie.

Gerard ubrany był w sweter z grubej zielonej wełny, który kupił kiedyś podczas wakacyjnych wędrówek w Kerry, i w znoszone beżowe spodnie ze sztruksu. W jego małym gabinecie jedynym

źródłem światła był ekran komputera. Komputer był wyłączony, żeby Gerard mógł natychmiast pokazać inspektorowi, co odkrył.

Znów spróbował połączyć się z Katie. Telefon dzwonił i dzwonił, aż wreszcie odezwał się matowy głos automatycznej sekretarki Eircell: „Jeśli chcesz nagrać wiadomość...”

Tego było już za wiele. Nie mógł znaleźć Katie, a Liam Fennessy nie pojawiał się, mimo że przecież się z nim umówił. Gerard był przekonany, że odkrył właśnie jeden z największych sekretów dwudziestego wieku, i ogarniała go wściekłość, kiedy uzmysławiał sobie, że właściwie nikogo to nie interesuje. Wrócił do gabinetu, żeby wyłączyć komputer. Postanowił, że weźmie parasol, pójdzie do „Reidy's Vault Bar” na Western Road i uspokoi się przy kilku drinkach.

W tym samym momencie, w którym wyłączył komputer, rozległ się dzwonek do drzwi.

Westchnął ciężko i podszedł do domofonu.

- Inspektor Fennessy? - zapytał.

- Tak, to ja. - Głos Liama był zniekształcony i ledwo słyszalny, jakby stał zbyt daleko od mikrofonu. - Leje jak z cebra. Wpuści mnie pan w końcu?

- Bardzo się pan spóźnił. Mówił pan coś o dwudziestu minutach. Akurat miałem wyjść z domu.

- Przepraszam. Ale w końcu jestem...

Nacisnąwszy przycisk otwierający drzwi na klatkę schodową, Gerard powrócił do gabinetu i ponownie włączył komputer. Kiedy program się uruchamiał, wytarł nos w zniszczoną papierową chusteczkę. Tak naprawdę chciał opowiedzieć o swoim odkryciu Katie i tylko Katie. Nawet przeprowadził głośną próbę tego, co jej powie. Wiedział, że wywrze na niej wrażenie. Może wtedy Katie wreszcie spojrzy na niego inaczej, nie zwracając uwagi na jego otyłość i łysinę, zobaczy w nim takiego człowieka, jakim jest naprawdę: mężczyznę zdolnego kochać tak, jak kochali mitologiczni bohaterowie z czasów Tary, Aileacha i Cruachany. Niestety, na razie Gerard musiał się zadowolić inspektorem Fennessym. „To, co panu za chwilę ujawnię, inspektorze, zmieni na zawsze sposób

myślenia historyków o dwudziestym wieku".

Usłyszał energiczne pukanie, po chwili kolejne.

- Już! Już idę! - zawołał i podszedłszy do drzwi, zdjął łańcuch.

Nie zdążył ich otworzyć. Ktoś kopnął je z drugiej strony z taką siłą, że uderzyły go w twarz, wpadł na szafę z ubraniami stojącą za drzwiami.

- Co jest? - chciał powiedzieć, ale zanim wydobył z siebie głos, do mieszkania wpadł jak burza mężczyzna w czarnym płaszczu i czarnej kominiarce. Chwycił Gerarda za sweter pod szyją i z całej siły pchnął go na podłogę, przewracając niski stolik do kawy i kilka pustych butelek.

Gerard próbował się podnieść, ale mężczyzna jeszcze raz złapał go za sweter, niemal uniósł w powietrze i rzucił nim o drzwi prowadzące do małej kuchenki. Poczul, jak pęka mu obojczyk, a po całych jego plecach rozszedł się nieopisany ból.

- Co robisz? - zapiszczał Gerard. - Na Boga, to boli! Mężczyzna milczał, za to wykręcił

Gerardowi rękę i przycisnął go do ściany obok drzwi prowadzących do gabinetu.

- Gwardziści są w drodze - jęknął Gerard. - Przed chwilą do nich telefonowałem i już do mnie jadą.

- Zamknij się - powiedział zimno mężczyzna.

- Mówię prawdę, mam umówione spotkanie z inspektorem Liamem Fennessym. Dlatego cię wpuściłem. Myślałem, że to on.

- A co takiego zamierzałeś mu powiedzieć?

- Nic. Kilka słów o moich ostatnich badaniach.

- Naprawdę? A co takiego odkryłeś?

- Nic. Nic ważnego. Na miłość boską, to boli.

- Może coś o kościach z Knocknadeenly, co? Albo o Fionie Kelly?

- Już ci mówiłem. Rób, co ci się żywnie podoba, ale... Mężczyzna złapał Gerarda za jądra i

obrócił moszną.

Gerard wydał okrzyk bólu, który brzmiał bardziej jak wycie torturowanego psa niż człowieka.

Mężczyzna obrócił jeszcze raz, znacznie mocniej, i tego profesor już nie wytrzymał.

- Odkryłem, kto zabił te wszystkie kobiety, to wszystko!

- A co z Fioną Kelly? Wiesz także, kto ją zamordował? Gerard potrząsnął przecząco głową. Po jego policzkach płynęły łzy. Gdyby mężczyzna go nie podtrzymał, upadłby na podłogę.

- Pytam cię jeszcze raz. Dowiedziałeś się, kto zabił Fionę Kelly?

- Nie wiem, przysięgam na Boga. Garda wciąż uważa, że to Tomás Ó Conaill, jeżeli to nie on, to nie wiem kto.

- Lepiej dla ciebie, żebyś mówił prawdę. Mężczyzna zwolnił uścisk i Gerard, skulony, doczłapał się do sofy. Położył się na niej z nogami podciągniętymi pod brodę i zaczął kaszleć.

Mężczyzna wszedł do jego gabinetu. Biurko, na którym stał komputer, zarzucone było mnóstwem książek, czasopism i notatników. Mężczyzna podniósł pierwszy z brzegu i odezwał się:

- Co to jest? Czy ma to coś wspólnego z naszą sprawą?

- Celtyckie legendy - odparł Gerard drżącym głosem po kolejnym ataku kaszlu. - Przygotowuję się do wykładu, który mam w najbliższy piątek. To nie ma związku z... z Knocknadeenly.

Mężczyzna odrzucił notes na bok i zgarnął z biurka wszystkie papiery. Po chwili uniósł komputer i rzucił nim o ścianę. To samo zrobił z monitorem, który rozprysł się na setki szklanych kawałków. Z kolei zainteresował się napędem komputera. Zniszczył jego obudowę i połamał wszystkie plastikowe części. Następnie wrócił do salonu.

- Wstawaj! - rzucił.

- Co?

- Chyba słyszałeś? Wstawaj.

Jedną ręką uniósł Gerarda z sofy. Szturchając go i pchając, wyprowadził go przez frontowe

drzwi na klatkę schodową i dalej w dół po wysokich wiktoriańskich schodach. Gerard robił wszystko,

co mógł, żeby stawić opór mężczyźnie. Wymachiwał rękami, włókł bezwładnie nogi, jednak jego prześladowca był wyjątkowo silny i w końcu złapał Gerarda po prostu za kołnierz swetra i prowadził jak lalkę.

- Dokąd idziemy? - wystękał Gerard, kiedy mężczyzna popchnął go w korytarz wiodący do tylnego wyjścia z budynku.

- Zamknij się.

Mężczyzna otworzył drzwi i wypchnął Gerarda na małe podwórze na tyłach domu. Kiedyś była to część dużego ogrodu, teraz jednak teren pokrywał asfalt i Gerard parkował tam swego starego czerwonego nissana. Zobaczył przez zasłonę rzęsiatego deszczu, że w pobliżu jego samochodu parkuje

duży, biały samochód.

- Dokąd mnie zabierasz? Nie możesz tego zrobić... to jest porwanie!

- Nie, wcale nie jest - zapewnił go mężczyzna.

- Nie możesz mnie nigdzie zabierać wbrew mojej woli!

- I nie zamierzam. A teraz się zamknij. Mężczyzna pociągnął Gerarda za samochód. Otworzył bagażnik i wyciągnął długą nylonową linkę. Kopnął Gerarda z całej siły w tyłek, a ten padł na ziemię jak długi.

- Czego chcesz?! Kim ty jesteś? Nikomu nic złego nie zrobiłem.

Mężczyzna milczał. Pochylił się nad Gerardem i mocno związał mu ręce. Przeciął linkę scyzorykiem, po czym założył jego związane dłonie na hak do holowania.

- Do diabła, co ty ze mną robisz?! - zawołał Gerard piskliwie. — Jeśli masz zamiar ciągnąć mnie po ulicy...

- Nie mam - odpowiedział mężczyzna. - Więc się zamknij.

- Posłuchaj, nie wiem, o co ci chodzi, ale jeśli mi powiesz...

- Zamknij się - powtórzył mężczyzna.

Następną linką związał nogi Gerarda w kostkach. Drugi jej koniec przywiązał mocno do betonowego słupa, do którego przymocowana była tablica z napisem „Tylko dla mieszkańców”.

Gerard leżał na asfalcie i patrzył na oprawcę, tak przerażony, że bał się nawet oddychać.

- Co ty chcesz ze mną zrobić? Zamierzasz mnie tu zostawić?

- Powiedziałbym raczej, że tylko część ciebie. - Co ty chcesz ze mną zrobić? Mężczyzna stał nad nim chwilę i Gerard widział krople deszczu lśniące w jego włosach. W świetle ulicznych lamp wyglądały jak prysznic z małych meteorytów.

- Na pomoc! - zawołał Gerard, był jednak tak przestraszony, że miał ściśnięte gardło, i wydał z siebie tylko chrapliwy szept. - Niech mi ktoś pomoże...

Mężczyzna obszedł samochód i usiadł w fotelu kierowcy. Po chwili uruchomił silnik.

- Na pomoc! - wrzasnął Gerard. - Matko Boska, niech mi ktoś pomoże!

Silnik zawył na wysokich obrotach. Gerard wykręcał się, szarpał, walczył z całych sił, by oderwać dłonie od haka holowniczego z tyłu samochodu. Był pewien, że gdyby mógł rozciągnąć się chociaż o jeden cal, zdołałby się uwolnić. Mężczyzna tylko go straszył, Gerard był przekonany, że chodzi mu tylko o to, o ostrzeżenie. Ktoś musiał zaalarmować go, że Gerard wypytywał o Jacka Calwooda i był bliski dotarcia do prawdy. Nie przyszło mu dotąd do głowy, że rząd Wielkiej Brytanii

mógł mieć w Irlandii oficerów wywiadu pilnujących, żeby nikt nie grzebał w starych i nieprzyjemnych sprawach, szczególnie tych z czasów kolonialnych, dni Czarnych i Brązowych i Irlandzkich Ochotników.

- Już dobrze! - zawołał Gerard. - Obiecuję ci, że nic nikomu nie powiem. Ani słowa. Nigdy!

Silnik samochodu zaczął pracować wolniej. Gerard trochę się uspokoił. Deszcz padał mu na twarz, niemal go oślepiając.

- Pozwól mi wstać, dobrze? Rozwiąż mnie i pozwól mi wstać. Nic nie powiem, przysięgam na Boga. Przysięgam na grób mojej matki.

Silnik znów zawył. Mężczyzna włączył bieg i ruszył, rozrywając mięśnie w ciele Gerarda, rozległ się dźwięk przypominający darcie płótna. Oderwał mu obie ręce.

Gerard natychmiast przestał krzyczeć. Zdał sobie sprawę, że stało się z nim coś przerażającego, nie wiedział jednak co. Leżał na mokrym asfalcie, a krew równomiernie wylewała się z jego barków.

Wcale nie czuł bólu. W gruncie rzeczy czuł dziwną ulgę, zadowolony, że najgorsze jest już za nim.

Usłyszał, jak samochód się zatrzymuje, jak trzaskają drzwi, nie zobaczył jednak, jak mężczyzna stanął nad nim, ponieważ miał zamknięte oczy.

- Pewne rzeczy muszą pozostać na zawsze tajemnicą, profesorze - powiedział mężczyzna. - To nie twoja wina, po prostu miałeś pecha.

Z jakiegoś powodu Gerard nie był w stanie odszukać w pamięci słów modlitwy. Pamiętał tylko słowa wiersza W. H. Audena o górze lodowej pukającej w kredens i pustym łóżku oraz o „pęknięciu filiżanki, które otwiera... drogę ku krainie zmarłych”.

Minęło prawie pięć minut, zanim Katie rozbudziła się na dobre. Kiedy wreszcie zdołała podnieść głowę, czuła się tak, jakby jej nieżyjąca matka wsunęła jej do ust kłębek wełny. Lucy siedziała w fotelu, oglądając na kanale Discovery dokumentalny film o „Lusitaniu”. Fonia w telewizorze była niemal całkowicie wyciszona.

- Która godzina? - zapytała Katie chrapliwym głosem.

- Dziewięta trzydzieści.

Katie usiadła i przesunęła dłońmi po twarzy.

- Chryste! O ile pamiętam, prosiłam cię, żebyś obudziła mnie o ósmej.

- Możesz mi wierzyć, próbowałam, ale spałaś jak kamień. Chcesz, żebym ci zrobiła filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję. Czy masz w tym minibarku jakiś napój gazowany?

- Jasne. Częstuj się.

Katie otworzyła małą puszkę dietetycznej coli i wypila zawartość czterema szybkimi łykami.

Lucy wstała i spytała:

- Jak się czujesz?

- Okropnie.

- To dlatego, że od dawna nie zaznałaś prawdziwego odpoczynku. Nie potrafisz się relaksować.

- Nie mogę. Przynajmniej nie teraz. Mam za dużo pracy. Lucy usiadła obok niej na łóżku i pogłaskała ją po głowie.

- Kiedyś byłam taka jak ty, kłębek nerwów, zestresowana, nie pozwalałam sobie na relaks. Nie potrafiłam na niczym się skupić, nie umiałam zdecydować, co zrobić ze swoim życiem. Ale kiedy ograniczyłam się do wypatrywania tylko jednego, konkretnego celu, zaczęłam rozumieć samą siebie. Należy sobie powiedzieć: tego właśnie chcę i zrobię wszystko, żeby to osiągnąć. Naprawdę

wszystko.

Jeśli będziesz to potrafiła, znajdziesz w sobie ogromny wewnętrzny spokój.

- Muszę pojechać na Anglesea Street.

- Katie, nie musisz nic robić, a tylko porządnie odpocząć.

Katie odwróciła głowę i popatrzyła jej w oczy.

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Ale obiecuję ci, że odpocznę, kiedy tylko zakończę tę sprawę.

Pojedziemy sobie razem do West Cork, jeśli zechcesz, a ja pokażę ci Baltimore i Cape Clear. Tam jest

naprawdę pięknie.

Lucy pochyliła się i delikatnie pocałowała ją w czoło.

- Wspaniała propozycja.

- Powiedzmy, że w ten sposób będę chciała ci się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Ocaliłaś mi życie, kiedy tonęłam w rzece, a teraz ocaliłaś mnie przed rozpadnięciem się na tysiąc kawałków.

- Nie musisz mi się odwdzięczać.

Katie podeszła do lustra i zaczęła szczotkować włosy. Nie wysuszyła ich po kąpieli i teraz były w okropnym nieładzie.

- Popatrz na mnie - powiedziała. - Wyglądam chyba na osobę bardziej szaloną niż Tomás O Conaill.

- Zmocz je jeszcze raz, a ja ci je pięknie ułożę.

- Powinnaś być terapeutką, a nie profesorem mitologii.

- Mitologia to swego rodzaju terapia. To sposób, w jaki pojmujemy swoje miejsce na świecie.

Tak naprawdę to nie ma na nim syren i czarownic, Katie. Jesteśmy tylko my.

Liam dotarł na Perrott Street dopiero o dziesiątej czterdzieści siedem. Wsiadł z samochodu i postawiwszy kołnierz płaszcza, dla ochrony przed deszczem, popędził ku frontowym drzwiom domu,

w którym mieszkał profesor. Nacisnął dzwonek i czekał. Po chwili zadzwonił ponownie. Jasna cholera! Głupi dziad nie miał dość cierpliwości, żeby poczekać na niego dwadzieścia minut dłużej. Cóż, cokolwiek chciał mu powiedzieć, nie musiało to być aż takie pilne. Według Liama przesadzał z tą nagłością tylko po to, żeby spotkać się z Katie. Właściwie nie winił go za to. Kiedy Katie pojawiła się na Anglesea Street, od razu spodobała się także Liamowi.

Biegiem ruszył z powrotem do samochodu. Nieszczęśliwie stąpnął w kałużę i woda wylała mu się do buta.

Kiedy Katie przyjechała do domu, wciąż padało, a budynek był pogrążony w ciemności.

Spalone pajero Paula odholowano, a w okna salonu ktoś powstawiał sklejki. Katie weszła do środka i zapaliła światło. Dom był zimny i pachniał pustką.

Przeszła do salonu i naląła sobie sporo wódki. Następnie zaczęła odsłuchiwać automatyczną sekretarkę.

Jimmy O'Rourke: „Dzwoniłem na twoją komórkę, ale chyba jest wyłączona. Chyba mamy ważny ślad w sprawie Siobhan Buckley. Pewna kobieta przypomina sobie, że widziała mężczyznę i dziewczynę odpowiadającą opisowi Siobhan w dużym białym samochodzie. Stał przed światłami na skrzyżowaniu przy centrum handlowym Mayfield. Mówi, że odniosła wrażenie, jakby się sprzeczali, a dziewczyna nawet płakała. Jutro rano wznowię poszukiwania, koncentrując się na Mayfield i Glanmire, pewnie aż do Knockraha. Później się jeszcze z tobą skontaktuję”.

Kolejny głos należał do Liama. Brzmiał, jakby Liam wcześniej coś wypił. „Katie, nie mogę dodzwonić się na twój telefon komórkowy, a chcę ci powiedzieć, że twój ulubieniec, profesor O'Brien, bardzo intensywnie stara się z tobą skontaktować. Powiedział, że ma bardzo ważne nowe informacje, pojechałem więc spotkać się z nim w jego mieszkaniu. Spóźniłem się tylko kilka minut, ale drań już gdzieś wyszedł. Jeśli chcesz znać moje zdanie, on po prostu ma ochotę spotkać się z tobą”.

Kolejną osobą, która zostawiła jej wiadomość, była jej przyjaciółka, Brigid Dennehy. „Katie?

Tu Brigid. Chciałam ci tylko powiedzieć, że rzuciłam Pata. Zabrałam dzieci i teraz mieszkamy z moją kuzynką Roisin w Pouladuff. To dla mnie trudne, Katie, ale po raz pierwszy od nie wiadomo ilu lat czuję się wcina. Wiesz, po tym jak cię ostatnio spotkałam, nie mogłam przestać myśleć o tym, jaka jesteś szczęśliwa i zadowolona, i pomyślałam też, że przecież ja także mam do czegoś takiego prawo.

Dlaczego nie mogłabym być taka jak Katie? Zrobiłam to więc, Katie. Zostawię ci mój numer, będziesz

mogła do mnie oddzwonić. Czytałam w gazetach, że ty i Paul mieliście wypadek samochodowy, ale nic ci się, dzięki Bogu, nie stało. Zadzwoń do mnie i opowiedz mi, co u ciebie słychać. Na razie, i niech ci Bóg błogosławi”.

Zatelefonowała do szpitala i porozmawiała z siostrą dyżurną na oddziale Paula. „Niestety, jego stan jest bez zmian.

Bez zmian? - pomyślała, siadając na zimnej kanapie obok pustego czarnego kominka. Oczyma wyobraźni przywołała obraz Paula krążącego po pokoju ze szklanką powersa w ręce i zatęskniła za dniami, kiedy byli sobie bliscy, a Sierżant kładł głowę na jej kolanach, nadstawiając do pieśczoł długie uszy.

Postanowiła, że nie będzie płakać. Lucy pokazała jej, że potrafi znaleźć w sobie pokłady odwagi i siły. W pewnym sensie potrafiła dokonać tego także Brigid. Gdyby teraz się rozpłakała, zawiodłaby Lucy. A nawet więcej, również odwaga Brigid okazałaby się bezsensowna.

Po chwili przeszła do kuchni i przygotowała sobie dwa kawałki pieczonego cheddara z Mitchelstown z mnóstwem pieprzu cayenne. Zjadła je na stojąco, a kiedy skończyła, oblizwała palce, ponieważ kiedy je się w samotności, tak właśnie się zachowuje.

Następnego ranka nadal padało, a niebo było ponure, miało zielonkawo-szarą barwę, jak skorodowany cynk. Było tak ciemno, że Katie musiała włączyć w gabinecie wszystkie światła. Na dachu parkingu siedziały przemoczone wrony, wydawały się jeszcze bardziej złowróźbne niż zwykle. Katie powiesiła płaszcz, po czym z filiżanką cappucino zaczęła przeglądać poranną pocztę i raporty. Po chwili do gabinetu wszedł Dermot O'Driscoll, miał krzywo zawiązany krawat.

- Tu jesteś, dzięki Bogu. Patrick Goggin panikuje od rana jak praczka, której płoną gacie na tyłku. Mówi, że jutro o trzeciej w Stormont ma naradę i musi na niej przedstawić informacje o postępach w śledztwie. Katie nie podniosła wzroku.

- Proszę pana, to jest bardzo trudna i skomplikowana sprawa. Mamy w niej bardzo niewiele pisemnych dokumentów, nie mamy żyjących świadków. No i nawet jeśli udowodnię bez cienia wątpliwości, że Tomás O Conaill zamordował Fionę Kelly, nie rzuci to więcej światła na to, co Brytyjczycy zrobili w 1915 roku.

- Nie trawię polityków - burknął Dermot. - Gdy go dziś rano usłyszałem, nie mogłem przełknąć drugiej kiełbaski na śniadanie.

- Być może Gerard O'Brien ma jakieś dodatkowe informacje? Telefonował do mnie wczoraj po południu, zostawił wiadomość, że dotarł do jakichś nowych materiałów i chce mnie z nimi zapoznać.

- Skontaktowałaś się już z nim?

- Chcę najpierw pojechać do Knocknadeenly i porozmawiać z Meagherami.

- Najpierw chociaż do niego zadzwoń. Im prędzej odczepi się ode mnie Patrick Goggin, tym prędzej będę znów mógł normalnie jeść.

- Dobrze. - Katie zaczęła wystukiwać numer telefonu Gerarda. Dermot stał w drzwiach, głaszcząc się po brzuchu, jakby chciał uspokoić rozregulowany żołądek. W słuchawce rozlegał się monotony sygnał, trwało to bardzo długo, jednak Gerard nie odpowiadał. W końcu Katie zate-

lefonowała do Jimmy'ego O'Rourke. - Jimmy, gdzie teraz jesteś?

- Na Dennehy Cross. Utknąłem w korku.

- Posłuchaj, wpadnij po drodze na Perrott Street 45 i sprawdź, czy profesor O'Brien jest w domu. Jeśli go nie będzie, sprawdź w jego gabinecie.

- Mam bardzo mało czasu, pani nadinspektor.

- Wiem, Jimmy. Ale to bardzo ważna sprawa. - Katie odłożyła słuchawkę. - Przykro mi - powiedziała do Dermota. - W tej chwili nic więcej nie mogę zrobić.

- Przyjdź więc z czymś do mnie chociaż pod koniec dnia.

Nie chcę zepsuć sobie także kolacji. Przy okazji, co słyhać u Paula?

Katie skrzywiła się i wzruszyła ramionami. Dermot pokiwał głową i powiedział:

- Wszyscy o tobie myślimy, Katie. Możesz być tego pewna.

Wyjechała z Anglesea Street o dziesiątej dwadzieścia dwie. Próbowwała skontaktować się z

Lucy, żeby powiedzieć jej, że się spóźni, jednak jej telefon komórkowy wydawał tylko jakieś trzaski.

Postawiwszy kołnierz płaszcza, aby chociaż trochę ochronić głowę przed deszczem, popędziła do

brązowej vectry, której używała teraz zamiast zniszczonej omegi. Wsiadła do samochodu, strząsnęła z

płaszczka krople deszczu i popatrzyła na swoją twarz we wstecznym lusterku. Była mokra prawie tak samo jak wrony na dachu.

Na rogu Patrick's Bridge Cork Corporation rozpoczęła akurat prace nad osuszaniem terenu i

musiała czekać niemal pięć minut na wjazd. Tymczasem wokół bezlitośnie huczały młoty

pneumatyczne, a ojciec Mathew, bohater abstynentów, patrzył na nią bezmyślnie z cokołu na środku

drogi. Kiedy ruszyła w górę Summerhill, padał już tak ulewny deszcz, że musiała włączyć

wycieraczki. Przejeżdżające autobusy rozbryzgiwały fontanny wody tak, że można je było wziąć za dziwaczne łodzie.

Dotarła do Knocknadeenly o dziesiątej pięćdziesiąt siedem. Gwardzista pilnujący bramy

siedział w radiowozie, paląc papierosa. Szyby auta były zaparowane. Kiedy jednak pojawiła się Katie,

natychmiast wysiadł i wyszedł jej na spotkanie. Jego oddech pachniał tytoniem.

- Śliczny, miły dzień, pani nadinspektor - odezwał się.

- Nie żartuj. Wszystko w porządku? Czy przyjechała już profesor Quinn?

- Tak, jakieś dwadzieścia minut temu. Była sama.

- Dziękuję, Padraig. O której kończysz służbę?

- Dopiero za dwie godziny. Jeśli wkrótce nie przestanie padać, będę musiał wracać stąd kajakiem.

Katie powoli wjechała na podjazd. Wycieraczki wciąż szybko przesuwały się przed jej oczyma.

Ustawiła samochód na błotnistym dziedzińcu Meagher's Farm i wysiadła. Obok land-rovera Johna stał

niebieski traktor z włączonym silnikiem, w pobliżu nie było jednak żywego ducha. Podeszła do domu

i weszła na werandę. Drzwi frontowe były otwarte, a z budynku dobiegał intensywny zapach pieczonego chleba. Zapukała i zawołała:

- John! Pani Meagher! Jest tam kto?

Nikt jej nie odpowiedział. Deszcz padał bezustannie i monotonnie, jakby nigdy nie zamierzał przestać.

Katie otworzyła drzwi trochę szerzej i weszła do holu. Na hakach wisały stare płaszcze, a pod ścianą wałały się ubłocone buty.

- John? - powtórzyła. - Lucy?

Znów nikt nie odpowiedział. Usłyszała tylko głosy Teletubisi z telewizora włączonego w salonie.

Zajrzała do kuchni. Była dość ciemna, ale panował w niej porządek, jeśli nie liczyć krzesła z przewieszonym przez niego ręcznikiem kąpielowym, kolorowej deski do krojenia chleba, pełnej

okruchów, oraz wałka do ciasta na podłodze. Katie przez chwilę wahała się, po czym przeszła do salonu.

Teletubisie kołysały się na plecach i wymachiwały nóżkami w powietrzu. Pani Meagher siedziała przed telewizorem w fotelu z wysokim oparciem, zza którego jej siwa głowa była ledwo widoczna. Katie dostrzegła, że jej ręka zwisa bezwładnie z oparcia fotela. Kobieta ubrana była w zrobiony na drutach oliwkowozielony sweter z pomarańczowymi wzorkami. Na dywanie leżał niedopałek papierosa.

- Pani Meagher - powiedziała Katie. - Pani Meagher? To ja, detektyw nadinspektor Katie Maguire. Czy wie pani, gdzie jest John?

Pani Meagher nie odpowiadała. Tymczasem Teletubisie krzyknęły „och, ach” i czmychnęły za swoje zielone wzgórze. Katie ostrożnie obesza krzesło i stanęła przed panią Meagher. Matka Johna patrzyła na nią mleczno-białymi oczyma. Jej dolna warga zwisała, odsłaniając pożółkłe od tytoniu zęby. Miała podcięte gardło, a jej sweter i plisowana suknia były nasiąknięte krwią. Strugi krwi wciąż

sływały po jej goleniach i łydkach i niknęły w bamboszach.

- O, Jezu - westchnęła Katie. Przez chwilę wpatrywała się staruszkę, ale nie wytrzymała i odwróciła się.

Drżącymi rękami wyciągnęła telefon komórkowy, by wezwać pomoc. Zaczęła wystukiwać numer, nagle do pokoju wszedł John Meagher i powiedział:

- Nie rób tego.

Jimmy O'Rourke zaparkował samochód przed Perrott Street 45 i z ciężkim westchnieniem wysiadł. Osobiście uważał ten aspekt dochodzenia za totalną stratę czasu. Zupełnie nie interesowało go, kto zabił te kobiety w 1915 roku. Gdyby to zależało od niego, zamknąłby sprawę i odłożył ad acta,

nawet gdyby Sinn Fein miała z tego powodu grymasić. Liczyło się tylko to, kto zabił Fionę Kelly, a Jimmy wierzył, podobnie jak Katie, że Tomás Ó Conaill przynajmniej maczał w tym palce.

Podszedł do frontowych drzwi i nacisnął przycisk dzwonka. Nikt nie odpowiedział. Zadzwoił jeszcze raz. Znow odpowiedziła mu cisza. Obszedł dom dookoła i przyłożywszy dłoń do czoła, dla osłony przed deszczem, popatrzył w kierunku okna mieszkania zajmowanego przez Gerarda. Bez wątplenia profesora w nim nie było, a to oznaczało, że będzie musiał go teraz szukać na uniwersytecie. Zaklął w myślach. Miał przecież tego ranka jeszcze mnóstwo innych spraw na głowie, jak na przykład przesłuchanie siedmiu Rumunów niby szukających azylu, którzy włamali się do biur firmy taksówkowej na MacCourtain Street i skradli z podręcznej kasetki na pieniądze sto trzydzieści dwa funty i siedemdziesiąt pięć pensów.

Jimmy miał już odjechać, kiedy zza budynku wyszedł przemoczony czarny labrador, trzymając coś w pysku.

- Co słysząc, piesku? - zapytał Jimmy.

Labrador popatrzył na niego wzrokiem winowajcy i natychmiast upuścił swoją zdobycz. W pierwszej chwili Jimmy'emu przyszło do głowy, że jest to czyjaś zgubiona rękawica robocza, kiedy jednak przyjrzał się temu bliżej, z przerażeniem stwierdził, że pies przyniósł ludzką rękę.

- Piesku, gdzie to znalazłeś? Piesku?

Pies uciekł. Jimmy podszedł do ręki i przykucnął obok niej. Wyjął z kieszeni długopis i lekko ją trącił, jednak nawet nie próbował jej podnieść. Na środkowym palcu widać było tani złoty pierścionek

z czarnym onyksem.

Jimmy obszedł dom i skierował się na podwórze. Nad podwórkiem fruwało dwadzieścia, a może nawet trzydzieści wron. Kiedy zobaczyły Jimmy'ego, wzniosły się wyżej. Właśnie wtedy Jimmy ujrzał Gerarda O'Briena leżącego na ziemi, z mokrymi strąkami włosów przylegającymi do twarzy niczym woal. Jego ramiona walały się na ziemi obok sterty śmieci, wciąż mocno związane.

- Matko Boska - jęknął Jimmy. Pochylił się nad Gerardem, aby upewnić się, że profesor nie żyje, ale zaraz cofnął się o kilka kroków. - Do ciężkiej cholery, kto ci to zrobił?

Wyjął telefon komórkowy, aby połączyć się z Katie, jednak nie odpowiadała. Zadzwoił do Liama Fennessy'ego.

- Inspektorze, jestem na Perrott Street 45. Znalazłem właśnie profesora O'Briena, a raczej to, co z niego zostało. Ktoś rozdarł biedaka na części. Tak, Perrott Street 45.

Głos Liama brzmiał, jakby inspektor właśnie biegł.

- Jimmy, nie ma mnie teraz na komendzie, ale zaraz pošlę ci Patricka O'Sullivan i Briana Dockery'ego. Oczywiście z zespołem techników. Mówisz, że jest rozerwany?

- Ktoś oderwał mu ramiona. Pewnie przywiązano go do samochodu.

- Podpuszczasz mnie.

- Wręcz przeciwnie, jestem śmiertelnie poważny. Profesor leży po jednej stronie parkingu, a jego ramiona po drugiej.

- Poczekaj, oddzwonię do ciebie.

Jimmy otarł krople deszczu z twarzy. Wrony powoli wracały, niektóre lądowały na ziemi, jednak żadna nie ośmieliła się podejść bliżej niż do muru sąsiedniej posesji, gdzie najodważniejsze przestępowały z łapki na łapkę niczym niechlujnie ubrani gracze przed kasami wyścigów konnych w Blackpool. Jimmy podszedł do tylnych drzwi i stwierdził, że są nie domknięte. Wyciągnął z kabury rewolwer smith & wesson i pchnąwszy drzwi ramieniem, wszedł do budynku. Klatka schodowa była

ciemna i pachniała pierogami. Jimmy zatrzymywał się na każdym zakręcie schodów, mocno trzymając rewolwer i nasłuchując. Kiedy dotarł do mieszkania Gerarda, było dla niego jasne, że zabójca dawno opuścił to miejsce. Na dole ktoś słuchał Days Like This van Morrisona, a z mieszkania na górze dochodziły odgłosy kąpieli.

Jimmy pchnął wyłamane drzwi mieszkania Gerarda i wszedł do środka. Sprawdził salon, kuchnię i łazienkę, ale nikogo tam nie zastał. Wszedł do gabinetu i natknął się na porozrzucone papiery, roztrzaskany komputer i przewrócone krzesło.

Znów spróbował połączyć się z Katie, bez skutku. Nie miał tu nic do roboty przed przybyciem techników. Rozejrzał się po gabinecie, zerkając na kilka kartek. Były to w większości notatki do wykładów z mitologii celtyckiej. Postanowił wyjść na zewnątrz i wypalić papierosa.

Zanim wyszedł, podniósł z podłogi notatnik. Tylko kilkanaście pierwszych stron było zapisanych starannym pismem, głównie po celtycku. Już miał odłożyć notes, kiedy uchwycił wzrokiem słowo iobairt, pięciokrotnie podkreślone. W języku celtyckim znaczyło ono „ofiara”.

Postawił skórzany fotel Gerarda i usiadł w nim. Przerzuciwszy kilka stron, zdał sobie sprawę, że dotyczą one Królowej Śmierci Badb, Macha i Morrigan oraz tego, w jaki sposób należy wykorzystać

trzydzieści rytualnych morderstw dla przywołania Morrigan z Niewidzialnego Królestwa. Celtycki

Jimmyego nie był tak dobry, jak być powinien, zważywszy, że każdy gwardzista powinien posługiwać

się nim w miarę płynnie i że jedenastoletni Jimmy O'Rourke miał z języka celtyckiego drugą ocenę w klasie w Scoil Oilibeheir w Ballyvolane. Mimo wszystko większość tekstu zrozumiał.

Gerard zapisał:

„Kilkanaście wiarygodnych źródeł podaje, że kiedy pojawi się Morrigan, wzywający ją musi podarować jej, dla ostatecznego potwierdzenia ich umowy, żywą kobietę. Ta żywa ofiara musi być żoną ważnej osobistości lub najbardziej wpływową kobietą w swoim środowisku. Powód jest prosty:

zmaterializowawszy się w świecie śmiertelników, Morrigan nie życzy sobie konkurencji ze strony jakiegokolwiek innej śmiertelnej kobiety.

Żywa ofiara musi zostać związana i oślepiąca, a kiedy Morrigan będzie przechodzić z

Niewidzialnego Królestwa, należy rozzerwać jej brzuch, aby Morrigan mogła wyrwać jej wnętrzności i

okręcić je sobie wokół ramion jako oznakę absolutnej władzy".

- Cholera jasna - powiedział głośno Jimmy. Zaczął kartkować strony, rozpoznając słowa mort jako morderstwo i cloigionn jako czaszka, jednak nic istotnego już w zapiskach nie było. Trzymał już w ręce papierosa, kiedy natknął się na stronę zapisaną w języku angielskim.

„Rozmawiałem z dwoma szefami departamentów, jednak British Public Records Office w Kew z całą mocą twierdzi, że nie posiada żadnych informacji o zniknięciu 11 Irlandek w latach 1915-1916.

Skontaktowałem się jednak z moim starym przyjacielem, Johnem Robertsem z Imperial War Museum, a on wskazał mi rodzinę świętej pamięci pułkownika Herberta Corcorana, mieszkającą w Nantwich.

Major Corcoran służył w siłach Korony w Cork pomiędzy 1914 a 1917 rokiem, uważa się go za kogoś

w rodzaju szpiega-bohatera w stylu Williama Stephensona ("Mężczyzna zwany Nieustraszonymi).

Major Corcoran mówił z akcentem z Cork, co pozwalało mu z powodzeniem przenikać ruch republikański. To jego informacje wprowadziły w pułapkę Pierwszą Brygadę z Cork w Dripsey w 1916 roku i doprowadziły do zamordowania dziewięciu ludzi z IRA. W latach dwudziestych napisał dwie książki zawierające jego wspomnienia: Wojna szeptów i w przebraniu. Drastycznie ocenzurowało je British War Office i w sumie nigdy nie zyskały one uznania. Zaliczono je raczej do opowieści przygodowych mających niewiele wspólnego z faktami. Trzeba przyznać, że pułkownik, opierając się na wspomnieniach z Irlandii, napisał także trzy powieści przygodowe.

Jego rodzina przysłała mi te zapiski, ostrzegając mnie, że już jako stary człowiek pułkownik

Corcoran obsesyjnie wspominał czas, jaki spędził w Irlandii, i ciągle pisał do gazet chaotyczne listy

na

ten temat. W ostatnich latach przed emeryturą, kiedy pracował w War Office, zyskał przydomek "Stuknięty Corcoran".

Jimmy odwrócił kartkę i znalazł złożoną na kilka części długą taśmę faksu z zapiskami pułkownika Corcorana. Pułkownik notował: „Zapisuję te kartki, wiedząc, że zapewne nikt nie przeczyta ich w ciągu najbliższych stu lat. Uważam jednak, że sprawę tę należy opisać dla dobra historii wojskowości i ludzkości.

Kiedy pracowałem jako wysoki rangą oficer wywiadu w hrabstwie Cork, latem 1916 roku, skontaktował się ze mną brygadier sir Ronald French z War Office. Poinformował mnie, że lokalnemu

dowódcy z Cork, podpułkownikowi Gordonowi Wilsonowi, nakazano znaleźć i aresztować człowieka,

który przebrany za brytyjskiego oficera porywał irlandzkie kobiety.

Okazało się, że człowiek ten proponował kobietom podwiezienie samochodem. Tych, które z propozycji skorzystały, nigdy później już nie widziano.

Po zniknięciu siedmiu kobiet polecono mi współpracować z podpułkownikiem Wilsonem.

Naszym zadaniem było zdemaskowanie złooczyńcy za wszelką cenę, nie dla zadośćuczynienia sprawiedliwości, ale dla uniknięcia bardzo niebezpiecznej sytuacji politycznej, ponieważ irlandzcy re-

publikanie zaczęli oskarżać Brytyjczyków o porwanie i zamordowanie ich kobiet w odwecie za kilka ataków bombowych na obiekty wojskowe w Cork City.

Po dziesiątym porwaniu zastawiłem pułapkę w Dillon's Cross. W roli »przynęty« wystąpiła pani Margaret Morrisey, żona sierżanta Kevina Morriseya z Signal Corps. Porywacz nawiązał z nią kontakt, ale gdy tylko zorientował się, że mówi z angielskim akcentem, wziął nogi za pas. Niemal udało się nam go złapać, ale nasz samochód zakopał się w błocie w Ballyvolane. Jednak dwa miesiące

później, po jedenastym porwaniu, zastawiłem kolejną pułapkę, tym razem z Irlandką, która pracowała w garnizonowej pralni, Kathleen Murphy. Kiedy namierzyliśmy go w York Hill, mężczyzna przeskoczył przez płot, ale trzy psy chwyciły jego trop i doprowadziły nas do pokoju na pierwszym piętrze pensjonatu przy Wellington Road, gdzie go aresztowaliśmy.

Z początku twierdził, że nazywa się Jan Vermeeling i jest holenderskim marynarzem pływającym na statkach handlowych. Jednak pod podłogą w jego pokoju znaleźliśmy dokumenty i listy, w których powtarzały się nazwiska John lub Jack Calwood, Jan Rufenwald, i świadectwo urodzenia wystawione na nazwisko Dietera Hartmanna z Munsteru, w Westfalii. Ku memu zaskoczeniu, znaleźliśmy także bilet, wskazujący, że mężczyzna przyплыł do Irlandii z Nowego Jorku na pokładzie nieszczęsnej „Lusitania” i musi być jedną z 765 osób, które przeżyły jej katastrofę. Jednak kiedy sprawdziłem listę wszystkich uratowanych, łącznie z ich fotografiami, nie natrafiłem wśród nich na Dietera Hartmanna (czy jakkolwiek naprawdę się nazywał).

Rozwiązanie zagadki znalazło się jednak w garderobie Dietera Hartmanna. Oprócz munduru Armii Brytyjskiej, tweedowej marynarki i kilku koszul, znaleźliśmy w niej także trzy suknie, żakiety i koronkowe halki. Początkowo przyjęliśmy, że dzielił pokój z kobietą, coś mnie jednak tknęło i postanowiłem jeszcze raz popatrzeć na fotografie ludzi, którzy wyszli cało z katastrofy »Lusitania«.

Intuicja nie zawiodła mnie. Wśród ocalałych znajdowała się niejaka panna Mary Chaplain, opisywana

na liście rozbitków jako emerytowana nauczycielka z White Plains w stanie Nowy Jork. Z fotografii spoglądała jednak twarz osoby tak młodej, że w żadnym wypadku nie mogła być emerytowaną nauczycielką. Uważnie przyjrzawszy się fotografii, doszedłem do wniosku, że »panna Mary Chaplain«

to w rzeczywistości Dieter Hartmann w damskim przebraniu i w peruce.

Po intensywnym przesłuchaniu Hartmann przyznał w końcu, że przyjął tożsamość »panny Mary Chaplain«, aby uniknąć zdemaskowania na pokładzie »Lusitania«. Przyznał, że poszukiwała go

policja

z Massachusetts i bał się, że do „Lusitanii” dotrze telegram nakazujący kapitanowi zatrzymanie go. Jego obawy były w pełni uzasadnione, na środku Atlantyku bowiem statek rzeczywiście dokładnie przeszukano. Jako »panna Mary Chaplain« uniknął jednak wpadki. Powiedział mi, że pomiędzy nim a policją stanu Massachusetts doszło do nieporozumienia z powodu zniknięcia kilku kobiet.

Skontaktowałem się z przełożonymi w War Office i poinformowałem ich, że aresztowaliśmy mężczyznę, który najprawdopodobniej porwał jedenaście Irlandek. Przekazałem, że mężczyzna nazywa się zapewne Dieter Hartmann, chociaż podałem też inne nazwiska, których używał: Jan Rufenwald, John Calwood i Mary Chaplain. Cieszyłem się, że wkrótce stanie przed sądem hrabstwa Cork.

Tymczasem niemal natychmiast otrzymałem zaszyfrowany telegram, nakazujący mi przeprowadzenie natychmiastowej egzekucji Dietera Hartmanna i »wyeliminowanie« wszelkich dowodów jego istnienia. Miałem powiedzieć pułkownikowi Wilsonowi i wszystkim pozostałym oficerom oraz ludziom, którzy pomagali mi w śledztwie, że zostało ono zakończone i nikomu nie wolno wspominać o nim ani słowem w interesie narodowego bezpieczeństwa.

W towarzystwie trzech podoficerów jeszcze tego samego wieczoru zawiozłem Dietera Hartmanna na bagna w okolicach Glanmire, gdzie rzuciliśmy go na kolana i zabiliśmy strzałem w tył głowy ze służbowego rewolweru. Jego ciało zatopiliśmy w bagnach, a miejsca pochówku nie oznaczyliśmy.

Jeszcze przez wiele lat zastanawiałem się, dlaczego otrzymałem rozkaz przeprowadzenia egzekucji Dietera Hartmanna w takim pośpiechu i w takiej tajemnicy. W końcu był Niemcem i w mojej ocenie Brytyjczycy zyskaliby ważny atut, gdyby okazało się, że to my złapaliśmy człowieka, który prawdopodobnie zamordował tak wiele irlandzkich kobiet; mimo wysiłków, nie znaleźliśmy ich

ciał".

Jimmy zapalił papierosa i wypuścił dym przez nos. Katie z pewnością spodoba się ten notes.

Dzięki Bogu, przyspieszy on także ich śledztwo.

Pułkownik Corcoran pisał dalej:

„Nie myślałem więcej o Dieterze Hartmannie, aż do 1923 roku, kiedy to otrzymałem w

korespondencji egzemplarz raczej sensacyjnego amerykańskiego czasopisma »Miesięcznik o prawdziwych zbrodniach. Przesłał mi go, bez żadnego komentarza, podpułkownik Wilson, który wtedy pracował w jakimś banku w Nowym Jorku. Czasopismo zamieściło artykuł o okropnych rytualnych morderstwach wielu kobiet w Massachusetts. Podejrzewano o te zbrodnie Jacka Calwooda,

którego utożsamiano z jednym z najgorszych niemieckich wielokrotnych morderców, Janem Rufenwaldem. Artykuł mówił, że uciekając ze Stanów Zjednoczonych, Jack Calwood zarezerwował miejsce na »Lusitani« i niemal na pewno utonął wraz z 1195 innymi ofiarami katastrofy, »zatem nawet jeśli umknął przed krzesłem elektrycznym, poniósł zasłużoną karę«. Oczywiście podpułkownik Wilson i ja wiedzieliśmy, że Calwood przeżył katastrofę, a ukarany został przez nas.

Moje zainteresowanie tą sprawą ponownie odżyło i poprzez dawnych przyjaciół z wywiadu marynarki udało mi się uzyskać zapisy sygnałów telegraficznych, które zostały przesłane na »Lusitanię« bezpośrednio przed jej zatonięciem. Późniejsze śledztwo wykazało, że kapitan »Lusitani«, William Turner, zignorował polecenia Admiralicji dotyczące unikania niemieckich okrętów podwodnych. Twierdził, że zmniejszył prędkość statku z powodu gęstej mgły na wschodnim wybrzeżu Irlandii i że nie rozumiał polecenia płynięcia zygzakami, obowiązującego, nawet jeśli w okolicy nie stwierdzono by obecności żadnego U-Boota.

Jednak w ściśle tajnych dokumentach Admiralicji znajdował się napisany odręcznie tekst rozkazu, jaki przesłano mu telegraficznie, wyraźnie nakazujący mu zwolnić i przyjąć kurs prawie na Old Head of Kinsale. To właśnie tam zazwyczaj czaiły się U-Booty polujące na brytyjskie statki

handlowe. Tam też zauważył »Lusitanię-kapitan Walther Schwieger, dowódca niemieckiego U-20. Podczas dalszych dociekań, które zajęły mi wiele miesięcy i wymagały wielkiej ostrożności, w dokumentach War Office odkryłem zapis, że w nocy, 4 maja 1915 roku, ktoś zatelefonował do ambasady niemieckiej w Dublinie z informacją, że Jan Rufenwald, alias Jack Calwood, zmierza na pokładzie »Lusitanii« do Liverpoolu. Kiedy liniowiec mijał południowe wybrzeże Irlandii, Niemcy mieli okazję do zemstczenia się na najgorszym wielokrotnym mordercy, jaki kiedykolwiek zabijał w ich kraju.

Oczywiście nie mam niepodważalnych dowodów. Ale nawet w tamtych czasach aż huczało od pogłosek, że angielski wywiad przyczynił się do zatopienia „Lusitanii”, chcąc wzbudzić w Stanach Zjednoczonych (które wcześniej wykazywały niewielkie zainteresowanie wojną w Europie i nawet protestowały przeciwko brytyjskiej blokadzie niemieckich portów) wściekłość na Niemcy.

Osobiście uważam, że to brytyjski wywiad poinformował Niemców, iż na »Lusitanii« płynie Dieter Hartmann, a »Lusitania« otrzymała rozkaz zmniejszenia prędkości po to, aby stanowić łatwy cel dla U-20. W wojnie, która do tego momentu pochłonęła już życie setek tysięcy ludzi, życie kolejnych 1195 nie miało wielkiego znaczenia w porównaniu z korzyściami, jakie dawało przystąpienie do konfliktu Stanów Zjednoczonych, i to po stronie aliantów.

To dlatego właśnie rozkazano mi pozbyć się go w takim sekrecie. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że War Office użyło go jako przynęty, by zachęcić Niemców do zatopienia »Lusitanii«, stosunki angielsko-amerykańskie pogorszyłyby się na zawsze”.

Ktoś lekko zapukał do drzwi i po chwili pokazała się w nich czerwona twarz detektywa gwardzisty Patricka O'Sullivan. Sprawiał wrażenie, jakby zaledwie przed chwilą zjadł obfite irlandzkie śniadanie.

- Chryste, stan, w jakim jest ten facet na dole... Jezu, on nie ma pieprzonych rąk.

- Spokojnie, Patrick - powiedział Jimmy. - Liam zadzwonił już po techników. Czy wiesz,

dokąd udała się nadinspektor Maguire?

Katie szła za Johnem po zaoranym polu. Jej buty głęboko zapadały się w błoto. Deszcz bił o ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Katie była już całkowicie przemoczona i drżała z zimna.

John odwrócił się i popatrzył na nią, nie była w stanie mu pomóc, przynajmniej nie teraz.

- Ruszajcie się, dobrze? - warknęła na nich Lucy.

- Na miłość boską! - krzyknęła Katie.

- Boga nie ma, Katie. Do tej pory powinnaś to zrozumieć.

- Jesteś szalona. Naprawdę przypuszczasz, że to nastąpi? Naprawdę wierzysz, że ukaże ci się Morrigan?

- Zamknij się! Wszystko jest już przygotowane. Trzynaście ofiar, wszystko.

- Jesteś szalona!

- A ty nie jesteś szalona? Chodzisz co tydzień na mszę, wtrzniasz opłatek i myślisz, że jesz Jezusa?

- Morrigan to mit. Zwykła baśń.

- A Jezus nie jest baśnią?

Lucy wyglądała, jakby była szalona. Jasne włosy miała zaczesane do góry w dziwny stożek, a ubrana była w długi, czarny skórzany płaszcz, po którym spływały krople deszczu, oraz w czarne skórzane buty do kolan. Szła obok nich z pistoletem Katie w prawej ręce i czterocalowym rzeźniczym

nożem w lewej. Katie nie miała wątpliwości, że gotowa jest użyć jednego i drugiego. Zmusiła Katie do oddania broni, przyłożywszy nóż do ucha Johna i nacinając mu małżowinę. Krew z rany wciąż kapiała na kołnierz jego białej koszuli.

Dotarli do najwyższego punktu pola, przy Iollan's Wood, gdzie John znalazł szczątki Fiony Kelly. Katie przeraziła się na myśl, co tu teraz zastaną, i jej żołądek zaczął się buntować.

Zwymiotowała nie strawione śniadanie i musiała się zatrzymać.

- Ruszaj się, słyszysz?! - krzyknęła na nią Lucy chrapliwym głosem. - Nie możemy zmarnować już ani chwili! Morigain i tak za długo czekała.

Przebrnęli przez ostatnie grube bruzdy ziemi. Ich nogi zapadały się po kostki w mokrym gruncie. Wreszcie w błocie przed sobą zobaczyli czerwone, szare i bladożółte fragmenty poćwiartowanego ludzkiego ciała. Katie widziała wcześniej szczątki Fiony Kelly, jednak nie była w stanie zachować teraz spokoju, tym bardziej że była śmiertelnie przerażona i nie miała żadnego wpływu na to, co miało się z nią wkrótce stać.

- Siobhan Buckley - powiedziała Lucy, z satysfakcją obchodząc szczątki. - Miła dziewczyna, wrażliwa, o artystycznej duszy. Właśnie taka, jakiej szukała Morigain.

W taki sam sposób, w jaki ułożone zostały szczątki Fiony Kelly, w ziemi tkwiły żebra Siobhan Buckley. Naga czaszka leżała na biodrach. Wnętrznosci leżały wokół czaszki niczym wielkie splątane blade węże. Jej wątroba lśniła w kałuży razem z płucami. Deszcz padał tak intensywnie, że nawet wrony nie miały odwagi przylecieć na ucztę.

Były tu także przewiercone kości udowe, z małymi szarymi lalkami zwisającymi na sznurkach.

- Zmusiła mnie, żebym jej pomógł - powiedział John z obrzydzeniem. - Powiedziała, że jeśli tego nie zrobię, zabije moją matkę. Potem i tak ją zabiła.

- Nie przypuszczałam, że dotrwam do tego dnia - powiedziała Lucy. Chodziła teraz nerwowo w tę i z powrotem, i za każdym razem, kiedy zmieniała kierunek, robiła dziwne ruchy głową. - Nigdy nie

sądziłam, że to zobaczę. Morigain, wielka i straszna Morigain przybędzie tutaj z drugiej strony.

Katie i John stali bez ruchu. John mocno zaciskał pięści, a jego twarz była bardzo biała.

- Moi koledzy będą się zastanawiać, gdzie jestem! - krzyknęła Katie. - O dwunastej miałam przesłuchiwać Tómasa Ó Conailla. Jeśli nie zjawię się na Anglesea Street i nikt się do mnie nie dodzwoni, zaczną mnie szukać.

- Niech tutaj przyjadą - powiedziała Lucy, nie zatrzymując się. - Kiedy cię znajdą, wiele już po tobie nie zostanie.

- O czym ty mówisz?

- Naprawdę nie wiesz? Przechodząc na drugą stronę, Morrigan żąda czternastej ofiary, żywej kobiety, najsilniejszej w swoim plemienu. Od samego początku wiedziałam, że to ty najlepiej nadajesz się do tej roli. To musiałaś być ty!

- Co to znaczy „od samego początku”? - zdziwiła się Katie

- Od chwili, w której ujrzałam cię w nocnych wiadomościach telewizyjnych, kiedy znalazłaś kości tych wszystkich kobiet. Słyszałam, jak mówisz o rytualnym morderstwie, i od razu wiedziałam, o jakie morderstwo chodzi, ponieważ w tle zobaczyłam jedną z kości udowych ze zwisającą z niej lalczką.

- Powiedziałaś mi, że przysłał cię tutaj uniwersytet.

- Uniwersytet? Nigdy nie byłam związana z żadnym uniwersytetem. Ostatnio mieszkałam w Bostonie i pracowałam jako dekoratorka wystaw sklepowych w Haltmann's Stores przy Downtown Crossing.

- To skąd aż tyle wiesz o Morrigan?

- To dla niej żyję, Katie. I to od lat. W najdrobniejszych szczegółach zbierałam informacje o ofiarach Jacka Calwooda, docierałam do miejsc, w których układał ciała, próbowałam ustalić, ile kobiet zdołał zabić. Poświęcałam na to niemal każdy weekend, zaczynałam się jednak obawiać, że nigdy nie znajdę tego, czego szukam. Jego dom w Bostonie dawno zburzono, no i nie miałam żadnego pomysłu, jak znaleźć miejsce, w którym zakopał kości. Ale pewnego dnia pojawiłaś się ty, niczym anioł z niebios, gdyby tylko istniały anioły i niebiosy. Przemówiłaś do mnie z telewizora, wskazałaś mi miejsce, w którym można wezwać Morrigan, i powiedziałaś mi, z ilu kobiet muszę jeszcze złożyć ofiarę, aby ją przywołać.

- Jesteś chora, kompletnie obłąkana!

- Tak, zgodziłabym się z tobą, gdyby Morrigan nie istniała. Ale kiedy Jack Calwood był Janem Rufenwaldem, w Niemczech, zdołał wezwać Morrigan trzy razy, tak twierdził. Za każdym razem ofiarowała mu dobrobyt, wspaniałe posiadłości i towarzystwo najpiękniejszych kobiet z Niemiec. Dowiedziałam się o tym, kiedy miałam siedemnaście lat. Od tego czasu nie wątpiłam już, że pewnego dnia ja sama wezwę Morrigan. Dzisiaj ten dzień nastąpił.

- A czego ty chcesz od Morrigan? Nie mów mi, że zarznęłaś te biedne dziewczyny dla pieniędzy, domów albo mężczyzn!

Lucy zatrzymała się i popatrzyła na Katie. Katie nigdy dotąd na niczyjej twarzy, ani kobiety, ani mężczyzny, nie widziała takiego wyrazu. Oblicze Lucy wręcz jaśniało pewnością nadchodzącego triumfu.

- Morrigan podaruje mi mnie samą! To jest coś, czego nigdy nie miałam. Morrigan da mi mnie!

Wierzchem dłoni Katie otarła twarz z deszczu. Nic z tego wszystkiego nie rozumiała, wiedziała jednak, że musi wymyślić jakiś sposób, żeby wydostać siebie i Johna z tej opresji. Mimo ulewnego deszczu smród unoszący się nad ciałem Siobhan Buckley wprost zwał z nóg. Składała się na niego specyficzna mieszanka zapachów krwi, torfu i odchodów. Realność i bliskość prawdziwie makabrycznej śmierci napawała Katie ogromnym przerażeniem.

- Rozbieraj się - zażądała od niej Lucy. - Musisz być gotowa do ofiary.

- Ani mi się śni - odparła Katie.

Lucy obeszła krwawe szczątki i wycelowała nóż rzeźnicki w twarz Katie.

- Jeśli się nie rozbierzesz, wbiję ci to w oczy. Katie rozpięła przemoczoną bluzkę i powoli ją zdjęła.

Lucy stała bez ruchu, bardzo blisko niej, z uniesionym pistoletem i nożem skierowanym prosto

w jej twarz. Nagle Katie przyszło do głowy, że Lucy zawsze miała przy sobie nóż. W przeciwnym razie w jaki sposób tak szybko poradziłaby sobie z jej pasem bezpieczeństwa, kiedy uwięziona w samochodzie tonęła w Lee? Opuściła spódnicę.

- Teraz bielizna. - Lucy była nieustępliwa. Katie zawahała się, nie miała jednak wyboru.

Rozpięła biustonosz, a potem zdjęła majtki od Marksa i Spencera. Deszcz padał na jej nagie plecy.

Całe ciało miała pokryte gęsią skórką.

- Uklęknij - zażądała Lucy.

- Jeśli tylko tkniesz mnie palcem... - zaczęła Katie.

- Klękaj! - wrzasnęła Lucy i Katie natychmiast uklękła. Jej kolana zapadły głęboko w błoto.

Z kieszeni płaszcza Lucy wyciągnęła czarną szarfę i podała ją Johnowi.

- Co chcesz, żebym z tym zrobił? - zapytał. Miał nabrzmiały przerażeniem głos.

- Zawiąż jej oczy, tak żeby niczego nie widziała. Nawet żywa ofiara poświęcona Morrigan nie może widzieć wielkiej pani, kiedy ta wreszcie się pojawi.

John wykonał polecenie. Następnie Lucy podała mu nylonowy sznurek i zażądała:

- Zwiąż jej ręce za plecami.

- Nie jestem dobry w robieniu węzłów.

- Zwiąż ją i nie gadaj za dużo.

Minęło kilka pełnych napięcia minut, zanim John zdołał zawiązać sznurek na przegubach Katie.

Przez cały czas powtarzał pod nosem:

- Przepraszam cię, Katie, bardzo przepraszam. Cholernie cię przepraszam.

Kiedy skończył, Lucy powiedziała:

- Odejdź od niej. Nadszedł czas wezwania Morrigan. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, a od

strony Iollan's Wood nadciągała ściana jeszcze bardziej ulewnego deszczu. John zaczął odchodzić od

Katie.

- Odwróć się - zażądała Lucy.

John wykonał polecenie. Lucy zrobiła trzy szybkie kroki i otoczywszy go ramieniem, błyskawicznym ruchem poderżnęła mu gardło.

Jimmy O'Rourke powrócił do kilku ostatnich kartek notatnika Gerarda. Obaj z Patrickiem O'Sullivanem usłyszeli syreny karetek i wozów policyjnych, docierające z Western Road. Podobnie jak Jimmy, Patrick również wyjął papierosa. Zapalił go i zaczął rozglądać się dookoła.

- Facet nie był zwolennikiem porządku, co? Popatrz, w jakim stanie jest to mieszkanie. Brudny talerz po obiedzie pod kanapą! Do czego to doszło!

- On był profesorem, Patrick. Bardzo uczonym facetem. Profesorowie niezbyt interesują się brudnymi talerzami.

Patrick podniósł stos „Examinera” i natrafił na egzemplarz „Playboya”. Jego kartki miały ośle uszy.

- Wolał brudne książki, co?

- Jego badaniom nie można nic zarzucić. Mimo że wywołają prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi, mówię ci. Nie zdziwiłbym się, gdyby od tego rozpoczęła się wojna.

- Myślałem, że nie przejmujesz się takimi bzdurami.

- Właśnie zacząłem się interesować. Może dzięki temu dostanę awans?

Dokończył czytanie pamiętnika pułkownika Corcorana i dotarł do kilku ukośnych linijek zapisanych przez Gerarda na samym końcu notatnika. „Dostałem odpowiedź na e-mail od uniwersytetu w Berkeley, dotyczący opracowań naukowych profesor Quinn. Nie mają tam wydziału mitologii porównawczej!!! Nikt nie zna żadnej profesor Quinn!!! Dziwne! Skąd więc ona tyle wie o tych morderstwach i o tym, w jaki sposób je popełniono?”

Jimmy odłożył notes i zmarszczył czoło.

- Napisał, że nikt na uniwersytecie, na którym rzekomo pracowała Lucy Quinn, nawet o niej nie słyszał.

- Co? Chyba wiesz, jakie są te amerykańskie uniwersytety. Niektóre mają rozmiary naszego

Cork.

- Czy miałeś wiadomości od Katie?

- Nie. Ma wrócić na lunch, a potem jeszcze raz porozmawiać z Tómasem Ó Conaillem.

- Skąd ma wrócić?

- Pojechała do Knocknadeenly, żeby porozmawiać z Meagherami.

- Nie mogę się dodzwonić na jej telefon komórkowy.

- To mnie wcale nie dziwi. Góry osłabiają sygnał, szczególnie przy takiej pogodzie. Wróci najpóźniej o dwunastej.

- Rozumiem. Słuchaj, przyjechali już chyba sanitariusze. Wyjdę na zewnątrz.

- Katie ma o niej bardzo dobre zdanie.

- O kim?

- O tej całej Lucy Quinn. Ale we mnie ta kobieta budzi przerażenie. Nigdy nie szalałem za kobietami wyższymi ode mnie. Katie zabrała ją pewnie ze sobą, żeby wyciągnęła z Meagherów dokładniejsze zeznania. A może liczy na to, że się przyznają?

- Katie zabrała ze sobą Lucy Quinn do Knocknadeenly?

- Tak. Wspominała mi o tym dziś rano.

Jimmy znów podniósł notes Gerarda. Dlaczego Gerard tak pilnie chciał rozmawiać z Katie, dlaczego ktoś wdarł się do jego mieszkania, zniszczył komputer i rozerwał profesora na części? Może

ten ktoś nie chciał, żeby Gerard opowiedział Katie o swoim odkryciu. Jeśli jednak tak było, dlaczego nie zabrał notatnika, w którym w zasadzie wszystko, co istotne, jest zapisane? Może nie znał celtyckiego i popatrzawszy na pierwsze kartki, nie pojął ich znaczenia?

Jeszcze raz wystukał numer telefonu komórkowego Katie. Usłyszał informację, że aparat znajduje się poza zasięgiem sieci. Zadzwoił do Liama Fennesy'ego.

- Inspektorze, mówi Jimmy O'Rourke. Jest pan gdzieś w okolicach Knocknadeenly?

- Niedaleko. Wracam właśnie z Rathcormac. Pewnie chłopak wybił biednemu, staremu ojcu wszystkie zęby nogą od stołu.

- Próbuję skontaktować się z Katie Maguire. Jest teraz na Meagher's Farm z tą profesorką Lucy Quinn. Obie mają rozmawiać z Johnem Meagherem i jego matką. Problem w tym, że telefon Katie jest poza zasięgiem sieci i...

- Co?

- Przejrzałem właśnie pewne dokumenty Gerarda O' Brie-na i znalazłem zagadkową notatkę na temat Lucy Quinn. Wiele wskazuje na to, że nie jest osobą, za którą się podaje.

- Kim więc jest?

- Nie wiem. Ale może dobrze byłoby wpaść na Meagher's Farm i upewnić się, że wszystko jest w porządku.

- Jasne. Zajrzę tam. Za jakieś dwadzieścia minut będę na Perrott Street. Panujesz nad sytuacją?

O, tak, pomyślał Jimmy. Mam tutaj martwego profesora bez rąk i notatnik zawierający największy polityczny sekret dwudziestego wieku. Ale nad wszystkim doskonale panuję.

Liam zatrzymał samochód przy wjeździe na Meagher's Farm i nacisnął klakson. Gwardzista pełniący służbę natychmiast podbiegł do niego i Liam opuścił boczną szybę.

- Czy detektyw nadinspektor Maguire wciąż tutaj jest? -zapytał.

Gwardzista pokiwał głową.

- Mniej więcej od czterdziestu pięciu minut, proszę pana.

- Dobrze, dziękuję.

Podjechał do zabudowań farmy. Zobaczył samochód Katie i traktor z włączonym silnikiem.

Wyskoczył z auta i niezgrabnie przeskakując kałuże, podbiegł do drzwi wejściowych. Były nie domknięte, zapukał więc i zawołał:

- Pani nadinspektor? Czy jest tu kto?

Katie klęczała w błocie, a grube krople deszczu ściekały z jej nosa, spływały po szyi na brodawki na piersiach, toczyły się po plecach. Słyszała, jak Lucy po drugiej stronie szczątków Siobhan Buckley wyśpiewuje i pomrukuje.

- Przyjdź do mnie, Morrigan. Przyjdź do mnie, królowo śmierci i ciemności. Przyjdź i popatrz, co ci ofiarowuję. Przyjdź i raduj się świeżym mięsem i bólem.

Katie nie wiedziała, co się stało z Johnem. Ten zaś leżał w zakrwawionej koszuli zaledwie kilka stóp od niej. Myślała tylko o jednym: jeśli wstanie i zacznie uciekać, jak daleko dotrze, związana i z opaską na oczach? Nie wiedziała, co robić. Ratować się, nawet jeśli próba ucieczki z góry skazana jest

na niepowodzenie, czy klęczeć i czekać, aż Lucy zagłębi nóż w jej brzuchu.

- Przybądź do mnie, Morrigan, władczyni cierpienia. Przybądź do mnie, czarownico.

Przywrócę ci wolność. Nadam ci materialną substancję i kształt. Umieszczę cię tam, gdzie jest twoje miejsce, na śmiertelnym tronie, w śmiertelnym królestwie.

Katie była przekonana, że słyszy ni to rechotanie, ni to syk, przypominający odgłosy wydawane przez męczonę kota. Nie miała jednak pewności, głośno szumiał bowiem padający deszcz i poruszane wiatrem drzewa w Iollan's Wood. Jednak dźwięk ten był słyszalny i niemal z każdą chwilą wyraźniejszy.

- Przybądź do mnie, Morrigan. Już czuję twoją obecność. Przybądź do mnie, siostrze nieszczęścia, zwiastunie żałoby, ty, która kroczysz wśród nocy poprzez cmentarze i katakumby.

To szaleństwo, pomyślała Katie. Nie istnieje żadna Morrigan. Nie ma Niewidzialnego Królestwa. Jak ona może mnie poświęcić komuś, kto nie istnieje? A jednak nadstawiała uszu, by słyszeć „koci” syk. Odniosła wrażenie, że dociera do niej kolejny odgłos: miarowe dudnienie, bardzo powolne, trochę przypominające dźwięk, jaki wydaje duży tankowiec wpływający w środku nocy na wody Lee.

- Morrigan, wysłuchaj mnie! Morrigan, przekaż mi swą moc! Morrigan, zawsze, do końca

świata, będę ci służyła!

Głos Lucy z każdą chwilą stawał się wyższy i ostrzejszy. Katie nagle pomyślała: przecież to nie jest głos Lucy, którą znam. To nawet nie brzmi jak głos kobiety. To raczej głos dzikiej bestii.

- Morrigan! Królowo nocy! Władczyni wszelkiego rozkładu! Przybądź do mnie, Morrigan.

Dałam ci wszystko, czego zażądałaś! Przybądź do mnie Morrigan! Przybądź do mnie! Przybądź!

- Uzbrojony gwardzista! - krzyknął Liam. - Rzuć broń i podnieś ręce!

Padłszy na ziemię, Katie zamknęła oczy pod przepaską i wyszeptała:

- Mario, Matko Boża, dziękuję ci. Matko Boża, dziękuję ci, dziękuję.

Usłyszała kroki zbliżającego się do niej Liama, chlupot jego butów w błocie. Pochylił się nad nią i jedną ręką zerwał jej opaskę z oczu. W drugiej ręce trzymał pistolet wymierzony w Lucy.

- Nic ci nie jest, Katie?

Zamrugła.

- Nie, dziękuję. Czuję się doskonale, Liam. Doskonale. Dziękuję ci. - Czowała zbyt wielką ulgę, by kłopotać się teraz własną nagością.

- Już nie możecie powstrzymać Morrigan! - krzyknęła Lucy. - Upłynęło zbyt wiele lat, popłynęło zbyt wiele krwi. Nie możecie już jej powstrzymać!

Liam szarpnął za sznurek krępujący nadgarstki Katie, po trzech pociągnięciach węzeł był rozwiązany. Katie, cała uwalana błotem, wstała i zaczęła zbierać ubranie. Kiedy podnosiła bluzkę, zobaczyła, że John leży w głębokiej bruździe z podciętym gardłem.

- Nie możecie tego teraz powstrzymać! — chrypiała Lucy. Zataczała się, a na jej twarzy malowała się histeria. - Nie możecie tego powstrzymać, nie po tym wszystkim, co się stało! Czy wy tego, do diabła, nie rozumiecie? Muszę stać się sobą! Muszę stać się sobą! Muszę dowiedzieć się, kim jestem!

Katie uklękła nad Johnem i zaczęła badać jego puls. Lucy przecięła mu krtań, jednak nóż

ominął tętnicę szyjną. Oddech, chociaż bardzo słaby, wciąż był wyczuwalny.

- Liam, daj mi swój telefon. Potrzebni są sanitariusze.

Lucy obracała się dookoła własnej osi, wymachując rękami. Liam rzucił Katie telefon i podszedł do Lucy, mierząc w nią z pistoletu, który trzymał oburącz.

- Nie ruszaj się! Przestań się kręcić, do cholery! Załóż ręce na głowę i klękaj na ziemi!

Nagle Lucy zatrzymała się, uniosła głowę i szeroko otworzywszy oczy, posłała Katie znane jej już spojrzenie szaleńca.

- Słyszysz to, Katie? - zapytała. - Czy słyszysz to, co nadchodzi z lasu? Drzwi są otwarte, Katie. Drzwi są otwarte! Morrigain już spieszy ku nam!

- Czy położysz wreszcie łapska na głowę? - zagrmiał Liam.

Katie powoli opuściła rękę, w której trzymała telefon. Mogła przysiąc, że rzeczywiście coś słyszy. Znów ten koci syk i wstrząsające ziemią regularne dudnienie. I jak przez mgłę docierała do niej świadomość, niejasne przeczucie, że zbliża się ku niej coś wielkiego i straszego.

- Miała otrzymać żywą ofiarę, Katie. Jeśli nie będziesz nią ty, musi nią zostać inna silna kobieta prawda? A jak myślisz, czy istnieje kobieta silniejsza ode mnie?

- Lucy! Uspokój się! Uspokój się! Rób, co każe ci Liam! Załóż ręce na głowę i uklękaj!

- Za późno, najdroższa Katie! Nadchodzi Morrigain!

Wymawiając te słowa, Lucy zerwała z siebie czarny skórzany płaszcz i odrzuciła go. Następnie ściągnęła czarny sweter i czarny koronkowy stanik. Jej piersi były duże, miały czarne brodawki i poprzecinane były niebieskimi żyłkami.

- Uklękaj! - krzyknął Liam.

- Nic nie rozumiesz! - odkrzyknęła mu Lucy. - W ogóle nic nie rozumiesz!

Nagle zeszywniała i zamarła w bezruchu, jakby wyraźnie słyszała już głos tego, na co czeka.

Na jej ustach pojawił się szalony uśmiech.

- Morrigain - wyszeptwała. Za jej plecami gałęzie Iollan's Wood zaczęły się rozchyłać, niczym unoszące się nad powierzchnią wody ręce tonących ludzi. Katie mogłaby przysiąc, że temperatura nagle spadła, że deszcz stał się zimniejszy, a kiedy popatrzyła w górę, ujrzała, że nad polem w zupełnej ciszy krążą niezliczone wrony.

Podnosząc głos, by wzniósł się ponad szum deszczu, Lucy powiedziała:

- Przez całe życie nie wiedziałam, kim jestem, nie rozumiałam samej siebie. Lecz pewnego dnia dowiedziałam się o Morrigain i zrozumiałam, że to ona może podarować mi wszystko, czego zapragnę. Inni ludzie osiągają to, czego chcą, i wiedzą, kim są. Dlaczego nie ja?

Wiatr wzmagął się. Mokre jesienne liście nadlatywały od strony lasu, z którego dobiegały złowieszcze trzaski i jakby pokastywania. Można było odnieść wrażenie, że po lesie krąży tysiąc starców z bronchitem.

- Za cenę życia drugiej osoby nigdy nie osiągniesz niczego! - krzyknęła Katie. - Nie osiągniesz niczego!

Lucy rozpięła pasek przy obcisłych czarnych skórzanych spodniach.

- A kim ty jesteś, aby mnie osądzać? - zawołała chrapliwie. - Kim jesteś, żeby mnie sądzić?

Jeśli nie mogę użyć ciebie jako ofiary, poświęcę samą siebie i poproszę Morrigain, żeby oddała mi życie!

Opuściła spodnie do kolan. Nie miała majtek, Katie popatrzyła na jej krocze i powoli uniosła dłoń do ust. Wpatrywała się w Lucy, nie wierząc w to, co widzi.

Lucy miała w pełni rozwinięty penis, jądra i gęste, czarne, kręcone włosy łonowe.

- Chryste - jęknął Liam.

Wtedy coś się stało, jednak Katie nigdy nie wspomniała o tym w raporcie, nie wspomniał o tym także Liam i nigdy o tym nie rozmawiali, nawet pomiędzy sobą. Oboje odnieśli wrażenie, że świat jakby oślepl, a ciśnienie atmosferyczne spadło tak bardzo, że nikt nie był w stanie oddychać. Lucy

uniosła nóż i co Liam miał zrobić? Zastrzelić ją?

Katie poczuła, jak przepływa nad nią wielka, ciemna istota, a może był to tylko podmuch wiatru? Lucy odrzuciła głowę do tyłu i wbiła sobie nóż w klatkę piersiową aż po rękojeść. Pociągnęła

nim w dół, bez pośpiechu, jakby rozkoszowała się rozcinaniem samej siebie. Przez długą chwilę stała

na polu, smagana przez deszcz, z powoli wylewającymi się z niej wnętrznościami, a jej twarz była tak

dziwna, blada i piękna, jak twarz samej Morrigan.

W oddali rozległ się huk pioruna, a potem można było usłyszeć ostry świst powietrza, taki sam, jaki czasami się słyszy, zamykając okno samochodu podczas szybkiej jazdy. Lucy zachwiała się, ugięły się pod nią nogi i powoli, wykonawszy dziwny piruet, padła na ziemię. Już się nie poruszyła.

Liam podszedł do niej ostrożnie, celując z pistoletu w jej głowę. Odwrócił się do Katie i powiedział:

- Już jest bezpiecznie. Ona nie żyje. Ono nie żyje.

Katie odwróciła głowę. Biegł ku nim gwardzista z posterunku przed farmą, wbiegał pod górę, co chwilę się potykając, niczym ostatni zawodnik w maratonie uparcie zamierzający za wszelką cenę dotrzeć do linii mety, mimo że nie ma żadnej szansy na zwycięstwo.

- Hermafrodyta? - zdziwił się Dermot O'Driscoll, odkładając na serwetkę kanapkę z serem i marynowanym ogórkiem, którą zjadł tylko do połowy.
- Tak, proszę pana. Na to wygląda. Wysłaliśmy do Ameryki prośbę o dokumentację medyczną. Deszcz przestał padać i promienie słońca załamywały się w kroplach wody, które lśniły jeszcze na szybach w gabinecie Dermota.
- A więc... Jak uważasz, co powinniśmy powiedzieć dziennikarzom?
- Nie sędzę, aby to bardzo komplikowało sprawę, proszę pana. Możemy ogłosić, że niezrównoważony osobnik próbował powtarzać rytualne morderstwa z lat 1915 i 1916 i popełnił samobójstwo, chcąc uniknąć aresztowania i oskarżenia.
- Popełnił samobójstwo? Czy popełniła samobójstwo?
- Jeszcze nie wiemy, proszę pana. Wiemy z całą pewnością, że „profesor Lucy Quinn” nie istniała, jednak prawdziwej tożsamości tej osoby wciąż nie znamy. Nie wszyscy ludzie na tym świecie ją mają, prawda? Myślę, że to był wielki problem Lucy. Nie była ani mężczyzną, ani kobietą, a z tego, co zdążyła powiedzieć, wynika, że nigdy nikt jej nie pomógł uporać się z tym problemem. Nawet Bóg.
- Dlatego właśnie zaczęła szukać odpowiedzi w magii, konkretnie u Morrigan.
- A biedny, stary Gerard O'Brien dowiedział się o tym i poniósł straszne konsekwencje?
- Tak, proszę pana.
- Jak się czuje John Meagher?
- Przeżyje, ale jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł mówić. I wątpię, czy kiedykolwiek będzie chciał wrócić do pracy na farmie.
- Przerazająca sprawa, Katie. Wzdrygam się, kiedy o niej myślę. Dasz sobie radę z

dziennikarzami? Rozumiesz, nie możesz wspominać o czarownicach i tak dalej.

- Dam sobie radę.

- A jeśli chodzi o Tómasa Ó Conailla... Cóż, możemy sobie chyba darować jakiegokolwiek oskarżenia wobec niego. Lepiej nie drażnić ludzi popierających Wędrowców.

- Oczywiście, proszę pana.

Katie wyszła z gabinetu Dermota i ruszyła korytarzem. Po chwili natknęła się na Jimmy'ego O'Rourke. Miał ręce złożone za plecami i poważny wyraz twarzy.

- Informując o wszystkim Liama, ocaliłeś mi życie, Jim-my. Nie bądź taki smutny.

- Rzuciłem palenie i to źle wpłynęło na moją równowagę psychiczną.

Weszła do swojego gabinetu i usiadła.

- Przyszedłeś z czymś nadzwyczaj ważnym? - zapytała. - Mam cholernie dużo roboty.

Jimmy wysunął zza pleców notes Gerarda.

- Powinienem zarejestrować to jako dowód rzeczowy, jednak po dłuższym zastanowieniu postanowiłem tego nie robić. Przynajmniej nie teraz. Są tu opisane sprawy, które mogą narobić wiele złej krwi, a moim zdaniem we współczesnym świecie i tak jest już dosyć złej krwi. Jeśli uważasz, że się mylę, jestem gotów przyjąć reprimendę. Wiem, że gwardzista nie powinien za dużo myśleć. A przynajmniej nie filozofować. Pomyślałem jednak, że chciałabyś to najpierw przeczytać. Obiecuję, że bez słowa sprzeciwu przyjmę twoje zdanie na ten temat.

Katie wpatrywała się w niego bez uśmiechu. Wiedziała, że od tego, co teraz powie, przez długi czas będą zależeć ich wzajemne relacje.

- Dziękuję ci, Jimmy - powiedziała i położyła notatnik przed sobą.

- A więc - odezwał się Jimmy, mocno zmieszany - chciałem ci powiedzieć, że cieszę się, że uratowałem ci życie. Wygląda na to, że gdyby nie ja, byłabyś już martwa.

Poprosiła, aby z nikiem jej nie łączono, po czym przez dwadzieścia minut czytała notatnik

Gerarda. Potem przeczytała go po raz drugi. Później długo siedziała w milczeniu. Wreszcie wsunęła notatnik do torebki i zamknęła ją. Jimmy miał rację. Nawet jeśli Szalony Corcoran snuł jedynie chaotyczne przypuszczenia, na świecie było już i tak dość złej krwi.

Następnego dnia w porze lunchu spotkała się z Eugene'em Ó Bearą i Jackiem Devittem w „Red Setter”, ciasnym pubie przy Dillon's Cross. Przez cały czas reszta klienteli przyglądała się jej natarczywie, jakby była zakonnica, która pojawiła się wśród nich z psim łajnem na bucie. Siedzieli w rogu za wysokim przepierzeniem. Dym tytoniowy był tak gęsty, że można było tylko się dziwić, iż nikt jeszcze nie wezwał tu straży pożarnej. Nawet wilczur Jacka Devitta kichał i pokasływał.

- Znaleźliśmy w Londynie dane wywiadu, które ostatecznie dowodzą, że mężczyzna, który porwał jedenaście kobiet w 1915 i 1916 roku, wcale nie był brytyjskim żołnierzem. Prawie na pewno był Niemcem z Munsteru w Westfalii, znanym jako Dieter Hartmann, a w brytyjski mundur jedynie się przebierał. Wciąż czekamy na dodatkowe informacje od rządu niemieckiego i natychmiast, kiedy je otrzymamy, prześlemy je panu - mówiła Katie. - Chciałabym, żeby pan wiedział - ruchem głowy skinęła na Devitta - że mamy dowody potwierdzające, iż siły Korony w Cork podjęły nadzwyczajne działania w celu schwytania i aresztowania tego człowieka. Pewnego razu prawie go mieli, zdołał jednak uciec i nigdy potem już o nim nie słyszano.

- Czy możemy obejrzeć te dowody? - zapytał Jack Devitt poważnie.

- Oczywiście, kiedy tylko je opracujemy. Ma pan jednak moje słowo, że są autentyczne.

- Doskonale, nadinspektor Maguire. Dobrze znałem pani ojca i jeśli daje mi pani swoje słowo, przyjmuję je. Chociaż muszę się przyznać do pewnego rozczarowania.

Katie posłała mu słaby uśmiech.

- Utrzymywanie pokoju to nie kończące się rozczarowanie.

Eugene Ó Beara roześmiał się nagle głośnym, rechotliwym śmiechem i równie nagle ucichł.

- Jest pani dobrą kobietą, Katie Maguire, jak na policjantkę.

Jeszcze tego samego dnia spotkała się z Eamonnem Collinsem w jego stałym miejscu w „Dan Lowery's”. Jego ochroniarz Jerry, przy osobnym stoliku, odbywał spotkanie z wielkim talerzem zupy rybnej.

- Cześć, Eamonn.

- Cześć.

- Chciałam ci powiedzieć, że przygotowuję nakaz twojego aresztowania za ukrzyżowanie Dave'a MacSweeny'ego oraz za trzynaście innych przestępstw związanych z narkotykami i wymuszeniami.

Eamonn wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę i wydmuchał nos.

- Nie powiem, że to miło z twojej strony, Katie.

- Przykro mi, Eamonn. Nastąpił w końcu dzień, w którym należy przegnać wrony. A one rozsiadły się na twoich ramionach.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, jak będę się bronił, jeśli spróbujesz postawić mnie przed sądem za cokolwiek, co miałoby związek z Dave'em MacSweenym. Świętej pamięci nieodżałowanym Dave'em MacSweenym.

- Powiesz sądowi, że kazałam ci ostrzec go, żeby nie niepokoił mojego męża, i że w zamian obiecałam ci, iż przymknę oczy na postęпки niektórych z twoich ludzi.

- Właśnie tak.

Katie posłała mu ciepły, szeroki uśmiech.

- Potwierdzę to, Eamonn. Pomyliłam się, popełniłam poważny błąd. Zamierzam odejść z Gardy i to będzie moja kara za zbratanie się z diabłem. Ale wierz mi, zrobię wszystko co w mojej mocy, żebyś już nigdy nie włożył szytego na miarę garnituru, ty zarozumiały ćwoku z Knocknaheeny.

Eamonn uniósł szklankę z whisky i zaśpiewał dla Katie niskim, schrypniętym głosem pieśń

własnego autorstwa:

- „Uwierz mi, gdyby wszystkie twoje uroki, na które dziś patrzę z lubością, miały odmienić się jutro, lecz dziś wpaść w moje ramiona niczym baśniowe prezenty, które się wkrótce rozplyną w powietrzu, przyjąłbym je!”

Opuściła „Dan Lowery's Pub” i właśnie przechodziła przez MacCurtain Street, kiedy zadzwonił jej telefon mórkowy. Telefonowała siostra O'Flynn ze szpitala, w rym leżał Paul.

- Pani Maguire? - Po raz pierwszy od dłuższego czasu ktoś powiedział do niej „pani Maguire”.

Wiedziała, że oznacza to złe wiadomości, i stanęła przy „Isaac's Restaurant”, jakby umówiła się tutaj na lunch z kimś kto dotąd się nie pojawił i oczywiście nigdy już się nie zjawi.